

# SIMON BECKETT

## CHEMIA ŚMIERCI

Przekład  
JAN KRAŚKO

### Rozdział 1

Ciało ludzkie zaczyna się rozkładać cztery minuty po śmierci. Coś, co było kiedyś siedliskiem życia, przechodzi teraz ostatnią metamorfozę. Zaczyna trawić samo siebie. Komórki rozpuszczają się od środka. Tkanki zmieniają się w ciecz, potem w gaz. Już martwe, ciało staje się stołem biesiadnym dla innych organizmów. Najpierw dla bakterii, potem dla owadów. Dla much. Muchy składają jaja, z jaj wylęgają się larwy. Larwy zjadają bogatą w składniki pokarmowe pożywkę, następnie migrują. Opuszczają ciało w składnym szyku, w zwartym pochodzie, który podąża zawsze na południe. Czasem na południowy wschód lub południowy zachód, ale nigdy na północ. Nikt nie wie dlaczego.

Do tego czasu zawarte w mięśniach białko zdążyło się już rozłożyć, wytwarzając silnie stężony chemiczny roztwór. Zabójczy dla roślinności, niszczy trawę, w której pełzną larwy, tworząc swoistą pępowinę śmierci ciągnącą się aż do miejsca, skąd wyszły. W sprzyjających warunkach - na przykład w dni suche i gorące, bezdeszczowe - pępowina ta, ten pochodź tłustych, żółtych, rozedrganych jak w tańcu czerwi, może mieć wiele metrów długości. Jest to widok ciekawy, a dla człowieka z natury ciekawskiego cóż może być bardziej naturalne niż chęć zbadania źródła tego zjawiska? Właśnie tak dzieci Yatesów znalazły to, co pozostało po Sally Palmer.

Neil i Sam natknęli się na pochodź larw na brzegu lasu Farnhama, na skraju mokradeł. Był drugi tydzień lipca i zdawało się, że to nietypowe lato trwa już od wieków. Nieustający upał wysysał kolory z drzew, spiekał ziemię na kość. Chłopcy szli do Sadzawki pod Wierzbą porośniętego trzcina stawu, który uchodził tu za basen kąpielowy. Mieli spotkać się tam z kolegami i spędzić niedzielę, skacząc do zielonej wody z rosnącego nad brzegiem drzewa. Tak przynajmniej myśleli.

Byli pewnie znudzeni i apatyczni, odurzeni upałem i zniecierpliwieni swoim towarzystwem. Jedenastoletni Neil, trzy lata starszy od Sama, szedł przodem, żeby zademonstrować bratu swoje rozdrażnienie - tak to sobie wyobrażałem. Idzie przodem, ma w ręku patyk i smaga nim krzaki i gałęzie mijanych po drodze drzew. Sam wlecze się z tyłu, pociągając nosem. Nie, nie jest przeziębiony - ma katar sienny i mocno zaczerwienione oczy. Pomógłby mu łagodny lek przeciwhistaminowy, ale on jeszcze o tym nie wie. Latem zawsze pociąga nosem, tak po prostu jest. Wiecznie w cieniu starszego brata, idzie ze spuszczoną głową, dlatego to właśnie on, a nie Neil, zauważa pochodź larw.

Przystaje, żeby się mu przyjrzeć, a potem woła brata. Neil nie ma ochoty zawracać, ale wyczuwa, że Sam coś znalazł. Udaje, że nie robi to na nim żadnego wrażenia, lecz falujący pochodź czerwi intryguje go tak samo jak Sama. Obydwaj kucają i odgarniając z czoła ciemne włosy, krzywią się od zapachu amoniaku. I chociaż potem nie będą mogli sobie przypomnieć, który z nich wpadł na pomysł, żeby sprawdzić, skąd larwy idą, myślę, że zaproponował to Neil. To nie on zauważył je jako pierwszy, dlatego na pewno zechciałby ponownie objąć dowództwo. Tak więc to on rusza przodem w stronę kęp pożółkłej bagiennej trawy, a Sam idzie za nim.

Czy już wtedy poczuli smród? Prawdopodobnie tak. Musiał być na tyle silny, że mimo zapalenia zatok poczuł go nawet Sam. I prawdopodobnie wiedzieli, co ten smród oznacza. Nie byli mieszcuchami, dobrze znali cykl życia i śmierci. Ich uwagę musiały też zwrócić muchy, somnambulicznie brzęczące w upale. Ale wbrew temu, czego oczekiwali, nie zobaczyli tam ścierwa owcy ani jelenia czy nawet psa. Nagie, lecz wciąż rozpoznawalne zwłoki Sally Palmer były studium rozedrganego ruchu, siedliskiem kłębiącego się pod skórą robactwa, które wypełzało z jej ust, nosa i z pozostałych otworów ciała. Czerwie zbijały się na ziemi w gromadę, dołączały do pochodu i znikwały w trawie.

Nie ma znaczenia, który z chłopców uciekł stamtąd pierwszy, ale myślę, że był to Neil. Sam, jak zwykle naśladować brata, próbował go dogonić i ścigali się tak aż do domu. Z domu poszli na policję.

I w końcu trafili do mnie.

Oprócz łagodnego środka uspokajającego dałem Samowi coś na katar sienny. Ale do tego czasu nie tylko on miał zaczerwienione oczy. Odkryciem wstrząśnięty był i jego brat, chociaż jak na młodego chłopaka przystało, zaczynał już odzyskiwać zimną krew. Dlatego to właśnie on opowiedział mi, co się stało, powoli nadając surowym wspomnieniom bardziej przystępną formę opowieści, którą można w nieskończoność odtwarzać i powtarzać. Jako odkrywca zwłok, od których to wszystko się zaczęło, miał ją opowiadać jeszcze przez wiele lat, długo po tragicznych wydarzeniach tamtego upalnego lata.

Rzecz w tym, że koszmar nie zaczął się wcale od odkrycia zwłok Sally Palmer. Po prostu nie wiedzieliśmy wtedy - i do wtedy - co wśród nas żyło.

## Rozdział 2

Przyjechałem do Manham trzy lata wcześniej, późnym popołudniem w deszczowym tamtego roku marcu. Wsiadłem na stacji - małej platformie w szczerym polu - by ujrzeć tonący w deszczu krajobraz, pozbawiony zarówno życia, jak i konkretnych kształtów. Z walizką w rękę stałem tam, chłonąc scenerię i nie zwracając uwagi na ściekający za kołnierz deszcz. Jak okiem sięgnąć, aż po horyzont rozciągały się płaskie wrzosowiska i upstrzone kępami drzew mokradła.

Nigdy przedtem nie byłem w Broads ani w ogóle w Norfolk. Tak, okolica była spektakularnie obca. Ogarnąłem wzrokiem rozległą, otwartą równinę, odetchnąłem chłodnym, wilgotnym powietrzem i poczułem, że zaczynam się trochę rozluźniać. Choć dość odstręczające, Manham nie było Londynem i to mi wystarczyło.

Nikt nie wyszedł mi na spotkanie. Nie zamówiłem taksówki ani żadnego innego środka transportu. Moje plany nie sięgały tak daleko. Sprzedałem samochód oraz całą resztę i zupełnie nie zastanawiałem się, jak dotrę ze stacji do miasteczka. Wtedy jeszcze nie myślałem zbyt trzeźwo. Gdybym pomyślał - z typową dla mieszczaucha arogancją - założyłbym pewnie, że będą tam taksówki, sklep czy w ogóle cokolwiek. Tymczasem nie było tu ani żadnej taksówki, ani nawet budki telefonicznej. Przez chwilę żałowałem, że wraz z rzeczami sprzedałem komórkę, a potem wziąłem walizkę i ruszyłem w stronę drogi. Gdy tam doszedłem, stanąłem przed wyborem: skrócić w lewo czy w prawo? Skręciłem w lewo. Bez wahania i bez powodu. Kilkaset metrów dalej było skrzyżowanie, a przed skrzyżowaniem stał wyblakły, drewniany mocno pochylony drogowskaz, wydawało się więc, że wskazuje coś ukrytego w rozmokłej ziemi. Ale dowiedziałem się przynajmniej, że idę w dobrym kierunku.

Zanim doszedłem do miasteczka, zapadł już zmierzch. Po drodze minęło mnie parę samochodów, ale żaden się nie zatrzymał. Nie licząc samochodów, pierwszymi oznakami życia było kilka przydrożnych, oddalonych od siebie gospodarstw. Nieco później w gasnącym świetle dnia zobaczyłem wieżę na wpół wrośniętą w ziemię kościoła; tak to przynajmniej wyglądało. Zaraz potem pojawił się chodnik, wąski i śliski od deszczu, mimo to lepszy niż trawiaste poboczne i żywopłoty, przez które musiałem się przedtem przedzierać. Za kolejnym zakrętem wyrosło samo Manham ukryte tak dobrze, że zobaczyłem je dopiero wtedy, gdy do niego dotarłem.

Nie należało do miasteczek jak z widokówki. Było za bardzo przytulne, za bardzo rozciągnięte, żeby pasować do obrazu typowej angielskiej prowincji. Na skraju stało kilka przedwojennych kamienic, ale te szybko ustąpiły miejsca kamiennym domom ze ścianami upstrzonymi kawałkami krzemienia. Im bliżej centrum, tym domy były starsze, tak więc z każdym krokiem coraz bardziej cofałem się w przeszłość. Błyszczące od deszczu tuliły się do siebie, a ich martwe okna gapiły się na mnie z nieskrywaną podejrzliwością.

Nieco dalej, na ulicy pojawiły się zamknięte sklepy, a za sklepami kolejne domy ginące w mokrym zmierzchu. Minawszy szkołę i pub, dotarłem do miejskiego skweru. Skwer jarzył się od żonkili. W ponurym ciemnobrazowym świetle ich kiwające się na deszczu żółte trąbki były szokująco barwne. Nad skwerem górował olbrzymi kasztanowiec z nagimi, czarnymi, rozłożystymi gałęziami. Za kasztanowcem, pośrodku cmentarza pełnego omszałych nagrobków stał normandzki kościół, którego wieżę widziałem z drogi. Podobnie jak ściany domów na skraju miasteczka, jego ściany też wyłożono kawałkami twardego, odpornego na pogodę krzemienia. Ale tynk, w którym tkwił krzemień, był stary i zwietrzały, a drzwi i okna lekko wypaczone, gdyż z upływem stuleci fundamenty kościoła coraz bardziej zapadały się w ziemię.

Przystanąłem. Dalej były domy, a za nimi kolejne. Dotarło do mnie, że to już całe Manham. W niektórych oknach paliło się światło, lecz poza tym nigdzie nie dostrzegłem ani śladu życia. Stałem na deszczu, nie wiedząc, dokąd iść. Nagle usłyszałem jakiś hałas i zobaczyłem dwóch ogrodników na cmentarzu. Nie zwracając uwagi ani na pogodę, ani na porę dnia, wyrwali i grabili trawę między starymi, kamiennymi nagrobkami. Gdy podszedłem bliżej, nie przerwali pracy ani nawet na mnie nie spojrzeli.

- Przepraszam, gdzie tu jest przychodnia? - spytałem z twarzą spływającą deszczem.

Dopiero wtedy podnieśli wzrok i mimo dzielącej ich różnicy wieku trudno było nie poznać, że są to dziadek i wnuk. Obydwaj mieli takie same spokojne i obojętne twarze, takie same modre oczy. Ten starszy ruchem głowy wskazał wąską, wysadzaną drzewami uliczką biegnącą wzdłuż skweru.

- Tam. Prosto przed siebie.

Jego akcent, spiralne zbitki samogłosek tak obce moim miejskim uszom, był kolejnym potwierdzeniem tego, że nie jestem już w Londynie. Podziękowałem im, ale oni już powrócili do pracy. Wszedłem w uliczkę i szum ściekającego z gałęzi drzew deszczu przybrał na sile. Po chwili stanąłem przed szeroką bramą strzegącą dostępu do wąskiego podjazdu. Na słupie bramy wisiała drewniana tabliczka z napisem: BANK HOUSE, pod nią zaś była mosiężna z napisem: DR H. MAITLAND. Wysadzana cisami alejka pięła się łagodnie pod górę przez starannie utrzymany ogród, a potem opadała, by skończyć się na podwórzu okazałego gregoriańskiego domu. Potarłem butami o błyszczącą mocno zużytą sztabę kutego żelaza z boku frontowych drzwi i oskrobawszy błoto z butów, głośno zastukałem ciężką kołatką. Już miałem zastukać ponownie, gdy drzwi się otworzyły.

W progu stanęła pulchna kobieta w średnim wieku o nienagannie uczesanych szarych włosach.

- Tak?

- Ja do doktora Maitianda. Kobieta zmarszczyła brwi.

- Gabinet już zamknięty. I boję się, że pan doktor nie chodzi na tak późne wizyty.

- Nie, nie, chciałem powiedzieć, że jestem umówiony. - Nie zareagowała. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak muszę wyglądać po godzinnym spacerze w deszczu. - Ja w sprawie pracy. Nazywam się Hunter. David Hunter.

Natychmiast rozjaśniła jej się twarz.

- Och, bardzo pana przepraszam. Nie wiedziałam, myślałam, że... Proszę, proszę wejść. - Przepuściła mnie przodem. - Boże święty, przemóć pan do suchej nitki. Długo pan szedł?

- Godzinę, ze stacji.

- Ze stacji? Przecież to kilometry stąd! - Już pomagała mi zdjąć płaszcz. -Dlaczego pan nie zadzwonił i nie powiedział, o której pan przyjeżdża? Ktoś by pana odebrał.

Nie odpowiedziałem. Szczerze mówiąc, po prostu nie przyszło mi to do głowy.

- Proszę dalej, do saloniku. Rozpaliłam w kominku. Nie, walizkę niech pan zostawi - dodała, odwracając się od wieszaka. Uśmiechnęła się i dopiero wtedy zauważyłem, jak bardzo ściągniętą ma twarz. To, co wzięłem przedtem za oschłość i lapidarność, było po prostu zmęczeniem. - Nikt jej tu nie ukradnie.

Zaprowadziła mnie do dużego, wyłożonego drewnem pokoju. Przed kominkiem, w którym żarzył się stos polan, stała stara, wytarta skórzana kanapa. Dywan był perski, też stary, lecz wciąż piękny; leżał na podłodze z brunatnoczerwonych desek. Wszędzie unosił się przyjemny zapach sosny i dymu z kominka.

- Proszę, niech pan usiądzie. Powiem doktorowi, że pan przyjechał. Napije się pan herbaty?

Kolejny znak, że byłem już na wsi. W mieście zaproponowano by mi kawę. Podziękowałem i gdy wyszła, zapatrzyłem się w ogień. Po panującym na dworze zimnie, od gorąca zrobiłem się senny. Za oknem było już zupełnie ciemno. W szybę bębniły krople deszczu. Kanapa była miękka i wygodna, i Powoli opadały mi powieki. Gdy zaczęła opadać głowa, ogarnięty paniką, szybko wstałem. Wstałem i od razu poczułem się do cna wyczerpany, fizycznie i psychicznie wypluty. Ale strach przed zaśnięciem był jeszcze większy.

Gdy wróciła, wciąż stałem przed kominkiem.

- Proszę tędy. Doktor jest w gabinecie.

Poskrzypując bucikami, zaprowadziła mnie do drzwi na końcu korytarza. Przystanęła, cicho zapukała i nie czekając na „proszę”, swobodnym, poufałym ruchem ręki przekreśliła klamkę. Uśmiechnęła się i stanęła z boku.

- Zaraz przyniosę herbatkę - szepnęła, zamykając drzwi.

Biurko, za biurkiem jakiś mężczyzna. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa. Był wysoki, nawet siedząc. Miał wyrazistą, pooraną zmarszczkami twarz i gęste włosy, może nie siwe, ale kremowe. Lecz jego czarne brwi były zaprzeczeniem jakiegokolwiek słabości, a osadzone pod nimi oczy spoglądały czujnie i przenikliwie. Patrzyły, oceniały, ale co we mnie dostrzegły, tego nie umiałem powiedzieć. Nie wyglądałem najlepiej i po raz pierwszy ogarnął mnie lekki niepokój.

- Boże, człowieku - warknął. - Aleś pan przemóć! - Głos miał szorstki, lecz przyjazny.

- Szedłem piechotą aż ze stacji. Nie było taksówek.

- Witamy w naszym cudownym Manham - prychnął. - Powinien był pan mnie uprzedzić, że przyjedzie pan dzień wcześniej. Ktoś by na pana czekał.

- Dzień wcześniej? - powtórzyłem.

- No, tak. Spodziewałem się pana jutro.

Zamknięte sklepy - dopiero teraz to do mnie dotarło. Była niedziela. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo wypaczyło mi się poczucie czasu. Gafa wprowadziła mnie w zakłopotanie. Udał, że tego nie widzi.

- Nie szkodzi. Najważniejsze, że pan już jest. Będzie pan miał więcej czasu na aklimatyzację. Henry Maitland. Miło mi.

Wyciągnął do mnie rękę, ale nie wstał. Dopiero wtedy zauważyłem, że jego fotel ma kółka. Nachyliłem się, żeby uścisnąć mu dłoń, lecz tuż przedtem lekko się zawahałem. Maitland uśmiechnął się gorzko.

- Teraz już pan rozumie, dlaczego dałem to ogłoszenie.

Zamieścił je w „Timesie, w dziale „Praca”, ogłoszenie tak małe, że łatwo je można było przeoczyć. Ale ja nie wiedzieć czemu, od razu je zobaczyłem. Wiejska przychodnia poszukiwała lekarza pierwszego kontaktu na umowę okresową. Na pół roku; mieszkanie zapewnione. Najbardziej uderzyła mnie lokalizacja. Nie żebym bardzo chciał pracować w Norfolk, ale Norfolk leży daleko od Londynu. Odpowiedziałem na ogłoszenie bez ekscytacji i wielkich nadziei, dlatego gdy tydzień później przyszedł list, otwierałem go, spodziewając się grzecznej odmowy. Ale zamiast odmowy, znalazłem konkretną propozycję. Musiałem przeczytać list dwa razy, żeby w końcu to do mnie dotarło. W innych okolicznościach pomyślałbym pewnie, że musi tkwić w tym jakiś haczyk. Ale w innych okolicznościach nigdy nie odpowiedziałbym na ogłoszenie.

Odpisałem, że przyjmuję propozycję.

A teraz patrzyłem na mojego nowego chlebodawcę, poniewczasie zastanawiając się, w co właściwie wdepnąłem. Maitland jakby czytał w moich myślach. Klepnął się po udach i rzucił:

- Wypadek samochodowy - powiedział to bez zażenowania czy użalania się nad sobą. - Jest nadzieja, że z czasem odzyskam częściową władzę w nogach, ale na razie nie daję sobie rady sam. Przez rok brałem na zastępstwo miejscowych, ale mam tego dość. Jednego tygodnia jedna gęba, drugiego druga. To nikomu nie służy. Wkrótce się pan przekona, że tu nie lubią zmian, -Wziął fajkę i kapciuch z biurka. - Przeszkadza panu dym?

- Nie, jeśli nie przeszkadza panu.

- Dobra odpowiedź - odparł ze śmiechem Maitland. - Ale ja nie jestem pańskim pacjentem. Niech pan o tym pamięta.

Przytknął zapalną do cybucha.

- No, dobrze - powiedział, pykając z fajki. - Po pracy na... na uniwersytecie, tak? Po pracy na uniwersytecie przeżyje pan tu nielichy szok. No, a poza tym Manham to nie Londyn. - Zerknął na mnie znad cybucha i myślałem, że spyta mnie o doświadczenie zawodowe. Ale nie spytał. - Jeśli ma pan jeszcze jakieś wątpliwości, to odpowiednia chwila, żeby je wyniszczyć.

- Nie, nie mam.

Zadowolony kiwnął głową.

- Dobrze. Tymczasem zamieszka pan tutaj. Janice pokaże panu pokój. Porozmawiamy przy kolacji. Może pan zacząć już jutro. Przyjmujemy od dziewiątej.

- Mogę o coś spytać? Maitland uniósł brwi. Czekał.

- Dlaczego mnie pan zatrudnił?

Nie dawało mi to spokoju. Nie na tyle, żeby odrzucić propozycję, jednak wciąż dręczyła mnie mglista niepewność.

- Bo uznałem, że się pan nadaje. Dobre kwalifikacje, znakomite referencje, no i chęć pracy na odludziu za psi grosz.

- Myślałem, że najpierw przeprowadzi pan ze mną rozmowę. Lekceważąco machnął fajką, oplatając się strużką dymu.

- Rozmowy trwają, a ja chciałem przyjąć kogoś, kto mógłby zacząć natychmiast. Poza tym, mam dobrego nosa.

Jego pewność siebie dodała mi otuchy. Dopiero dużo później, kiedy nie było już wątpliwości, że zostanę, wyznał mi ze śmiechem przy którejś tam szklaneczce słodowej whisky, że byłem jedynym kandydatem.

Ale wtedy tak oczywista odpowiedź nie przyszła mi do głowy.

- Uprzedzałem pana, że nie mam zbyt wielkiego doświadczenia w leczeniu ogólnym. Skąd pewność, że dam sobie radę?

- A da pan?

Chwilę trwało, zanim odpowiedziałem, bo w sumie zastanawiałem się nad tym pierwszy raz. Wyjechałem z Londynu prawie bez namysłu. Po prostu uciekłem od ludzi i miejsc zbyt dla mnie bolesnych. No i świetnie zacząłem. Nie dość że przyjechałem dzień wcześniej, to jeszcze przemokłem do suchej nitki. Nie miałem nawet na tyle rozumu, żeby skryć się gdzieś przed deszczem.

- Tak - odparłem.

- No to nie mam pytań - rzucił z surową jednocześnie lekko rozbawioną twarzą. - Poza tym, to tylko pół roku. No i będę miał na pana oko.

Weisnął guzik na biurku. W głębi domu zadzwonił dzwonek.

- Jeśli pacjenci nie dopisują, kolacja jest zwykle o ósmej. Może pan teraz odpocząć. Ma pan bagaż czy przysłał?

- Mam walizkę. Zostawiłem ją pod opieką pańskiej żony. Zaskoczony uśmiechnął się dziwnie zażenowanym uśmiechem.

- Janice to moja gosposia - odparł. - Jestem wdowcem. Zdawało się, że wchłonałem całe zawarte w pokoju ciepło.

- Ja też.

I tak zostałem lekarzem w Manham. I właśnie dlatego, że nim zostałem, trzy lata później jako jeden z pierwszych dowiedziałem się o odkryciu Neila i Sama Yatesów. Oczywiście nikt nie wiedział, czyje to zwłoki, jeszcze nie wtedy. Były w takim stanie, że chłopcy nie potrafili nawet powiedzieć, czy są to zwłoki kobiety, czy mężczyzny. Teraz, gdy wreszcie poczuli się bezpiecznie, nie byli nawet pewni, czy są nagie czy nie. W pewnym momencie Sam wymamrotał nawet, że mają skrzydła, ale zaraz potem stracił pewność siebie i zamilkł. Natomiast Neil patrzył na mnie z tępych wyrazem twarzy. Cokolwiek tam widzieli, musiało to wykraczać poza wszelkie znane im dotychczas punkty odniesienia, dlatego pamięć broniła się przed tym i wzdrygała. Zgadzała się jedynie co do tego, że leży tam człowiek i że człowiek ten jest martwy. I chociaż z tego, że na zwłokach roi się od robactwa, wynikało, iż odniósł jakieś rany, dobrze wiedziałem, że martwych stać na wiele różnych sztuczek. Nie było powodu, żeby zakładać najgorsze.

Jeszcze nie wtedy.

Tym dziwniej zabrzmiały słowa ich matki. Linda Yates siedziała w małym saloniku, bez przekonania oglądając coś na jaskrawym ekranie telewizora i tuląc do siebie przygaszonego syna. Jej mąż, rolnik, nie wrócił jeszcze z pracy. Zadzwoniła do mnie, kiedy synowie przybiegli do domu zdyszani i rozhisteryzowani. W miasteczku tak małym i odciętym od świata jak to, dyżur miało się nawet w niedzielę.

Wciąż czekaliśmy na przyjazd policji. Najwyraźniej uznali, że nie ma po co się spieszyć, mimo to czułem się w obowiązku zostać. Dałem Samowi środek uspokajający, łagodny jak placebo, i niechętnie wysłuchałem opowieści jego brata. Próbowałem nie słuchać. Dobrze wiedziałem, co mogli tam widzieć.

I nie chciałem do tego wracać.

Okno było szeroko otwarte, ale do pokoju nie wpadał najmniejszy powiew wiatru. Z podwórza biła oślepiająca jasność, rozpalona niemal do białości przez popołudniowe słońce.

- To Sally Palmer - powiedziała mi z tego, ni z owego Linda.

Popatrzyłem na nią zaskoczony. Sally mieszkała samotnie na małej farmie tuż za miastem. Była atrakcyjną kobietą w wieku trzydziestu, trzydziestu pięciu lat i przyjechała do Manham kilka lat przede mną odziedziczywszy gospodarstwo po wujku. Wciąż miała kilka kóz, a dzięki wujkowi - nie ma to jak więzy krwi - w oczach miejscowych uchodziła co prawda za autsajderkę, lecz nie taką, jaką byłaby osoba zupełnie obca, a już na pewno nie taką jak choćby ja, nawet teraz, po tylu latach. Jednakże zarabiała na życie jako pisarka i to stawiało ją poza nawiasem społeczności, gdyż większość sąsiadów patrzyła na nią z pełnym szacunku podziwem, ale i z podejrzliwością. Nie słyszałem plotek, że zginęła.

- Skąd pani wie?

- Bo mi się śniła.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałem. Zerknąłem na jej synów. Sam, teraz już spokojniejszy, chyba nie przysłuchiwał się naszej rozmowie. Ale Neil przez cały czas patrzył na matkę i wiedziałem, że gdy tylko wyjdzie z domu, rozpowie wszystko po całym mieście.

Ponieważ milczałem, pomyślała, że jej nie wierzę.

- Stała na przystanku autobusowym i płakała. Spytałam, co się stało, ale nie odpowiedziała. Potem spojrzałam na drogę, a kiedy się odwróciłam, już jej nie było.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Takie sny nie śnią się bez powodu - ciągnęła. - Ten też nie.

- Niech pani przestanie, nie wiemy jeszcze, kto to jest. To może być każdy. Posłała mi spojrzenie, które mówiło, że się myślę, ale nie zamierzała ze mną polemizować. Ucieszyłem się, kiedy do drzwi wreszcie zapukała policja.

Przyjechało ich dwóch i obydwaj byli świetnym przykładem wiejskiego policjanta. Starszy miał rumianą twarz i podczas rozmowy co chwilę wymownie mrugał. W tych okolicznościach było to zupełnie nie na miejscu.

- A więc znaleźliście trupa, tak? - zaczął wesoło, spoglądając na mnie ze znaczącą miną jakby ponad głowami chłopców chciał wciągnąć mnie do jakiejś zabawy. Podczas gdy Sam tulił się do matki, zastraszonej obecnością umundurowanej władzy, Neil mamrotał pod nosem, odpowiadając na pytania.

Nie trwało to długo. Ten starszy, rumiany, zamknął notes i powiedział:

- Dobra. Chodźmy to obejrzeć. Który z was pokaże, gdzie to jest?

Sam wtulił głowę w piersi matki. Neil milczał, lecz bardzo pobladał. Rozmowa to jedno. Powrót na skraj mokradeł to drugie. Linda spojrzała na mnie niespokojnie.

- To chyba nie jest dobry pomysł - odparłem. Szczerze mówiąc, był zupełnie poroniony. Ale miałem do czynienia z policją na tyle często, by wiedzieć, że dyplomacją można wskórać z nimi znacznie więcej niż otwartą konfrontacją.

- To jak znajdziemy to miejsce, skoro nie znamy terenu? - spytał.

- W samochodzie mam mapę. Pokażę wam, gdzie to jest.

Ten rumiany nie próbował nawet ukryć niezadowolenia. Wyszliśmy na dwór, mrużąc oczy w oslepiającym blasku słońca. Dom Lindy stał na samym końcu szeregu małych, kamiennych domów. Nasze samochody parkowały po drugiej stronie ulicy. Wziąłem mapę z land rovera i rozłożyłem ją na masce. Maskę była zniszczona i gorąca, bo prażyło w nią słońce.

- To niecałe pięć kilometrów stąd. Będziecie musieli zaparkować na skraju mokradeł i dojść piechotą do lasu. Z tego, co mówili Sam i Neil, zwłoki powinny być gdzieś tu.

Postukałem palcem w mapę. Rumiany chrząknął.

- Mam lepszy pomysł. Jeśli nie chce pan, żeby szli z nami chłopcy Lindy, to może pan z nami pójdzie? - Uśmiechnął się ze ściągniętymi ustami. - Widzę, że dobrze zna pan teren.

Po jego minie poznałem, że nie da mi wyboru. Kazałem im jechać za mną wsiadłem i odpaliłem silnik. W samochodzie pachniało rozgrzanym plastikiem. Otworzyłem okna, na ile się dało. Kierownica parzyła w dłonie. Zacisnąłem na niej palce tak mocno, że zbieleły mi kłykcie, i odprężyłem się nieco dopiero wtedy, gdy to zauważyłem.

Drogi były wąskie i kręte, ale do lasu mieliśmy niedaleko. Zaparkowałem na zrytym koleinami placku spieczonej ziemi, ocierając drzwiczkami o uschnięty żywopłot. Tuż za mną zakolysał się i zatrzymał radiowóz. Policjanci wysiedli i ten starszy naciągnął spodnie na brzuch. Młodszy, mocno opalony i z wysypką po goleniu, trzymał się z tyłu.

- Tam jest ścieżka - powiedziałem. - Dochodzi do samego lasu. Idźcie cały czas prosto. To najwyżej kilkaset metrów stąd.

Rumiany otarł spocone czoło. Pachy jego białej koszuli były ciemne i mokre. Bił od niego ostry, kwaśny zapach. Popatrzył na odległy las, zmrużył oczy i pokręcił głową.

- Za gorąco dziś. To co? Nie pójdzie pan z nami i nie pokaże? Na pewno? Powiedział to na wpół kpiąco, na wpół z nadzieją w głosie.

- Wiem tyle samo co wy. Musicie dojść do skraju lasu i się rozejrzeć. Szukajcie larw.

Ten młodszy parsknął śmiechem, ale gdy rumiany łypnął na niego spode łba, natychmiast przestał się śmiać.

- Nie powinni tego robić ci z dochodzeniówki? - spytałem. Rumiany pogardliwie prychnął.

- Nie podziękowaliby nam za wezwanie do jeleniego ścierwa. Bo to najczęściej znajdują.

- Neil i Sam mówią że to co innego.

- Pozwoli pan, że najpierw sam to obejrzę. - Dał znak młodszemu koledze. - Chodźmy. Skończmy tę zabawę.

Patrzyłem, jak przechodzą niezdarnie przez dziurę w żywopłocie i idą w stronę lasu. Rumiany nie kazał mi zaczekać, zresztą czekanie nie miało sensu. Doprowadziłem ich najdalej, jak mogłem, reszta zależała od nich.

Ale nie odjechałem. Wróciłem do samochodu i wyjąłem butelkę wody spod przedniego fotela. Woda była ciepła, ale zaschło mi w ustach. Założyłem okulary przeciwsłoneczne i spoglądając na las, oparłem się o zielony, zakurzony błotnik. Policjantów pochłoneły już zarośla. Stojące nad płaskimi mokradłami powietrze, duszne i stężełe w upale, pachniało czymś metalicznym. Wszędzie brzęczały, bzyczały i cykały owady. Tuż obok mnie tańczyły dwie ważki. Wypiłem jeszcze jeden łyk wody i spojrzałem na zegarek. Kolejnego pacjenta miałem dopiero wieczorem, za dwie godziny, ale stać tu i czekać tylko po to, żeby dowiedzieć się, co znalazło w lesie dwóch wiejskich policjantów? Miałem ciekawsze rzeczy do zrobienia. Zresztą pewnie mieli rację. Neil i Sam mogli zobaczyć tam martwe zwierzę. Po prostu. Reszty dokonała wyobraźnia i panika.

Mimo to ani drgnąłem.

Jakiś czas później zobaczyłem, że już wracają. Ich białe koszule to pokazywały się, to znikwały w wysokiej, pożółklej trawie. Byli bardzo bladzi; spostrzegłem to już z daleka. Ten młodszy miał plamę po wymiocinach na piersi, ale chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. Bez słowa podałem mu butelkę. Przyjął ją z wdzięcznością.

Rumiany unikał mojego wzroku.

- Szlag by to, nie ma zasięgu - mruknął, idąc z komórką do radiowozu. Próbował być szorstki i gburowaty tak jak przedtem, ale mu nie wychodziło.

- A więc jednak to nie jeleni - powiedziałem. Posłał mi ponure spojrzenie.

- Nie będziemy już pana zatrzymywali.

Zaczekał, aż wsiądę do samochodu i dopiero wtedy sięgnął po mikrofon radiostacji. Ten młodszy gapił się na swoje buty; w rękę dyndała mu butelka.

Postanowiłem jechać prosto do przychodni. W głowie brzęczało mi od myśli, ale już dawno temu ustawiłem tam coś w rodzaju siatki, która zatrzymywała je jak muchy. Próbowałem oczyścić umysł siłą woli, mimo to muchy wciąż szeptały coś podświadomości. Dojechałem do drogi prowadzącej do miasteczka. Moja ręka odruchowo powędrowała do dźwigni kierunkowskazu i zamarła. Zupełnie nie myśląc, podjąłem

decyzję, której skutki miały rozbrzmiewać echem jeszcze przez wiele tygodni. Która miała odmienić życie moje i innych.

Pojechałem prosto przed siebie. Na farmę Sally Palmer.

### Rozdział 3

Z jednej strony farmy rosły drzewa, z drugiej ciągnęły się mokradła. Jechałem zrytą koleinami drogą i spod kół land rovera biły tumany kurzu. Zaparkowałem na nierównym bruku - tylko tyle pozostało tu z podwórza - i wysiadłem. W upale drżała szopa z blachy falistej. Sam dom był pomalowany na biało. Wyblakła farba łuszczyła się już i odpadała, lecz w słońcu wciąż była oślepiająco jaskrawa. Po obu stronach drzwi wisiały jasnozielone skrzynki na kwiaty, jedyne plamy koloru w tym wypłowiałym świetle.

Kiedy Sally była w domu, jej owczarek szkocki zaczynał ujadać, zanim goście zdążyli zapukać do drzwi. Zwykle, ale nie tamtego dnia. Przez okna też nie dostrzegłem żadnego śladu życia, ale to nie musiało nic znaczyć. Podeszedłem do drzwi i zapukałem. Teraz, gdy już tu byłem, powody mojego przyjazdu wydały mi się beznadziejnie głupie. Czekaając, patrzyłem na horyzont i zastanawiałem się, co jej powiem. Zawsze mogłem powiedzieć prawdę, ale prawda byłaby równie irracjonalna jak sny Lindy Yates. Poza tym, Sally mogłaby to źle zrozumieć, odebrać moją wizytę jako coś więcej niż tylko dręczący niepokój, którego nie potrafiłem logicznie wyjaśnić.

Mieliśmy kiedyś może nie romans, ale na pewno łączyło nas coś więcej niż tylko zwykła znajomość. Był taki czas, kiedy widywaliśmy się dość często. I nic dziwnego: obydwójce byliśmy autsajderami, obydwójce mieszkaliśmy kiedyś w Londynie. Poza tym, Sally była bardzo towarzyska, odpowiadała mi wiekowo i łatwo nawiązywała nowe znajomości. No i była ładna. Kilka razy spotkaliśmy się na drinku w pubie i miło to wspominałem.

Ale dalej się nie posunęliśmy. Gdy wyczułem, że chciałaby czegoś więcej, natychmiast się wycofałem. Początkowo była zaskoczona, ale ponieważ nic nie zdążyło się między nami rozwinąć, nie miała do mnie pretensji ani żalu. Ilekroć na siebie wpadaliśmy, zawsze ucinaliśmy krótką pogawędkę, ale na tym się kończyło.

Bardzo tego pilnowałem.

Zapukałem ponownie. Pamiętam, że poczułem nawet ulgę, kiedy nie otworzyła. Musiała gdzieś wyjść, co oznaczało, że nie będę musiał wyjaśniać jej powodów mojego przyjazdu. Bo szczerze mówiąc, nie znałem ich nawet ja sam. Nie należałem do ludzi przesądnych i w przeciwieństwie do Lindy Yates, nie wierzyłem w złe przecucia. Tylko że Linda nie miała złych przecuć, w każdym razie niezupełnie. Lindzie coś się przyśniło. A dobrze wiedziałem, jak mylące mogą być sny. Jak mylące i niebezpieczne.

Odróciłem się od drzwi i od miejsca, do którego zmierzały moje myśli. Dobrze, że jej nie ma, pomyślałem poirytowany. Co mi odbiło? To, że na skraju lasu umarł jakiś turysta czy obserwator ptaków, to jeszcze nie powód, żeby dać się ponieść wyobraźni.

Ale w połowie drogi do samochodu przystanąłem. Coś nie dawało mi spokoju i chociaż ponownie odróciłem się w stronę domu, wciąż nie wiedziałem, co to jest. Chwilę trwało, zanim zaskoczyłem. Skrzynki. Rosnące w nich kwiaty były brązowe, uschnięte.

Sally nigdy by do tego nie dopuściła.

Zawróciłem. Ziemia w skrzynkach była sucha jak pieprz i twarda jak kamień. Kwiatów nikt nie podlewał i to co najmniej od kilku dni. Zapukałem jeszcze raz i zawołałem. Nie słysząc odpowiedzi, przekręciłem klamkę.

Drzwi były otwarte. Możliwe, że zamieszkawszy w Manham, Sally wyzbyła się nawyku zamykania ich na klucz. Ale tylko możliwe, bo tak samo jak ja, wychowała się w mieście, a stare nawyki trudno wykorzenić. Drzwi utknęły, zablokowane stertą leżących za nimi listów i przesyłek. Pchnąłem je mocniej i pokonawszy lawinę korespondencji, wszedłem do kuchni. Wyglądała tak, jak ją pamiętałem: wesołe cytrynowe ściany, solidne wiejskie meble i kilka delikatnych akcentów, które wskazywały na to, że Sally nie potrafiła tak do końca zapomnieć o wielkim mieście: elektryczna wyciskarka do soków, błyszczący ekspres do kawy i duży, dobrze zaopatrzony stojak na wino.

Nie licząc gromady listów, na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało normalnie. Ale wszędzie unosił się ten charakterystyczny stęchły zapach długo niewietrzonego domu, wymieszany ze słodkawym zapachem gnijących owoców. Ten ostatni dochodził z glinianej miski na starym, sosnowym kredensie, gdzie zobaczyłem stężale memento mori, martwą naturę ze szerniałych bananów, jabłek i pokrytych białą pleśnią pomarańczy. Z wazonu na stole bezwładnie zwisały martwe i nierozpoznawalne już kwiaty. Szuflada pod zlewem była otwarta, jakby Sally coś z niej wyjmowała, gdy jej przeszkadzono. Chciałem ją odruchowo zamknąć, lecz nie zamknąłem.

Mogła wyjechać na urlop; tak to sobie tłumaczyłem. Mogła być za bardzo zajęta, żeby zwracać sobie głowę zgniłymi owocami i uschniętymi kwiatami. Istniało wiele prawdopodobnych wyjaśnień. Ale myślę, że podobnie jak Linda, wiedziałem już swoje.

Zastanawiałem się, czy nie zajrzeć do pozostałych pomieszczeń, ale uznałem, że lepiej nie. Już wtedy zacząłem traktować jej dom jak miejsce zbrodni i nie chciałem przypadkowo zatrzeć śladów. Dlatego

wyszedłem na dwór. Za domem było ogrodzenie, a za ogrodzeniem Sally trzymała kozy. Coś było nie tak, wystarczyło jedno spojrzenie. Kilka osłabionych i wychudzonych kóz jeszcze stało, ale większość leżała nieruchomo. Były albo nieprzytomne, albo martwe. Wskubały całą trawę, do ostatniego źdźbła, a gdy podszedłem do koryta, okazało się, że jest zupełnie suche. Za korytem leżał wąż, którym najwyraźniej je napełniano. Oparłem go o ściankę i poszukałem kranu. Gdy chlusnęła woda, parę kóz przytruchtało bliżej i zaczęło pić.

Postanowiłem, że gdy tylko zawiadomię policję, ściągnę tu weterynarza. Wyjąłem telefon, ale nie mogłem złapać zasięgu. W Manham zawsze mieliśmy z tym trudności, dlatego komórki często zawodziły. Gdy odszedłem trochę dalej, wskaźnik pola ożył i już miałem wybrać numer, gdy za rdzewiejącym pługiem zobaczyłem coś małego i ciemnego. To dziwne, ale wiedziałem, co to jest. Spięty ruszyłem w tamtą stronę.

W wysokiej, suchej trawie leżała Bess, owczarek szkocki Sally. Ze zmierzwioną, zakurzoną sierścią wyglądała jak maleństwo. Odpędziłem muchy, które napadły mnie, zwietrzywszy świeższy posiłek, i się odwróciłem. Ale tuż przedtem zobaczyłem, że pies ma prawie odciętą głowę.

Nagle zrobiło mi się jeszcze goręcej. Nogi odruchowo zanosły mnie do samochodu. Zwalczyłem pokusę, żeby wsiąść i czym prędzej odjechać. Zamiast uciec jak najdalej, zadzwoniłem na policję. Czekając, aż ktoś podniesie słuchawkę, patrzyłem na zieloną smugę lasu, z którego niedawno wróciłem. Nie, tylko nie to. Nie znowu. Nie tutaj. Po chwili zdałem sobie sprawę, że z telefonu dochodzi cichutki głos. Odwróciłem wzrok i powiedziałem:

- Chcę zgłosić zaginięcie.

Inspektor - najwyżej parę lat starszy ode mnie - był przysadzisty i zadziorny. Nazywał się Mackenzie. Pierwszą rzeczą jaką zauważyłem, było to, że ma nienaturalnie szerokie bary. Dolna część jego ciała, a zwłaszcza króciutkie nogi i absurdalnie drobne stopy, zupełnie do nich nie pasowała. Wyglądałby jak komiksowy kulturysta, gdyby nie zarys brzucha i bijąca z twarzy niecierpliwosć, która wymownie ostrzegała, że lepiej traktować go poważnie.

Ja zostałem przy samochodzie, a on i jego ubrany po cywilnemu sierżant poszli obejrzeć psa. Widać było, że im się nie spieszy, że robią to niemal niefrasobliwie. Jednakże fakt, że zamiast mundurowych przyjechał tu główny inspektor wydziału śledczego, był znakiem, że sprawę potraktowano poważnie.

Mackenzie wrócił, a sierżant wszedł do domu, żeby rozejrzeć się po pokojach.

- Dobrze, a więc jeszcze raz. Dlaczego pan tu przyjechał?

Pachniał płynem po goleniu i delikatnym zapachem mięty. Spod jego rzadkich rudych włosów prześwitywała mocno opalona skóra głowy, ale jeśli dokuczało mu słońce, niczym tego nie okazywał.

- Byłem w pobliżu. Pomyślałem, że wpadną.

- Towarzyska wizyta?

- Chciałem po prostu sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Nie zamierzałem wciągać w to Lindy Yates, chyba że w ostateczności. To, co mi powiedziała, powiedziała w zaufaniu, jako lekarzowi, poza tym nie sądziłem, żeby policjant wierzył w sny. Ja też nie wierzyłem. Sęk w tym, że bez względu na to, czy myśleliśmy racjonalnie czy nie, Sally gdzieś przepadła.

- Kiedy widział ją pan ostatni raz? - spytał Mackenzie. Wróciłem do teraźniejszości.

- Jakies dwa tygodnie temu.

- Mógłby pan to trochę zawęzić?

- Pamiętam, że widziałem ją w pubie na letnim grillowaniu dwa tygodnie temu. Na pewno tam była.

- Z panem?

- Nie. Ale rozmawiałem z nią. - Rozmawiałem bardzo krótko. „Cześć, jak się masz? Świetnie. No to na razie, do zobaczenia”. „Do zobaczenia”. Słowa te nie miały żadnego znaczenia, były po prostu słowami, niczym więcej. Nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości.

- I po dwóch tygodniach niewidzenia nagle pan do niej przyjechał, tak?

- Słyszałem, że znaleziono czyjeś zwłoki. Chciałem sprawdzić, czy nic jej nie jest.

- Skąd pan wie, że są to zwłoki kobiety?

- Nie wiem. Ale uznałem, że nie zaszkodzi tu zajrzeć.

- Co pana z nią łączy?

- Chyba przyjaźń.

- Bliska?

- Nie bardzo.

- Sypia pan z nią?

- Nie.

- A sypiał pan?

Miałem ochotę powiedzieć mu, żeby nie wtykał nosa w nie swoje sprawy. Bo właśnie to robił. Ale w sytuacjach takich jak ta prywatność się nie liczyła. Dobrze o tym wiedziałem.

- Nie.



Patrzył na mnie bez słowa. Ja patrzyłem na niego. Po chwili wyjął z kieszeni paczkę miętówek. Gdy niespiesznie wkładał jedną do ust, zauważyłem pieprzyk na jego szyi. Pieprzyk miał dziwny kształt.

Schował miętówki, nawet mnie nie poczęstował.

- A więc to nie był zażyły związek. Tylko przyjaźń, tak?

- Zналиśmy się, to wszystko.

- Mimo to odczuwał pan nieodpartą potrzebę sprawdzenia, czy nic jej nie jest. Nikomu innemu, tylko jej. Tak?

- Mieszka tu sama. To odludzie nawet według naszych standardów.

- Dlaczego pan do niej nie zadzwonił? Tu mnie miał. Fakt, dlaczego?

- Nie przyszło mi to do głowy.

- Ona ma komórkę? - Odparłem, że ma. - Zna pan numer?

Był w moim telefonie. Szukałem go, wiedząc, o co mnie zaraz spyta i czując się bardzo głupio. Ale naprawdę o tym nie pomyślałem.

- Zadzwonić do niej? - rzuciłem, zanim zdążył otworzyć usta.

- Właśnie, gdyby pan zechciał.

Czekałem na połączenie, czując na sobie jego wzrok. Zastanawiałem się, co powiem, jeśli Sally odbierze. Ale nie sądziłem, żeby odebrała. Otworzyło się okno. Sierżant wychylił się za parapet.

- Panie inspektorze, komórka dzwoni w torebce.

Nawet z tej odległości słyszeliśmy cichutki, elektroniczny świergot. Wcisnąłem guzik. Świergot ustał. Mackenzie kiwnął głową.

- Dobra, to tylko my. Rób swoje. Sierżant zniknął. Mackenzie potarł policzek.

- To niczego nie dowodzi - powiedział. Milczałem.

Mackenzie westchnął.

- Chryste, ten cholerny upał... - Po raz pierwszy dał po sobie poznać, że mu przeszkadza. - Zejdźmy ze słońca.

Stanęliśmy w cieniu domu.

- Zna pan kogoś z jej rodziny? - spytał. - Kogoś, kto mógłby wiedzieć, gdzie ona jest?

- Nie. Odziedziczyła tę farmę, ale o ile wiem, nie ma tu nikogo.

- Przyjaciół też nie? Nie licząc pana.

Mógł w tym tkwić jakiś haczyk, ale trudno było powiedzieć.

- Na pewno kogoś tu zna, ale naprawdę nie wiem.

- Ma kochanka? - Uważnie mi się przyglądał, chcąc sprawdzić, jak zareaguję.

- Nie wiem. Przykro mi.

Mackenzie chrząknął i spojrzał na zegarek.

- Co teraz? - spytałem. - Porównacie próbki DNA z tych zwłok z próbkami zebranymi w domu?

Mackenzie zmrużył oczy. - Widzę, że się pan na tym zna. Poczuję, że się czerwienię.

- Nie, niezupełnie.

Ucieszyłem się, że przestał drażnić temat.

- Jeszcze nie wiemy, czy jest to miejsce zbrodni czy nie. Mamy kobietę, która zaginęła albo i nie zaginęła, to wszystko. I żadnych dowodów na to, że coś łączy ją z tymi zwłokami.

- A pies?

- Mogło go zagryźć jakieś zwierzę.

- Z tego co widziałem, ma poderżnięte gardło. Poderżnięte, nie przegryzione. Przecięte czymś ostrym.

Znowu otaksował mnie spojrzeniem i gdybym mógł, dałbym sobie kopa w tyłek za to, że tyle gadam. Byłem teraz lekarzem. Zwykłym lekarzem, nikim więcej.

- Zobaczą, co powiedzą ci z sądówki. Ale nawet jeśli jest tak, jak pan mówi, mogła zabić go sama.

- Przecież pan w to nie wierzy.

Już miał się odciąć, ale zmienił zdanie.

- Nie. Nie wierzę. Ale nie zamierzam też wyciągać pochopnych wniosków.

Otworzyły się drzwi i wyszedł sierżant.

- Nic. Ale w korytarzu i w saloniku pali się światło.

Mackenzie kiwnął głową, jakby się tego spodziewał. Ponownie przeniósł wzrok na mnie.

- Nie będziemy pana dłużej zatrzymywać, doktorze. Ktoś przyjedzie do pana spisać zeznania. I byłbym wdzięczny, gdyby nikomu pan o tym nie mówił.

- Oczywiście. - Nie musiał mnie o to prosić; próbowałem stłumić w sobie złość. Mackenzie już się odwracał, już mówił coś do sierżanta: ruszyłem przed siebie i nagle przystanąłem.

- Jeszcze jedno. - Spojrzał na mnie rozdrażniony. - Ten pieprzyk na pańskiej szyi. To pewnie nic takiego, ale na wszelki wypadek niech pan pójdzie z tym do lekarza.

Gapili się na mnie, gdy szedłem do samochodu.

Wracałem odrętwiały. Droga biegła brzegiem Manham Water, płytkiego jeziora, a raczej bagnistego jeziora, które co roku robiło się mniejsze, przegrywając walkę z agresywną trzcina. Jego powierzchnia była gładka jak lustro i zburzyło ją dopiero stadko dzikich gęsi, które tam wylądowały. Ani jezioro, ani przecinające mokradła wąziutkie, częściowo zarośnięte strumyki nie nadawały się do żeglugi, a ponieważ w pobliżu nie było żadnej rzeki, turyści i motorowodniacy, od których latem roiło się w Broads, omijali Manham szerokim łukiem. Choć od sąsiedniego miasteczka dzieliło nas ledwie kilka kilometrów, zdawało się, że mieszkamy w zupełnie innej części Norfolk, w części starszej i zdecydowanie mniej gościnnej. Otoczone lasami, bagniskami i źle osuszonymi mokradłami Manham było dosłownie zaściankiem. Nie licząc ornitologów-amatorów, nie odwiedzał nas praktycznie nikt, dlatego miasteczko coraz bardziej izolowało się od świata niczym stary, stetryczały samotnik.

Ale jakby na przekór temu wszystkiemu tego wieczoru wyglądało niemal wesoło. Klomby przed kościołem i na skwerku wyglądały w słońcu jak barwne plamy, plamy tak jaskrawe, że gdy popatrzyłem na nie dłużej, rozboleły mnie oczy. Skrupulatnie pielęgnowane przez George'a Masona i jego wnuka, ogrodników, których spotkałem pierwszego dnia na cmentarzu, były dumą wszystkich mieszkańców Manham. Girlandami kwiatów ozdobiono nawet stojący na skwerze pomnik Męczennicy. Dzieci z miejscowej szkoły robiły to co roku, żeby uczcić pamięć kobiety, którą w szesnastym wieku ukamienowali sąsiedzi. Legenda głosiła, że kobieta ta wyleczyła śmiertelnie chore niemowlę tylko po to, żeby uznano ją za czarownicę. Henry żartował, że tylko w Manham można ukamienować kogoś za dobry uczynek, i twierdził, że obydwaj powinniśmy wyciągnąć z tego stosowne wnioski.

Nie miałem ochoty wracać do domu, więc pojechałem do przychodni. Często bywałem tam nawet wtedy, gdy nie musiałem. W domu czułem się samotnie, podczas gdy w przychodni miałem chociaż wrażenie, że pracuję. Wszedłem bocznymi drzwiami, które prowadziły do malej, lecz niezależnej i samowystarczalnej poradni. Stara oranżeria, zielona i wilgotna od kwiatów, starannie pielęgnowanych przez Janice, służyła teraz za recepcję i poczekalnię. W kilku pokojach na parterze mieszkał Henry. Ale pokoje te znajdowały się na drugim końcu domu, który był wystarczająco duży, żeby pomieścić nas wszystkich. Ja przejąłem jego stary gabinet i gdy zamknąłem za sobą drzwi, natychmiast uspokoił mnie kojący zapach starego drewna i woskowej pasty do podłóg. Choć od przyjazdu pracowałem tu niemal codziennie, w gabinecie wciąż wyczuwało się obecność Henry'ego: stary obraz - scena myśliwska - biurko z żaluzjowym zamknięciem, wielki skórzany fotel. Półki były wypełnione starymi księgami medycznymi, czasopismami i książkami, które rzadko kiedy widuje się u wiejskiego lekarza: pracami Kanta i Nietzschego oraz książkami psychologicznymi; te ostatnie zajmowały całą półkę, ponieważ psychologia była jego konikiem. Moim jedynym wkładem w umeblowanie gabinetu był komputer cicho szumiący na biurku; Henry zgodził się na tę innowację - bardzo niechętnie zresztą - dopiero po wielomiesięcznych perswazjach.

Nie wyzdrowiał i nie wrócił do pracy na pełen etat. Podobnie jak jego wózek, moja tymczasowa umowa zmieniła się w coś bardziej trwałego. Henry najpierw ją przedłużył, a gdy okazało się, że nie będzie w stanie samodzielnie praktykować, zaproponował, żebym został jego współnikiem. Nawet land rover defender, którym teraz jeździłem, należał kiedyś do niego. Był stary i dobitny, Henry kupił go po wypadku, w którym stracił żonę Dianę i władzę w nogach. Było to swoiste oświadczenie woli i złożył je, kiedy miał jeszcze nadzieję, że będzie mógł prowadzić i chodzić. Okazało się, że nie może. I - jak zapewniali lekarze - nigdy nie będzie mógł.

- Idioci - sztych. - Dać takiemu biały kitel i pomyśli, że jest Bogiem.

Ale w końcu musiał pogodzić się z tym, że mieli rację. I tak odziedziczyłem nie tylko land rovera, ale i większość jego pacjentów. Początkowo dzieliliśmy się nimi po równo, ale z biegiem czasu mój udział znacznie wzrósł. Ale to bynajmniej nie zmieniło faktu, że w oczach większości mieszkańców to on był „naszym doktorem”, choć już dawno przestałem zwracać na to uwagę. Ja wciąż byłem „tym nowym” i wiedziałem, że na zawsze nim pozostanę.

Teraz, w popołudniowym upale, próbowałem odwiedzić kilka medycznych witryn internetowych, lecz nie miałem do tego serca. Wstałem i podszedłem do okna. Na biurku buczał wentylator, hałaśliwie mieszając stężale powietrze i zupełnie go nie chłodząc. Nawet z szeroko otwartymi oknami różnica była tylko psychologiczna. Popatrzyłem na starannie utrzymany ogród. Podobnie jak wszystko inne, był zupełnie suchy; krzewy i trawa wędły dosłownie w oczach. Jezioro dochodziło niemal do samego ogrodu i przed nieuchronną zimową powodzią chronił go jedynie niski nasyp. Przy molo cumowała jolka, stara żaglówka Henry'ego. Żaglówka, a raczej zwykła łódź wiosłowa, ale Manham Water było za płytkie na coś innego. Choć nie umywało się do cieśniny Solent i chociaż tu i ówdzie było gęsto porośnięte wodorostami, obydwaj lubiliśmy po nim pływać.

Ale tego dnia nie było szans na postawienie żagla. Tafla jeziora przypominała idealnie gładką stalową płytę. Z miejsca, gdzie stałem, widać było jedynie cieniutką kreseczką trzciny, oddzielającą wodę od nieba. Nad nią i pod nią rozciągała się zupełna pustka, która - zależnie od nastroju obserwatora - mogła albo podnieść na duchu, albo dobić. Tego dnia mnie nie podniosła.

- To ty? Tak myślałem.

Do pokoju wjechał na wózku Henry.

- Chciałem tu trochę posprzątać - odparłem, wracając do rzeczywistości.

- Gorąco jak w piecu, cholera... - mruknął, zatrzymując się przed wentylatorem. Kremowobiałe włosy, opalona twarz, ciemne, bystre oczy: nie licząc tego, że nie miał władzy w nogach, wyglądał jak okaz zdrowia. - Co to za historia z tym trupem? Ponoć chłopcy Yatesów znaleźli trupa. Janice usta się nie zamykały.

Prawie w każdą niedzielę Janice przynosiła mu na przykrytym talerzu to, co akurat dla siebie ugotowała. Henry upierał się, że lunch potrafi ugotować sobie sam, ale zauważyłem, że rzadko kiedy z nią wygrywa. Janice była świetną kucharką i podejrzewałem, że jej uczucia dla Henry'ego wykraczają poza te, jakimi gospośnia powinna darzyć swego chlebodawcę. Podejrzewałem również, że ponieważ była starą panną jej dezaprobata dla zmarłej żony Henry'ego wypływa głównie z zazdrości, chociaż często wspominała też o jakimś dawnym skandalu. Powiedziałem jej bez ogródek, że nie chcę o tym wiedzieć. Nawet jeśli jego małżeństwo nie należało do idyllicznych, jak je teraz przedstawiał, nie zamierzałem w nim grzebać.

Ale zupełnie nie zaskoczyło mnie to, że Janice wiedziała o zwłokach. W miasteczku musiało huczeć od płótek.

- Tak, w lesie Farnhama.

- Pewnie jakiś ornitolog. Forsowny marsz z plecakiem w takim upale...

- Pewnie tak.

Słyszając ton mojego głosu, uniósł brwi.

- Nie? W takim razie co? Chcesz powiedzieć, że to morderstwo? Trochę by się tu ożywiło! - Nie uśmiechnąłem się, więc też przestał się uśmiechać. - Coś mi mówi, że to był kiepski żart.

Opowiedziałem mu o mojej wizycie w domu Sally Palmer z nadzieją że kiedy komuś o tym opowiem, to, co mnie gnębiło, stanie się mniej prawdopodobne. Ale się nie stało.

- Jezu Chryste - mruknął głucho, gdy skończyłem. - I policja myśli, że to może być ona?

- Nie, tego nie powiedzieli. Pewnie jeszcze za wcześnie.

- Boże święty, co za koszmar.

- Może to nie ona.

- Nie, oczywiście, że to nie ona - odparł, lecz widziałem, że nie wierzy w to tak samo jak ja. - Nie wiem jak ty, ale ja mam ochotę na kielicha.

- Dzięki, ale spasuję.

- Oszczędzasz się na Owieczkę?

Pub Pod Czarną Owieczką był jedynym pubem w Manham. Często tam chodziłem, lecz wiedziałem, że tego wieczoru na pewno nie zechcę przyłączyć się do rozmowy. Nie na ten temat.

- Nie, chyba zostanę w domu - odrzekłem.

Mieszkałem w starym, kamiennym domu na skraju miasta. Kupiłem go, gdy stało się oczywiste, że ostatecznie zostanę tu dłużej niż pół roku. Henry proponował, żebym zamieszkał z nim; Bank House był tak duży, że na pewno bym mu nie przeszkadzał - mój kamienny domek zmieściłby się w jego piwnicy. Ale wolałem przeprowadzić się na swoje, poczuć, że zapuszczam tu korzenie, zamiast stale siedzieć na walizkach. Chociaż bardzo lubiłem moją pracę, nie chciałem żyć nią przez całą dobę. Bywały takie chwile, kiedy dobrze było wyjść i zamknąć za sobą drzwi z nadzieją, że telefon nie zadzwoni przynajmniej przez kilka najbliższych godzin.

I to była jedna z nich. Do kościoła szło kilkoro ludzi na wieczorną mszę. Witając ich w drzwiach pastor Scarsdale, stary ponurak, którego nie lubiłem. Ale mieszkał tu od lat i przez ten czas zebrał gromadkę wiernych wyznawców. Gestem ręki pozdrowiłem Judith Sutton, wdowę, która mieszkała z dorosłym synem Rupertem, wielkim, niezdarnym tłuściochem, który zawsze chodził parę kroków za swoją władczą, apodyktyczną matką. Judith rozmawiała z Lee i Marjority Goodchildami, wymuskaną parą starych, sztywnych hipochondryków, naszych stałych pacjentów. Miałem nadzieję, że nie zatrzymają mnie, żeby zasięgnąć ulicznej porady. W Manham nie było czegoś takiego jak dzień wolny od pracy.

Ale tego wieczoru nie zatrzymali mnie ani oni, ani nikt inny. Zaparkowałem na spieczonej ziemi z boku domu i otworzyłem drzwi. W środku było duszno. Otworzyłem okna na oścież i wyjąłem piwo z lodówki. Nie miałem ochoty iść do pubu, mimo to chciałem się napić. Zdawszy sobie sprawę jak bardzo, wstawiłem piwo z powrotem do lodówki i nalałem sobie dzinu z tonikiem.

Wrzuciłem do szklanki kruszony lód, dodałem kawałek cytryny i usiadłem przy małym, drewnianym stole w ogrodzie za domem. Z ogrodu widać było łąkę i las i chociaż widok nie był tak spektakularny jak ten z okna gabinetu w przychodni, nie był też odstręczający. Niespiesznie wypilem dzin, zrobiłem sobie omlet i zjadłem w ogrodzie. Upał powoli ustępował. Nareszcie. Siedziałem przy drewnianym stole i patrzyłem, jak na niebie nieśmiało pokazują się pierwsze gwiazdy. Myślałem o tym, co musiało dziać się kilka kilometrów dalej, w tej do niedawna spokojnej okolicy, gdzie synowie Lindy Yates dokonali swego odkrycia. Próbowałem wyobrazić sobie, że Sally Palmer jest bezpieczna, że gdzieś się teraz śmieje, pragnąłem zmusić ją do tego samym myśleniem. Ale nie wiedzieć czemu, nie mogłem utrzymać w pamięci jej obrazu.

Odkładając na później chwilę, kiedy będę musiał się wreszcie położyć i stawić czoło snom, siedziałem tam, dopóki niebo nie nabrało barwy ciemnego indygo i dopóki nie upstrzyły go migotliwe punkciki gwiazd, plamki dawno już martwego światła.

Obudziłem się gwałtownie, bez tchu i zlany potem. Rozejrzałem się, nie wiedząc, gdzie jestem. Stałem nago w otwartym oknie sypialni. Wychylałem się na zewnątrz i niski parapet wrzynał mi się w uda. Chwiejnie zrobiłem krok do tyłu i usiadłem na łóżku. Zmięte prześcieradło niemal świeciło w blasku księżyca. Siedziałem tak i czekałem, aż przestanie mi walić serce, aż obeschną łzy.

Znowu miałem ten sen.

Zły sen. Zły i jak zawsze tak plastyczny, że przebudzenie zdawało się iluzją, a sen rzeczywistością. Właśnie to było najokrutniejsze. Najokrutniejsze dlatego, że we śnie Kara i Alice, moja żona i sześćioletnia córeczka, wciąż żyły. Widziałem je, rozmawiałem z nimi. Dotykałem ich. We śnie wciąż wierzyłem, że mamy przed sobą przyszłość, nie tylko przeszłość.

Bałem się tych snów. Nie tak, jak ludzie boją się nocnych koszmarów, bo nie było w nich nic strasznego. Nie, przeciwnie.

Bałem się ich dlatego, że prędzej czy później musiałem się obudzić.

A wtedy smutek i poczucie straty były równie silne jak w dniu, kiedy to się stało. Często budziłem się, by stwierdzić, że jestem poza łóżkiem, że śpiąc, chodziłem, że lunatykowałem, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. Że stoję w otwartym oknie, tak jak choćby teraz, czy na szczycie stromych, bezlitosnych schodów, nie pamiętając, jak tam trafiłem, nie wiedząc, co mnie do tego pchnęło.

Zadrzałem w lepkiem cieple nocy. W oddali zaszczekał samotny lis. Po chwili położyłem się i patrzyłem w sufit, dopóki nie wypływały mroczne cienie, dopóki nie ustąpiła ciemność.

#### Rozdział 4

Mad mokradłami stała jeszcze mgła, gdy Lyn Metcalf zamknęła za sobą drzwi i wyruszyła na poranną przebieżkę. Biegła lekko i z łatwością, bo lubiła biegać. Naciągnięty mięsień łydki już nie bolał, mimo to nie chciała przesadzić, dlatego biegła długim, swobodnym krokiem. Na końcu wąskiej ścieżki prowadzącej do domu skręciła w porośniętą dróżkę, która przecinała mokradła i dochodziła aż do jeziora.

Jej nogi smagała wysoka, zimna i wciąż mokra od rosy trawa. Lyn oddychała głęboko, rozkoszując się wrażeniami i doznaniem. Chociaż był poniedziałek, nie umiała wyobrazić sobie lepszego początku nowego tygodnia. Była to jej ulubiona pora dnia, bo o poranku nie musiała jeszcze myśleć o bilansach okolicznych farmerów i drobnych przedsiębiorców, którzy i tak nie słuchali jej rad, bo dzień wciąż jeszcze tchnął optymizmem, bo nikt nie zdążył go jeszcze zepsuć. O poranku wszystko było świeże i wyraźne, wszystko sprowadzało się do głuchego, rytmicznego odgłosu, jaki wydawały uderzające w ziemię buty, do równego, chrapliwego oddechu.

Miała trzydzieści jeden lat i była dumna ze swojej formy. Dumna, że potrafiła utrzymać rygor, który sama sobie narzuciła, i że dzięki temu zdołała zachować zgrabną sylwetkę, co z kolei oznaczało, że wciąż mogła biegać w obcisłych szortach i kusym topie. Świetnie w tym stroju wyglądała. Ale nie, nie była na tyle próżna, żeby się tym komuś chwalić. Naprawdę lubiła sport, dlatego było jej łatwiej. Lubiała się forsować, sprawdzać, ile da radę wytrzymać, czy wytrzyma jeszcze więcej. Włożyć adidasy i przebiec dziesięć kilometrów w budzącym się do życia świecie - jeśli istniał lepszy sposób na rozpoczęcie dnia, nie zdążyła go jeszcze poznać.

Zgoda, nie licząc seksu, oczywiście. Chociaż seks stracił ostatnio trochę smaczku. Nie żeby narzekała: już na sam widok Marcusa zmywającego pod prysznicem kurz dnia, na widok porastających jego ciało włosów, które woda zmieniała w futerko wydry, czuła, że ściska ją w podbrzuszu. Ale to, co kryło się pod maską czystej przyjemności, odbierało radość zarówno jej, jak i jemu. Zwłaszcza że nie przynosiło żadnych rezultatów.

Jak dotąd.

Przeskoczyła nad głęboką koleiną, utrzymując tempo, uważając, żeby nie wypaść z rytmu. Żeby nie wypaść z rytmu, pomyślała cierpko. Wolałaby wypaść. Jeśli chodziło o rytm, rytmiczność i cykliczność, jej ciało było jak zegarek. Znienawidzony okres występował dokładnie co miesiąc, niemal co do dnia, sygnalizując koniec kolejnego cyklu i początek kolejnego rozczarowania. Lekarze twierdzili, że wszystko z nimi w porządku, i z nią, i z nim. Że po prostu u niektórych dłużej to trwa, nikt nie wie dlaczego. Próbcie dalej, mówili. No więc próbowali, początkowo chętnie i radośnie, śmiejąc się, że z medycznym błogosławieństwem mogą robić coś, co i tak sprawia im frajdę. Marcus żartował, że uprawiają seks na receptę. Ale żartobliwy nastrój stopniowo wygasł, ustępując miejsca czemuś bliskiemu desperacji, w każdym razie jej embrionicznym początkom. I desperacja ta zaczynała rzutować na wszystko inne, na każdy aspekt ich życia.

Nie żeby się do tego przyznawali. Mimo to obydwójce czuli, że tak jest. Wiedziała, że Marcus nie może pogodzić się z tym, iż ona jako księgowa zarabia więcej niż on jako budowlaniec. Jeszcze nie zaczęli się wzajemnie oskarżać, ale bała się, że mogą. Wiedziała też, że jest w stanie mu dogryźć, tak samo jak on jej.

Na razie zapewniali się wzajemnie, że nie ma się czym martwić, że nie ma pośpiechu. Ale próbowali już od lat, a za cztery lata miała osiągnąć wiek, który-jak zawsze twierdziła - będzie wiekiem nieprzekraczalnym. Szybko to sobie przemnożyła. Jeszcze tylko czterdzieści osiem okresów. Przerazająco blisko. Czterdzieści osiem potencjalnych rozczarowań, nie licząc tych, które już przeżyła. Z tym, że ten miesiąc był inny. W tym miesiącu rozczarowanie spóźniało się już o trzy dni.

Szybko stłumiła gwałtowny przyływ nadziei. Na nadzieję było za wcześnie. Nie powiedziała nawet Marcusowi. Bo i po co? Żeby znowu się rozczarował? Nie, zaczeka jeszcze kilka dni, a potem zrobi test ciążowy. Już na samą myśl o teście ścisnęło ją w brzuchu. Biegnij, nakazała sobie stanowczo. Biegnij i nie myśl.

Wschodziło słońce i niebo zaczynało nabierać połysku. Ścieżka prowadziła wzdłuż grobli nad jeziorem, przez trzciny w kierunku ciemniejszego w oddali lasu. Nad wodą powoli kłębiła się mgła, jakby zaraz miało tam coś wybuchnąć. Ciszę przerywał jedynie plusk niewidocznych ryb. Uwielbiała ten odgłos. Uwielbiała lato, uwielbiała ten krajobraz. Urodziła się tu i wychowała, potem wyjechała na studia, często bywała za granicą. Ale zawsze wracała. To poletko Pana Boga, mawiał jej ojciec. Nie wierzyła w Boga, niezupełnie, ale wiedziała, co miał na myśli.

Dobiegała do miejsca, gdzie rozpoczynał się jej ulubiony fragment trasy. Las. Skręciła na rozwidleniu ścieżki i zwolniła, gdy nad jej głową zamknęły się mroczne korony drzew. W tym świetle łatwo było potknąć się o jakiś korzeń. To właśnie tu się kiedyś potknęła i nadwreżyła sobie mięsień łydki. Minęły prawie dwa miesiące, zanim znowu mogła biegać.

Ale wschodzące słońce zaczynało już rozpraszać mrok, zmieniając liściasty baldachim w drobnutką, świetlistą koronkę. Las był prastary i przypominał labirynt oplecionych pnączami drzew, sterczących z miękkiej, zdradliwej ziemi. Było tu mnóstwo krętych ścieżek i drózek, które zmyliwszy nieświadomego wędrowca, mogły zaprowadzić go w głuche ostępy i nagle zniknąć. Kiedy się tu przeprowadzili, podczas jednej z porannych przebieżek Lyn popełniła błąd i skręciła nie tam, gdzie trzeba. Zabłądziła i minęło wiele godzin, zanim wyszła na znajomą ścieżkę. Marcus szalał z niepokoju - i wściekłości - gdy w końcu dotarła do domu. Od tamtej pory zawsze trzymała się utartego i sprawdzonego szlaku.

Dokładnie w połowie prawie dziesięciokilometrowej trasy była mała polana, na której leżał, a właściwie stał wielki kamień. Porośnięty trawą mchem mógł być niegdyś fragmentem wielkiego kamiennego kręgu albo częścią bramy. Nikt już tego nie pamiętał. Jego historia i tajemnice tonęły w mroku dziejów. Był jednak wygodnym punktem orientacyjnym i Lyn miała zwyczaj klepać go czule przed wyruszeniem w drogę powrotną. Polanka była już niedaleko, dzieliło ją od niej najwyżej kilka minut biegu. Oddychając głęboko, lecz równo, pomyślała o śniadaniu - nie ma to jak skuteczny bodziec do większego wysiłku.

Nie była pewna, kiedy poczuła się nieswojo. Na pewno nie nagle. Przypominało to raczej narastające wrażenie czegoś obcego i wrogiego, podświadomy niepokój, który w końcu stał się niepokojem świadomym. W lesie zrobiło się nagle nienaturalnie cicho. Las zaczął ją nagle przytłaczać. Odgłos jej kroków przybrał na sile i brzmiał teraz dużo głośniejsze niż zwykle. Dziwne uczucie. Chciała je zignorować, odpędzić, lecz wciąż powracało. Stawało się coraz silniejsze. Zwalczyła pokusę, żeby obejrzeć się za siebie. Co się z nią, do diabła, dzieło? Przecież biegała tędy od dwóch lat. I nigdy dotąd tak się nie czuła.

Ale teraz było inaczej. Teraz miała wrażenie, że coś ją obserwuje. Stały jej dęba włoski na karku. Przestań, pomyślała. Nie bądź głupia. Jednakże pokusa, żeby zerknąć za siebie, cały czas narastała. Lyn wbiła wzrok w ziemię. Jedyną żywą istotą, jaką kiedykolwiek tu widziała, był jelen. Ale dawała głowę, że to, co tam czyha, nie jest jeleniem. No, bo nie jest, kretynko. Bo nic tam nie czyha. To tylko wyobraźnia. Spóźnia ci się okres i dostajesz szmergla.

Myśl ta odciągnęła jej uwagę od otoczenia, ale tylko na sekundę. Zaryzykowała i szybko podniosła głowę. Zdażyła tylko zobaczyć ciemne gałęzie i krętą ścieżkę, gdyż zaraz potem zahaczyła o coś nogą. Potknęła się i dziko wymachując rękami, z trudem utrzymała równowagę. Serce waliło jej jak młotem. Idiotka! Polana była tuż-tuż, leśny przesmyk, pocętkowana słońcem oaza. Przyspieszyła kroku, klepnęła porośnięty mchem kamień i szybko się odwróciła.

Nic. Tylko cieniste, ponure drzewa.

A czego się spodziewałaś? Leśnych skrzatów? Mimo to ani drgnęła. Nie śpiewały ptaki, nie brzęczały owady. Zdawało się, że las wstrzymał oddech i popadł w cichą zadumę. Lyn bała się mu przeszkodzić, bała się opuścić schronienie na polanie i ponownie wejść między gęste drzewa. To co teraz zrobisz? Będziesz tu sterczeć przez cały dzień?

Niewiele myśląc, odepchnęła się od kamienia. Jeszcze tylko pięć minut i ponownie wybiegnie na otwartą przestrzeń. Otwarte łąki, otwarte jezioro, otwarte niebo - wyobraziła to sobie i niepokój nieco zelżał. Między mrocznymi drzewami pojaśniało, kilkaset metrów dalej zza konarów wychynęło słońce. Zaczęła się już odprężyć i wtedy zobaczyła coś na ziemi.

Przystanąła. Dokładnie pośrodku ścieżki leżał martwy królik. Jakby ktoś chciał go jej podarować. Nie, nie królik. Zając. Miał zmierzwioną i zakrwawioną sierść.

Przedtem go tu nie było.

Lyn rozejrzała się wokoło. Ale drzewa nie chciały jej podpowiedzieć, skąd się wziął, nie chciały nic zdradzić. Obeszła go z boku i puściła się biegiem przed siebie. To lis, pomyślała, ponownie wpadając w rytm. Pewnie go spłoszyła. Ale żaden lis, spłoszony czy nie, nie porzuciłby zdobyczy. Poza tym, zając nie wyglądał tak, jakby go upuszczono. Wyglądał tak, jakby...

Celowo go tam podrzuciono.

Co za głupota. Odpędziła tę myśl i popędziła dalej. A potem wybiegła z lasu i zobaczyła jezioro. Niepokój zaczął powoli znikać, maleć z każdym krokiem. W pełnym słońcu zdawał się absurdalny. Nawet zenujący.

Jej mąż Marcus mówił potem, że gdy wróciła do domu, w radiu nadawano wiadomości. Wkładając grzanekę do tosterka i krojąc banana, powiedział, że ledwie kilka kilometrów od ich domu znaleziono ludzkie zwłoki. Lyn natychmiast skojarzyła to sobie z martwym zającem i opowiedziała mu o swojej leśnej przygodzie, o tym, jak bardzo się przestraszyła. Ale teraz śmiała się z tego i żartowała, i zanim grzanka wyskoczyła z tosterka, obydwójce uznali, że był to tylko nic nieznaczący incydent.

Gdy wyszła spod prysznic, zaczęli rozmawiać o czymś innym.

## Rozdział 5

Mackenzie przyjechał w połowie porannego dyżuru. Janice zawiadomiła mnie o tym, przynosząc kartę kolejnego pacjenta. Miała wielkie oczy, z ciekawości i zaintrygowania.

- Policja do pana - szepnęła. - Inspektor Mackenzie.

Nie wiem dlaczego, ale wcale mnie to nie zdziwiło. Spojrzałem na kartę. Ann Benchley, osiemdziesięcioletnia staruszka z chronicznym artretyzmem. Stała pacjentka.

- Ilu jeszcze zostało? - spytałem, grając na zwłokę.

- Razem z panią Benchley, jeszcze czworo.

..- Niech pani mu powie, że za chwilę. I poprosi panią Benchley.

Była zaskoczona, ale nic nie powiedziała. Wątpiłem, żeby do tego czasu był w miasteczku ktoś, kto nie słyszał o zwłokach. Ale chyba nikt nie kojarzył ich jeszcze z Sally Palmer. Ciekawiło mnie, kiedy i kto zacznie.

Dopóki Janice nie wyszła z gabinetu, udawałem, że przeglądam kartę pani Benchley. Wiedziałem, że Mackenzie nie przyjechałby do mnie, gdyby sprawa nie była naprawdę pilna, a wątpiłem, żeby któryś z moich pacjentów cierpiał na coś, co wymagało natychmiastowej interwencji. Nie byłem pewien, dlaczego kazałem mu czekać. Zrobiłem to pewnie dlatego, że nie miałem ochoty wysłuchiwać tego, co miał mi do powiedzenia.

Myślałem o tym, rozmawiając z panią Benchley. Gdy pokazała mi swoje artretycznie powykręcane dłonie, zrobiłem współczującą minę, wypisując receptę, uspokajałem ją bezsensownie i pocieszałem, a gdy zadowolona wychodziła z gabinetu, uśmiechnąłem się do niej z roztargnieniem. Nie, nie mogłem tego dłużej odkładać.

- Janice, proszę go wpuścić.

- Chyba jest zły - szepnęła ostrzegawczo gosposia.

Fakt, Mackenzie nie robił wrażenia rozradowanego policjanta. Miał czerwoną z gniewu twarz i wojowniczo sterczący podbródek.

- Miło mi pana widzieć, doktorze - rzucił z nieukrywającym sarkazmem. W rękę trzymał skórzaną teczkę. Usiadł bez zaproszenia i położył ją sobie na kolanach.

- W czym mogę panu pomóc, panie inspektorze?

- Chciałbym wyjaśnić parę spraw.

- Zidentyfikowaliście zwłoki?

- Jeszcze nie.

Wyjął torebkę miętówek i wrzucił jedną sobie do ust. Czekałem. Znałem zbyt wielu policjantów, żeby takie gierki mogły wyprowadzić mnie z równowagi.

- Nie przypuszczałem, że są jeszcze takie miejsca - zaczął. - Wie pan, małe miasteczko, lekarz rodzinny, domowe wizyty... - Rozejrzał się po gabinecie. Jego wzrok spoczął na półce z książkami. - Sama psychologia. Interesuje się pan psychologią?

- To książki mojego współnika.

- Aha. Ilu macie pacjentów? Zastanawiałem się, dokąd to wszystko zmierza.

- Pięciuset, może sześciuset.

- Aż tylu?

- Miasteczko jest małe, ale przyjeżdżają tu z całej okolicy. Kiwnął głową, jakby była to zwyczajna pogawędka.

- Ale pracuje się tu trochę inaczej niż w dużym mieście. Prawda?

- Chyba tak.

- Nie tęskni pan za Londynem?

W tym momencie wszystko zrozumiałem. I znowu bez specjalnego zaskoczenia. Poczułem tylko większy ciężar na barkach.

- Proszę mi lepiej powiedzieć, z czym pan przychodzi.

- Po naszej wczorajszej rozmowie przeprowadziłem mały wywiad. Cóż, ostatecznie jestem policjantem. - Spojrzał na mnie chłodno. - Ma pan imponujący życiorys, doktorze. Wiejski lekarz i coś takiego? Proszę, proszę...

Rozpiął teczkę i teatralnym gestem zaczął przerzucać kartki.

- Zrobił pan dyplom, a potem doktorat z antropologii. Piszą tu, że był z pana wybitnie zdolny naukowiec, zdolny i ambitny. Wyjechał pan do Stanów, wykładał pan na uniwersytecie W Tennessee, potem wrócił pan do Anglii i zrobił specjalizację z antropologii sądowej.

Przekrzywił głowę.

- Antropologia sądowa. Wie pan, jestem policjantem prawie od dwudziestu lat, ale nie wiedziałem, co to takiego. „Sądowa”, tak, to jasne, ale antropologia? Zawsze myślałem, że antropolodzy badają stare kości. Trochę tak jak archeolodzy. Cóż, człowiek uczy się przez całe życie...

- Nie chciałym pana poganiać, ale czekają na mnie pacjenci.

- Och, proszę się nie martwić, nie zabiorę panu więcej czasu, niż to konieczne. W Internecie znalazłem też kilka pańskich artykułów. Mają ciekawe tytuły. - Podniósł kartkę. - „Rola entomologii w oznaczaniu czasu śmierci”. „Chemia rozkładu zwłok”.

Opuścił kartkę.

- Bardzo to wszystko specjalistyczne. Dlatego zadzwoniłem do znajomego z Londynu; jest inspektorem tamtejszej policji. Okazało się, że dużo o panu słyszał. Proszę, coś za niespodzianka. Wygląda na to, że pracował pan jako ich konsultant w kilku poważnych śledztwach, sprawach o morderstwo. W Anglii, w Szkocji, nawet w Irlandii Północnej. Ten znajomy twierdzi, że jest pan jednym z nielicznych w pełni wykwalifikowanych i licencjonowanych antropologów sądowych w naszym kraju. Że pracował pan przy masowych grobach w Iraku, Bośni, w Kongo, wszędzie. Że jest pan ekspertem od ludzkich szczątków. Nie od ich identyfikowania, tylko od ustalania czasu i sposobu śmierci. Że przejmuje pan pałeczkę po patologu...

- Panie inspektorze, o co właściwie chodzi?

- O to, że cały czas zastanawiam się, dlaczego nie wspomniał pan o tym podczas naszej wczorajszej rozmowy. Przecież wiedział pan, że znaleźliśmy zwłoki i że chcemy je jak najszybciej zidentyfikować. - Mackenzie mówił cicho, ale jeszcze bardziej poczerwieniała mu twarz. - Mój znajomy z Londynu uważa, że to przezabawne. Oto ja, główny inspektor, prowadzę śledztwo w sprawie o morderstwo, nie wiedząc, że mam pod ręką jednego z najwybitniejszych antropologów sądowych w kraju, który udaje zwykłego lekarza.

W końcu przyznał, że jest to śledztwo w sprawie o morderstwo i nie uszło to mojej uwagi.

- Ja nie udaję. Jestem lekarzem.

- Ale i kimś więcej, prawda? Po co te tajemnice, panie doktorze?

- To, co robiłem kiedyś, nie ma już znaczenia. Teraz jestem lekarzem. Mackenzie przyglądał się mi, jakby nie wiedział, czy żartuję czy nie.

- Po telefonie do Londynu - ciągnął - zadzwoniłem jeszcze w kilka miejsc. Wiem, że praktykuje pan jako lekarz od trzech lat. Rzucił pan antropologię sądową i przyjechał tu po tym, jak pańska żona i córka zginęły w wypadku samochodowym. Pijany kierowca tego drugiego samochodu wyszedł z wypadku bez szwanku.

Znieruchomiałem. Mackenzie był na tyle przyzwoity, że zrobił współczującą minę.

- Nie chcę otwierać starych ran. Może bym nie musiał, gdyby był pan ze mną szczery. Krótko mówiąc, chodzi o to, że dobrze by było, gdyby nam pan pomógł.

Wiedziałem, że czeka, aż spytam w czym, ale nie spytałem. Mówił więc dalej.

- Stan zwłok utrudnia identyfikację. Wiemy tylko, że to kobieta, nic więcej. I dopóki jej nie zidentyfikujemy, jesteśmy uziemieni. Nie możemy rozpocząć właściwego śledztwa, dopóki nie ustalimy na sto procent, kim jest ofiara. Z trudem odzyskałem głos.

- Powiedział pan: „Na sto procent”. Przecież jesteście tego niemal pewni. Prawda?

- Sally Palmer? Ciągłe próbujemy ustalić miejsce jej pobytu. Spodziewałem się tej odpowiedzi, mimo to bardzo mną wstrząsnęła.

- Kilkoro gości widziało ją w pubie na grillu - ciągnął Mackenzie - ale jak dotąd nie znaleźliśmy nikogo, kto widziałby ją potem. To już prawie dwa tygodnie. Pobraliśmy próbki DNA, ze zwłok i z jej domu, ale wyniki będą dopiero za tydzień.

- A odciski palców?

- Odpada, nie mamy rady ich zdjąć. Jeszcze nie wiemy, czy celowo je usunięto, czy uniemożliwia to stan rozkładu zwłok.

- W takim razie spróbujcie ustalić tożsamość po zębach. Mackenzie pokręcił głową.

- Za mało ich zostało.

- Ktoś je wybił?

- Można tak powiedzieć. Niewykluczone, że celowo, żeby uniemożliwić identyfikację albo jest to skutek uboczny odniesionych ran. Jeszcze tego nie wiemy.

Przetarłem oczy.

- A więc to na pewno morderstwo?

- O tak, na pewno - odparł ponuro Mackenzie. - Trudno powiedzieć, czy została zgwałcona, ale prawdopodobnie tak. Zgwałcona, a potem zabita.

- Jak?

Mackenzie wyjął bez słowa dużą kopertę i rzucił ją na biurko. Z koperty wystawała krawędź błyszczącego zdjęcia. Wyciągnąłem rękę, zanim zdałem sobie sprawę z tego, co robię.

Odepchnąłem kopertę.

- Nie, dziękuję.

- Myślałem, że zechce pan obejrzeć.

- Już mówiłem, nie mogę wam pomóc.

- Nie może pan czy nie chce? Pokręciłem głową.

- Przykro mi.

Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę i gwałtownie wstał.

- Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi tyle czasu. - Miał zimny głos.

- O czymś pan zapomniał. - Podniosłem kopertę.

- Niech pan to zatrzyma. Może obejrzy pan później.

Wyszedł. Wciąż trzymałem kopertę w ręku. Wystarczyło tylko wysunąć zdjęcia. Zamiast tego wrzuciłem ją do szuflady. Zamknąłem szufladę i kazałem Janice poprosić kolejnego pacjenta.

Ale obecność zdjęć odczuwałem przez cały poranny dyżur. Przeszkadzała mi w każdej rozmowie, w każdym badaniu. Po wyjściu ostatniego pacjenta próbowałem zająć się wypełnianiem kart. Gdy skończyłem, podszedłem do drzwi na balkon i wbiłem wzrok w dal. Jeszcze tylko dwie wizyty domowe i resztę popołudnia będę miał dla siebie. Gdyby choć trochę wiało, chętnie bym pozełgował. Ale na jeziorze była taka sama flauta jak na suchym lądzie.

Gdy Mackenzie zaczął grzebać w mojej przeszłości, ogarnęło mnie dziwne odrętwienie. Równie dobrze mógłby mówić o kimś innym. I w sumie mówił. Byłem kiedyś innym człowiekiem. Byłem Davidem Hunterem, który zgłębił chemię śmierci, widział produkt końcowy niezliczonych przypadków gwałtu i przemocy, wypadków naturalnych i mieszanych. Który na co dzień widywał pozbawione skalpów czaszki i szczyił się wiedzą, której istnienia wielu nawet nie podejrzewało. To, co działo się z ludzkim ciałem po śmierci, nie było dla mnie żadną tajemnicą. Byłem w zażyłych stosunkach z rozkładem we wszelkiej postaci i umiałem przedstawić na wykresie jego postęp w zależności od pogody, rodzaju gleby i pory roku. To makabryczne, tak, ale i konieczne. Niczym cyrkowy sztukmistrz, czerpałem satysfakcję z tego, że niemal zawsze potrafiłem powiedzieć, kiedy, jak i kto. Nigdy nie zapomniałem, że mam do czynienia z ludźmi. Ale z ludźmi tylko w sensie abstrakcyjnym - poznawałem ich dopiero po śmierci, za życia byli mi obcy.

A potem w jednej chwili odebrano mi dwie istoty, które kochałem bardziej niż kogokolwiek innego na świecie, żonę i córeczkę. Zabił je pijak, który wyszedł z wypadku bez jednego zadrapania. Z żywych stworzeń w ułamku sekundy zmieniły się martwą materią organiczną. Tymczasem ja wiedziałem - niemal co do godziny! - jaką metamorfozę ich ciała będą przechodzić po śmierci. I mimo tej wiedzy, obsesyjnie prześladowało mnie pytanie, na które nie umiałem znaleźć odpowiedzi. Gdzie teraz były? Co się stało z wypełniającym je kiedyś życiem? Jak to możliwe, że ożywiający je duch po prostu zniknął?

Nie wiedziałem. I właśnie tego nie mogłem znieść, i właśnie to przeważyło szalę. Koledzy i przyjaciele byli dla mnie bardzo wyrozumiali, ale nie zwracałem na nich uwagi. Najchętniej zaharowałbym się na śmierć, tylko że praca nieustannie przypominała mi to, co straciłem, stawiała pytania, na które nie znajdowałem odpowiedzi.

Dlatego uciekłem. Odwróciłem się od wszystkiego, co znałem, odświeżyłem wiadomości i ukryłem się tutaj, na odludziu. Dałem sobie szansę może nie na nowe życie, ale przynajmniej na nową pracę. Na pracę z ludźmi żywymi, nie martwymi, na pracę, dzięki której mogłem przynajmniej opóźnić tę ostateczną transformację, chociaż wciąż jej nie rozumiałem. I poskutkowało.

Skutkowało aż do teraz.

Wróciłem do biurka i otworzyłem szufladę. Wyjąłem zdjęcia, lecz ich nie odwróciłem. Postanowiłem, że obejrzę je i zwrócę Mackenzemu. Nie ma mowy, tłumaczyłem sobie stanowczo, nie zamierzam się w nic pakować. Obejrzę je tylko i oddam.

Nie wiedziałem, jakie wywrą na mnie wrażenie, ale nie przypuszczałem, że będą aż tak znajome. I nie dlatego, że pokazywały to, co pokazywały, choć tak, były aż nadto wstrząsające. Nie, chodziło przede wszystkim o to, że patrząc na nie, cofnąłem się w czasie, zrobiłem krok w przeszłość. I zupełnie nieświadomie zacząłem analizować je i studiować.

Było ich w sumie sześć; pokazywały zwłoki pod różnymi kątami i z różnej perspektywy. Szybko je przejrzałem, a potem wróciłem do pierwszego, żeby zbadać je dokładniej. Trup był nagi. Leżał na brzuchu z



wyciągniętymi przed siebie rękami, jakby nurkował w wysoką trawę. Nie można było rozpoznać płci. Pociemniała skóra zwisała zeń jak wylinka, ale nie to przykuło moją uwagę. Mały Sam nie zmyślał. Powiedział, że zwłoki mają skrzydła, i rzeczywiście miały. Po obu stronach kręgosłupa biegły dwa głębokie nacięcia.

A z nacięć tych sterczały łabędzie skrzydła, upodabniając ciało do rozkładającego się upadłego anioła.

W zestawieniu z gnijącą skórą efekt był szokująco obsceniczny. Przyglądałem się im przez chwilę, a potem skupiłem się na samym ciele. Larwy wysypywały się z otwartych ran jak ryż. Nie tylko z dwóch dużych na łopatkach, ale i z licznych drobniejszych nacięć na plecach, rękach i nogach. Ciało było w stanie zaawansowanego rozkładu. Upał i wilgotność na pewno go przyspieszyły, zwierzęta i owady też zrobiły swoje. Ale każdy czynnik coś znaczył, każdy coś mówił, każdy pomagał ustalić, jak długo zwłoki tam leżały.

Ostatnie trzy zdjęcia pokazywały ciało zaraz po tym, gdy przewrócono je na plecy. Tu też widniały małe nacięcia, na ciele i kończynach, a twarz była bezkształtną masą roztrzaskanej kości. Z szyi sterczała chrząstka grdyki, twardsza, dlatego rozkładająca się dłużej niż pokrywająca ją tkanka miękka, w której ziała szeroka rana przypominająca ranę ciętą. Pomyślałem o Bess, owczarku szkockim Sally. Jemu też poderżnięto gardło. Obejrzałem zdjęcia jeszcze raz. Gdy przyłapałem się na tym, że próbują doszukać się w ciele czegoś rozpoznawalnego, odłożyłem je na biurko. Wciąż na nie patrzyłem, gdy ktoś zapukał do drzwi. Henry.

- Janice powiedziała, że była policja. Miejscowi znowu kradną bydło?

- Nie, chodziło o wczoraj.

- Aha. - Henry spoważniał. - Jakies problemy?

- Nie, nie, niezupełnie.

Co mijalo się z prawdą. Nigdy przed nim niczego nie ukrywałem - czułbym się trochę niezręcznie - mimo to nie zdradziłem mu wszystkich szczegółów mojej przeszłości. Wiedział, że jestem antropologiem, lecz antropologia to dziedzina niezwykle pojemna i mieści się w niej wiele różnych grzechów. To, że byłem antropologiem sądowym i brałem udział w policyjnych śledztwach, zachowałem dla siebie. Po prostu nie chciałem o tym mówić.

Ani wtedy, ani teraz.

Jego wzrok spoczął na zdjęciach. Był za daleko, żeby rozróżnić szczegóły, ale poczułem się tak, jakby przyłapał mnie na gorącym uczynku. Uniósł brwi, gdy schowałem je z powrotem do koperty.

- Możemy pogadać o tym później?

- Jasne - odparł. - Nie chcę być wścibski.

- Nie jesteś. Po prostu... muszę przemyśleć kilka spraw.

- Na pewno wszystko w porządku? Chyba się czymś martwisz.

- Nie, nie.

Kiwnął głową, ale widać było, że wciąż jest zaniepokojony.

- Może wypuścimy się kiedyś na jezioro? - spytał. - Trochę wysiłku fizycznego dobrze nam zrobi.

Przy wsiadaniu do łodzi ktoś musiał mu pomagać, co wcale nie powstrzymywało go od wiosłowania czy operowania żaglem.

- Jasne, ale za kilka dni, zgoda?

Chyba chciał spytać o coś jeszcze, ale zrezygnował. Zawrócił do drzwi.

- Powiedz tylko słowo. Wiesz, gdzie mnie szukać.

Gdy wyjechał wózką, odchyliłem do tyłu głowę i zamknąłem oczy. Nie chciałem tego. Ale z drugiej strony, nikt tego nie chciał. A już na pewno nie ta martwa kobieta. Pomyślałem o zdjęciach, które przed chwilą oglądałem, i zdałem sobie sprawę, że podobnie jak ona, ja też nie mam wyboru.

Mackenzie dał mi swoją wizytówkę. Ale nie mogłem go złapać ani w biurze, ani pod komórką. Zostawiłem wiadomość na obydwu telefonach i odłożyłem słuchawkę. Nie wiem, czy podjąwszy decyzję, poczułem się lepiej, ale spadł mi ciężar z ramion. Może nie do końca, ale spadł.

Potem miałem pacjentów. Tylko dwóch, lekkie przypadki: dziecko ze świnką i staruszka, który nie chciał jeść. Gdy skończyłem, była już pora na lunch. Właśnie wychodziłem, zastanawiając się, czy zjeść w domu czy w pubie, gdy zadzwonił telefon. Szybko odebrałem, ale to była tylko Janice. Dzwonili ze szkoły. Martwili się o Sama Yatesa i pytali, czy mógłbym tam na chwilę wpaść.

Obiecałem, że wpadnę. Ucieszyłem się, że czekając na telefon od Mackenziego, będę mógł zrobić coś konstruktywnego.

Obecność policjantów na ulicach Manham była trzeźwiącym przypomnieniem tego, co się stało. Widok ich surowych mundurów ostro kontrastował z widokiem wesołych, kolorowych kwiatów na cmentarzu i skwerze, a w całym miasteczku wyczuwało się atmosferę przytłumionego, lecz nieomylnego podniecenia. Przynajmniej w szkole wszystko było normalnie. Chociaż do najbliższego ogólniaka dzieci musiały dojeżdżać osiem kilometrów, szkoła podstawowa była na miejscu. Mieściła się w dawnej kaplicy i miała boisko, gwarne i kolorowe w jaskrawym słońcu. Zbliżały się długie letnie wakacje i świadomość ta

wprawiała dzieci w wesołą histerię. Mała dziewczynka odbiła się od moich nóg, uciekając przed koleżanką. Chichocząc, pobiegły dalej, tak zaabsorbowane pościgiem, że chyba mnie nawet nie zauważyły.

Wszedłem do szkoły i ogarnęła mnie znajoma głucha cisza. Gdy zapukałem do otwartych drzwi, Berty, sekretarka, posłała mi szeroki uśmiech.

- Witam pana doktora. Pan do Sama?

Drobna i niezwykle serdeczna, mieszkała w Manham od urodzenia. Nie wyszła za mąż, mieszkała z bratem i traktowała uczniów jak swoją własną rozległą rodzinę.

- Jak się czuje? Zmarszczyła nos.

- Jest trochę zdenerwowany. Wysłałam go do gabinetu lekarskiego. Prosto przed siebie.

„Gabinet lekarski” to określenie stanowczo zbyt szumne jak na ciasny pokoiczek z umywalką leżanką i apteczką pierwszej pomocy. Sam siedział na leżance ze zwieszoną głową, kiwając nogami. Był markotny i miał w oczach łzy.

Obok niego siedziała młoda kobieta. Pokazywała mu jakąś książkę i przemawiała do niego cichym, kojącym głosem. Gdy wszedłem, urwała. Mój widok sprawił jej wyraźną ulgę.

- Dzień dobry - rzuciłem. - David Hunter, Jestem lekarzem. - Uśmiechnąłem się do chłopca. - Jak się masz, Sam?

- Jest trochę zmęczony - odpowiedziała za niego kobieta. - Miał zły sen. Tak, Sam?

Mówiła spokojnie i rzeczowo, jak do dorosłego. Domyśliłem się, że jest nauczycielką, ale nie widziałem jej przedtem; sądząc po miękkim akcencie, na pewno nie pochodziła stąd. Sam jeszcze niżej zwiesił głowę. Przykucnąłem, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Zły sen? Co ci się śniło? - Widziałem zdjęcia i mogłem się tego domyślić. Chłopiec nie podniósł głowy. Milczał. - Dobrze, Chodź, opukam cię trochę i osłucham.

Nie przypuszczałem, żeby doskwierała mu jakaś dolegliwość fizyczna i rzeczywiście nie doskwierała. Miał lekko podwyższoną temperaturę, to wszystko. Potargałem mu włosy i wstałem.

- Jesteś silny jak byk. Chciałbym porozmawiać z twoją panią. Posiedzisz tu trochę?

- Nie! - wykrzyknął ogarnięty paniką Sam. Uśmiechnąłem się do niego pocieszająco.

- Spokojnie, nie zostawimy cię. Będziemy na korytarzu, tuż za drzwiami. A drzwi będą otwarte. I zaraz do ciebie wrócę, dobrze?

Nauczycielka podała mu książkę. Po chwili wahania wziął ją z nadąsaną miną i wyszliśmy na korytarz. Drzwi zostawiliśmy szeroko otwarte, tak jak obiecałem, ale stanęliśmy na tyle daleko, że nas nie słyszał.

- Przepraszam, że pana wezwałam - powiedziała przyciszonym głosem. - Ale nie wiedziałam, co robić. Zaczął histeryzować. To zupełnie do niego niepodobne.

Znowu przypomniały mi się zdjęcia.

- Na pewno pani słyszała, co się stało. Aż się skrzywiła.

- Cała szkoła słyszała. I to jest najgorsze. Musiał opowiadać o tym wszystkim kolegom. No i nie wytrzymał.

- Zawiadomiła pani jego rodziców?

- Próbowałam. Nie mogę ich złapać pod żadnym numerem telefonu, który mamy w sekretariacie. - Przepraszająco wruszyła ramionami. - Dlatego pomyślałam, że zadzwonię do pana. Bardzo się o niego martwiłam.

Widziałem, że nie udaje. Dawałem jej dwadzieścia osiem, najwyżej trzydzieści parę lat. Miała krótko obcięte blond włosy - blond chyba naturalny -choć kilka odcieni jaśniejsze od jej ciemnych, zaniepokojonych oczu. Była lekko opalona i słońce wymalowało na jej twarzy dziesiątki delikatnych piegów.

- Przeżył silny wstrząs. Chwilę potrwa, zanim dojdzie do siebie.

- Biedny. I to na samym początku wakacji. - Zerknęła na otwarte drzwi. - Myśli pan, że będzie musiał pójść do psychologa?

Ja też się nad tym zastanawiałem. I gdyby nie polepszyło mu się za parę dni, na pewno dałbym mu skierowanie. Ale przeszedłem przez to sam i wiedziałem, że rozdrapane rany jeszcze bardziej krwawią. Może to pogląd niezbyt współczesny, ale wolałem dać chłopcu szansę, żeby spróbował uporać się z tym sam.

- Zobaczymy. Ale do końca tygodnia powinien wydobrzeć.

- Oby.

- Myślę, że najlepiej by było, gdyby poszedł teraz do domu. Dzwoniliście do szkoły jego brata? Może oni wiedzą jak skontaktować się z rodzicami.

- Nie. Nikt o tym nie pomyślał. - Chyba była na siebie zła.

- Czy ktoś może tu z nim zaczekać?

- Tak, ja. Wezmą za mnie zastępstwo. - Rozszerzyły jej się oczy. - Przepraszam, co za gapa ze mnie. Jestem jego nauczycielką!

- Domyśliłem się— odparłem z uśmiechem.

- Boże, nawet się nie przedstawiłam. - Zaczerwieniła się i zbrązowiły jej piegi. - Jenny. Jenny Hammond. Zakłopotana wyciągnęła do mnie rękę. Miała ciepłą i suchą dłoń. Słyszałem, że na początku roku przyjęto do szkoły nową nauczycielkę, ale widziałem ją pierwszy raz. Tak mi się przynajmniej wydawało.

- Chyba widziałam pana w pubie.

- To więcej niż prawdopodobne. Nocne życie jest tu dość ograniczone. Uśmiechnęła się.

- Tak, zauważyłam. Ale chyba właśnie dlatego pan tu przyjechał, prawda? Żeby uciec od tego wszystkiego i... - Musiała dostrzec coś w mojej twarzy, bo szybko dodała: - Przepraszam. Mówi pan z nietutejszym akcentem, więc pomyślałam, że...

- Nie, nie, nie szkodzi. Tak, rzeczywiście, nie jestem stąd. Trochę jej ulżyło.

- Chyba wrócić już do Sama.

Wróciłem razem z nią żeby pożegnać się i sprawdzić, czy nie potrzebuje czegoś na uspokojenie. Wieczorem chciałem zbadać go jeszcze raz i powiedzieć matce, żeby przez kilka dni zatrzymała go w domu, do chwili, aż pamięć nie zasklepi mu się na tyle, by dać odpór nagabywaniom kolegów.

Gdy wsiadłem do samochodu, zaterkotał telefon. Tym razem dzwonił Mackenzie.

- Dostałem pańską wiadomość - zaczął bez wstępów. Mówiłem szybko, żeby wyrzucić to z siebie, zanim zmienię zdanie.

- Pomogę wam zidentyfikować zwłoki. Ale to wszystko. Nie chcę się w nic mieszać. Zgoda?

- Pańska wola.-Nie zabrzmiało to tak, jakby był mi szczególnie wdzięczny, ale z drugiej strony, moja propozycja też nie była zbyt hojna. - Dobra, więc jak pan chce to rozegrać?

- Muszę zobaczyć miejsce, gdzie chłopcy znaleźli ciało.

- Ciało jest już w kostnicy, ale możemy spotkać się tam za godzinę i...

- Nie, nie chcę oglądać ciała. Tylko miejsce, gdzie leżało. Nawet przez telefon wyczułem, że się zirytowałem.

- Po co? Co to panu da? Zaschło mi w ustach.

- Chcę poszukać liści.

## Rozdział 6

W stężonym upale nad mokradłami leniwie szybowała czapla. Robiła wrażenie zbyt dużej, by móc utrzymać się w powietrzu; w porównaniu z drobnym ptactwem wodnym, które przecinał jej cień, była prawdziwym gigantem. Przechyliła się na bok, zakręciła w stronę jeziora i dwa razy załopotawszy skrzydłami, żeby trochę wyhamować, wylądowała na płyciźnie. Arogancko potrząsając głową przeszła kilka kroków, po czym zamarła niczym skamielina na cieniutkich jak trzcina nogach. Nadchodził Mackenzie. Niechętnie się odwróciłem.

- Proszę. - Podał mi plastikową torbę. - Niech pan to włoży. Wyjąłem z torby biały kombinezon i żeby nie rozerwać cienkiego papieru,

ostrożnie wciągnąłem go na spodnie. Zaciągnąłem suwak i natychmiast oblał mnie pot. To wilgotne ciepło było niepokojąco znajome.

Znowu cofałem się w czasie.

Odkąd spotkałem Mackenziego na tej samej drodze, którą dzień wcześniej prowadziłem wiejskich policjantów, miałem nieustające poczucie deja vu i nie mogłem się z niego otrząsnąć. Teraz roilo się tu od radiowozów i wielkich przyczep kempingowych służących za ruchome centra koordynacyjne. Gdy włożyłem kombinezon i papierowe ochraniacze na buty, ruszyliśmy bez słowa przez mokradła trasą wyznaczoną przez równoległe rozwieszane policyjne taśmy ostrzegawcze. Wiedziałem, że Mackenzie chce spytać mnie, co zamierzam, wiedziałem też, że nie spyta, uważając, że jawna ciekawość byłaby oznaką słabości. Ale ja bynajmniej nie chciałem grać teraz w głupie gierki z cyklu „kto silniejszy”. Po prostu jak najdłużej odkładałem chwilę, kiedy będę musiał szczerze odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego tu jestem.

Miejsce, gdzie znaleziono zwłoki, też było ogrodzone taśmą. W środku uwijali się technicy, anonimowi w identycznych białych kombinezonach. Gwałtownie powróciły niechciane wspomnienia.

- Gdzie to cholerne smarowidło? - spytał Mackenzie wszystkich i nikogo w szczególności.

Jakaś kobieta podała mu słoiczek wazeliny intensywnie pachnącej mentolem. Mackenzie wtarł sobie trochę pod nos i podał słoiczek mnie.

- Zwłok już nie ma, ale ciągle tam śmierdzi - mruknął.

Był taki czas, że odór śmierci, nieodłączny atrybut mojej pracy, nie robił na mnie żadnego wrażenia. Ale to było kiedyś. Posmarowałem wazeliną górną wargę i włożyłem gumowe rękawiczki.

- Jak pan chce, jest jeszcze maska - powiedział Mackenzie. Odруchowio pokręciłem głową. Maskę nakładałem tylko wtedy, kiedy naprawdę musiałem.

- No to chodźmy - rzucił.

Pochylił się i przeszedł pod taśmą. Podążyłem za nim. Technicy przeczesywali trawę. W ziemi, w miejscach gdzie znaleziono coś, co mogło stanowić potencjalny dowód w sprawie, tkwiły małe markery. Wiedziałem, że większość z nich okaże się bezużyteczna - papierki od cukierków, niedopałki papierosów czy kawałki zwierzęcej kości nie miały nic wspólnego z tym, czego szukali. Ale w tej fazie śledztwa nie wiedzieli jeszcze, co jest ważne, a co nie. Wszystko wędrowało do toreb i trafiało do laboratorium.

Ten i ów zerknął na nas ciekawie, ale mnie interesowało tylko jedno miejsce: to dokładnie pośrodku. Porastająca je trawa była szerniała i martwa; wyglądała tak, jakby strawił ją ogień. Ale to nie gorąco ją wypaliło. Po chwili dotarło do mnie coś jeszcze: ów nieomylny zapach, odór tak silny, że przebił się nawet przez ochronne opary mentolu.

Mackenzie wrzucił sobie do ust miętówkę i nie raczywszy mnie poczęstować, schował torebkę do kieszeni.

- To jest doktor Hunter -przedstawił mnie ekipie, z chrzęstem rozgryzając cukierka. - Jest antropologiem sądowym. Pomoże nam zidentyfikować zwłoki.

- Ciężko będzie - mruknął jeden z techników. - Bo już ich tu nie ma. Ten i ów parsknął śmiechem. To była ich praca i nie lubili, kiedy ktoś wchodził im w paradę. Zwłaszcza cywil. Często spotykałem się z taką postawą.

- Doktor Hunter jest tu na prośbę głównego inspektora Ryana. Rozumiem, że udzielicie mu wszelkiej niezbędnej pomocy. - W głosie Mackenziego pobrzmiwała groźna nutka. Technicy spochmurnieli. Po ich minach poznałem, że nie odebrali tego zbyt dobrze. Ale zupełnie mi to nie przeszkadzało. Przykucnąłem przed plackiem martwej trawy.

Miał niewyraźny zarys ludzkiego ciała, był sylwetką rozkładu. Wciąż wiło się na nim kilka larw, a na czarnych, zgniecionych żdźbłach niczym płatki śniegu białaty ptasie pióra.

Przyjrzałem się im dokładniej.

- To na pewno łabędzie?

- Chyba tak - odparł jeden z techników. - Wysłaliśmy je do zbadania, do ornitologa.

- A próbki ziemi?

- Też. Są już w laboratorium.

Po ilości żelaza w ziemi można stwierdzić, ile wchłonęła krwi. Gdyby było go dużo, oznaczałoby to, że ofierze poderżnięto gardło tu, w tym miejscu. Gdyby było go mało, rana na gardle musiała powstać albo po śmierci ofiary, albo wskazywałoby to, że morderstwa dokonano gdzie indziej i że ciało po prostu podrzuciono.

- Owady?

- Panie doktorze, robimy to nie pierwszy raz.

- Wiem. Próbuje tylko ustalić, jak daleko zaszliście. Poirytowany technik ciężko westchnął.

- Tak, robaki też zebraliśmy.

- I co stwierdziliście?

- Żęto larwy.

Jego koledzy znowu parsknęli śmiechem. Podniosłem wzrok.

- A poczwarki?

- Co poczwarki?

- Jakiego były koloru? Jasnego? Ciemnego? Znaleźliście panczerzyki? Technik spojrział na mnie ponuro i szybko zamrugał. Nikt już się nie śmiał.

- A chrząszcze? - dodałem. - Dużo ich było na zwłokach?

Technik wytrzeszczył oczy, jakbym nagle zwariował.

- To jest śledztwo w sprawie morderstwa, a nie szkolny obóz biologiczny!

Aha, należał do starej szkoły. Ci z nowej chętnie uczyli się nowych technik i byli otwarci na wiedzę, która mogła im pomóc. Ale nawet wśród nich trafiali się oporni na wszystko to, co nie pasowało do ich skostniałych pojęć i doświadczeń osobistych. Czasem ich spotykałem. Wyglądało na to, że dotarli nawet tutaj.

Spojrziałem na Mackenziego.

- Każdy owad ma inny cykl życia. Te larwy to głównie larwy muchy plujki. Błękitnej i zielonej. Otwarte rany natychmiast je przyciągają. Za dnia zaczynają składać jaja w ciągu godziny.

Wygrzebałem z ziemi nieruchomą larwę. Położyłem ją sobie na otwartej dłoni.

- Ta zmieni się niedługo w poczwarkę. Im są starsze, tym są ciemniejsze. Na przykład ta ma siedem, osiem dni. Na ziemi nie widać łupin panczerzyka, co oznacza, że poczwarki jeszcze się nie wykluły. Pełny cykl życia muchy plujki trwa czternaście dni, co sugeruje, że zwłoki leżały tu krócej.

Rzuciłem larwę w trawę. Technicy przestali pracować. Słuchali.

- Dobrze - ciągnąłem. - A więc na podstawie aktywności owadów można wstępnie powiedzieć, że od chwili śmierci upłynął tydzień, maksymalnie dwa... Rozumiem, że wiecie, co to jest. - Wskazałem ślady żółtobiałej substancji, która w kilku miejscach przywarła do trawy.

- Produkt rozkładu - odparł sztywno jeden z techników.

- Tak. To tłuszczo wosk. Kiedyś nazywano to trupim woskiem. Zwyczajne mydło, które powstaje z kwasów tłuszczowych w trakcie rozkładu zawartego w ciele białka. Tłuszczowosk jest alkaiczny, silnie żrący, dlatego wypalił trawę. Jeśli przypatrzycie się uważnie tej białej substancji, zobaczycie, że jest krucha i łamliwa. Oznacza to, że rozkład następował bardzo szybko, ponieważ jeśli następuje wolno, tłuszczowosk jest z reguły bardziej miękki. Czego z kolei można oczekiwać w przypadku, kiedy zwłoki leżą na dworze w

upalną pogodę i kiedy bakterie mają dostęp do wielu otwartych ran. Mimo to tłuszczowosku jest tu stosunkowo mało, co pasowałoby do założenia, że od chwili śmierci upłynęło mniej niż dwa tygodnie.

Zapadła cisza. Przerwał ją dopiero Mackenzie.

- O ile mniej?

- Bez dokładniejszych badań nie sposób powiedzieć. - Popatrzyłem na gnijącą trawę i wzruszyłem ramionami. - Biorąc pod uwagę szybko postępujące procesy gnilne, dziewięć, dziesięć dni. Gdyby zwłoki leżały dłużej, w dodatku w upale, do tej pory pozostałyby z nich tylko szkielet.

Mówiąc, patrzyłem na szerniałą trawę, próbując znaleźć coś, co powinno tam być, taką przynajmniej miałem nadzieję.

- Jak były zorientowane? - spytałem.

- Zorientowane? - powtórzył jeden z techników.

- Gdzie była głowa?

Ponuro wskazał palcem. Przypomniałem sobie zdjęcia, wyciągnięte przed siebie ręce i popatrzyłem w tamtą stronę. Na trawie tego nie było, więc poszukałem dalej, ostrożnie rozchylając źdźbła i sprawdzając, co leży bezpośrednio na ziemi.

Już myślałem, że nie, że jednak tego nie znajdę, że przede mną dotarły to dzikie zwierzęta, gdy wtem...

- Mogę prosić o torebkę?

Zaczekałem, aż mi ją podadzą, wyciągnąłem rękę i wyłowilem z trawy mały, pomarszczony strzępek. Włożyłem go do torebki.

- Co to jest? - spytał Mackenzie, wyciągając szyję.

- Tydzień po śmierci następuje tak zwany ześlizg. Dlatego zwłoki są takie pomarszczone, jakby pokrywało je za dużo skóry. Zwłaszcza na rękach. W końcu skóra zsuwa się zupełnie, tak jak rękawiczka. Często się jej nie zauważa albo bierze ją za liście.

Podniosłem plastikową torebkę z cieniutkim jak pergamin skrawkiem tkanki.

- Chciał pan odcisków palców. Mackenzie gwałtownie odrzucił głowę do tyłu.

- Pan żartuje!

- Nie. Nie wiem, czy pochodzi z lewej ręki czy prawej, ale można poszukać innych fragmentów. Powinny tu być, chyba że pożarło je jakieś zwierzę. Dacie sobie radę.

- Niby jak mamy pobrać z tego odciski? - prychnął jeden z techników. - Niech pan spojrzy. To jest jak... jak chrupka!

- To bardzo łatwe. - Zaczynało mi się to podobać. - Postępować według instrukcji na opakowaniu: wystarczy dodać trochę wody. - Technik doszczętnie zgłupiał. - Potrzywać w wodzie przez noc. Skóra ponownie się uwodni i będzie ją można włożyć na rękę jak rękawiczkę. Odciski powinny być dość wyraźne.

Podąłem mu torebkę.

- Na waszym miejscu wziąłbym kogoś o małych dłoniach. I najpierw niech włoży gumową rękawiczkę.

Technik wybałuszył oczy. Zostawiłem go tak i zanurkowałem pod taśmą. Dopiero teraz zaczęło coś do nich docierać. Ściągnąłem kombinezon i ochraniacze na buty. Z przyjemnością się ich pozbyłem.

Mackenzie podszedł do mnie, gdy zwiјаłem papier w kulkę. Szedł i kręcił głową.

- Człowiek uczy się przez całe życie. Gdzie pan to podpatrzył?

- W Stanach. Przez dwa lata pracowałem w ośrodku badawczym w Tennessee. Nieoficjalnie nazywają go Trupią Farmą. To jedyne miejsce na świecie, gdzie proces rozkładu bada się na ludzkich zwłokach. Jak długo trwa w różnych warunkach, jakie wpływają nań czynniki. To ośrodek FBI. Szkolą tam swoich specjalistów. - Ruchem głowy wskazałem wkurzonego szefa techników, który warkliwym głosem rzucał rozkazy podwładnym. - Nam też by się taki przydał.

- Marne szanse. - Mackenzie walczył z kombinezonem. - Nienawidzę tego cholerstwa... - mruknął, otrzepując koszulę. - A więc myśli pan, że śmierć nastąpiła jakieś dziesięć dni temu?

Zdjąłem rękawiczki. Zapach lateksu i wilgotnej od potu skóry przywodził więcej wspomnień, niż chciałem.

- Tak, dziewięć, może dziesięć. Ale to nie znaczy, że zwłoki leżały tu przez cały czas. Ktoś mógł je podrzucić, ale pańscy technicy na pewno to ustalą.

- Mógłby pan im pomóc.

- Przykro mi. Obiecałem, że zidentyfikuję zwłoki. Jutro o tej porze powinien pan wiedzieć, kto to jest. - A raczej był, pomyślałem. Zaciśnięte usta i zatrzymałem to dla siebie, ale Mackenzie mnie przejrzał.

- Rozpoczęliśmy zakrojone na szeroką skalę śledztwo, żeby ustalić miejsce pobytu Sally Palmer. Żadna z przesłuchiowanych przez nas osób nie widziała jej ani z nianie rozmawiała od tamtego grilla w pubie. Miała odebrać zamówienie w spożywczym, ale się nie pokazała. Codziennie rano przyjeżdżała do kiosku po gazety; namiętnie czytuje „Guardiana”. Ale tam też przestała przyjeżdżać.

Powoli narastało we mnie mroczne, bardzo paskudne uczucie.

- I nikt tego nie zgłosił?

- Jak widać. Wygląda na to, że nikt za nią specjalnie nie tęsknił. Wszyscy myśleli, że wyjechała albo że znowu coś pisze. Ten z kiosku powiedział, że Sally Palmer to nie miejscowa. Nie ma to jak życie w małej, zamkniętej społeczności, co?

Nie miałem nic do powiedzenia. Ja też nie zauważyłbym jej zniknięcia.

- To jeszcze nie znaczy, że to ona. Grill był prawie dwa tygodnie temu. Kobieta, którą tu znaleźiono, zmarła później. No i jej komórka.

- Czyja komórka?

- Sally Palmer. Kiedy zadzwoniłem, wciąż działała. Gdyby Sally zaginęła dwa tygodnie temu, wysiadłyby baterie.

- Niekoniecznie. To nowy model, baterie wystarczają na czterysta godzin, prawie na siedemnaście dni. Czterysta godzin to pewnie przesada, ale gdyby komórka leżała w torebce i gdyby nikt z niej nie korzystał, mogłaby wytrzymać.

- Wszystko jedno, to może być ktoś inny - powtórzyłem, nie wierząc samemu sobie.

- Zobaczymy. - Mackenzie powiedział to tak, jakby coś przede mną ukrywał. - Tak czy inaczej, musimy znaleźć mordercę.

Z tym nie mogłem dyskutować.

- Myśli pan, że to ktoś stąd? Z miasteczka?

- Ja jeszcze nie myślę. Ofiarą może być na przykład jakaś autostopowiczka, a zabójca mógł ją tu zwyczajnie podrzucić. Za wcześniej, żeby mówić o konkretach. - Wziął głęboki oddech. - Niech pan posłucha...

- Nie.

- Przecież nie wie pan jeszcze, o co chciałem prosić.

- Wiem. O jeszcze jedną przysługę. A potem o jeszcze jedną i jeszcze jedną. - Pokręciłem głową. - Już się tym nie zajmuję. W tym kraju jest wielu innych.

- Nie tak wielu. A pan jest najlepszy.

- Już nie. Zrobiłem, co mogłem. Mackenzie miał zimny wyraz twarzy.

- Czyżby?

Odwrócił się i odszedł, a ja ruszyłem do samochodu. Odjechałem, ale niedaleko. Nie mogłem zapanować nad drżeniem rąk, więc gdy tylko zniknął mi z oczu, skręciłem na pobocze. Nagle zabrakło mi tchu. Oparłem głowę o kierownicę. Próbowałem oddychać powoli i spokojnie, wiedząc, że hiperwentylacja, gwałtowne wydalanie dwutlenku węgla, tylko pogorszy sprawę.

W końcu atak paniki minął. Mokra koszula kleiła mi się do ciała, ale ruszyłem się stamtąd dopiero wtedy, gdy usłyszałem trąbienie klaksonu. Jechał ku mnie traktor, a ja blokowałem drogę. Kierowca gniewnie wymachiwał rękami. Przeprosiłem go na odległość i wcisnąłem pedał gazu.

Zanim dojechałem do miasteczka, zdążyłem trochę ochłonąć. Nie byłem głodny, lecz wiedziałem, że powinienem coś zjeść. Zatrzymałem się przed sklepem, czymś w rodzaju wiejskiego supermarketu. Chciałem kupić kanapkę, zjeść ją w domu i zebrać myśli przed popołudniowym dyżurem. Przed drogerią omal nie wpadła na mnie jakaś kobieta. Była pacjentką Henry'ego, jedną z tych wiernych i lojalnych, które wolały zaczekać, aż je przyjmie.

Kiedyś miał wolne i przyszła do mnie, mimo to musiałem poszukać w pamięci jej nazwiska. Lyn. Tak. Lyn Metcalf.

- Przepraszam - powiedziała, tuląc do piersi jakąś paczuszką.

- Nie szkodzi. Co słyhać? . Uśmiechnęła się szeroko.

- Wszystko dobrze, wspaniale.

Pamiętam, że odchodząc, pomyślałem, jak to dobrze jest zobaczyć kogoś naprawdę szczęśliwego. A potem przestałem o niej myśleć.

## Rozdział 7

Do porośniętego trzciniami brzegu dobiegła później niż zwykle, ale ranek był jeszcze bardziej mglisty niż poprzedniego dnia. Wszystko tonęło w bieli, która kłębiła się i wirowała wokół rozmazanych, prawie niewidocznych kształtów. Wiedziała, że mgła wkrótce ustąpi i że będzie to jeden z najgorętszych dni w roku. Ale teraz, w tym chłdzie i wilgoci, myśl o słońcu była jeszcze odległa.

Przez noc zeszytniały jej wszystkie mięśnie. I wstała nie w sosie. Do późna oglądała z Marcusem film i jej organizm wciąż przeciwko temu protestował. To dziwne, ale ledwo zwlokła się z łóżka, gderając na męża, który burknął coś niemilego i zamknął się w łazience. Tak, mięśnie miała jak z drewna. Rozruszaj je. Od razu poczujesz się lepiej. Wykrzywiła twarz. Tak, tak, jasne.

Żeby zapomnieć o wysiłku, pomyślała o paczuszce, którą ukryła w komodzie pod stanikami i majtkami. Marcus na pewno jej tam nie znajdzie. Bielizna interesowała go tylko wtedy, gdy miała ją na sobie.

Idąc do drogerii, nie zamierzała kupować zestawu do próby ciąży. Ale gdy zobaczyła go na półce, pod wpływem nagłego impulsu wrzuciła pudełko do koszyka wraz z paczką tamponów, których miała nadzieję

już nie używać. Ale nawet wtedy długo się wahała. W Manham trudno było coś ukryć, więc zawsze istniało niebezpieczeństwo, że jeszcze przed wieczorem ludzie zaczną obrzucać ją znaczącymi spojrzeciami.

Ale w sklepie nie było nikogo, a przy kasie siedziała tylko jedna znudzona dziewczyna, w dodatku nowa. Nie interesował jej nikt powyżej osiemnastu lat, dlatego było mało prawdopodobne, że zwróci uwagę na zestaw, tym bardziej że będzie jej się chciało o tym plotkować. Z palącymi rumieńcami na twarzy Lyn podeszła bliżej i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu pieniędzy, podczas gdy dziewczyna apatycznie pstrykała klawiszami kasy.

Wychodząc z drogerii, uśmiechała się jak rozradowane dziecko i omal nie wpadła na lekarza. Na tego młodszego. Nie na doktora Henry'ego. Na doktora Huntera. Doktor Hunter. Facet cichy i spokojny, za to jaki przystojny. Kiedy przyjechał, wśród młodszych kobiet wybuchło duże poruszenie, ale chyba tego nie zauważył. Boże, była tak zażenowana, że omal nie wybuchła śmiechem. Szczerzyła się do niego jak idiotka i pewnie pomyślał, że zwariowała. Albo że się jej podoba. Na tę myśl znowu rozciągnęła usta w uśmiechu.

Bieg zrobił swoje. Krew szybciej krążyła w żyłach, ból mięśni minął i zaczęła się w końcu rozluźniać. Niedaleko był las i gdy spojrzała w tamtym kierunku, podświadomość zaczęła podsuwać jej dziwne, mroczne skojarzenia. Pochłonięta przygodą w drogerii początkowo nie wiedziała, o co chodzi. I nagle sobie przypomniała. Martwy zając, którego znalazła na ścieżce poprzedniego dnia. I wrażenie, że ktoś ją obserwował, gdy wbiegała między drzewa.

Raptem stwierdziła, że perspektywa biegu w gęstym lesie - i w gęstej mgłę -dziwnie ją zniechęca. Co za głupota, pomyślała. Mimo to zwolniła kroku. Zwolniła, lecz zdawszy sobie sprawę z tego, co robi, zirytowana mlasnęła językiem i ponownie przyspieszyła. Na skraju lasu przypomniało jej się, że na mokradłach znaleziono zwłoki kobiety. Ale znaleziono je daleko stąd, tłumaczyła sobie cierpko i racjonalnie. Poza tym zabójca musiałby być masochistą, żeby tak wcześnie wstawać. I wtedy otoczyły ją pierwsze drzewa.

Z ulgą stwierdziła, że złe przecucia z poprzedniego dnia nie powróciły. Las znowu był po prostu lasem. A ścieżka ścieżką w dodatku pustą: martwy zając, pożarty przez jakieś zwierzę, stał się częścią łańcucha pokarmowego, jak to w przyrodzie. Zerknęła na stoper. Miała parę minut spóźnienia, więc zbliżając się do polanki, przyspieszyła jeszcze bardziej. Widziała już kamień, ciemny kształt we mgle. Ale dopiero gdy podbiegła bliżej, dotarło do niej, że coś jest nie tak. Światło i cień zajęły właściwe sobie miejsce i myśl o bieganii momentalnie pierzchnęła.

Na kamieniu wisiał martwy ptak. Kaczka krzyżówka. Była przywiązana drutem za szyję i nóżki. Otrząsnąwszy się z szoku, Lyn zerknęła w lewo, w prawo i za siebie. Ale niczego tam nie było. Niczego oprócz drzew i martwej kaczki. Przetarła mokre od potu oczy i przyjrzała się jej dokładniej. W miejscu gdzie drut wrzynał się w ciało, ptak miał ciemne od krwi pióra. Wahając się, czy zdjąć go z kamienia czy nie, i czy w ogóle sobie poradzi, Lyn nachyliła się, żeby to sprawdzić.

Wtedy kaczka otworzyła oczy.

Lyn przeraźliwie krzyknęła i zatoczyła się do tyłu. Ptak zaczął się wyrywać, szarpiąc przytrzymującym szyję drutem. Zadawał sobie jeszcze głębsze rany, ale nie mogła zmusić się do tego, żeby podejść do dziko trzepoczących skrzydeł. Jej umysł zaczął wreszcie funkcjonować i dopiero teraz skojarzyła sobie kaczkę z martwym zającem, którego ktoś celowo podrzucił na ścieżce. A potem dotarło do niej coś znacznie ważniejszego.

Skoro ptak jeszcze żył, nie mógł tu długo wisieć. Ktoś przywiązał go stosunkowo niedawno.

Przywiązał go ktoś, kto wiedział, że ona go znajdzie.

Chociaż część umysłu uparcie twierdziła, że to tylko wyobraźnia, Lyn pędziła już ścieżką z powrotem. Chłostały ją gałęzie drzew. Równe tempo? Bzdura. Myślała tylko o jednym, w głowie pobrzmiwał jej jeden krzyk: Uciekaj, uciekaj, uciekaj! Nie obchodziło ją, czy zachowuje się głupio czy nie, chciała jedynie wydostać się z lasu na otwartą przestrzeń. Jeszcze tylko jeden zakręt i ją zobaczy. Oddychała coraz chrapliwiej, strzelała oczami to w lewo, to w prawo, spodziewając się, że zaraz wyskoczy coś zza drzew. Ale nie wyskoczyło. Zbliżając się do zakrętu, ni to jęknęła, ni to zaszlochała. Już niedaleko, pomyślała i w chwili gdy poczuła pierwszy przypływ ulgi, coś szarpnęło ją mocno za nogę.

Nie miała czasu zareagować. Runęła na brzuch i siłą upadku wycisnęła jej z płuc całe powietrze. Nie mogła oddychać, nie mogła się poruszyć. Oszołomiona, czując w gardle zapach igliwia, z trudem wzięła jeden oddech, potem drugi. Po chwili podniosła głowę i wciąż półprzytomna spojrzała za siebie. To, co tam zobaczyła, nie miało początkowo żadnego sensu. Jedna noga była nienaturalnie wyciągnięta, a stopa wykrzywiona pod dziwnym kątem. Wokół kostki zaciskała się błyszcząca żyłka. Nie, pomyślała Lyn. To nie żyłka.

To drut.

Ale zrozumiała to za późno. Chciała wstać, lecz w tej samej chwili padł na nią czyjś cień. Coś przywarło do jej ust, coś ją przydusiło. Szarpała się, próbowała zabrać głowę, żeby uciec od tego słodkawego, chemicznego zapachu, dziko wierzyła i ze wszystkich sił wymachiwała rękami. Na próżno. Sił szybko

ubywało, stawiała coraz słabszy opór. Poranek poszarzał, światło dnia przeszło w nocny mrok. Nie! Wciąż chciała walczyć, lecz mrok gęstniał i tonęła w nim jak wrzucony do studni kamyk.

Czy tuż przed utratą świadomości po raz ostatni ogarnęło ją zdumienie albo niedowierzenie? Możliwe, lecz uczucie to na pewno nie trwało długo.

Wprost przeciwnie.

Dla pozostałych mieszkańców miasteczka wstał zwyczajny dzień. Może trochę bardziej zadyszany, trochę bardziej podekscytowany obecnością policji i spekulacjami na temat tożsamości martwej kobiety, ale w sumie zwyczajny. Manham miało wreszcie swoją własną operę mydlaną swój własny melodramat. Ktoś umarł, tak, ale dla większości z nich była to tragedia odległa, a więc w sumie nie tragedia. Po cichu zakładano, że to ktoś obcy. Bo gdyby było inaczej, czyżby o tym nie wiedzieli? Czyż nikt nie zauważyłby braku ofiary i nie rozpoznał sprawcy? Nie, o wiele bardziej prawdopodobne było, że to ktoś obcy, element napływowy z miasta, ktoś, kto wsiadł nie do tego samochodu, co trzeba i skończył u nich. Dlatego znalezisko Sama i Neila Yatesów traktowano niemal jak rozrywkę, jak rzadką w miasteczku gratkę, którą można było cieszyć się bez szoku czy smutku.

Nie zmienił tego nawet fakt, że policja wypytywała o Sally Palmer. Wszyscy wiedzieli, że Sally jest pisarką ze często jeździ do Londynu. Za dobrze pamiętali jej twarz, żeby kojarzyć ją sobie z tym, co znaleziono na mokradłach. Dlatego Manham nie potrafiło potraktować tego poważnie, dlatego nie rozumiało, że zamiast roli postronnego obserwatora, odgrywa rolę dużo istotniejszą bo centralną.

Ale to miało się niebawem zmienić.

Dla mnie zmieniło się już o jedenastej, kiedy zadzwonił Mackenzie. Spałem źle i wyjechałem do pracy dużo wcześniej niż zwykle, żeby pozbyć się resztek nocnego koszmaru. Gdy zadzwonił telefon i Janice powiedziała mi, kto jest na linii, znowu ścisnęło mnie w brzuchu.

- Proszę połączyć.

Łączyła długo, choć za krótko.

- Porównaliśmy odciski - zacznij bez wstępów Mackenzie. - To Sally Palmer.

- Na pewno? - Głupie pytanie.

- Na sto procent. Pasują do tych z jej domu. Poza tym figurują w naszej kartotece. Kiedy była studentką aresztowano ją podczas jakiegoś wiecu protestacyjnego.

Nie wyglądała na wojującą działaczkę, ale w sumie jej nie znałem. I już nigdy nie miałem poznać. Mackenzie jeszcze nie skończył.

- Teraz możemy ruszać pełną parą. Pomyślałem, że może zainteresuje pana, że ciągle szukamy kogoś, kto widziałby ją po tym grillu w pubie...

Czekał, jakby spodziewał się, że coś sobie skojarzę. Chwilę trwało, zanim zebrałem powolne myśli, lecz w końcu je zebrałem.

- Aha, daty nie pasują.

- Otóż to. Jeśli ci chłopcy znaleźli ją po dziewięciu, dziesięciu dniach, to nie pasują. Bardziej prawdopodobne jest, że zaginęła przed dwoma tygodniami. Pytanie: gdzie była i co robiła przez te trzy czy cztery dni?

- W przybliżeniu. Mogę się mylić. Co na to patolog?

- Ciągle się w tym grzebie - odparł oschle Mackenzie. - Ale jak dotąd nie powiedział „nie”.

Wcale mnie to nie zdziwiło. Miałem kiedyś do czynienia z ofiarą morderstwa, którą zabójca przetrzymywał w lodówce przez kilka tygodni, zanim spróbował się jej w końcu pozbyć, ale fizyczne procesy rozkładu przebiegały zwykle według określonego harmonogramu. Mogły różnić się w zależności od środowiska, temperatury i wilgoci, które przyspieszały je lub spowalniały, ale jeśli tylko wzięto się te czynniki pod uwagę, wszystko zwykle pasowało. Dlatego to, co widziałem na mokradłach poprzedniego dnia - wciąż nie potrafiłem dokonać emocjonalnego przeskoku i pomyśleć, że jest to moja znajoma - było równie niepodważalne, jak dwa razy dwa jest cztery. Była to tylko kwestia rozumienia i zrozumienia.

Niewielu patologom to odpowiadało. Zakres działania antropologów sądowych i patologów częściowo się ze sobą pokrywa, lecz gdy zwłoki są w stanie zaawansowanego rozkładu, większość tych ostatnich się poddaje. Mieli zbadać przyczynę śmierci, a kiedy ciało zaczyna gnić, jest to niezmiernie trudne. I właśnie wtedy wzywano takich jak ja.

Ale nie mnie, pomyślałem. Mnie już nikt nie wezwie.

- Jest pan tam? - spytał Mackenzie.

- Tak.

- To dobrze, bo wynika z tego, że mamy kłopot. Musimy te dni jakoś rozliczyć.

- Mogła gdzieś wyjechać. Wyjechała i nie miała czasu nikogo powiadomić.

- I zamordowano ją zaraz po powrocie w taki sposób, że nikt z miasteczka niczego nie zauważył?

- To możliwe - nie ustępowałem. - Mógł ją zaskoczyć włamywacz.

- Mógł - zgodził się ze mną Mackenzie. - Ale jeśli nawet, musimy wiedzieć to na pewno.

- Przecież włamywacze to wasza działka.



- A pies?

- Pies? - powtórzyłem, chociaż dobrze wiedziałem, do czego zmierza.

- Ten, kto zabił Sally Palmer, zabił również psa, to logiczne założenie. Stąd pytanie: kiedy go zabito?

Z jednej strony, podziwiałem jego bystrość, z drugiej, byłem na siebie zły, że nie wpadłem na to sam. Tak, oczywiście, robiłem wszystko, żeby o tym nie myśleć. Ale kiedyś nie musiałby wskazywać mi tego palcem.

- Jeśli pies zginął w tym samym czasie - ciągnął - pańska teoria z włamywaczem trzyma się kupy. Sally Palmer wraca do domu. Pies atakuje włamywacza, który zabija i jego, i ją, następnie wywozi ciało na mokradła. Powiedzmy. Ale jeśli pies leżał tam martwy dłużej, sprawa nabiera innego wymiaru. Bo jeśli tak, oznaczałoby to, że morderca nie zabił jej od razu. Że przetrzymywał ją przez kilka dni, wreszcie się znudził i pociął ją nożem.

Zamilkł, żeby to do mnie dotarło.

- Moim skromnym zdaniem trzeba by to sprawdzić. Prawda, panie doktorze?

Dom Sally Palmer zmienił się od dnia, kiedy widziałem go ostatni raz. Wtedy był cichy i pusty, teraz roiło się w nim od ponurych, nieproszonych gości. Na podwórzu stały policyjne radiowozy, wszędzie kręcili się ubrani w białe kombinezony technicy. Jednakże ich obecność tylko podkreślała atmosferę porzucenia i osamotnienia, przekształcając to, co było kiedyś prawdziwym domem, w żalony wehikuł czasu, który musieli rozebrać na części, żeby następnie każdą z nich dokładnie zbadać.

Gdy wraz z Mackenzieem szedłem przez podwórze, nie wyczuwałem tam ani śladu obecności kobiety, którą kiedyś znałem.

- Był weterynarz - powiedział Mackenzie. - Połowa kóz zdechła, dwie musiał uśpić, ale dziwił się, że w ogóle jakieś przeżyły. Mówi, że to niesamowite. Jeszcze parę dni i padłyby wszystkie. Kozy są silne, ale żeby doprowadzić je do takiego stanu, trzeba by zamknąć je na dwa tygodnie bez jedzenia i picia.

Podwórze za domem, gdzie znalazłem Bess, było ogrodzone taśmą, ale poza tym wyglądało tak jak wtedy. Pies wciąż tam leżał, więc albo technicy skończyli już robotę, albo uznali, że są pilniejsze sprawy. Ukucnąłem. Mackenzie stanął za mną i wrzucił sobie do ust miętówkę. Bess była mniejsza i drobniejsza, niż ją pamiętałem, ale nie, pamięć mnie nie zawodziła. Biorąc pod uwagę stan rozkładu zwłok, procesy gnilne musiały toczyć w jej ciele prawie widoczną wojnę o resztki pokarmu.

Sierść myliła, maskowała oczywisty fakt, że z Bess pozostały jedynie kości, ścięgna i chrząstka, otwarta rura tchawicy stercząca z rany na szyi. Ale tkanki miękkiej prawie nie było. Pogrzebałem patykiem w ziemi, spojrzałem na puste oczodoły i wstałem.

- No i? - rzucił Mackenzie.

- Trudno powiedzieć. Trzeba wziąć pod uwagę mniejszą masę ciała. Sierść też ma wpływ na tempo rozkładu. Ale nie wiem dokładnie jaki. Miałem do czynienia tylko z prosiakami, a prosiaki nie mają gęstej sierści. Przypuszczam, że sierść utrudnia owadom składanie jaj, nie licząc otwartych ran oczywiście. Dlatego myślę, że u psa trwałoby to dłużej.

Mówiłem bardziej do siebie niż do niego, gwałtownie rozgarniając pajęczynę pamięci, przeczesując mroczne zakamarki wiedzy.

- Do odsłoniętych fragmentów tkanki dobrały się zwierzęta. Widzi pan te rany wokół oczodołów? Jakies zwierzę nadgryzło kość. Za małe na lisa, więc pewnie były to szczury albo ptaki. Zrobiły to zaraz po tym, jak ją zabito, bo jeśli ścierwo zaczyna za bardzo cuchnąć, większość zwierząt go nie tyka. Z kolei mniejsza ilość miękkiej tkanki oznacza mniejszą aktywność owadów. Poza tym ziemia jest tu dużo bardziej sucha niż na mokradłach, gdzie znaleźliście tę kobietę. - Wciąż nie mogłem zmusić się do tego, żeby wypowiedzieć na głos jej imię. - Dlatego zwłoki są bardziej odwodnione. W tym upale za kilka dni uległyby mumifikacji. Susza ma duży wpływ na tempo procesów gnilnych...

- Więc nie wie pan, od kiedy może tu leżeć? - przerwał mi niecierpliwie Mackenzie.

- Ja nic nie wiem. Mówię tylko, że warunkuje to bardzo dużo czynników. Mogę najwyżej powiedzieć, co myślę, ale niech pan pamięta, że to tylko ocena wstępna. Dokładniejszych i szybszych odpowiedzi nikt panu nie udzieli, nie po pobieżnych oględzinach.

- No więc?

- Na ziemi nie ma pustych pancerzyków, ale niektóre larwy wyglądają tak, jakby miały się zaraz przepoczwaczyć. Są o wiele ciemniejsze od tych na mokradłach. - Wskazałem otwartą ranę na szyi psa i kilka pełzających wokół niej lśniących czarnych żuków. - Są i chrząszcze. Niewiele, ale zwykle przychodzą później. Muchy i larwy to pierwsza fala. Potem równowaga się zmienia. Larw jest mniej, chrząszczy więcej. Mackenzie zmarszczył czoło.

- A na mokradłach? Były żuki?

- Jeśli były, to ich nie widziałem. Ale żuki nie są tak wiarygodnym wskaźnikiem jak larwy. I jak już mówiłem, trzeba wziąć pod uwagę inne czynniki.

- Niech pan posłucha. Nie każę zeznawać panu pod przysięgą chcę tylko wiedzieć, kiedy zabito tego psa, tak mniej więcej.

- Mniej więcej... - Popatrzyłem na Bess, na kupkę obleczonych w skórę kości. - Od dwunastu do czternastu dni temu.

Mackenzie zagryzł wargę i jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

- A więc przed Sally Palmer.

- Na to wygląda. Porównując to z tym, co widziałem wczoraj, proces rozkładu jest o trzy, cztery dni bardziej zaawansowany. Jeśli nawet odejmiemy jedną dobą, to i tak pozostają jeszcze trzy. Ale powtarzam, na tym etapie to tylko zgadywanka.

Mackenzie patrzył na mnie w zadumie.

- Jak pan myśli, to możliwe, żeby się pan mylił? Zawahałem się. Ale chciał rady, a nie fałszywej skromności.

- Nie. Westchnął.

- Cholera.

Zadzwoniła jego komórka. Odpiął ją od pasa i odszedł na bok. Ja zostałem przy Bess, żeby poszukać czegoś, co skłoniłoby mnie do wydania innej opinii. Ale nie znalazłem niczego. Pochyliłem się nad jej szyją. Chrzątko rozkłada się dłużej niż tkanka miękka, lecz i tutaj widać było ślady zwierzęcych ugryzień. Mimo to, było oczywiste, że jest to rana cięta, nie szarpana. Wyjąłem z kieszeni małą latarkę i pamiętając, żeby ją potem zdezynfekować, zaświeciłem do środka. Rana sięgała kręgu szyjnego. Oświetliłem blade wyżłobienie na kości. Tego nie zrobiło żadne zwierzę. To zrobił nóż. Ostrze. Weszło tak głęboko, że dotarło aż do kręgosłupa.

Tak, nóż. Duży. I bardzo ostry.

Byłem tak pogrążony w myślach, że nie słyszałem, kiedy wrócił Mackenzie. Opowiedziałem mu o moim znalezisku.

- Jeśli nacięcie jest wystarczająco głębokie, niewykluczone, że będziecie mogli nawet określić, czy ostrze jest ząbkowane czy nie. Ale tak czy inaczej, zadanie tego rodzaju rany wymagało dużej siły. Szuka pan krzepkiego osiłka.

Mackenzie kiwnął głową ale widać było, że jest rozkojarzony.

- Muszę jechać. Niech pan tu zostanie, jak długo pan chce. Powiem moim, żeby panu nie przeszkadzali.

- Nie ma potrzeby. Już skończyłem.

- Nie zmieni pan zdania?

- Powiedziałem wszystko, co wiem.

- Gdyby pan chciał, mógłby pan powiedzieć więcej. Próbował mną manipulować i zaczynałem się na niego wkurzać.

- Już to przerabialiśmy. Zrobiłem to, o co pan prosił.

Mackenzie jakby coś w sobie ważył. Wystawił twarz do słońca i zmrużył oczy.

- Sytuacja się zmieniła- powiedział, podjąwszy decyzję. - Znowu ktoś zaginął. Może ją pan zna. Lyn Metcalf.

Grzmotnęło mnie to jak młotem. Nie dalej jak poprzedniego dnia wieczorem widziałem ją przed drogerią. I pomyślałem, jak dobrze jest zobaczyć kogoś tak szczęśliwego.

- Dziś rano poszła pobiegać i nie wróciła - ciągnął nerwowo Mackenzie. - Może to fałszywy alarm, ale na razie nic na to nie wskazuje. A jeśli tak, jeśli to ten sam człowiek, rozpęta się koszmar. Bo oznaczać to będzie, że Lyn Metcalf już nie żyje albo że jest gdzieś przetrzymywana. A widząc to, co spotkało Sally Palmer, nikomu bym tego nie życzył.

Już miałem go spytać, po co mi to mówi, ale odpowiedź nasunęła się sama. Z jednej strony, chciał wyrzucić na mnie większą presję. Z drugiej, był po prostu policjantem. To, że zgłosiłem zaginięcie Sally, plasowało mnie na niskiej pozycji na liście podejrzanych, ale jeśli pojawiła się druga ofiara, podejrzani znowu byli wszyscy. Policja nie mogła wykluczyć absolutnie nikogo.

Nawet mnie.

Mackenzie obserwował mnie, chcąc zobaczyć, jak zareaguję. Miał nieprzeniknioną twarz.

- Odezwę się. I nie muszę chyba prosić, żeby zachował pan to dla siebie. Wiem, że jest pan w tym dobry.

Z tymi słowami odwrócił się i odszedł. Ciężko ścigał go po trawie jak czarny pies.

Jeśli mówił poważnie, niepotrzebnie zwracał sobie głowę. Manham było zbyt małe, żeby coś takiego mogło długo pozostać tajemnicą. Wiadomość o zniknięciu Lyn Metcalf rozeszła się, zanim zdążyłem wrócić z farmy. Mniej więcej w tym samym czasie rozeszła się również wieść, że zamordowaną kobietą jest Sally Palmer, miasteczko otrzymało więc podwójny cios, który trudno było znieść. W ciągu kilku godzin gorączkowe podniecenie ustąpiło miejsca szokowi. Większość ludzi kurczowo trzymała się nadziei, że te dwa wydarzenia nie mają ze sobą związku i że druga „ofiara” wróci do domu cała i zdrowa.

Ale nadzieja malała z minuty na minutę.

Kiedy Lyn nie wróciła do domu, jej mąż Marcus poszedł jej szukać. Później przyznał, że początkowo zupełnie się tym nie przejął. Jeszcze nie wiedział, że kobietą z mokradeł jest Sally Palmer. Myślał, że żona pobiegła inną trasą i zwyczajnie zablądziła. Ponieważ już się to zdarzało, idąc ścieżką w kierunku jeziora i

wykrzykując jej imię, był trochę poirytowany. Lyn miała tego dnia dużo zajęć, a teraz, przez te głupie poranne przebieżki, spóźnić się mógł i on.

Bez większego niepokoju przeszedł ścieżką między trzcinami i zagłębił się w las. Gdy znalazł martwą kaczkę, przywiązaną do kamienia, jego pierwszą reakcją był gniew na bezsensowne okrucieństwo ludzi. Przez całe życie mieszkał na wsi i nie miał czasu na sentyment do zwierząt, ale nie znosił sadyzmu. I dopiero wtedy, kiedy pomyślał o tym w ten sposób, po raz pierwszy ogarnął go strach. Próbował sobie wmówić, że martwa kaczka nie może mieć nic wspólnego z Lyn, że to absurd. Ale trudno jest wyzbyć się strachu, kiedy się już zagnieździ.

Zagnieździł się na dobre i stale narastał, podsycany echem rozbrzmiewających między drzewami nawoływań, które wciąż pozostawały bez odpowiedzi. Wracając, z trudem zachowywał spokój. Szedł szybko w kierunku jeziora i powtarzał sobie, że Lyn na pewno czeka na niego w domu. Wtedy zobaczył coś, co spowodowało, że ostatnia nadzieja prysła jak bańka mydlana.

Na wpół ukryty pod korzeniem drzewa leżał jej stoper.

Marcus podniósł go, zobaczył pęknięty pasek i rozbite szkieleto. Ogarnięty paniką rozejrzał się wokoło, szukając innych śladów. Ale nie znalazł żadnych. A przynajmniej ich nie rozpoznał. Tak, zauważył drewniany palik wbity w ziemię, ale nie zdawał sobie sprawy, że ma jakieś znaczenie. Dopiero kilka godzin później policyjni technicy mieli stwierdzić, że jest to część wnyków i że na ziemi zakrzepło kilka kropel krwi Lyn.

Ale po samej Lyn nie było ani śladu.

## Rozdział 8

W poszukiwaniach pomagało prawie całe miasteczko. Kiedy indziej i w innych okolicznościach ludzie pomyśleliby pewnie, że Lyn Metcalf po prostu uciekła. O tak, byli dobrym małżeństwem, szczęśliwym - taka panowała opinia. Ale nigdy nic nie wiadomo. Ponieważ jednak zaginęła zaraz po zabójstwie innej kobiety, jej zniknięcie natychmiast nabrało złowieszczych cech. Policja skoncentrowała się głównie na lesie i ścieżkach, którymi biegła, i każdy, kto tylko mógł chodzić, chciał pomóc ją znaleźć.

Był piękny letni wieczór. Słońce stało tuż nad horyzontem, jaskółki tańczyły swój podniebny taniec i wszędzie czuło się niemal świąteczny nastrój, rzadkie w Manham poczucie solidarności, jedności i zdecydowania. Ale nie sposób było zapomnieć, po co tam przyszli. Co więcej, musieli też pogodzić się z inną, jakże gorzką i trudną do przełknięcia prawdą.

Ten, kto to zrobił, był jednym z nich.

Nie mogli już dłużej zrzucić winy na kogoś z zewnątrz. Już nie. To, że obydwie kobiety pochodziły z Manham, nie było zwykłym przypadkiem, a już na pewno nie zbiegiem okoliczności. Nikt nie wierzył, żeby ktoś obcy mógł zostać tu po zabójstwie Sally Palmer albo wrócić, żeby zabić ponownie. Co oznaczało, że ten, kto zadzgał Sally i zastawił sidła na Lyn, musiał być jednym z nich. Owszem, istniało prawdopodobieństwo, że zrobił to ktoś z sąsiedniej wioski, ale nasuwało się pytanie, dlaczego akurat tutaj? I dlaczego aż dwa razy? Znacznie bardziej prawdopodobna była druga możliwość. Bardziej prawdopodobna i o wiele bardziej przerażająca. Zналиśmy nie tylko te dwie kobiety. Zналиśmy również bestię, która je zabiła.

Świadomość ta powoli zapuszczała korzenie, gdy wyruszyliśmy na poszukiwania. I chociaż jeszcze nie rozkwitła, puszczała już pierwsze pędy. Widać to było choćby po tym, jak ludzie na siebie patrzyli. Wszyscy słyszeli o mordercach, którzy uczestniczyli w poszukiwaniach. O tym, że publicznie wyrażali odrazę i współczucie, że wylewali krokodyle łzy, mając na rękach ledwie zaschniętą krew ofiary i serce ropiejące od jej ostatnich krzyków i błagań. Dlatego chociaż rozgarniając trawę i zaglądając za każdy krzak, mieszkańcy Manham okazywali wielką solidarność, zaczynała lęgnąć się wśród nich podejrzliwość.

Przyłączyłem się do nich zaraz po dyżurze. Głównym ośrodkiem koordynacyjnym była policyjna przyczepa na brzegu lasu, niedaleko miejsca, gdzie Marcus Metcalf znalazł stoper żony; ponieważ las rósł na skraju miasteczka, samochody musiały pokonać kilkaset metrów przez żywopłoty i chaszcze. Niektórzy trafili tam przypadkowo, ale większość przyciągnęło niezwykle jak na Manham poruszenie. Było kilku reporterów, ale tylko z prasy lokalnej. Ci z krajowej niczego jeszcze nie zwęszyli, a może po prostu uznali, że morderstwo i uprowadzenie to nie news. Już niebawem miało się to zmienić, ale na razie robiliśmy swoje, korzystając ze względnej anonimowości.

Żeby lepiej skoordynować akcję poszukiwawczą, rozstawiono stół. Była to w sumie świetna okazja do wykreowania pozytywnego wizerunku policji: wystarczyło dać ludziom poczucie, że robią coś pożytecznego, i dopilnować, żeby ochotnicy nie wchodzili w paradę zawodowcom. Przybyli licznie, ale Manham leżało w tak dzikiej okolicy, że nie sposób było dokładnie jej przeczesać. Mogła wessać wszystkich jak gąbka, nie zdradzając swych tajemnic.

Zobaczyłem Marcusa Metcalfa. Stał w grupie mężczyzn, jednak trochę na uboczu. Miał nieco bezkształtną posturę robotnika fizycznego, mocno opaloną twarz, która w normalnych okolicznościach byłaby przyjemna i wesoła, i gęste, jasne włosy. Ale teraz był przybity, błydy i wymizerowany. Tuż obok niego stał pastor Scarsdale, któremu wreszcie trafiła się sytuacja pasująca do surowości bijącej z jego oblicza. Zastanawiałem się, czy nie podejść do Marcusa i... I co? Przekazać mu wyrazy ubolewania? Złożyć kondolencje?

Powstrzymała mnie pustota cisnących się na usta słów, wspomnienie niezręcznych wypowiedzi prawie obcych mi ludzi. Dlatego zostawiłem go pod troskliwą opieką pastora i podszedłem do stołu.

Decyzji tej miałem potem bardzo żałować.

Spędziłem kilka kompletnie bezproduktywnych godzin na brodzeniu po bagnistych łąkach. W mojej grupie był między innymi Rupert Sutton, który skorzystał widocznie z okazji, żeby uciec od swojej apodyktycznej matki. Chociaż szliśmy powoli, omijając grząskie oczka, wielki, gruby i zasapany z trudem za nami nadązał. Ale nadązał. Raz potknął się i upadł na kolana. Gdy pomagałem mu wstać, doszedł mnie zwierzęcy zapach jego potu.

- Niech to szlag - wydyszał zażenowany i zaczerwienił się, patrząc na warstwę błota, która pokrywała mu dłonie jak rękawiczki. Miał zaskakująco cienki, niemal dziewczęcy głos. - Niech to szlag - powtórzył, wściekle mrugając.

Ludzie prawie się do siebie nie odzywali. Kiedy gęstniejący mrok uniemożliwił dalsze poszukiwania, postanowiliśmy zawrócić. Atmosfera była ponura, tak jak ciemniejący krajobraz. Wiedziałem, że wielu z nas wpadnie do Owieczki, łaknąc bardziej towarzystwa niż alkoholu. Niewiele brakowało i pojechałbym prosto do domu. Ale nie chciałem być sam, podobnie jak niemal wszyscy pozostali tego wieczoru. Zaparkowałem przed pubem i wszedłem do środka.

Nie licząc kościoła, pub Pod Czarną Owieczką był najstarszym domem w miasteczku i jako jeden z nielicznych już budynków w Manham miał kryty słomą dach. Wszędzie indziej, a już na pewno w bardziej uczęszczanych okolicach Broads, doprowadzono by go do stanu cukierkowej szacowności, ale ponieważ bywali tam tylko miejscowi, pub powoli popadał w ruinę i nikt nie próbował temu zapobiec. Słoma gniła, niepomalowane ściany były brudne i popękane.

Tego wieczoru interes szedł pełną parą, chociaż atmosfera zdecydowanie nie sprzyjała. Rozmowy były przyciszone, pozdrowienia smutne i poważne. Gdy stanąłem przy ladzie, właściciel pubu pytająco zadął podbródek. Był ślepy na jedno oko, a powlekające je bielmo upodabniało go do starzejącego się labradora.

- Małe jasne, Jack.

- Brał pan udział w poszukiwaniach? - spytał, stawiając przede mną szklanę. Gdy kiwnąłem głową odsunął pieniądze. - Na koszt firmy.

Zdażyłem wypić tylko jeden łyk, gdy poczułem na ramieniu czyjąś ciężką rękę.

- Wiedziałem, że dzisiaj wpadniesz.

Tuż obok mnie jak spod ziemi wyrósł prawdziwy wielkolud. Rozmawiając z nim, musiałem zadzierać głowę.

- Cześć, Ben.

Ben Anders miał ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i szerokie na metr bary. Był strażnikiem w rezerwacie przyrody Hickling Broad i od urodzenia mieszkał w Manham. Rzadko się widywaliśmy, ale bardzo go lubiłem. Był miłym kompanem, dobrze się z nim gadało i milczało. Miał sympatyczny, niemal rozmarzony uśmiech na kościstej twarzy, która wyglądała tak, jakby najpierw ją zmięto, a potem niedokładnie wygładzono. Mocno opalony miał oczy niezwykle jasne i zielone. Zazwyczaj tryskały humorem, ale tego wieczoru były smutne.

Podparł się łokciem i mruknął:

- Kiepska sprawa.

- Kiepska.

- Widziałem ją dwa dni temu. Beztroska i wesolutka jak skowronek. No, a potem Sally Palmer. Jak dwa gromy z jasnego nieba.

- Wiem.

- Chryste, mam nadzieję, że gdzieś wyjechała. Ale marnie to wygląda, co?

- Bardzo marnie.

- Biedny Marcus. Wolę nie myśleć, co teraz przeżywa. - Zniżył głos, żeby nikt go nie podsłuchał. - Podobno ten skurwiel pochłastał Sally nożem. Jeśli teraz dopadł Lyn... Chryste, skreśliłbym sukinsynowi kark.

Wbiłem wzrok w szklanę. Najwyraźniej nikt jeszcze nie wiedział, że pomagałem policji. Cieszyłem się z tego, ale i czułem niezręcznie, trochę jak kłamca.

Ben pokręcił potężną głową.

- Myślisz, że są jakieś szanse?

- Nie wiem. - Była to najszczerza odpowiedź, jakiej mogłem udzielić. Pamiętałem słowa Mackenziego. Jeśli się nie mylił, Sally Palmer zamordowano prawie trzy dni po jej zniknięciu. Nie byłem specjalistą od portretów psychologicznych, ale wiedziałem, że seryjni mordercy postępują według określonego schematu. Zakładając, że zrobił to ten sam człowiek, Lyn mogła jeszcze żyć.

Jeszcze. Boże, czy to możliwe? Jeśli tak, ile czasu jej zostało? Wmawiałem sobie, że zrobiłem wszystko to, czego ode mnie oczekiwano, że więcej nie mogłem. Mimo to czułem, że jest to tania, naciągana wymówka.

Wyczułem, że Ben dziwnie mi się przygląda. ... - Przepraszam, zamyśliłem się.

- Pytałem, czy dobrze się czujesz. Lecisz z nóg.

- To był ciężki dzień.

- Mnie to mówisz? - Spojrzał w stronę drzwi i sposepniał jeszcze bardziej. - A już myślałem, że gorzej być nie może.

Poszedłem za jego wzrokiem i zobaczyłem w progu pastora Scarsdale'a. Gdy z surową miną ruszył do lady, powoli ustały rozmowy.

- Chyba nie będzie odprawiał tu nabożeństwa - mruknął Ben. Scarsdale odchrząknął.

- Panowie. - Z naganą w oczach spojrzął na kilka siedzących pod ścianą kobiet, ale nie raczył ich powitać.

- Chcę was zawiadomić, że jutro wieczorem odprawię mszę za Lyn Metcalf i Saily Palmer.

Mówił oschle, dźwięcznym, donośnym barytonem.

- Jestem przekonany, że wszyscy... - Powiedział wokoło wzrokiem. - Powtarzam, wszyscy przyjdziecie do kościoła, żeby okazać szacunek dla zmarłych i wesprzeć żyjących. - Zamilkł i sztywno skinął głową. - Dziękuję.

Idąc do drzwi, przystanął przede mną. Nawet latem bił od niego zapach pleśni. Ramiona jego czarnej, wełnianej marynarki były obsypane łupieżem, oddech cuchnął kulkami na mole.

- Ufam, że pana też tam zobaczę, doktorze.

- Jeśli tylko pacjenci pozwolą.

- Jestem pewien, że nikt z nas nie okaże się egoistą i nie powstrzyma pana od spełnienia obowiązku. - Nie byłem pewien, co miał na myśli. Zaszczycił mnie ponurym uśmiechem. - Poza tym większość pacjentów zastanie pan w kościele. Tragedie takie jak ta bardzo nas łączą. Jako mieszczuch uważa pan pewnie, że to dziwne. Ale my tu wiemy, co idzie przed czym.

Krótko skinął głową i wreszcie wyszedł.

- Oto prawdziwy chrześcijanin - mruknął Ben i podniósł pusty kufel, który ginął w jego wielkiej dłoni jak mała szklanka. - Przynieść ci jeszcze jedno?

Odmówiłem. Wystąpienie pastora bynajmniej nie poprawiło mi humoru. Już miałem dopić piwo i pójść do domu, gdy za plecami usłyszałem czyjś głos.

- Pan doktor?

Odwrociłem się. Stała przede mną młoda nauczycielka, którą poprzedniego dnia spotkałem w szkole.

- Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać...

- Nie szkodzi. To znaczy, zupełnie mi pani nie przeszkadza.

- Jestem nauczycielką Sama - zaczęła niepewnie. - Poznaliśmy się wczoraj. Pamięta pan?

Mam kiepską pamięć do nazwisk, ale jej nazwisko przypomniałem sobie natychmiast. Jenny. Jenny Hammond.

- Tak, oczywiście. Co u niego słyhać? Jak się czuje?

- Chyba dobrze. Dzisiaj nie było go w szkole. Ale kiedy wczoraj przyjechała po niego matka, czuł się już dużo lepiej.

Miałem do niego wpaść, ale przeszkodziły mi inne sprawy.

- Szybko dojdzie do siebie, tylko że przez kilka dni nie będzie go w szkole. Ale to chyba nie problem, prawda?

- Nie, nie, ale skąd... Cóż, chciałam tylko... Chciałam się tylko przywitać, to wszystko.

Była zażenowana. Myślałem, że podeszła, żeby wypytać mnie o Sama. Poniewczasie dotarło do mnie, że próbuje być po prostu przyjacielska.

- Przyszła pani z koleżankami ze szkoły? - spytałem.

- Nie, sama. Byłam na poszukiwaniach, a potem... Moja współlokatorka wyszła i nie chciałam siedzieć sama w domu.

Doskonale ją rozumiałem. Zamilkliśmy.

- Przynieść pani coś do picia? - Zadałem to pytanie w chwili, gdy powiedziała: „Cóż, do zobaczenia” i obydwójce roześmialiśmy się z zażenowaniem. - Czego się pani napije?

- Nie, nie, nie trzeba, naprawdę.

- I tak miałem iść do baru. - Mówiąc to, zdałem sobie sprawę, że moja szklanka jest prawie pełna. Miałem nadzieję, że tego nie zauważyła.

- W takim razie butelkę becka. Dziękuję.

Gdy dotarłem do lady, Ben właśnie od niej odchodził.

- Co, zmieniłeś zdanie? Zaczekaj, postawię ci. - Włożył rękę do kieszeni.

- Nie, nie, to nie dla mnie.

Zerknął ponad moim ramieniem i wykrzywił usta w lekkim uśmiechu.

- Jasne, rozumiem. Na razie.

Kiwnąłem głową czując, że pali mnie twarz. Zanim mnie obsłużono, zdążyłem dopić piwo. Zamówiłem drugie i wróciłem do Jenny.

- Na zdrowie - powiedziała i pociągnęła łyk z butelki. - Wiem, że właściciel tego nie lubi, ale ze szklanki gorzej smakuje.

- Ale ma mniej zmywania, więc w sumie robi mu pani przysługę.

- Powiem mu to, kiedy znowu zwróci mi uwagę. - Spoważniała. - Po prostu nie mogę w to uwierzyć. To straszne, prawda? Dwie kobiety i obydwie stąd, z Manham. Zawsze myślałam, że w takich miasteczkach jest bezpiecznie.

- Dlatego pani tu przyjechała?

Zabrzmiało to tak, jakbym wtykał nos w nie swoje sprawy, chociaż wcale tego nie chciałem. Popatrzyła na butelkę.

- Powiedzmy, że zmęczyło mnie życie w mieście.

- Gdzie pani mieszkała?

- W Norwich.

Zaczęła zrywać naklejkę z butelki. Zdała sobie sprawę, że to robi, i przestała. Uśmiechnęła się do mnie i pojaśniała jej twarz.

- A pan? Już ustaliliśmy, że pan też nie jest stąd.

- Tak, przyjechałem z Londynu.

- Dlaczego akurat do Manham? Skusiły pana kolorowe neony i upojne nocne życie?

- Coś w tym rodzaju. - Spostrzegłem, że oczekuje czegoś więcej. - Chyba z tego samego powodu co pani. Szukałem odmiany.

- No i chyba ją pan znalazł — odrzekła z uśmiechem. - Mimo to, podoba mi się tu. Powoli przywykam do życia na odludziu. Cisza, spokój. Ani tłumów, ani samochodów...

- Ani kin.

- Ani barów.

- Ani sklepów. Uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Od dawna pan tu mieszka?

- Od trzech lat.

- Długo trwało, zanim pana zaakceptowali?

- Ciągłe nad tym pracuję. Jeszcze dziesięć lat i niewykluczone, że zaczną mnie brać za stałego gościa. Oczywiście tylko ci najbardziej postępowi.

- Obłąd. Ja jestem tu dopiero od pół roku.

- Zatem turystka z pani.

Roześmiała się i już miała coś powiedzieć, gdy wtem przy drzwiach wybuchło jakieś zamieszanie. Ktoś krzyknął:

- Gdzie jest lekarz?! Jest tu lekarz?

Przepchnąłem się do mężczyzny, którego na wpół wniesiono, na wpół wprowadzono do pubu. Miał wykrzywioną z bólu twarz. Znałem go. Był to Scott Brenner, członek rozległej rodziny, która mieszkała w rozpadającym się domu na skraju Manham. Jego but i nogawka spodni były uwalane krwią.

- Posadźcie go - rzuciłem. - Ostrożnie. Co się stało?

- Wpadł w sidła. Jechaliśmy do przychodni, ale zobaczyliśmy pana samochód.

Powiedział to nie Scott, tylko jego brat Carl. Brennerowie byli hermetycznie zamkniętą rodziną. Oficjalnie pracowali na gospodarstwie, ale nie stronili też od kłusownictwa. Carl, żyłasty, zadzierzasty osiłek, był z nich najstarszy i podwijając przesiąkniętą krwią nogawkę Scotta, pomyślałem zgryźliwie, że przytrafiło się to nie temu z braci. Potem zobaczyłem ranę.

- Jesteście samochodem?

- Myśli pan, że przyszedł tu z nim na piechotę?

- To dobrze, bo musicie zawieźć go do szpitala. Carl zaklął.

- Nie może go pan pocerować?

- Mogę założyć tymczasowy opatrunek, to wszystko. Ale opatrunek tu nie wystarczy.

- Obetną mi nogę? - wysapał Carl.

- Nie, ale przez jakiś czas nie będziesz mógł biegać. - Wcale nie byłem tego taki pewny, chociaż powiedziałem to z przekonaniem w głosie. Zastanawiałem się, czy nie zabrać go do przychodni, ale uznałem, że dość się naciępał. - W samochodzie mam apteczkę, pod kocem z tyłu. Czy ktoś może ją przynieść?

- Ja pójdę - odparł Ben. Dałem mu kluczyki. Gdy wyszedł, poprosiłem o wodę i czyste ręczniki i zacząłem przemywać ranę.

- Jak to były sidła?

- Druciane - odrzekł Carl Brenner. - Zaciskają się na nodze. Mogą przeciąć ciało do kości.

I przecięły.

- Gdzie to było?

- Po drugiej stronie mokradeł - wychrypiął Scott, odwracając głowę, żeby nie widzieć tego, co robię. - Koło starego młyna...

- Szukaliśmy Lyn - wtrącił Carl, posyłając mu znaczące spojrzenie. Bardzo w to wątpię. Wiedziałem, o co chodzi. Podobnie jak większość

wiatraków w Broads, ten na skraju Manham nie był młynem, tylko zwyczajną pompą wodną, za pomocą której osuszano kiedyś bagnisko. Porzucony przed dziesiątkami lat, był teraz pustą, martwą skorupą i nie miał nawet skrzydeł. Nawet według tutejszych standardów, stał na pełnym odludziu i nadawał się idealnie dla kogoś, kto chciał polować lub zastawiać wnyki bez niepotrzebnych świadków. Ponieważ Brennerowie cieszyli się taką reputacją, jaką się cieszyli, bardziej prawdopodobne było, że poszli tam właśnie po to, a nie z poczucia obowiązku obywatelskiego. Ciekawe, pomyślałem, obmywając raną. Czyżby wpadł we własne sidła? Scott jakby czytał w moich myślach.

- To nie były nasze-jęknął.

- Scott! - warknął Carl.

- Bo nie były! Ktoś zastawił je w trawie, na ścieżce. I były za duże na zająca czy jelenia.

Ludzie powitali to oświadczenie głuchym milczeniem. Chociaż policja oficjalnie tego nie potwierdziła, wszyscy słyszeli, że w lesie, gdzie zaginęła Lyn, znaleziono drucziane wnyki.

Wrócił Ben z apteczką. Oczyszczyłem ranę najlepiej, jak umiałem.

- Niech trzyma nogę do góry. I jak najszybciej zawieźcie go do szpitala. Carl pomógł bratu wstać, chwycił go pod ramię i wyprowadził z pubu.

Umyłem ręce i wróciłem do Jenny.

- Wyjdzie z tego? - spytała.

- Zależy, jak bardzo ma uszkodzone ścięgna. Przy odrobinie szczęścia będzie lekko utykał. Pokręciła głową.

- Boże, co za dzień.

Podszedł do nas Ben z kluczami.

- Żebyś nie zapomniał.

- Dzięki.

- Jak myślisz? Ma to coś wspólnego ze zniknięciem Lyn?

- Nie wiem - odparłem. Ale tak jak wszyscy pozostali, miałem złe przeczucia.

- Dlaczego ma mieć? - spytała Jenny.

Ben jakby się zawahał. Zrozumiałem, że się nie znają.

- Ben, to jest Jenny — powiedziałem. - Uczy w naszej szkole. Potraktował to jako przyzwolenie.

- Dlatego, że to za dużo jak na zwykły przypadek. Nie żebym współczuł Bremerom, bo to banda sukin... -

Urwał i zerknął na Jenny. - Cholera, mam nadzieję, że się mylę, że to jednak przypadek.

- Nie rozumiem.

Ben spojrzał na mnie, ale ja nie zamierzałem nic mówić.

- Bo jeśli mam rację, to znaczy, że to ktoś z nas. Z miasteczka.

- Nie wiadomo, nie wierzę - zaprotestowała Jenny.

- Cóż, zobaczymy - odparł Ben. Jego twarz mówiła co innego, ale był zbyt taktowny, żeby się z nią sprzeczać. - I tym akcentem chyba się pożegnają.

Dopił piwo i ruszył do drzwi. Jakby po namyśle odwrócił się do Jenny.

- To nie moja sprawa, ale przyjechała pani samochodem?

- Nie. Dlaczego?

- Bo samotny powrót do domu nie jest chyba dobrym pomysłem. I posławszy mi znaczące spojrzenie, odszedł.

Jenny uśmiechnęła się niepewnie.

- Myśli pan, że jest aż tak źle?

- Oby nie. Ale Ben ma rację. Pokręciła głową.

- Nie do wiary. Jeszcze dwa dni temu było to najspokojniejsze miejsce na ziemi!

Dwa dni temu Sally Palmer od dawna nie żyła, a odpowiedzialna za jej śmierć bestia polowała już na Lyn Metcalf. Ale nie powiedziałem tego na głos.

- Ma pani z kim wrócić?

- Nie, ale nic mi nie będzie. Dam sobie radę.

W to nie wątpię. Ale pod maską przekory i lekceważenia dostrzegłem na jej twarzy wyraz zdenerwowania.

- Podrzucę panią.

Wróciwszy do domu, usiadłem w ogrodzie. Noc była ciepła i zupełnie bezwietrzna. Zadarłem głowę i popatrzyłem na gwiazdy. Księżyc był prawie w pełni i wisiał na niebie jak asymetryczny dysk w białej aureoli. Próbowałem podziwiać jego upstrzoną plamami powierzchnię, ale mój wzrok powoli opadał coraz niżej i niżej, by spocząć w końcu na czarnym lesie za łąką. Lubiłem ten widok nawet w nocy. Ale patrząc na nieprzenikniony mur drzew, tego wieczoru poczułem się nieswojo.

Wszedłem do domu, nalałem sobie trochę whisky i wróciłem do ogrodu. Było już po północy i musiałem wcześniej wstać. Ale chwytalem się wszystkich pretekstów, żeby tylko opóźnić moment, kiedy będę musiał pójść spać. Na szczęście choć raz miałem za dużo do myślenia, żeby odczuwać zmęczenie.

Odprowadziłem Jenny do małego domku, który wynajmowała na spółkę z koleżanką. Ostatecznie zrezygnowaliśmy z samochodu. Noc była ciepła i jasna, poza tym Jenny mieszkała ledwie kilkaset metrów dalej. Idąc, opowiadała mi o swojej pracy i uczniach. Tylko raz nawiązała do przeszłości, wspominając, że kiedyś pracowała w szkole w Norwich. Ale wspomniała o tym bardzo pobieżnie, szybko ukrywając to pod lawiną słów. Udałem, że niczego nie zauważyłem. Zresztą to nie była moja sprawa.

Gdy szliśmy wąską ścieżką w stronę jej domu, gdzieś w pobliżu zaszczekał nagle lis. Jenny chwyciła mnie za ramię.

- Przepraszam - powiedziała, zabierając rękę tak szybko, jakby się sparzyła. Roześmiała się zmieszana. - Po tylu miesiącach powinnam już do tego przywyknąć.

Zrobiło się tak jakoś niezręcznie. Przystanęła przy furtce.

- Cóż... Dziękuję.

- Nie ma za co.

Uśmiechnęła się po raz ostatni i zniknęła za ogrodzeniem. Zaczekałem, aż szczęknę zamek i zawróciłem. Szedłem przez ciemne miasteczko, czując dotyk jej ręki na nagim ramieniu.

Teraz też go czułem. Piłem whisky, krzywiąc się na wspomnienie tego, jak bardzo mną to wstrząsnęło. I to tylko dlatego, że przypadkowo dotknęła mnie młoda kobieta. Nic dziwnego, że zamilkła.

Dopiłem whisky i wszedłem do domu. Ale coś ciągle nie dawało mi spokoju, ciągle miałem wrażenie, że muszę coś zrobić. Myślałem przez chwilę i wreszcie sobie przypomniałem. Scott Brenner. Nie byłem pewny, czy brat pozwoli mu powiedzieć policji o sidłach. Być może nie miało to żadnego znaczenia, ale Mackenzie musiał się o tym dowiedzieć. Znalazłem jego wizytówkę i zadzwoniłem na komórkę. Dochodziła pierwsza w nocy, ale zawsze mogłem zostawić mu wiadomość na poczcie głosowej.

Odpowiedział natychmiast.

- Tak?

- Mówi David Hunter - zacząłem zaskoczony. - Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale chciałem się tylko upewnić, czy skontaktował się z wami Scott Brenner.

- Kto? - Mackenzie był zirytowany i zmęczony. Opowiedziałem mu, co się stało.

- Gdzie to było? - spytał, gdy skończyłem; zmęczenie natychmiast z niego wyparowało.

- Koło starego młyna, półtora kilometra na południe stąd. Myśli pan, że ma to jakiś związek z Lyn?

Chwilę trwało, zanim rozpoznałem ten odgłos: Mackenzie przetarł twarz i zaszeleściły mu wąsy.

- A co tam - mruknął. - Jutro i tak mieliśmy to ujawnić. Podczas poszukiwań poharatało się dwóch moich. Jeden wpadł w sidła, drugi do jakiejś dziury z zaostrzoną żerdzią na dnie.

Powiedział to z nieukrywaniem gniewem w głosie.

- Dlatego trzeba założyć, że ten, kto porwał Lyn Metcalf, czekał, aż przyjdziemy jej szukać.

Tej nocy przebudzeniu nie towarzyszył żaden wstrząs. Po prostu stwierdziłem, że już nie śpię, że mam otwarte oczy i patrzę na światło księżyca wpadające przez okno. Po raz pierwszy od długiego czasu chodziłem tylko we śnie, po raz pierwszy od długiego czasu obudziłem się w łóżku. Lecz sen pamiętałem tak dobrze, jakby nie był snem, jakbym przed chwilą przeszedł z jednego pokoju do drugiego.

Sceneria była zawsze ta sama. Domek, którego nigdy nie widziałem na jawie, nieistniejące miejsce, w którym mimo to czułem się jak w domu. I Kara i Alice, pełne życia, jak prawdziwe. Rozmawialiśmy o moim dniu, o niczym konkretnym, tak jak wtedy, gdy jeszcze żyły.

A potem budziłem się, by stawić czoło bezlitosnemu faktowi, że obydwie nie żyją.

Przypomniały mi się słowa Lindy Yates. „Takie sny nie śnią się bez powodu”. Ciekawe, czego doszukałaby się w moim. Mniej więcej wiedziałem, co powiedziałby psychiatra, a nawet psycholog amator, taki jak choćby Henry. Rzecz w tym, że moje sny nie dawały się ująć w karby racjonalnych teorii. Ich logika, plastyczność i namacalność zupełnie nie przypominały tych z normalnego snu. I chociaż nie chciałem tego przyznać nawet przed samym sobą podświadomie nie wierzyłem, że były tylko zwykłymi snami.

Ale gdybym kiedyś uwierzył, zrobiłbym pierwszy krok na drodze, którą bałem się iść. Bo istniał tylko jeden sposób, żeby móc połączyć się z rodziną i wiedziałem, że byłby to nie akt miłości, tylko rozpacz.

Jeszcze bardziej przerażało mnie, że czasem miałem to gdzieś.

## Rozdział 9

Nazajutrz rano przybyło rannych. Były to zupełnie odrębne przypadki, gdyż żadna z tych osób nie przebywała w pobliżu miejsc, gdzie natrafiono na pułapki poprzedniego dnia. Jedna z nich, policjantka, nadziła się w zamaskowanym dole na zaostrzoną żerdź, która przebiła jej łydkę. Podobnie jak Scotta Brennera, opatrzyłem ją i odesłałem do szpitala na szycie. Rana drugiej ofiary, Dana Marsdena, miejscowego robotnika, była bardziej powierzchowna, gdyż drucziana pętla tylko częściowo przecięła jego graby, skórzany but.



- Chryste, chciałbym dorwać tego skurwysyna - wysyczał Marsden przez zaciśnięte zęby, gdy go opatrywałem.

- Były dobrze ukryte?

- Kurde, były niewidoczne! I wielkie! Co on chciał w nie złapać?

Nie odpowiedziałem. Było całkiem prawdopodobne, że złapał dokładnie to, co chciał.

Mackenzie też tak uważał. Zarządził chwilową przerwę w poszukiwaniach Lyn i kazał zorganizować punkt doraźnej opieki medycznej w centrum koordynacyjnym. Wydał również komunikat, w którym przestrzegał wszystkich przed wchodzeniem do lasu i na mokradła. Rezultatu można było się domyślić. Jeśli przedtem w miasteczku panowała atmosfera odrętwiałego szoku, wiadomość, że okolice Manham przestały być bezpieczne, przyniosła pierwszą falę prawdziwego strachu.

Oczywiście znaleźli się i tacy, którzy nie chcieli w to wierzyć albo uparcie powtarzali, że nic nie odstraszy ich od chodzenia tam, gdzie chodzili przez całe życie. Trwało to, dopóki jeden z najgłośniejszych buntowników, który dodał sobie odwagi kilkoma kwartami piwa w Owieczce, nie wpadł do przykrytej suchą trawą dziury i nie złamał sobie nogi w kostce. Jego przeraźliwe wrzaski podziały o wiele skuteczniej niż jakiegokolwiek ostrzeżenia.

Ponieważ ściągnięto policyjne posiłki, ocknęli się wreszcie reporterzy z prasy krajowej, którzy zjechali tu gromadnie z mikrofonami i kamerami. Manham zaczynało wyglądać jak obłożone miasto.

- Na razie mamy dwa rodzaje pułapek - powiedział Mackenzie. - Druciane wnyki, jakie potrafi zastawiać każdy kłusownik. Z tym że te są na tyle duże, że mieści się w nich stopa dorosłego człowieka. I zaostrome żerdzie. Żerdzie są jeszcze gorsze. Ten facet to albo były wojskowy, albo zorganizował tu sobie szkołę przetrwania. Albo ma paskudną wyobraźnię.

- Powiedział pan „na razie”?

- Ten, kto zastawia te pułapki, dobrze wie, co robi. Wszystko sobie starannie zaplanował. Musimy założyć, że będzie więcej niespodzianek.

- Może właśnie tego chce? Może chce uniemożliwić poszukiwania?

- Pewnie tak. Ale nie możemy ryzykować. Te, które znaleźliśmy, tylko ranią. Ale jeśli będziemy dalej łazić po lasach, następnym razem ktoś może stracić życie.

Zamilkł. Dojechaliśmy do skrzyżowania i zaczął niecierpliwie bębnić palcami w kierownicę, czekając, aż ruszy stojący przed nami samochód. Spojrzałem w okno. W ciszy ogarniał mnie coraz większy niepokój.

Z samego rana zadzwoniłem do niego i powiedziałem, że jeśli nadał tego chce, zbadam szczątki Sally Palmer. Wiedziałem o tym od chwili przebudzenia, jakbym podjął decyzją we śnie. I pewnie tak było.

Ale tak naprawdę nie miałem pojęcia, na ile mu się przydam. Zakładając, że nie wyszedłem jeszcze z wprawy i niczego nie zapomniałem, w najlepszym razie mógłbym pewnie bliżej określić czas, jaki upłynął od chwili śmierci ofiary. Nie miałem złudzeń, że pomogę tym Lyn. Po prostu siedzenie z założonymi rękami nie wchodziło dłużej w rachubę.

Co wcale nie oznaczało, że się z tego cieszyłem.

Kiedy mu to zakomunikowałem, nie był ani zaskoczony, ani mi nawet nie podziękował. Odparł tylko, że skontaktuje się z szefostwem i da mi znać. Odkładając słuchawkę, czułem się zawieszony w próżni i w pierwszej chwili pomyślałem, że źle oceniłem sytuację.

Ale oddzwonił pół godziny później i spytał, czy mógłbym zacząć jeszcze tego dnia. Zaszło mi w ustach. Odrzekłem, że mogę.

- Zwłoki są u patologa. Wpadnę po pana o pierwszej.

- Mogę tam przyjechać.

- I tak muszę wrócić na posterunek. Poza tym mam do pana parę spraw. Musiałem prosić Henry'ego, żeby mnie zastąpił, i idąc do niego, zastanawiałem się jakich.

- Jasne. Coś się stało?

Henry patrzył na mnie wyczekująco. Nie powiedziałem mu jeszcze, po co zjawił się u mnie Mackenzie, ale wymagałoby to dłuższych wyjaśnień, a ja nie byłem na to gotowy. Wiedziałem jednak, że nie mogę dłużej zwlekać. Byłem mu winien przynajmniej tyle.

- Daj mi czas do końca tygodnia - odparłem. Do tej pory powinienem się ze wszystkim uporać, poza tym w weekend nie miałem na głowie pacjentów. - Wtedy ci powiem.

Przyjrzał mi się uważnie.

- Wszystko w porządku? Na pewno?

- Tak. Po prostu to trochę... skomplikowane.

- A co nie jest? O tej porze w zeszłym tygodniu nikomu do głowy by nie przyszło, że zaroi się tu od policji i wścibskich reporterów. Ciekawe, czym się to skończy.

Spróbował się uśmiechnąć.

- Dobra. Wpadnij w niedzielę na lunch. Lubię gotować i mam butelczynę przedniego Bordeaux. Już od dawna szukam pretekstu, żeby ją otworzyć. Z pełnym brzuchem lepiej się rozmawia.

Ciesząc się, że dał mi trochę czasu, przyjąłem zaproszenie.

Dojechaliśmy do ronda. W samochodzie pachniało mentolowym odświeżaczem powietrza i płynem po goleniu. I było czyściutko, jakby Mackenzie przed chwilą w nim sprzątał. Na ruchliwych ulicach i uliczkach panował chaos i hałas. Widok był znajomy, jednocześnie dziwny. Próbowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłem w mieście, i z zaskoczeniem stwierdziłem, że od tamtego deszczowego popołudnia, kiedy to zawitałem do Manham, ani razu stamtąd nie wyjeżdżałem. Miotaly mną sprzeczne uczucia, żal, że jednak wyjechałem, i zdumienie, że zaszyłem się na tak długo na odludziu.

Tymczasem tutaj życie toczyło się dalej.

Zobaczyłem grupę uczniów i nauczycielkę, która próbowała zapanować nad nimi przed szkołą. Tuż obok spieszenie przechodzili zaafetowani ludzie. Wszyscy żyli swoim własnym życiem, na które moje nie miało żadnego wpływu. Ani moje, ani innych.

- Drut z tych siideł jest dokładnie taki sam jak drut we wnykach, w które wpadła Lyn Metcalf- powiedział Mackenzie, ściągając mnie na ziemię. -I jak ten, którym przywiązano do kamienia kaczkę. Nie wiem, czy pochodzi z tej samej partii, ale to bezpieczne założenie.

- Ta kaczka... Jak pan to rozumie?

- Nie wiem, nie jestem pewien. Może miała ją przestraszyć. Albo to jakiś znak, swoisty podpis.

- Tak jak skrzydła na zwłokach Sally Palmer?

- Możliwe. A propos. Odezwał się ornitolog. To skrzydła łabędzia niemego. Często tu przylatują, zwłaszcza o tej porze roku.

- Myśli pan, że istnieje jakiś związek między łabędzimi skrzydłami i kaczką?

- Nie wierzę, że to przypadek. Może facet ma jakiś uraz do ptaków. - Mackenzie wyprzedził wolno jadącą półcięzarówkę. - Siedzą nad tym nasi psychologowie; może uda im się określić, z kim mamy do czynienia. Psychologowie i cała reszta, bo niewykluczone, że jest to część jakiegoś pogańskiego rytuału. Pogańskiego, satanistycznego, cholera go wie jakiego jeszcze.

- Ale pan tak nie uważa.

Chwilę zwlekał, zastanawiając się, co może mi powiedzieć. Wreszcie odparł:

- Nie, nie uważam. Wszyscy podniecili się tymi skrzydłami. Mówili, że zabójca wykorzystuje klasyczne lub religijne symbole, od anielskich skrzydeł poczynając, na Bóg wie czym kończąc. Ale teraz nie jestem tego pewien. Gdyby tę kaczkę złożono w ofierze albo okaleczono, to może. Ale drut i kamień? Nie, moim zdaniem, to robota jakiegoś gówniarza, który lubi męczyć zwierzęta. Który się popisuje.

- Tak jak z tymi wnykami.

- Tak, tak jak z wnykami. Zgoda, to nas spowalnia. Ciągłe myślimy, co jeszcze mógł przyszykować i nie możemy skupić się na poszukiwaniach. Tylko po cholere tyle zachodu? Widać, że to cwaniak, a cwaniak potrafiłby zatrzeć za sobą ślady. Tymczasem on zostawia kaczkę na widoku i nie usuwa siideł. Albo nie przejmuje się, że je znajdziemy, albo... Sam nie wiem.

- Znakuje swój teren?

- Coś w tym stylu. Pokazuje nam, kto tu rządzi. I nawet się zbytnio nie wysila. Zastawia wnyki w kilku strategicznych punktach, a potem staje z boku i przygląda się zabawie.

Myślałem o tym przez chwilę.

- Może chodzi mu o coś więcej?

- Na przykład?

- Doprowadził do tego, że nikt już nie chodzi do lasu ani na mokradła. Ludzie boją się wpaść w sidła.

Mackenzie zmarszczył brwi. -No i?

- Więc może nie tylko lubi się znęcać. Może lubi też straszyć. Mackenzie patrzył w zadumie przed siebie. Szyba była upstrzona resztkami martwych owadów.

- To możliwe - powiedział w końcu. - Mogę spytać, gdzie pan był wczoraj między szóstą a siódmą rano?

To zbiło mnie z pantaląku.

- O szóstej brałem pewnie prysznic. Potem zjadłem śniadanie i pojechałem do przychodni.

- O której?

- Mniej więcej za kwadrans siódma.

- Wcześniej.

- Źle spałem.

- Czy ktoś może to potwierdzić?

- Henry. Zaraz po przyjeździe wypilem z nim kawę. Czarną bez cukru, gdyby to pana interesowało.

- To są rutynowe czynności, doktorze. Brał pan udział w wielu śledztwach i dobrze pan o tym wie.

- Niech pan stanie.

- Co?

- Niech pan stanie.

Chciał coś powiedzieć, ale włączył migacz i zjechał na pobocze.

- Czy jestem tu w charakterze podejrzanego, czy mam wam pomóc?

- Niech pan posłucha, pytamy o to wszystkich...

- Nie odpowiedział pan na pytanie.  
- Dobrze, przepraszam, może nie powinienem z tym tak wyskakiwać. Ale musiałem spytać.  
- Jeżeli uważa pan, że miałem z tym coś wspólnego, nie powinno mnie tu być. Myśli pan, że się do tego palę? Byłbym szczęśliwy, gdybym już nigdy w życiu nie musiał oglądać żadnych zwłok. Więc jeśli mi pan nie ufa, równie dobrze mogę tu wysiąść.

Mackenzie westchnął.

- Nie, nie sądzę, żeby maczał pan w tym palce. Gdybym sądził, niech mi pan wierzy, że nie prosiłbym pana o pomoc. Chodzi po prostu o to, że pytamy o to wszystkich mieszkańców miasteczka. Pomyślałem, że załatwię to od razu, tu i teraz. Tyle. Rozumie pan?

Wciąż nie podobał mi się sposób, w jaki zadał mi to pytanie. Chciał mnie zaskoczyć, zobaczyć, jak zareaguję. Zastanawiałem się, czy cała ta rozmowa nie była swego rodzaju próbą. Ale czy podobało mi się to czy nie, na tym polegała jego praca. Zaczęło też do mnie docierać, że Mackenzie jest w tym dobry. Niechętnie kiwnąłem głową.

- Możemy jechać dalej?

Chcąc nie chcąc, musiałem się uśmiechnąć.

- Chyba tak. Ruszyliśmy.

- Jak długo to potrwa? - spytał po chwili, przerywając milczenie. - To badanie.

- Trudno powiedzieć. Dużo zależy od stanu zwłok. Patolodzy coś znaleźli?

- Niewiele. Ciało uległo zbyt dużemu rozkładowi, żeby stwierdzić, czy doszło do gwałtu. Było nagie, więc to prawdopodobne. Na korpusie i kończynach są liczne nacięcia, ale tylko powierzchowne. Nie potrafili nawet stwierdzić, co spowodowało śmierć, rany na głowie czy rana na szyi. Jest jakaś szansa, że rzuci pan na to trochę światła?

- Jeszcze nie wiem. - Widziałem zdjęcia i chodziło mi po głowie kilka pomysłów, ale nie chciałem się do niczego zobowiązywać. Najpierw musiałem mieć całkowitą pewność.

Mackenzie zerknął na mnie kątem oka.

- Pewnie pożałuję, że spytałem, ale co dokładnie chce pan zrobić?

Celowo próbowałem o tym nie myśleć. Ale odpowiedziałem automatycznie, odruchowo:

- Chcę prześwietlić ciało, chyba że już to zrobiono. Potem pobiorą próbki tkanki miękkiej, żeby ustalić CZ...

- CZ?

- Czas zgonu. Na podstawie analizy zmian chemicznych, jakie zaszły w ciele od chwili śmierci; bada się skład aminokwasów, nietrwałych kwasów tłuszczowych i stan rozkładu białka. Potem będę musiał usunąć resztki tkanek miękkich i obejrzeć sam szkielet. Zbadać urazy kości, dopasować je do narzędzia, które je spowodowało, i tak dalej.

Mackenzie z odrazą zmarszczył nos.

- Usunąć tkankę miękką? Jak?

- Jeśli zostało jej mało, można to zrobić skalpelem albo kleszczami. Albo przez kilka godzin gotować zwłoki w detergencie.

Mackenzie wykrzywił twarz.

- Teraz już wiem, dlaczego wolał pan zostać lekarzem - powiedział. I natychmiast się zreflektował. - Przepraszam.

- Nie ma sprawy.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Zauważyłem, że od czasu do czasu drapie się w szyję.

- Był pan z tym u specjalisty? - spytałem.

- Z czym?

- Z tym pieprzykiem. Ciągle się pan drapie. Szybko opuścił rękę.

- To tylko zwykłe swędzenie. - Skręcił na parking. - Jesteśmy na miejscu. Weszliśmy do szpitala i zjechaliśmy windą do piwnicy. Kostnica mieściła

się na końcu długiego korytarza. Jej zapach uderzył mnie, gdy tylko stanęliśmy w drzwiach, ostry, słodkawy, chemiczny odór, który zatykał płuca przy pierwszym wdechu. Wnętrze było studium bieli, błyszczącej nierdzewnej stali i szkła. Zza biurka wstała młoda Azjatka w białym kitlu.

- Dzień dobry - rzucił swobodnie Mackenzie. - Marina Patel, doktor Hunter. Marina będzie panu pomagała.

Azjatka uśmiechnęła się, gdy ściskaliśmy sobie ręce. Wciąż próbowałem się z tym oswoić, przywyknąć do scenerii zarówno znajomej, jak i obcej. Mackenzie zerknął na zegarek.

- Dobra, muszę lecieć. Niech pan do mnie zadzwoni, kiedy skończycie. Przyjadę i podrzucę pana z powrotem.

Gdy wyszedł, Azjatka spojrzała na mnie, czekając na polecenia.

- A więc jest pani patologiem, tak? - spytałem, żeby opóźnić tę nieuchronną chwilę.

- Jeszcze nie - odrzekła z szerokim uśmiechem. - Dopiero co skończyłam studia. Ale mam nadzieję, że kiedyś będę.

Kiwnąłem głową. Wciąż staliśmy tam jak dwa kolki w płocie.

- Chce pan obejrzyć ciało? - spytała w końcu. Nie. Nie chciałem.

- Oczywiście.

Dała mi fartuch i ruszyliśmy w stronę ciężkich wahadłowych drzwi. Za drzwiami znajdowało się małe pomieszczenie przypominające salę operacyjną. W środku było chłodno. Zwłoki leżały na stalowym stole. Wyglądały dziwnie nie na miejscu. Gdy Marina zapaliła górne światło, ukazały się w całej swej żalostnej okazałości.

Spojrzałem na to, co było kiedyś ciałem Sally Palmer. Ale z samej Sally nic już tam nie zostało. Krótkotrwała ulga szybko ustąpiła miejsca zawodowej obojętności.

- Dobrze - powiedziałem. - Zaczynamy.

Kobieta była bardzo stara. Miała zniszczoną pocętkowaną twarz, a jej rysy powoli traciły dawną wyrazistość. Z pochyloną głową, zdawała się dźwigać na ramionach ciężar całego świata. Mimo to, w jej rezygnacji było coś szlachetnego, jakby pogodziła się z losem, który nigdy jej nie sprzyjał.

Figura nieznannej świętej przykuła moją uwagę podczas nabożeństwa. Stała na kamiennym postumencie i nie wiem, co mi się w niej spodobało. Była topornie wyrzeźbiona i nawet jak na moje niewyrobane oko trochę nieproporcjonalna. Ale czy to dzięki łagodzącemu efektowi starości, czy to czemuś mniej uchwytnemu miała w sobie coś interesującego. Przetrawiała wieki, była świadkiem niezliczonych dni radości i smutku. I będzie tu stała czujna i milcząca długo po tym, gdy wszyscy inni odejdą w niepamięć. Przypominała, że dobre czy złe, wszystko przemija.

Myśl ta trochę mnie pocieszyła. W starym kościele było chłodno nawet w ciepły wieczór i nawet w ciepły wieczór pachniało w nim stęchlizną. Przez witrażowe okna, wypaczone i nierówne, wpadały do środka smugi niebieskiego i fioletoworóżowego światła. Główne przejście było wyłożone kamiennymi płytami, wygładzonymi przez ludzi i czas i poprzetykanymi prastarymi kamieniami nagrobnymi. Na tym, przy którym siedziałem, średniowieczny rzemieślnik wyrzeźbił ludzką czaszkę i wyrył napis: BYŁEM KIEDYŚ TAKIM JAK TY. TAKIM JAK JA BĘDZIESZ KIEDYŚ TY.

Poprawiłem się na twardej, drewnianej ławce, wsłuchując się w echo zdradzieckiego barytonu Scarsdale'a. To, co miało być zwykłym nabożeństwem, stało się dla niego pretekstem do narzucenia swoistej pobożności tym, których tu podstępnie ściągnął i przetrzymywał.

- Gdy modlimy się za duszę Sally Palmer i za wybawienie Lyn Metcalf, wszystkich nas dręczy niewątpliwie pytanie: Dlaczego? Dlaczego to się stało? Czy te dwie młode kobiety odebrano nam tak brutalnie za karę? Jeśli tak, za co nas ukarano? I właściwie kogo?

Chwyciwszy się obiema rękami za drewniany pulpit, Scarsdale potoczył wokoło gniewnym wzrokiem.

- Kara może spotkać nas w każdej chwili. I nie nam podważać jej zasadność. Nie nam krzyczeć, że to niesprawiedliwe. Bóg jest miłosierny, ale nie mamy prawa oczekiwać Jego łaski. Łaska Boża sływa na nas w sposób, którego nigdy nie pojmiemy. Sływa na nas nie po to, żebyśmy potępiali ją w swej niewiedzy.

Scarsdale wziął oddech, błysnęły flesze. Wpuścił reporterów do kościoła, co przydawało atmosferze niesamowitości. Jego mała zwykle gromadka wiernych rozrosła się nagle do tłumu. Gdy przyszedłem, prawie wszystkie ławki były już zajęte, tak że z trudem znalazłem wolne miejsce z tyłu.

O nabożeństwie przypominałem sobie, widząc ludzi przed kościołem. Do Manham odwiózł mnie małowówny policjant po cywilnemu, któremu rola taksówkarza wyraźnie nie przypadła do gustu. Gdy zadzwoniłem do Mackenziego, żeby powiedzieć mu, że już skończyliśmy, miał wyłączoną komórkę. Ale zostawiłem wiadomość na poczcie głosowej i niemal natychmiast oddzwonił.

- No i jak poszło?

- Pobrałem próbki do badań na chromatografie gazowym. Kiedy przyjdą wyniki, będę mógł dokładniej określić czas zgonu. Jutro rozpocznę oględziny szkieletu. Dowiemy się, jakiego narzędzia użyto.

Mackenzie był chyba rozczarowany.

- Ma pan coś jeszcze?

- Tylko jedno. Marina powiedziała mi, że według patologa, bardziej prawdopodobne jest, że śmierć nastąpiła w wyniku urazów głowy, a nie szyi.

- Pan się z tym nie zgadza?

- Nie twierdzą, że urazy głowy nie mogły być śmiertelne, ale gdy podrzynano jej gardło, Sally jeszcze żyła.

- Na pewno?

- Zwłoki za szybko wyschły. Nawet biorąc pod uwagę upał, schłyby znacznie wolniej, chyba że doszło do silnego krwotoku. Po śmierci to się nie zdarza, nawet jeśli ofiara ma poderżnięte gardło.

- Próbkę gleby z mokradła miały niską zawartość żelaza.

Oznaczało to, że w miejscu, gdzie znaleziono zwłoki, w ziemię wsiąkło bardzo mało krwi. Z przeciętych tętnic wytrysłoby jej tyle, że zawartość żelaza w glebie wystrzeliłaby w górę jak raketa.

- W takim razie zabito ją gdzie indziej.  
- A rany głowy?  
- Albo nie były śmiertelne, albo powstały, gdy już nie żyła. Mackenzie zamilkł, ale domyślałem się, o czym myśli. To, co przeszła Sally Palmer, czekało teraz Lyn Metcalf. I nawet jeśli jeszcze żyła, była to tylko kwestia czasu.

Chyba, że zdarzyłby się cud.

Scarsdaie trochę złagodniał.

- Niektórzy z was pytają zapewne, co takiego te biedaczki zrobiły, żeby zasłużyć sobie na taki los. Co takiego zrobiliśmy my wszyscy? - Rozłożył ręce. - Być może nie zrobiliśmy nic. Być może rację mają ci, którzy twierdzą że naszym wszechświatem nie kieruje żadna mądrość, że wszechświat ten powstał bez żadnego powodu.

Zrobił dramatyczną pauzę. Zastanawiałem się, czy nie gra pod kamery.

- A może nie dostrzegliśmy go dlatego, że zaślepiła nas nasza własna arogancja? Wielu z was nie było w kościele od lat. Jesteście zbyt zajęci, żeby przyjść tu i porozmawiać z Bogiem. Nie znałem ani Sally Palmer, ani Lyn Metcalf. Ich życie nie krzyżowało się z życiem kościoła. Nie ma jednak żadnych wątpliwości, że obydwie są tragicznymi ofiarami. Ale ofiarami czego?

Scarsdaie pochylił się do przodu i wyciągnął szyję.

- Wszyscy, każdy z nas powinien zajrzeć do własnego serca. Chrystus powiedział: „Ile zasiejecie, tyle zbierzecie”. I właśnie dzisiaj nadeszła pora zbierać owoce. Owoce nie tylko duchowej plagi, która nawiedziła naszą społeczność, ale i tego, że przymykaliśmy na nią oko. Zło nie zniknie tylko dlatego, że przestaniemy je dostrzegać. Tak więc gdzie powinniśmy szukać winy?

Powiódł wokół kościstym palcem.

- W nas samych. To my dopuściliśmy do tego, że pełza wśród nas ten szatański wąż. My, nikt inny. Dlatego teraz musimy modlić się do Boga o siłę, żeby go stąd wypędzić!

Zapadła cisza, bo ludzie próbowali to przetrwać. Ale Scarsdaie nie dał im czasu. Zadarł podbródek, zamknął oczy i błysnęły flesze aparatów fotograficznych, rzucając ruchome cienie na jego twarz.

- Módlmy się.

Przed kościołem nie było zwykłej po mszy kotłowaniny. Na skwerze stała pękata policyjna przyczepa i jej absurda obecność działała odstraszająco. Mimo wysiłków dziennikarzy, reporterów i kamerzystów, niewielu ludzi chciało udzielić wywiadu. Sprawa była wciąż zbyt świeża, zbyt prywatna. Oglądanie reportażu z tragedii, która dotknęła inne miasteczko, to jedno. Aktywne w niej uczestniczenie to drugie.

Tak więc natarczywe pytania dziennikarzy odbijały się jak groch od kamiennego muru taktownego, acz upartego milczenia. Nie licząc paru wyjątków, Manham odwróciło się plecami do świata zewnętrznego. To zaskakujące, ale jednym z tych wyjątków był pastor Scarsdale. Nie należał do osób, które szukają rozgłosu, ale tym razem najwyraźniej uznał, że może skumać się z diabłem. Sądząc po tonie jego kazania, najpewniej uważał, że to co się stało, jest ostatecznym potwierdzeniem jego powołania. W jego gniewnych oczach nieszczęście to udowodniło, że miał rację, dlatego ze wszystkich sił zaciskał sękaty palec, żeby okazja nie wyslizgnęła mu się z rąk.

Patrzyliśmy z Henrym, jak stojąc przed kościołem, wygłasza kolejne kazanie do łaknących sensacji dziennikarzy i jak kłębnią się za nim podekscytowane dzieci, które tratując zwiędłe kwiaty na pomniku Męczennicy, robiły wszystko, żeby znaleźć się w kadrze. Jeśli nie słowa, to na pewno jego głos dochodził aż pod kasztanowiec, gdzie przystanęliśmy. Zobaczyłem go tam zaraz po wyjściu z kościoła. Na powitanie posłał mi krzywy uśmiech.

- Nie mogłeś wejść? - spytałem.

- Nawet nie próbowałem. Chciałem okazać szacunek zmarłej, ale podbijać bębenek Scarsdale'owi? Słuchać, jak kipi jadem i żółcią? Po moim trupie. Co mówił? Że to kara boża za nasze grzechy? Że to nasza wina?

- Coś w tym stylu. Henry pogardliwie prychnął.

- Tylko tego nam potrzeba. Zaproszenia do paranoi.

Stojąc za Scarsdale'em, który wciąż prowadził tę zaimprovizowaną konferencję prasową zauważyłem, że trzódka jego zatwardziałych zwolenników bardzo się powiększyła. Do Lee i Majory Goodchildów, Judith Sutton, jej syna Ruperta i im podobnych dołączyli nowi, nawróceni jego płomiennym kazaniem, ci, których noga nie postąpiła w kościele od wielu lat. Gdy wielebny podniósł głos, żeby wbić coś do głowy filmującym go reporterom, patrzyli na niego z niemą aprobatą w oczach.

Henry pokręcił głową.

- Spójrz na niego - mruknął z odrazą. - Jest w swoim żywiole. Sługa boży? Ha! To dla niego okazja, żeby powiedzieć: „A nie mówiłem?”

- Ma trochę racji.

Henry obrzucił mnie sceptycznym spojrzeniem.

- Nie mów tylko, że ciebie też nawrócił.

- Nie on. Ten, kto za tym stoi, musi pochodzić stąd. To ktoś, kto dobrze zna okolicę. I nas.  
- W takim razie, niech nam Bóg dopomoże, bo jeśli Scarsdale postawi na swoim, będzie dużo gorzej.  
- To znaczy?  
- Widziałeś „Czarownice z Salem” Millera?  
- Tylko w telewizji.  
- Jeśli to potrwa dłużej, polowanie na czarownice, które opisuje Miller, to betka w porównaniu z tym, co rozpęta się tutaj, w Manham.

Myślałem, że żartuje, ale powiedział to zupełnie poważnie.

- Nie wychylaj się, David. Nawet bez Scarsdale'a, już niedługo ludzie zaczną oskarżać sąsiadów i wskazywać ich palcami. Uważaj i trzymaj się od tego z daleka.

- Chyba nie mówisz tego poważnie?

- Nie? Mieszkam tu dłużej niż ty. Dobrze wiem, jacy są nasi kochani przyjaciele i sąsiedzi. Już teraz ostrzą noże.

- Przesadzasz.

- Naprawdę?

Patrzył na wielebnego, który powiedziawszy to, co miał do powiedzenia, ruszył w stronę kościoła. Co bardziej natrętni reporterzy chcieli pobiec za nim, ale wtedy do akcji wkroczył Rupert Sutton, który szeroko rozłożywszy ręce, zagroził im drogę niczym wielka góra mięsa. Nikt nie miał ochoty z nim dyskutować.

Henry posłał mi znaczące spojrzenie.

- Coś takiego wydobywa ze wszystkich to, co najgorsze. Manham to małe miasteczko. A małe miasteczka rodzą małe umysły. Może to tylko czarnowidztwo, ale na twoim miejscu bym uważał.

Przez chwilę patrzył mi prosto w oczy, upewniając się, czy zrozumiałem, a potem spojrzał ponad moim ramieniem.

- Hmm, to twoja znajoma?

Odróciłem się i zobaczyłem młodą, pulchną, ciemnowłosą kobietę, która się do mnie uśmiechała. Czasami ją widywałem, ale nie pamiętałem jej nazwiska. Dopiero gdy się trochę przesunęła, wyjrzała zza niej Jenny. W przeciwieństwie do koleżanki, miała kwaśną minę.

Nie zważając na jej rozpaczliwe spojrzenia, ta pulchna podeszła krok bliżej.

- Cześć. Jestem Tina.

- Bardzo mi miło - odparłem, zastanawiając się, co jest grane. Jenny uśmiechnęła się nieśmiało. Była zdenerwowana i zażenowana.

- Witaj, Tino - powiedział Henry. - Jak tam mama?

- Już lepiej, dziękuję. Opuchlizna prawie zniknęła. - Tina spojrzała na mnie z błyskiem w oku. - Dziękuję, że odprowadził pan Jenny do domu. Mieszkamy razem. Miło jest wiedzieć, że są jeszcze prawdziwi dżentelmeni.

- To... to nie była żadna fatyga.

- Chciałam tylko powiedzieć, że musi pan do nas kiedyś wpaść. Na drinka albo na kolację. Zerknąłem na Jenny. Była czerwona jak piwonia. Czulem, że ja też.

- Ale...

- Może w piątek wieczorem?

- Tina, pan doktor jest na pewno...

Jenny chciała jej przerwać, ale ciemnowłosa Tina jej nie słuchała.

- Zajęty? Zawsze możemy to przełożyć.

- Nie, nie, tylko...

- Świetnie! Więc o ósmej.

Uśmiechając się od ucha do ucha, wzięła Jenny pod rękę i pociągnęła ją za sobą. Zamurowało mnie.

- Co to było? - spytał Henry.

- Nie mam zielonego pojęcia. Zrobił rozbawioną minę.

- Naprawdę!

- Opowiesz mi przy lunchu. - Henry spowaźniał. - Tylko pamiętaj, co ci powiedziałem. Nikomu nie ufaj. I miej oczy z tyłu głowy.

Z tymi słowami pchnął koła wózka i odjechał.

## Rozdział 10

Przez ciemny pokój płynęła muzyka, fałszywe tony tańczące wśród zwisających z niskiego sufitu przedmiotów. Jakby w kontrapunkcie do niej, kropelka ciemnego płynu rzeźbiła krętą linię, stale przyspieszając, by wreszcie ulec sile grawitacji. Spadając, przyjęła kształt idealnej kuli, lecz tylko na ułamek sekundy, gdyż zaraz potem roztrzaskała się o ziemię.

Oślupiała Lyn patrzyła na krew ściekającą z ręki na palce i z palców na podłogę. Krew utworzyła małą lecz ciągle poszerzającą się kałużę i zaczynała już gęstnieć i krzepnąć na brzegach. Ból promieniujący z

rozciętego ramienia zlewał się z bólem szarpiącym inne rany i czuła się tak, jakby bolało ją całe ciało. Krew malowała na skórze abstrakcyjny, lecz jakże okrutny wzór.

Zachwiała się, gdy fałszywie brzmiąca muzyka zwolniła i powoli ucichła. Ciesząc się z ciszy, oparła się o chropowatą kamienną ścianę i znowu wpił się jej w ciało sznur na kostkach u nóg. Miała poharatane czubki palców, gdyż leżąc w ciemności, przez wiele godzin na próżno próbowała go rozwiązać. Węzeł nie chciał puścić.

Stan niedowierzania i poczucia zdrady powoli minął i z czasem ogarnęła ją niemal całkowita rezygnacja. W tej ciemnej norze nikt jej nie współczuł, tyle wiedziała na pewno. Nie było tu ani cienia litości. Mimo to musiała próbować. Oświetlała ją jaskrawa lampa, więc przesłoniwszy oczy, spojrzała w mrok, skąd obserwował ją jej kat.

- Proszę... - Miała tak chrapliwy głos, że sama go nie rozpoznawała. -Błagam, dlaczego to robisz?

Odpowiedziała jej cisza, w której słychać było tylko jego oddech. W powietrzu wisiał zapach tytoniu. Coś zaszeleściło, ktoś się poruszył.

I ponownie zabrzmiała muzyka.

## **Rozdział 11**

W czwartek w Manham pochłodziło. Nie w sensie fizycznym, bo było jak zwykle upalnie. Ale czy to w nieuniknionej reakcji na ostatnie wydarzenia, czy to na kazanie wielebnego Scarsdale'a, z dnia na dzień klimat w miasteczku uległ radykalnej zmianie. Ponieważ winy za te wszystkie potworności nie można było dłużej zrzucać na obcych, ludziom pozostawało tylko jedno: zacząć czujnie obserwować sąsiadów i znajomych. Podejrzliwość wkradła się do miasteczka jak lotny wirus i choć początkowo niezauważalna, wkrótce zaraziła pierwsze ofiary.

I jak w przypadku każdej choroby zakaźnej, jedni byli na nią bardziej podatni, inni mniej.

Wracając wczesnym wieczorem z laboratorium, nie zdawałem sobie z tego sprawy. Zaproponowałem Henry'emu, że tym razem załatwię zastępstwo, ale on tylko machnął ręką.

- Jedź sobie, gdzie chcesz - powiedział. - Trochę pracy dobrze mi zrobi.

Jechałem z otwartymi oknami. Z dala od ruchliwych dróg powietrze pachniało kwiatowym pyłkiem, kręcącą w nosie słodkością która zagłuszała lekki siarkowy zapach schnącego w trzcinach błota. Była to miła odmiana po chemicznym odorze detergentów, który wciąż czułem w nosie i gardle. Prawie przez cały dzień badałem szczątki Sally Palmer. Gdy próbowałem porównać obraz tej żywej, otwartej kobiety - obraz, który wciąż nosiłem w pamięci - z obrazem jej wygotowanych w chemikaliach kości, od czasu do czasu targały mną sprzeczne uczucia. Ale nie chciałem o tym myśleć.

Na szczęście miałem co robić.

W przeciwieństwie do skóry, kość zachowuje odcisk wszystkiego, co ją naruszy. W przypadku Sally Palmer były to głównie małe zadrapania, które niczego nie zdradzały. Ale w trzech miejscach ostrze noża weszło na tyle głęboko, że zostawiło wyraźny ślad. Na płaskich kościach łopatek, gdzie zwyrodnialec przymocował skrzydła, widniały dwie prawie identyczne bruzdy. Każda miała piętnaście, może osiemnaście centymetrów długości i zrobiono je jednym płynnym cięciem. Wynikało to z tego, że bruzdy były płytsze na końcach i głębsze pośrodku; ostrze noża nie wbiło się w kość czubkiem, tylko przesunęło się po niej łukiem. Było to raczej cięcie niż dźgnięcie.

Za pomocą małej piły elektrycznej rozciąłem wzdłuż jedną z bruzd. Gdy uważnie badałem odsłoniętą powierzchnię kości, poczułem na sobie ciekawy wzrok Mariny. Kazałem jej podejść bliżej.

- Widzi pani te gładkie krawędzie? To znaczy, że nóż nie miał ząbków. Zmarszczyła czoło.

- Skąd pan wie?

- Bo ząbkowane ostrze zostawia ślad. Podobnie jak piła na drewnie.

- A więc to nie był ani nóż do chleba, ani na przykład do mięsa.

- Nie. Ale na pewno był ostry. Nacięcia są bardzo czyste, wyraźne. Widzi pani? I dość głębokie. Cztery, pięć milimetrów pośrodku.

- To znaczy, że nóż był duży?

- Chyba tak. Na przykład kuchenny albo rzeźnicki. Ale stawiałbym na myśliwski. Ostrza tych noży są cięższe, grubsze i mniej elastyczne. To ani się nie wygięło, ani nie zdrzało. A samo nacięcie jest dość szerokie. Nacięcia zrobione nożem do mięsa są dużo węższe.

Nóż myśliwski wskazywał również na profesję zabójcy, ale tego jej nie powiedziałem. Obfotografowałem i pomierzyłem bruzdy na łopatkach, a potem skupiłem uwagę na trzecim kręgu szyjnym. Był najbardziej zniszczony, ponieważ na nim oparło się ostrze, przeciąwszy ofierze gardło. Tu wyżłobienie było Inne, prawie trójkątne. Wyraźne dźgnięcie, nie cięcie. Morderca wepchnął nóż w S2yję, następnie przeciągnął ostrzem po krtani i tętnicy.

- Jest praworęczny - powiedziałem. Marina zerknęła na mnie.

- Wgłębienie w kości jest głębsze z lewej strony, płytsze z prawej. Ciął tak. - Przytknąłem palce do szyi i przeciągnąłem nimi z lewej do prawej.

- Nie mógł zrobić tego tak... tak jakby z bekhendu?

- Wtedy rana byłaby cięta, podłużna, tak jak te na łopatkach.  
- A z tyłu? Żeby nie obryzgała go krew. Pokręciłem głową.  
- To nie ma znaczenia. Mógł stać z tyłu, ale i tak musiałby ją objąć, przytknąć nóż czubkiem do szyi, wbić go i mocno pociągnąć. Na pewno nie dźgnął nim na wprost. To niewygodne, poza tym na kości pozostałby ślad innego kształtu.

Trawiła to przez chwilę w milczeniu. Wreszcie kiwnęła głową.

- Niesamowite.

Nie, pomyślałem. Zwyczajne. Zwyczajne, jeśli widziało się tyle co ja.

- Dlaczego mówi pan „on”? - spytała nagle.

- Słucham?

- Mówi pan o zabójcy w trzeciej osobie liczby pojedynczej rodzaju męskiego. „On”. Przecież nie było świadków, a zwłoki są w takim stanie, że nie sposób znaleźć dowodów gwałtu. Dlatego zastanawiam się, skąd pan o tym wie. - Zmieszana wzruszyła ramionami. - Czy to tylko zwrot retoryczny czy policja coś wykryła?

Nie myślałem o tym, ale miała rację. Podświadomie założyłem, że morderca jest mężczyzną. Wszystko na to wskazywało: siła fizyczna, ofiary płci żeńskiej. Ale fakt, trochę mnie to zaskoczyło.

- Siła nawyku - odparłem z uśmiechem. - W takich przypadkach mordercą jest zwykle mężczyzna. Ale nie, nie wiem tego na pewno.

Spojrzała na kości, które tak dokładnie badaliśmy.

- Ja też uważam, że to mężczyzna. Miejmy nadzieję, że złapią tego bydlaka. Myśląc o tym, co powiedziała, omal nie przeoczyłem ostatniego dowodu

rzeczowego. Przyglądałem się kręgom przez mikroskop, w jaskrawym świetle, i już miałem się wyprostować, gdy wtem coś przykuło moją uwagę. Maleńki, czarny płatek na samym dnie wyżłobienia w kości. Jakby tkanka zaczęła się w tym miejscu psuć, ale nie, na pewno się nie psuła. Ostrożnie to stamtąd wydłubałem.

- Co to? - spytała Marina.

- Nie mam pojęcia. - Czulem, jak wali mi serce. Bo bez względu na to, co znalazłem, czarny płatek musiał ześlizgnąć się z czubka noża w trakcie zadawania śmiertelnego ciosu. Może było to coś, może nic.

Może.

Wysłałem to do laboratorium kryminalistycznego na badanie spektrograficzne, którego nie umiałem przeprowadzić sam -nie wspominając już o tym, że nie dysponowałem odpowiednim sprzętem - i zacząłem robić gipsowe odlewy nacięć na kościach. Gdyby kiedykolwiek znaleziono nóż, policja będzie mogła zidentyfikować go, sprawdzając, czy ostrze pasuje do wyżłobień, przymierzyć go, tak jak Kopciuszek przymierzał pantofelek. Prawie skończyliśmy. Musieliśmy tylko poczekać na wyniki badań laboratoryjnych, badań nie tylko czarnego płatka, który wyskrobałem z kości, ale tych z poprzedniego dnia. Dzięki nim mógłbym określić dokładny czas zgonu i nie miałbym już nic do roboty. Moja rola w ustalaniu przyczyn śmierci Sally Palmer, o wiele bardziej intymna niż ta, jaką odegrałem w jej życiu, dobiegłaby końca. Mógłbym wrócić do normalnych zajęć i ponownie zaszyć się na odludziu.

Ale perspektywa ta nie przyniosła mi spodziewanej ulgi. A może już wtedy wiedziałem, że nie będzie to takie proste.

Właśnie umyłem i wytarłem ręce, gdy ktoś zapukał do stalowych drzwi. Marina poszła sprawdzić, kto to i wróciła z młodym policjantem. Popatrzyłem na kartonowe pudełko, które trzymał w rękach, i naszły mnie złe przecucia.

- Od inspektora Mackenziego.

Policjant rozejrział się, żeby postawić gdzieś pudełko. Wskazałem pusty stolik, dobrze wiedząc, co jest w środku.

- Inspektor powiedział, żeby przeprowadził pan takie same badania. Że będzie pan wiedział, o co chodzi. - Pudełko nie robiło wrażenia ciężkiego, mimo to policjant ciężko dyszał i miał zaczerwioną twarz. Pewnie zmęczyło go ciągłe wstrzymywanie oddechu. Odór był aż nadto wyczuwalny.

Gdy podszedłem do stolika, uciekł z sali. W plastikowej torbie w pudełku był pies Sally Palmer. Domyśliłem się, że Mackenzie chce, żebym przeprowadził analizę nietrwałych kwasów tłuszczowych, podobnie jak przeanalizowałem kwasy tłuszczowe jego właścicielki. Jeśli - a wszystko na to wskazywało - pies został zabity, gdy ją uprowadzono, wiedząc, kiedy zdechł, mógłbym określić, kiedy doszło do porwania. I jak długo żyła, zanim ją zamordowano. Nie było gwarancji, że zabójca postąpi tak samo w przypadku Lyn Metcalf. ale wiedzielibyśmy mniej więcej, na czym stoimy.

Posłałem Marinie smutny uśmiech.

- Wygląda na to, że późno dzisiaj skończymy.

Okazało się jednak, że nie trwało to długo. Pies jest dużo mniejszy, co ułatwiło nam pracę. Prześwietliłem go, a potem włożyłem do pojemnika z wrzącym detergentem. Za kilkanaście godzin nie pozostanie z niego



nic oprócz białego szkieletu. Myśl, że Sally i jej pies leżą w tym samym pomieszczeniu, poruszyła ukrytą struną, lecz nie byłem pewien, czy struna ta wydała dźwięk kojący czy żalobny.

Pod Manham droga wiała się, opadała i pięła do góry i w promieniach zachodzącego słońca jezioro wyglądało tak, jakby stało w ogniu. Mrużąc oczy, zsunąłem na nos ciemne okulary. Przez chwilę nic nie widziałem zza oprawek, lecz zaraz potem zobaczyłem kogoś na poboczu. Zaskoczyło mnie, że jest tak blisko, ale szła pod słońce, dlatego rozpoznałem ją dopiero wtedy, gdy ją minąłem. Zatrzymałem się i cofnąłem.

- Podwieźć panią?

Lynda Yates rozejrzała się wokoło z taką miną, jakbym zadał jej trudne pytanie.

- Nie po drodze panu.

- Nie szkodzi. To tylko kilka minut. Niech pani wsiada. Nachyliłem się i otworzyłem drzwiczki. Wciąż się wahała, więc dodałem:

- Zresztą i tak miałem wpaść do Sama.

Imię syna przeważyło szalę. Wsiadła. Pamiętam, że usiadła bardzo blisko drzwiczek, ale wtedy nie zwróciłem na to uwagi.

- Jak się czuje? - spytałem.

- Lepiej.

- Poszedł do szkoły? Wzruszyła ramionami.

- To chyba bez sensu. Jutro kończą.

Słusznie. Straciłem rachubę czasu, zapomniałem, że to już koniec roku i początek długich letnich wakacji.

- A Neil?

Po raz pierwszy się uśmiechnęła. Krótko i gorzko.

- Neil? Jemu nic nie jest. Wdał się w ojca.

Wyczułem w tym jakiś podtekst rodzinny i wolałem nie drażnić tematu.

- Wraca pani z pracy? - Wiedziałem, że czasem sprząta w paru sklepach w miasteczku.

- Byłam w supermarkecie. - Na dowód pokazała mi plastikową reklamówkę.

- Trochę późno na zakupy.

Zerknęła na mnie z ukosa. Była zdenerwowana, dostrzegłem to dopiero teraz.

- Ktoś musi je robić. Poszukałem w pamięci imienia jej męża.

- Gary nie mógł pani podzucić?

Wzruszyła ramionami. To rozwiązanie najwyraźniej nie wchodziło w rachubę.

- Nie wiem, czy samotny powrót do domu to teraz dobry pomysł. Znowu nerwowe zerknięcie. Jeszcze mocniej przytuliła się do drzwiczek. - Wszystko w porządku? - spytałem, choć domyślałem się już, że nie.

- Tak.

- Jest pani zdenerwowana.

- Nie, nie. Cieszę się, że już wracam, to wszystko.

Wciąż kurczowo trzymała się drzwiczek, jakby zamierzała wyskoczyć z samochodu.

- Lindo, co się dzieje?

- Nic. - Odpowiedziała za szybko. Poniewczasie zacząłem rozumieć, o co chodzi.

Linda się bała. Bała się mnie.

- Jeśli woli pani przejść resztę drogi piechotą proszę powiedzieć, natychmiast stanę - zaproponowałem ostrożnie.

To, jak na mnie spojrzała, potwierdziło wszystkie domysły. Cofając się myślą wstecz, przypomniałem sobie, jak niechętnie Wsiadła do samochodu. Na miłość boską przecież nie byłem obcy. Byłem ich lekarzem, odkąd tylko przyjechałem do Manham. Przeprowadziłem Sama przez świnkę i ospę wietrzną składałem Neilowi złamaną rękę. Ledwie kilka dni wcześniej, zaraz po tym, gdy jej synowie dokonali tego makabrycznego odkrycia, rozmawiałem z nimi w jej kuchni. Co się tu, u diabła, działo?

Pokręciła głową. Odprężyła się, choć nie do końca.

- Nie. Jedźmy.

- Nie dziwię się, że jest pani nieufna. Chciałem tylko zrobić pani przysługę.

- I zrobił pan, tylko że...

- Tak?

- Nie, nic. To tylko plotki.

Do tej pory przypisywałem jej reakcję ogólnemu zdenerwowaniu i powszechnej nieufności w związku z tym, co stało się w miasteczku. Ale teraz zrozumiałem, że jest w tym coś więcej i poczułem się jeszcze bardziej nieswojo.

- Jakie plotki?

- Takie tam. Że pana... aresztowali. Oczekiwałem wszystkiego, tylko nie tego.

- Przepraszam - dodała, jakby czymś zawiniła. - To tylko głupie plotki...

- Że mnie aresztowali? - Oslupiałem. - Chryste, skąd ten pomysł? Zaczęła wyłamywać sobie palce. Nie bała się już mnie, tylko tego, że musi mi o tym powiedzieć.

- Nie było pana w poradni. Mówią, że aresztowała pana policja, że zabrał pana ten inspektor. Ten najważniejszy.

Nareszcie przejrzałem na oczy. Z braku nowych wiadomości, próżnię wypełniły plotki. I godząc się na współpracę z Mackenzie, niechętnie wystawiłem się na ich cel. Było to tak absurdalne, że aż śmieszne. Tylko że wcale nie było mi do śmiechu.

Zdałem sobie sprawę, że zaraz minie jej dom. Wciąż oniemiały zjechałem na pobocze.

- Przepraszam - powtórzyła Linda. - Po prostu myślałam, że... - Urwała.

Zastanawiałem się, czy i co mógłbym jej powiedzieć, nie zdradzając jednocześnie wszystkich szczegółów mojej przeszłości i nie rzucając ich na żer miejscowym plotkarzom.

- Pomagam policji - wyznałem w końcu. - Współpracuję z nimi. Kiedyś byłem... specjalistą od tych rzeczy. Zanim tu przyjechałem.

Słuchała mnie, lecz nie wiedziałem, Czy coś z tego rozumie. Ale przynajmniej nie chciała już wyskakiwać z samochodu.

- Prosimi mnie o radę - ciągnąłem. - Dlatego nie było mnie na dyżurze. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

Linda odwróciła wzrok.

- Wszystko przez to miasto - odparła ze znużeniem w głosie. - Wszystko przez to miasto. - Otworzyła drzwiczki.

- Lindo, chciałbym zbadać Sama.

Kiwnęła głową. Wciąż wstrząśnięty ruszyłem za nią w stronę domu. Wieczór był jasny, więc gdy wszedłem do środka, zdawało mi się, że w domu panuje mglisty półmrok. W saloniku grał telewizor, kakofonia dźwięków i barw. Przed telewizorem siedzieli jej mąż i młodszy syn, mąż rozwalony w fotelu, syn na podłodze. Obejrzeni się, gdy stanęliśmy w progu. Gary popatrzył na żonę z niemym pytaniem w oczach.

- Pan doktor podwiózł mnie do domu - wyjaśniła, kładąc na stole reklamówkę. Zrobiła to za szybko, za nerwowo. - Chce zbadać Sama.

Yates nie wiedział, jak zareagować. Był chudym, żylastym mężczyzną w wieku trzydziestu kilku lat i miał drapieżnie ściągniętą twarz starego rozrabiaki. Powoli wstał, nie wiedząc, co zrobić z rękami. W końcu postanowił się ze mną nie witać i schował je do kieszeni.

- Nie wiedziałem, że miał pan wpaść - powiedział.

- Ja też nie - odparłem. - Ale po tym, co się stało, nie chciałem, żeby Linda wracała do domu sama.

Zaczerwienił się i uciekł wzrokiem w bok. Odpuść sobie, pomyślałem. Każdy punkt przewagi, jaki mógłbym u niego zdobyć, po moim wyjściu odebrałby sobie z rachunku żony.

Uśmiechnąłem się do Sama, który obserwował nas z podłogi. To, że w tak piękny letni wieczór siedział w domu, mówiło, że jeszcze nie doszedł do siebie, ale na pewno wyglądał lepiej niż ostatnim razem. Gdy spytałem go, co zamierza robić w wakacje, nawet się uśmiechnął, okazując odrobinę dawnego ożywienia.

- Myślę, że wszystko będzie dobrze - powiedziałem Lindzie po badaniu. - Wstrząs minął, szybko wróci do formy.

Kiwnęła głową, lecz wciąż była lekko rozkojarzona i zdenerwowana.

- Jeśli chodzi o tamto...

- Nie ma sprawy. Cieszę się, że mi pani powiedziała.

Nie przyszło mi do głowy, że ludzie mogą odnieść mylne wrażenie. Ale może powinno. Nie dalej jak poprzedniego dnia Henry mnie ostrzegał. Myślałem, że przesadza, lecz najwyraźniej znał miasteczko lepiej niż ja. Bolało mnie to, ale nie dlatego że źle oceniłem ludzi, tylko dlatego że społeczność, za której członka się uważałem, była skłonna do tak pochopnych i krzywdzących osądów.

Już wtedy powinienem był wiedzieć, że oczekiwania nigdy nie dorastają do najgorszego.

Kuchnia. Przypomniało mi się, jak byłem tu ostatni raz. Przypomniałem sobie również, o co chciałem spytać Lindę, gdy cofałem samochód, żeby ją zabrać.

- W niedzielę, kiedy Neil i Sam znaleźli te zwłoki... - zacząłem, zerkając na drzwi do saloniku; były zamknięte. - Powiedziała pani wtedy, że to Sally Palmer, że się pani śniła.

Linda podeszła do zlewu i zaczęła płukać kubki.

- To tylko przypadek.

- Wtedy mówiła pani co innego.

- Byłam zdenerwowana. Nie powinnam była nic gadać.

- To żaden podstęp, nie próbuję niczego z pani wyciągnąć. Chciałem tylko... - Czego? Nie wiedziałem już, co miałem nadzieję usłyszeć i udowodnić.

Mimo to parłem naprzód. - Czy miała pani jeszcze jakieś sny? O Lyn Metcalf. Linda znieruchomiała.

- Nie pomyślałabym, że ktoś taki jak pan ma czas na takie rzeczy.

- Jestem po prostu ciekawy.

Obrzuciła mnie nieufnym spojrzeniem. Nieufnym i przeszywającym. Czułem się coraz bardziej nieswojo. A potem szybko pokręciła głową.

- Nie - odparła. I dodała coś tak cicho, że prawie niesłyszalnie. Pytałbym dalej, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi. Gary spojrzął na nas podejrziwie.

- Myślałem, że już pan poszedł.

- Właśnie wychodzę.

Podszedł do lodówki i otworzył drzwiczki o zardzewiałych krawędziach. Wisiała na nich przekrzywiona tabliczka magnetyczna z napisem: ZACZNIJ DZIEŃ OD UŚMIECHU i z szeroko uśmiechniętym krokodylem. Gary wyjął i otworzył piwo. Jakby mnie tam nie było, pociągnął z puszkii długi łyk i stłumiwszy beknięcie, opuścił rękę.

- Do widzenia - rzuciłem. Linda nerwowo skinęła mi głową.

Gdy szedłem do land rovera, jej mąż obserwował mnie przez okno. Wracając do miasteczka, myślałem o tym, co powiedziała. Powiedziała, że Lyn się jej nie śniła, i coś dodała. Dwa słowa tak ciche, że ledwo je usłyszałem.

„Jeszcze nie”.

Chociaż krążące plotki były absurdalne, nie mogłem ich zignorować. Lepiej było od razu wziąć byka za rogi, bo sytuacja mogła wymknąć się spod kontroli, dlatego jadąc do pubu, odczuwałem dziwny lęk. Wieńce i kwiaty na pomniku Męczennicy wędły już i umierały. Miałem nadzieję, że nie jest to zły znak. Minąłem policyjną przyczepę i dwóch znudzonych policjantów wygrzewających się w wieczornym słońcu. Patrzyli na mnie obojętnie. Zaparkowałem przed pubem, wziąłem głęboki oddech i pchnąłem drzwi.

Wszedłem i w pierwszej chwili pomyślałem, że Linda przesadziła. Owszem, ludzie zerkali w moją stronę, ale jak zwykle pozdrawiali mnie i witali. Może były to powitania nieco mniej wylewne niż zwykle, ale można się było tego spodziewać. Wiedziałem, że jeszcze długo nikt nie będzie się tu śmiać i żartował.

Podszedłem do lady i zamówiłem piwo. Ben Anders rozmawiał w kącie przez komórkę. Pozdrowił mnie gestem ręki i wrócił do rozmowy. Jack nalewał piwo w głębokiej zadumie, patrząc, jak złocisty płyn wypiera białą pianę ze szklanki. Nie, Henry też przesadził, pomyślałem z ulgą. Przecież mnie tu znają. I nagle ktoś głośno odchrząknął.

- Wyjeżdżał pan?

Carl Brenner. Gdy spojrzałem na niego, w pubie zapadła cisza. A jednak. Zdałem sobie sprawę, że Henry miał rację.

- Podobno przez ostatnie dwa dni nic, tylko jeździł pan gdzieś i jeździł -ciągnął Brenner. Miał zaprawiony żółcią wzrok i ciężkie powieki, co powiedziało mi, że musiał sporo wypić.

- To prawda, wyjeżdżałem, ale tylko dwa razy.

- Tak?

- Musiałem coś załatwić. - Owszem, chciałem ukrócić te plotki, ale nie zamierzałem dopuścić do tego, żeby ten pijaczyna zastraszył mnie i w coś wrobił. Nie zamierzałem też rzucać plotkarzom na żer czegoś, o czym mogliby do upojenia mleć jęzorem.

- Słyszałem co innego. - Płonący w jego żółtych ślepiach gniew szukał tylko celu. - Był pan ponoć na policji.

W pubie zrobiło się jeszcze ciszej.

- Tak, byłem.

- Czego od pana chcieli??

- Rady.

- Rady? - powtórzył z nieukrywanym niedowierzaniem. - Jakiej?

- Niech pan ich o to spyta.

- Ale ja pytam pana.

Gniew znalazł cel. Odwróciłem się i rozejrzałem po sali. Niektórzy gapili się w swoje szklanki i kufle. Inni patrzyli na mnie. Jeszcze nie z potępieniem, ale na pewno wyczekująco.

- Jeśli ktoś ma coś do powiedzenia, niech powie to teraz - poprosiłem najspokojniej, jak umiałem. Patrzyłem im prosto w oczy i jeden po drugim odwrócili wzrok.

- Dobra, jak nikt nie chce gadać, to ja powiem. - Brenner wstał. Gwałtownie zakręcił resztką piwa w szklance i odstawił ją z trzaskiem na stolik. - Był pan...

- Na twoim miejscu bym uważał.

Tuż obok mnie jak spod ziemi wyrósł Ben Anders. Ucieszyłem się, ale nie z jego podnoszącej na duchu obecności fizycznej, tylko z tego, że otrzymałem wyraźny znak poparcia.

- Trzymaj się od tego z daleka - warknął Brenner.

- Od czego? Od tego, że próbuję powstrzymać cię od powiedzenia czegoś, czego jutro będziesz żałował?

- Niczego nie będę żałował.

- Świetnie. Jak się miewa Scott? To pytanie zbiło Brennera z tropu.

- Co?

- Scott, twój brat. Jak jego noga? Ta, którą doktor Hunter wczoraj opatrzył. Brenner poruszył się niespokojnie, wciąż naburmuszony, lecz już mniej pewny siebie.

- Noga? W porządku.

- Dobrze, że doktor nie każe sobie płacić poza godzinami przyjęć, co? - rzucił przyjaźnie Ben. Popatrzył po sali. - Przypuszczam, że większość z nas miała kiedyś okazję się z tego cieszyć...  
Zawiesił głos, potem klasnął w dłonie i odwrócił się do lady.

- Jack, jak będziesz miał minutkę, chętnie wypiję jeszcze jedno.

Było tak, jakby ktoś otworzył nagle okno i wpuścił do środka powiew świeżego powietrza. Atmosfera się oczyściła. Ludzie poruszyli się na ławach i krzesłach i lekko zawstydzeni powrócili do przerwanych rozmów. Poczulem, że dół pleców mam mokry od potu. I nie dlatego, że w dusznym pubie było gorąco.

- Chcesz whisky? - spytał Ben. - Dobrze ci zrobi.

- Nie, dzięki. Ale chętnie postawię tobie.

- Nie musisz.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić.

- Daj spokój. Tymi sukinsynami trzeba od czasu do czasu potrząsnąć. - Ben zerknął na Brennera, który gapił się tępo na swoją szklankę. - A temu tam ktoś powinien zdrowo przyłożyć. Jestem pewien, że poluje na ptaki w rezerwacie. Na ptaki zagrożone, pod ścisłą ochroną. Dotąd było tak, że po wylegu piskląt nie musieliśmy się już o nic martwić. Ale teraz zaczynają ginąć dorosłe ptaki. Błotniaki stawowe, a nawet bąki. Jeszcze go nie nakryłem, ale któregoś dnia...

Uśmiechnął się, gdy Jack postawił przed nim piwo.

- Dobry z ciebie człowiek. - Pociągnął długi łyk i z lubością westchnął. - Więc co porabiałeś? - Zerknął na mnie z ukosa. - Spokojnie, pytam z czystej ciekawości. Wszyscy widzieli, jak wyjeżdżałeś.  
Zawahałem się, ale zasłużył na wyjaśnienia. Powiedziałem mu bez wdawania się w szczegóły.

- Jezu Chryste... - mruknął.

- Teraz rozumiesz, dlaczego nie lubię o tym mówić. I dlaczego nigdy nie mówiłem.

- Na pewno nie wolałbyś powiedzieć? Wyciągnąć to na światło dzienne?

- Nie, chyba jednak nie.

- Jak chcesz, mogę załatwić to za ciebie. Rozpowiedzieć po miasteczku, czym się zajmowałeś.

Był w tym pewien sens. Ale nie chciałem robić nic wbrew sobie. Nigdy nie rozmawiałem o pracy, a stare nawyki trudno wykorzenić. Może byłem tylko uparty, ale uważałem, że zmarli mają takie samo prawo do prywatności jak żywi. Gdyby miejscowi zwiedzili się, jaki zawód kiedyś wykonywałem, makabrycznym pytaniom nie byłoby końca. Poza tym nie wiedziałem, jak zareagowaliby na niezwykle praktyki swojego lekarza. Medycyna i krajanie rozkładających się trupów? Niektórzy mogliby uznać, że to nie uchodzi.

- Nie, dzięki, Ben.

- Twoja wola. Tylko pamiętaj: będą gadać. Wiedziałem, że będą, mimo to ścisnęło mnie w żołądku. Ben wzruszył ramionami.

- Boją się. Wiedzą, że morderca jest jednym z nich. Woleliby, żeby był to ktoś obcy.

- Nie jestem obcy. Mieszkam tu od trzech lat. - Zabrzmiało to fałszywie nawet w moich własnych uszach. Mieszkać tu i pracować to nie to samo co przynależeć. Właśnie mi to udowodniono.

- Wszystko jedno. Możesz tu mieszkać trzydzieści lat i wciąż będziesz tym z miasta. Jak przychodzi co do czego, ludzie patrzą na ciebie i myślą: „obcy”.

- W takim razie, wszystko jedno, co powiem, prawda? Ale nie sądzę, żeby wszyscy byli tacy.

- Nie, nie wszyscy. Ale wystarczy kilku. - Ben spoważniał. - Miejmy nadzieję, że złapią tego sukinsyna.

Zaraz potem wyszedłem. Piwo stało się nagle kwaśne i zwiertzałe, chociaż wiedziałem, że jest takie jak zwykle. Ilekroć pomyślałem o tym, co się stało, popadałem w odrętwienie, swoiste otepienie, jakie odczuwa się tuż przed atakiem bólu ze świeżej rany. Wolałem, żeby dopadł mnie w domu.

Odjeżdżając spod pubu, zobaczyłem Scarsdale'a. Akurat wychodził z kościoła. Może było to tylko złudzenie, ale wydawało mi się, że jest wyższy niż zwykle. Ze wszystkich mieszkańców Manham jedynie on odżył i rozkwitł po wydarzeniach, które wstrząsnęły miasteczkiem. Tylko strach i ludzka tragedia potrafią zmienić sługę bożego w człowieka opatrznosciowego, pomyślałem i natychmiast się zawstydziłem. Scarsdale robił tylko swoje, tak samo jak ja. Nie lubiłem go, ale nie powinno to wpływać na trzeźwą ocenę człowieka i sytuacji. Jak na jeden wieczór miałem dość uprzedzeń.

Gdy podjechałem bliżej, wyrzuty sumienia kazały mi pozdrowić go gestem ręki. Popatrzył prosto na mnie i przez sekundę myślałem, że nie raczy odpowiedzieć. Ale po chwili krótko skinął mi głową.

Nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia, że wiedział, o czym myślę.

## Rozdział 12

Dziennikarze i reporterzy zaczęli rozjeżdżać się już w piątek. Ponieważ nie było nowych wydarzeń, kapryśna prasa straciła zainteresowanie. Gdyby coś się stało, na pewno by wrócili. A do ich ewentualnego powrotu Sally Palmer i Lyn Metcalf miały zajmować coraz mniej czasu antenowego i coraz mniej miejsca w gazetach, by wreszcie zniknąć ze świadomości czytelników.

Wstyd się przyznać, ale kiedy tego ranka jechałem do laboratorium, nie myślałem o zainteresowaniu czy też raczej braku zainteresowania prasy. Chwilowo osłabł nawet wstrząs, jaki zafundowały mi podejrzenia niektórych mieszkańców miasteczka. Owszem, denerwowałem się, ale czym innym.

Kolacją u Jenny Hammond.

Wmawiałem sobie, że to nic wielkiego. Że Jenny - a raczej jej przyjaciółka Tina - po prostu próbuje okazać mi przyjaźń. Kiedy mieszkałem w Londynie, zaproszenie na kolację było formą grzecznościowej waluty, którą oferowało się i przyjmowało bez zastanowienia. Tu jest tak samo, powtarzałem sobie w duchu.

Nie poskutkowało.

Manham to nie Londyn. Moje życie towarzyskie sprowadzało się tu do nijakich rozmów z pacjentami czy znajomymi w pubie. O czym z nią będę rozmawiał? W miasteczku gadano tylko o jednym, a ten temat raczej nie pasował do kolacyjnych spotkań w gronie obcych sobie ludzi. Zwłaszcza jeśli ludzie ci słyszeli krążące o mnie plotki. Żałowałem, że nie byłem przytomny na tyle, by wtedy odmówić. Zastanawiałem się nawet, czy nie zadzwonić do niej z jakąś wymówką i przeprosinami.

Ale chociaż bałem się tego spotkania, ostatecznie nie zadzwoniłem. Co samo w sobie też było niepokojące. Bo wiedziałem, dlaczego tak się denerwują i dlaczego czuję się z tym nieswojo. Wszystko na myśl o tym, że znowu zobaczę Jenny. Poruszało to we mnie skomplikowane i dawno zastale emocje, których wolałbym nie poruszać. Było wśród nich poczucie winy.

Bo czułem się tak, jakbym przygotowywał się do zdrady.

Oczywiście wiedziałem, że to niedorzeczne. Szedłem tylko na kolację, poza tym od prawie czterech lat, odkąd pewien pijany biznesmen stracił panowanie nad kierownicą swego bmw, nie miałem kogo zdradzać, z czego aż za dobrze zdawałem sobie sprawę.

Lecz świadomość ta niczego nie zmieniała.

Dlatego parkując przed laboratorium, byłem nie do końca skupiony. Spróbowałem zebrać myśli i pchnąłem stalowe drzwi do kostnicy. Marina już czekała. Drzwi nie zdążyły się jeszcze zamknąć, gdy powiedziała:

- Są wyniki.

Mackenzie czytał raport ze zmarszczonym czołem.

- Na pewno? - spytał.

- Prawie na sto procent. Wyniki potwierdzają że zwłoki Sally Palmer znaleziono mniej więcej dziewięć dni po śmierci.

Rozmawialiśmy w małym biurze za kostnicą. Chciałem przesłać mu raport mailem, ale gdy zadzwoniłem, powiedział, że wpadnie.

- To wiarygodne testy?

- Analiza rozpadu aminokwasów wskazuje czas zgonu z dokładnością do dwunastu godzin, dokładniej się nie da. Nie umiem podać godziny jej śmierci, ale zamordowano ją między dwunastą w południe w piątek i północą z piątku na sobotę.

- Bliżej określić tego nie można?

Miałem ochotę go zbluzgać. Przez całe przedpołudnie harowałem jak wół nad tymi przekłętymi równaniami. Były skomplikowane, ponieważ musiałem uwzględnić średnią temperaturę oraz inne czynniki pogodowe ze wszystkich dni, kiedy zwłoki leżały na mokradłach. Koszmar. Największa tajemnica życia sprowadzona do ciągu banalnych matematycznych wzorów.

- Przykro mi - odparłem. - Ale biorąc pod uwagę całą resztę, larwy, i tak dalej, powiedziałbym, że zamordowano ją w piątek w nocy.

- Dobra, założmy, że tak. Trzy dni wcześniej widziano ją na grillu w pubie. - Mackenzie ponownie zmarszczył czoło. - Czasu śmierci psa nie da się tak dokładnie określić, co?

- Procesy chemiczne zachodzące w organizmie zwierząt różnią się od tych zachodzących w człowieku. Mógłbym przeprowadzić analizę, ale nic by nam nie dała.

- Szlag by to - mruknął. - Ale uważa pan, że psa zabito wcześniej, tak? Wzruszyłem ramionami. Mogłem się tylko oprzeć na stanie jego zwłok

i na aktywności owadów, ale nie miało to nic wspólnego z nauką ścisłą.

- Co najmniej dwa, trzy dni wcześniej, tak. Jestem tego niemal pewien, ale jak już mówiłem, zasady te nie muszą odnosić się do zwierząt.

Mackenzie pociągnął za dolną wargę. Wiedziałem, o czym myśli. Mijał trzeci dzień od zaginięcia Lyn Metcalf. Nawet jeśli morderca nie zmienił swoich zwyczajów i nadal gdzieś ją przetrzymywał, wkraczaliśmy w ostatni etap gry. Bez względu na to, jak bardzo była wynaturzona, jeśli jeszcze trwała, to już niebawem miała się skończyć.

Chyba że przedtem znaleźlibyśmy Lyn.

- Mamy również wyniki badań substancji, którą znalazłem na dnie wyłobienia w kręgu szyjnym Saliy Palmer - dodałem, zaglądając do raportu. - To węglowodór. Bardzo złożony: mniej więcej osiemdziesiąt procent węgla, dziesięć procent wodoru, niewielkie ilości siarki, tlenu i azotu oraz pierwiastków śladowych.

- To znaczy?

- Że to bitumin. Kruszywo bitumiczne, popularny lepik, jaki można kupić w każdym sklepie żelaznym, ogrodniczym albo w sklepie dla majsterkowiczów.

- No to wszystko jasne - burknął rozczarowany Mackenzie. Zaświtała mi jakaś myśl, mglista i nieuchwytna, synaptyczne połączenie

uaktywnione przez słowo czy słowa, które przed chwilą wypowiedzieliśmy. Próbowałem ją schwytać, lecz nie dałem rady.

- Coś jeszcze? - spytał Mackenzie i myśl umknęła na dobre.

- Nie. Muszę jeszcze zbadać ślady od noża na kręgach szyjnych psa. Przy odrobinie szczęścia może okazać się, że zabójca użył tej samej broni. I to już koniec.

Mackenzie chyba się tego spodziewał, choć na pewno liczył na więcej.

- A u pana? - spytałem. - Jest coś nowego?

Nie musiał nic mówić, odpowiedź miał wypisaną na twarzy.

- Badamy kilka tropów - odparł sztywno. Milczałem. Mackenzie ciężko westchnął.

- Nie mamy ani podejrzanego, ani świadków, ani motywu. A więc krótko mówiąc, nic. Przesłuchaliśmy wszystkich mieszkańców miasteczka, i guzik z pętelką. Nawet gdybyśmy wznowili poszukiwania, musielibyśmy uważać na sidła i pułapki, poza tym nie da się przeczesać takiego terenu. Połowa to moczary i bagniska, reszta lasy, dziury, wąwozy... Coraz bardziej sfrustrowany, pokręcił głową.

- Jeśli dobrze ukrył zwłoki, nigdy ich nie znajdziemy.

- Aha, uważa pan, że ona już nie żyje. Posłał mi znużone spojrzenie.

- Brał pan udział w wielu policyjnych śledztwach. Jak często ofiarom udawało się przeżyć?

- Może nieczęsto, ale czasem się udawało.

- Jasne. W totka też można wygrać. Ale szczerze mówiąc, szansa na szóstkę jest chyba większa. Nikt nic nie widział, nikt nic nie wie. Śledczy nie znaleźli żadnych użytecznych dowodów ani w miejscu, gdzie uprowadzono Lyn Metcalf, ani na mokradłach, gdzie znaleziono zwłoki Sally Palmer. W krajowym rejestrze przestępców seksualnych też niczego nie ma. Wiemy tylko tyle, że zabójca jest silny i wyrobiony fizycznie, że zna las i umie polować.

- To niewiele. Mackenzie aż się roześmiał.

- W Milton Keynes może byśmy coś tym zwojowali, ale tutaj polowanie to sposób życia. Myśliwy? Na myśliwego nikt nie zwraca tu uwagi. Nie, nie wiem, kto to jest, ale jak dotąd skutecznie unikał naszych radarów.

- A portret psychologiczny?

- Ten sam problem. Za mało danych. To, co nam przedstawili, jest tak mgliste, że na nic się nie przyda. Mamy do czynienia z kimś, kto lubi spędzać czas na świeżym powietrzu, kto jest wyrobiony fizycznie i w miarę inteligentny, jednocześnie nieostrożny albo nierozważny na tyle, żeby zostawić ciało Sally Palmer w miejscu, gdzie można było je łatwo znaleźć. Można to powiedzieć o połowie mieszkańców miasteczka. Dodać do tego kilka okolicznych wiosek i będziemy mieli dwustu, trzysta podejrzanych.

Mackenzie był przybity. Wcale mu się nie dziwiłem. Nie byłem specjalistą ale z doświadczenia wiedziałem, że większość seryjnych morderców schwytano dzięki szczęściu albo dzięki temu, że popełnili rażący błąd. Ludzie ci są jak kameleony i uchodząc za zwykłych członków tej czy innej społeczności, ukrywają się skutecznie na otwartej przestrzeni. Gdy w końcu wpadają, pierwszą reakcją ich znajomych i sąsiadów jest zawsze niedowierzanie. Dopiero patrząc wstecz, ich bliscy stwierdzają, że ten wyszczerbiony, ząbkowany nóż zawsze tam był, tylko po prostu go nie widzieli. Bez względu na to, jakie potworności te bestie popełniły, ich znajomymi najbardziej wstrząsało to, że wydawały się zupełnie normalnymi ludźmi.

Takimi jak my. Jak ja czy ty.

Mackenzie podrapał się w pieprzyk na szyi. Przestał, gdy zobaczył, że to widzę.

- Ale wyszło na jaw coś, co może być ważne - rzucił z mało przekonującą obojętnością. - Jeden ze świadków, który rozmawiał z Sally Palmer na grillu, twierdzi, że była zdenerwowana, bo ktoś podrzucił jej na próg martwego gronostaja. Wzięła to za niesmaczny kawał.

Pomyślałem o łabędzich skrzydłach na jej ciele i o dzikiej kaczce przywiązanej do głazu w dniu zaginięcia Lyn Metcalf.

- Myśli pan, że zrobił to morderca? Mackenzie wzruszył ramionami.

- Albo dzieciaki. Albo miał to być jakiś znak czy ostrzeżenie. Naznaczenie ofiary, cholera go wie. Wiemy już, że ptaki to jego podpis. Może zwierzęta też.

- A Lyn? Ona też znalazła coś takiego?

- Dzień wcześniej powiedziała mężowi, że widziała w lesie martwego zająca. Ale zająca mógł zagryźć pies albo lis. Za późno, żeby to sprawdzić.

Miał rację, mimo to bardzo mnie to zastanowiło. Owszem, przypadki zdarzają się w zabójstwach tak samo jak w innych aspektach życia. Ale biorąc pod uwagę dotychczasowe zachowanie mordercy, do przyjęcia była również teza, że jest na tyle pewny siebie, iż znakuje przedtem swoje ofiary.

- Więc uważa pan, że to nic nie znaczy?

- Tego nie powiedziałem - warknął. - Ale na tym etapie niewiele możemy zdziałać. Szukamy już notowanych za okrucieństwo wobec zwierząt. Dwóch świadków pamięta, że dziesięć, piętnaście lat temu ktoś zabijał ta koty, że nigdy go nie złapano i że... Co?

Pokręciłem głową.

- Sam pan powiedział, że Manham to nie Londyn. Ludzie myślą tu inaczej, mają inne nastawienie. Nie twierdzą, że są sadystami, ale sentymentu do zwierząt też nie mają.

- Chce pan powiedzieć, że nikt nie zwróciłby uwagi na kilka martwych psów czy kotów, tak?

- Jeśli ktoś podpaliłby psa na skwerku, pewnie by ktoś zareagował. Ale na wsi? Zwierzęta zabija się tam cały czas.

Niechętnie przyznał mi rację.

- Niech pan obejrzy tego psa i da mi znać - rzucił, wstając. - W razie czego, jestem pod komórką.

- Chwileczkę - odparłem. - Musi pan chyba o czymś wiedzieć. Opowiedziałem mu o krążących w miasteczku plotkach.

- Jezu Chryste... - westchnął, gdy skończyłem. - Będzie pan miał kłopoty?

- Nie wiem. Mam nadzieję, że nie. Ludzie są podenerwowani. Widzą, że przyjeżdża pan do przychodni i wyciągają pochopne wnioski. Nie chcę się ciągle tłumaczyć.

- Jasne, dotarło.

Ale nie robił wrażenia zmartwionego. Ani zaskoczonego. Po jego wyjściu przyszło mi do głowy, że może się tego spodziewał, że gdybym został czymś w rodzaju konia maskującego obecność myśliwego, bardzo by mu to odpowiadało. Próbowałem wmówić sobie, że to absurd. Mimo to, badając szkielet psa, ciągle o tym myślałem.

Wypreparowałem i obfotografowałem wyżłobienie na kręgu szyjnym w miejscu, gdzie nóż wbił się w kość. Były to czynności rutynowe, warte zachodu jedynie ze względów dokumentacyjnych, dlatego nie spodziewałem się, że znajdę coś naprawdę wartościowego. Układając kręg pod mikroskopem, wiedziałem, czego oczekiwać. Wciąż na to patrzyłem, gdy wróciła Marina z kubkiem kawy.

- Coś ciekawego? - spytała. Zrobiłem jej miejsce.

- Proszę spojrzeć.

Pochyliła się nad mikroskopem. Po chwili wyregulowała ostrość. Gdy się wyprostowała, miała zaskoczoną minę.

- Nie rozumiem.

- Czego?

- Wyżłobienie jest chropowate, zupełnie inne niż tamto. Brzegi są nierówne, wystrzępione. Mówił pan, że tylko ząbkowane ostrze zostawia takie ślady.

- Bo tak jest.

- Ale to bez sensu. Cięcie na kręgu szyjnym tej kobiety było gładkie. Dlaczego to jest nierówne?

- Prosta sprawa - odparłem. - Zrobiono je innym nożem.

### **Rozdział 13**

Mięso wciąż było blade. Kropelki tłuszczu przywierały doń jak pot i skapywały z sykiem na rozżarzone węgle. Nad paleniskiem snuły się leniwie smużki dymu, pachnąca błękitnawa mgiełka.

Tina dziobnęła widelcem jeden z leżących na ruszcie hamburgerów i zmarszczyła brwi.

- Mówiłam, że za słabo się żarzy.

- Trzeba trochę poczekać - odparła Jenny.

- Jak zaczekamy, cały węgiel się wypali. Temperatura musi być wyższa.

- Nie będziemy niczym tego polewali.

- Dlaczego? W tym tempie zjemy je dopiero na śniadanie.

- Wszystko jedno. Ten płyn to trucizna.

- Przestań, jestem wściekle głodna!

Byliśmy w ogródku za ich maleńkim domkiem. W ogródku, a raczej na zaniedbanym podwórku, kawałku trawnika otoczonego z dwóch stron płotem dużego wybiegu dla koni. Ale ponieważ na ogródek wychodziły tylko okna sypialni sąsiedniego domu, było tam zacisznie, przytulnie i prywatnie. No i roztaczał się stamtąd niczym nieprzesłonięty widok na oddalone o niecałe sto metrów jezioro.

Tina dźgnęła hamburgery jeszcze raz i popatrzyła na mnie.

- Jak pan myśli, jako lekarz: czy lepiej jest zatruć się płynną podpałką do węgla czy umrzeć z głodu?

- Warto by pójść na kompromis - zasugerowałem. - Zdjąć hamburgery z rusztu i podlać węgle podpałką. Dzięki temu mięso nie przesiąknie zapachem nafty.

- Boże, uwielbiam praktycznych mężczyzn - odrzekła Tina, podnosząc przez szmatkę druciany ruszt.

Pociągnąłem łyk piwa z butelki, ale nie z pragnienia, tylko po to, żeby się czymś zająć. Chciałem pomóc, lecz moja propozycja spotkała się z odmową -i bardzo dobrze, biorąc pod uwagę moje umiejętności kulinarne. Sęk w tym, że nie mając nic do roboty, nie mogłem zapomnieć o zdenerwowaniu. Jenny też była chyba trochę skrepowana, bo dziwnie długo układała chleb i ustawiała sałatki na białym, plastikowym stole. Szczupła i opalona, była w białym podkoszulku i dżinsowych szortach. Nie licząc „Dzień dobry”, zamieniliśmy ze sobą może dwa słowa. Gdyby nie Tina, milczelibyśmy przez cały czas.

Na szczęście Tina należała do osób, które nie znoszą niezręcznych przerw w rozmowie. Gadała przez cały czas, wygłaszając wesołe monologi, przerywane poleceniami, żebym w końcu się na coś przydał i wymieszał sos do sałatki, przyniósł papierowy ręcznik, który miał robić za serwetki, i otworzył kolejne piwo.

Było oczywiste, że nikt więcej nie przyjdzie. Miotaly mną sprzeczne uczucia: ulga, że nie będę musiał z nikim więcej rozmawiać i żal, że nie uda mi się zniknąć w tłumie.

Tina chlusnęła podpałką.

- Cholera jasna! - krzyknęła, odskakując do tyłu, gdy buchnął płomień,

- Mówiłam! - odparła ze śmiechem Jenny.

- To nie moja wina, za dużo się wylało!

Palenisko zasnuł gęsty dym. Żar był tak duży, że musieliśmy się cofnąć.

- Teraz chyba wystarczy - powiedziałem. Tina dała mi kuksańca.

- Za karę przyniesie pan piwo.

- Nie sądzicie, że najpierw trzeba by uratować jedzenie? Stół i półmiski z sałatkami ginęły w kłębach siwego dymu.

- O żesz ty! - Tina podbiegła bliżej i zaczęła zbierać naczynia.

- Przesuńmy stół, tak będzie łatwiej. - Chwyciłem go za blat i zacząłem ciągnąć.

- Jenny, pomóż mu, mam zajęte ręce! - krzyknęła Tina, podnosząc półmisek z makaronem.

Jenny przeszła ją wzrokiem, ale bez słowa chwyciła stół z drugiej strony i wspólnymi siłami przesunęliśmy go poza zasięg dymu. Gdy postawiliśmy go na ziemię, puściły nogi z jej strony. Stół się przechylił, niebezpiecznie zachybotaly szklanki.

- Uważajcie! - krzyknęła Tina.

Rzuciłem się na ratunek, przytrzymałem zsuwające się naczynia i chwyciłem stół od spodu. Prawą ręką niechcący przykryłem dłoń Jenny.

- Trzymam - powiedziałem.

Zaczęliśmy powoli opuszczać go na ziemię, ale znowu się przekrzywił, tym razem z mojej strony.

- Tina, miałaś go naprawić.

- I naprawiłam! Nogi się odkręciły, więc podłożyłam złożony papier.

- Papier? Trzeba je było porządnie przykręcić! I zrób coś z tym dymem. Dmuchnij albo...

- To ciebie ktoś powinien wreszcie dmuchnąć. Przydałoby ci się.

- Tina! - Jenny zaczerwieniła się, tłumiąc śmiech.

- Uważajcie! Uważajcie na stół!

- Boże, nie stój tak. Idź i przynieś śrubokręt!

Tina zniknęła za zasłoną z koralików w drzwiach kuchni. Staliśmy tak, podtrzymywaliśmy stół i uśmiechaliśmy się do siebie nieśmiało. Ale pierwsze lody zostały przełamane.

- Na pewno cieszy się pan, że pan przyszedł - powiedziała Jenny.

- Pierwsze koty za płoty.

- Tak, nie wszędzie jest tak elegancko.

- To na pewno. Spuściła oczy.

- Nie wiem, jak to powiedzieć, ale... ma pan mokro.

Spojrzałem w dół. Z przewróconej butelki wylało się piwo, które ściekało z blatu prosto na moje krocze. Odsunąłem się, ale zyskałem tylko tyle, że piwo zaczęło ściekać na nogawki spodni.

- Boże, to nie do uwierzenia - powiedziała Jenny i obydwójce roześmialiśmy się bezradnie.

Wróciła Tina ze śrubokrętem.

- Co się stało? - spytała, zerkając na mokrą plamę na moich spodniach. -Hmm, mam przyjść później?

Gdy wreszcie naprawiliśmy stół, przyniosła mi workowate szorty. Kiedyś należały do jej chłopaka.

- Ale może je pan zatrzymać - dodała ponuro. - Już się po nie nie zgłosi. Patrząc na ich krzykliwy wzór, wcale się mu nie dziwiłem. Ale były lepsze

niz przesiąknięte piwem dżinsy, więc się przebrałem. Gdy wróciłem do ogrodu, powitały mnie chichotem.

- Zgrabne nóżki - rzuciła Tina i parsknęły śmiechem.

Na gorących węglach wreszcie zaskwierczały hamburgery. Jedliśmy je z sałatką i chlebem, zapijając przyniesionym przeze mnie winem. Gdy chciałem dolać wina Jenny, ta lekko się zawahała.



- Ale tylko troszeczkę. Tina uniosła brwi.  
- Na pewno? Jenny kiwnęła głową.  
- Tak, nic mi nie jest. - Spojrzała na mnie i zrobiła smutną minę. - Mam cukrzycę, muszę uważać na to, co jem i piję.

- Typu pierwszego czy drugiego? - spytałem.

- Boże, ciągle zapominam, że jest pan lekarzem. Pierwszego.

Tak myślałem. Wśród ludzi w jej wieku był to najpowszechniejszy rodzaj cukrzycy.

- Ale nie jest tak źle. Biorę małą dawkę insuliny. Kiedy tu przyjechałam, doktor Maitland dał mi receptę - wyjaśniła przepaszając.

No, tak. Wstydziła się, że zamiast do mnie, poszła do Henry'ego, tego „jedynego” i „właściwego”. Nie musiała się tłumaczyć. Zdążyłem do tego przywyknąć.

Tina teatralnie zadrżała.

- Zemdlałabym, gdybym musiała się codziennie szprycować.

-Bez przesady - zaprotestowała Jenny. - Nie używam zwykłej strzykawki, tylko takiego specjalnego aparaciku. I przestań już o tym mówić, bo pan doktor przestanie pić.

- Boże broń! Ktoś musi dotrzymać mi kroku!

Kroku Tinie nie dotrzymałem, ale Jenny napelniała mój kieliszek o wiele częściej, niż chciałem. Cóż, nazajutrz była sobota i miałem za sobą ciężki tydzień. Poza tym, świetnie się bawiłem. Nie bawiłem się tak dobrze od...

Od długiego czasu.

Humor straciliśmy dopiero po jedzeniu. Zapadł zmierzch i w gasnącym świetle dnia Jenny spojrzała na jezioro. Miała nachmurzoną twarz i wiedziałem, co powie, zanim otworzyła usta.

- Ciągle zapominam o tym, co się stało. Nie macie wyrzutów sumienia? Ja mam.

Tina westchnęła.

- Chciała odwołać kolację. Bała się, że ludzie się wnerwią.

- Bo to trochę niestosowne - powiedziała Jenny.

- Dlaczego? - zaoponowała Tina. - Myślisz, że ludzie przestaną oglądać telewizję czy chodzić do pubu na piwo? To bardzo smutne i przerażające, ale nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy chodzić we włosiennicach.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

- Tak, ale ja ich wszystkich znam i wiem, jacy są. Jeśli uznają, że trzeba pociąć kogoś nożem, to potną go bez względu na to, czy zrobił coś czy nie. -Tina spochmurniała. - No dobra, może powinnam była ująć to inaczej, ale to prawda. - Spojrzała znacząco na mnie. - Niedawno się pan o tym przekonał.

Zrozumiałem, że plotki dotarły i do nich.

- Tina - rzuciła ostrzegawczo Jenny.

- Nie ma sensu udawać, że nic nie słyszałyśmy. To oczywiste, że policja musiała porozmawiać z miejscowym lekarzem, ale wystarczy, że ktoś uniesie brew i facet jest już skazany. To kolejny przykład naszej małostkowości.

- I plotkarstwa - dodała z gniewem Jenny. Nie była to pierwsza oznaka jej wybuchowego charakteru.

Tina lekceważąco wzruszyła ramionami.

- Lepiej jest mówić wszystko otwarcie. W takich miasteczkach roi się od plotkarzy. Ja się tu wychowałam, ty nie.

- Widzę, że nie przepada pani za swoim rodzinnym miasteczkiem - wtrąciłem, żeby zmienić temat.

Posłała mi smutny uśmiech.

- Gdybym tylko mogła, natychmiast bym stąd uciekła. Nie rozumiem takich jak wy. Po co tu przyjeżdżać?

Zapadła cisza. Jenny wstała.

- Zrobię kawę - powiedziała z pobladłą twarzą. Weszła do domu, wściekłym ruchem rozgarniając zasłonę.

- Cholera - mruknęła Tina i uśmiechnęła się przepaszając. - Mam za długi język. I za dużo wypiałam - dodała, odstawiając kieliszek.

W pierwszej chwili pomyślałem, że Jenny zareagowała tak przeze mnie, ale teraz wiedziałem już, że nie.

- Co się stało? - spytałem.

- Pewnie wkurzyła się na nietaktowną kumpelkę. - Tina popatrzyła na drzwi, jakby zastanawiając się, czy za nią nie pójść. - Niech pan posłucha. Nie powinnam tego mówić, ale chcę, żeby pan wiedział. W zeszłym roku Jenny dużo przeszła. Dlatego tu przyjechała. Żeby od tego uciec.

- Ale od czego? Tina pokręciła głową.

- Jeśli zechce panu powiedzieć, to powie. Za dużo gadam, ale... ale uznałam, że powinien pan wiedzieć. Ona bardzo pana lubi, dlatego... Boże, wszystko pochrzaniłam, co? Niech pan o tym zapomni. Pogadajmy o czym innym.

- Dobrze. - Wciąż zafrasowany tym, co przed chwilą usłyszałem, spytałem o pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy. - No więc jakie krążą o mnie plotki?

Tina zrobiła minę.

- Sama się o to prosiłam. Ale to tylko plotki. Że przesłuchiwała pana policja i że pana... podejrzewają. - Uśmiechnęła się zadziornie, a raczej chciała, bo nic z tego nie wyszło. - Ale to nieprawda, co?

- O ile wiem, to nie. To jej wystarczyło.

- I właśnie o to mi chodzi. Przekłete miasteczko. Ludzie myślą najgorsze w najlepszych chwilach. A kiedy stanie się coś takiego... - Machnęła ręką. - Znowu zacznym. Lepiej pójdę zrobić kawę.

- Może w czymś pomóc?

- Nie, nie. Zaraz ją tu przysię, dotrzyma panu towarzystwa. Siedziałem w wieczornej ciszy i myślałem. „Ona bardzo pana lubi”. Co to

miało znaczyć? A konkretniej, jak się z tym czułem? Wmówiłem sobie, że to tylko Tina i wino, że nie warto się w to zagłębiać.

W takim razie skąd te nerwy?

Wstałem i poszedłem do niskiego, kamiennego murku na końcu ogrodu. Słońce już zaszło i mokradła tonęły w nieprzeniknionym mroku. Od strony jeziora wiał leciuteńki wiatr, niosąc ze sobą odległy krzyk sowy.

Usłyszałem jakiś hałas. Wróciła Jenny z dwoma kubkami kawy. Wychynałem z ciemności i wszedłem w smugę bijącego zza drzwi światła. Jenny gwałtownie drgnęła i oblała sobie ręce kawą.

- Przepraszam, nie chciałem pani wystraszyć.

- Nie, nie, nie szkodzi. Po prostu nie zauważyłam... - Postawiła kubki na stole i podmuchała na dłonie.

Podąłem jej papierowy ręcznik.

- Oparzyła się pani?

- Jakoś to przeżyję. - Wytarła ręce.

- Gdzie Tina?

- Trzeźwieje. - Ponownie podniosła kubki. - Nie spytałam, czy pije pan z mlekiem i cukrem.

- Dwa razy bez.

- Tak myślałam - powiedziała z uśmiechem. - Podeszła do murku. - Podziwiał pan widok?

- Niewiele już widać.

- Jest wspaniała, jeśli ktoś lubi zielen i wodę.

- Pani lubi?

Stała tuż obok mnie, patrząc na jezioro.

- Tak, bardzo. Kiedy byłam mała, pływałam z ojcem żaglówką.

- A teraz?

- Nie, już od lat nie pływam. Ale lubię wodę. Ciągłe powtarzam sobie, że któregoś dnia wypożyczę jakąś łódkę. Małą bo wiem, że jezioro jest za płytkie na coś dużego. Mieszkać tuż nad brzegiem i nie pływać to grzech.

- Mam jolkę, ale nie wiem, czy by się pani spodobała. Moglibyśmy...

Powiedziałem to bez zastanowienia. Ale Jenny odwróciła się do mnie z radosnym wyczekiwaniem i w świetle księżyca ujrzałem jej uśmiechniętą twarz. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak blisko siebie stoimy. Czułem ciepło jej nagich ramion.

- Naprawdę?

- Nie jest moja. Należy do Henry'ego. Ale czasem z niej korzystam.

- Okropnie się czuję. Nie chciałam niczego sugerować, po prostu...

- Wiem. Trochę wysiłku fizycznego dobrze mi zrobi.

Ogarnęło mnie coś w rodzaju zdumienia. Chryste, człowieku, co ty wyprawiasz? Popatrzyłem na jezioro, żeby ukryć twarz w ciemności.

- Może w niedzielę? - Tak, to był mój własny głos.

- Świetnie! O której?

Przypomniałem sobie, że jestem umówiony na lunch z Henrym.

- Po południu? Mogłbym przyjechać po panią o... trzeciej?

- Cudownie.

Nie patrzyłem na nią, ale po jej głosie poznałem, że się uśmiecha. Natychmiast zająłem się kawą, ledwo zauważając, że parzę sobie usta. Nie mogłem uwierzyć, że to zrobiłem. Nie tylko Tina powinna wytrzeźwieć, pomyślałem.

Zaraz potem wymyśliłem jakąś wymówkę i zacząłem zbierać się do wyjścia. Wtedy pojawiła się Tina, która z wesołym błyskiem w oku oznajmiła, że szorty mogą zwrócić jej później. Wołałem jednak przebrać się w wilgotne dzinsy. Miałbym paradować przez miasteczko w krzykliwych szortach do surfingu i jeszcze bardziej zepsuć sobie reputację?

Nie odszedłem daleko, gdy zapisała moja komórka. Dostałem jakąś wiadomość. Telefon nosiłem zawsze przy sobie na wypadek pilnego wezwania, ale zdejmując dzinsy, zostawiłem go w kieszeni. Zupełnie o tym zapomniałem i dopiero teraz, gdy dotarło do mnie, że przez ponad dwie godziny nie było ze mną

żadnego kontaktu, przestałem wreszcie myśleć o Jenny. Miotany wyrzutami sumienia wybrałem numer poczty głosowej z nadzieją, że to nic poważnego.

Ale nie była to wiadomość od pacjenta. Dzwonił Mackenzie.

Znaleźli kolejne zwłoki.

#### **Rozdział 14**

Okolica tonęła w trupim blasku reflektorów. Trawa, krzewy i drzewa tworzyły surrealistyczny obraz światła i cienia. Dokładnie pośrodku tego obrazu uwijali się policyjni technicy. Prostokątny fragment ziemi podzielili plastikowym sznurkiem na małe kwadraty i w monotonnym szumie generatora mozolnie usuwali wierzchnią warstwę gleby, powoli odsłaniając to, co się pod nią kryło.

Mackenzie obserwował ich, pogryzając miętówki. Widać było, że jest zmęczony i wymizerowany. Światło reflektorów wysysało wszystkie kolory z jego twarzy i jeszcze bardziej podkreślało sińce pod oczami.

- Znaleźliśmy to dziś po południu. Grób jest płytki, ma sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt centymetrów głębokości. Myśleliśmy, że to fałszywy alarm, że to borsuk czy inne zwierzę. Dopóki nie zobaczyliśmy ręki.

Grób był w lesie. Zanim przyjechałem, technicy zdjęli już górną warstwę ziemi. Jeden, a raczej jedna z nich przesiewała ją przez sito. Nagle znieruchomiała, wzięła coś do ręki, obejrzała, odrzuciła na bok i wróciła do pracy.

- Jak go znaleźliście? - spytałem.

- Nie my. Pies.

Kiwnąłem głową. Policja wykorzystywała specjalnie szkolone psy nie tylko do wykrywania narkotyków i materiałów wybuchowych. Znalezienie ukrytego grobu rzadko kiedy było łatwe, zwłaszcza na dużym terenie. Jeśli ciało leżało długo, w osiadającej ziemi pojawiało się charakterystyczne wklęsnięcie, poza tym często używano stalowych sond, którymi badano jej twardość. W Stanach słyszałem nawet o pewnym kryminologu, który osiągał ciekawe rezultaty, szukając grobów za pomocą drucianej różdżki.

Ale najlepszymi poszukiwaczami wciąż były psy. Ich czuły nos potrafił wykryć minimalną nawet ilość gazów gnilnych, sączących się z bardzo dużych głębokości; bywało, że dobrze wyszkolony pies odkrywał ciało pochowane przed ponad stu laty.

Zjawiłem się tam po północy i szczątki były już częściowo odkopane. Technicy usuwali teraz ziemię małymi łopatkami i pędzelkami, z archeologiczną niemal precyzją. Bez względu na to, czy grób był świeży czy bardzo stary, zawsze stosowano takie same techniki. I w jednym, i w drugim przypadku miały odsłonić ciało bez naruszania ewentualnych dowodów rzeczowych, jakie mogły się przy nim kryć.

Tu najbardziej znamieny dowód już znaleziono. Nie brałem udziału w wykopaliskach, ale stałem na tyle blisko, żeby widzieć to, co najważniejsze.

Mackenzie zerknął na mnie i spytał:

- No i co pan powie?

- Tylko to, co chyba już pan wie.

- Wszystko jedno, niech pan mówi.

- To nie Lyn Metcalf. Mackenzie mruknął coś pod nosem.

- Dalej.

- Grób jest stary. Ten człowiek leżał tu długo przed tym, zanim zaginęła. Brak tkanki miękkiej, brak odoru... Pies świetnie się spisał.

- Przekażę mu pańskie gratulacje - burknął Mackenzie. - Od kiedy może tu leżeć?

Spojrzałem na płytki wykop. Było już widać szkielet; miał kolor ziemi. Szkielet leżącego na boku dorosłego człowieka w podkoszulku i džinsach.

- Bez dokładniejszych badań mogę powiedzieć tylko w dużym przybliżeniu. Na tej głębokości rozkład ciała postępuje wolniej niż na powierzchni...

Najmniej rok, piętnaście miesięcy. Ale myślę, że leży tu dłużej. Najprawdopodobniej od pięciu lat.

- Skąd pan wie?

- Jest w bawełnianych džinsach i bawełnianym podkoszulku. Bawełna rozkłada się dopiero po czterech, pięciu latach. Reszki jeszcze są, ale niewiele ich zostało.

- Coś jeszcze?

- Mogę podejść bliżej?

- Zapraszam.

Nie byli to ci sami technicy, których poznałem na mokradłach; Mackenzie ściągnął do lasu inną ekipę. Zerknęli na mnie, gdy przykucnąłem na skraju wykopu, lecz bez komentarza dalej robili swoje. Było późno i czekała ich długa noc.

- Są ślady jakichś urazów? - spytałem najbliższego.

- Wyraźny uraz czaszki, ale dopiero co zaczęliśmy ją odsłaniać. - Wskazał ręką. Chociaż czaszka była częściowo przykryta ziemią dostrzegłem na niej pęknięcia rozchodzące się promieniście od wgłębienia w kości.

- Tępe narzędzie albo broń palna - powiedziałem. - Jak pan myśli? Kiwnął głową. W przeciwieństwie do technika, którego spotkałem na

mokradłach, nie miał nic przeciwko temu, że się wtrącam.

- Na to wygląda. Ale będę wiedział na pewno dopiero wtedy, gdy usłyszę grzechot kuli w czaszce.

Postrzał z broni palnej albo cios ostrym narzędziem, na przykład nożem, powoduje urazy innego rodzaju niż te powstające przy użyciu narzędzia tępego. Zwykle łatwo je było rozpoznać i wszystko wskazywało na to, że mamy do czynienia z tym ostatnim. Mimo to rozumiałem jego ostrożność.

- Myśli pan, że zginął od ciosu w głowę? - spytał Mackenzie.

- Możliwe - oparłem. - Uraz wygląda groźnie. Zakładając, że nie powstał po śmierci, mógł być przyczyną zgonu. Ale za wcześnie na konkrety.

- Coś jeszcze? - burknął niezadowolony.

- To mężczyzna, najprawdopodobniej biały. Miał od osiemnastu do dwudziestu kilku lat.

Mackenzie zajrzał do wykopu.

- Poważnie?

- Niech pan spojrzy na czaszkę. Kształt szczęki mężczyzny różni się o kształtu szczęki kobiety. Mężczyzny jest szersza. Widzi pan ten wyrostek kostny w miejscu, gdzie było kiedyś ucho? To łuk jarzmowy, który u mężczyzny jest zawsze większy niż u kobiety. A rasa? Kość nosowa wskazuje, że denat jest Europejczykiem. Mógłby być i Azjata, ale czaszka jest zbyt rombowa, więc raczej nie jest. Wiek... - Wzruszyłem ramionami. - W tej fazie to tylko zgadywanka. Ale z tego, co widzę, kręgi nie są zbyt wyrobione. Widzi pan żebra? - Wskazałem miejsce, gdzie spod podkoszulki sterczały tępo zakończone fragmenty kości. - Im człowiek starszy, tym koniuszki są bardziej nierówne i gruzłowate. Te są jeszcze ostre, więc musiał być młody. Mackenzie zamknął oczy i potarł grzbiet nosa.

- Cudownie. Tylko tego nam brakowało: zabójstwa niezwiązanego z tamtym. - Nagle poderwał głowę. - Ale chyba nie poderżnięto mu gardła, co?

- Raczej nie. - Już to sprawdziłem i na kręgach szyjnych nie znalazłem żadnych śladów od noża. - Zwłoki długo leżały w ziemi, dlatego trudniej jest zauważyć urazy, zwłaszcza bez dokładnych oględzin. Ale nie widzę tu nic, co rzucaloby się w oczy.

- Dzięk Ci, Boże, choć za to - wymruczał Mackenzie.

Mogłem mu tylko współczuć. Trudno było powiedzieć, co bardziej skomplikowałoby mu życie: konieczność wszczęcia kolejnego śledztwa czy dowód na to, że morderca działa w okolicy już od lat.

Ale to mnie nie dotyczyło i bardzo się z tego cieszyłem. Wstałem i otrzepałem ręce.

- Jeśli będzie mnie pan potrzebował, mogę przyjechać jeszcze raz.

- Wpadnie pan jutro do laboratorium? To znaczy, dzisiaj - poprawił się Mackenzie.

- Po co?

Mackenzie był szczerze zaskoczony.

- Żeby lepiej się temu przyjrzeć. Do południa powinniśmy skończyć. W porze lunchu zwłoki będą do pana dyspozycji.

- Z góry zakłada pan, że dam się w to wciągnąć.

- A nie da się pan?

Teraz z kolei ja byłem zaskoczony. Nie pytaniem, tylko tym, że zna mnie lepiej niż ja sam.

- Chyba tak - odparłem, godząc się z nieuchronnym. - Przyjadę o dwunastej.

Obudziłem się w kuchni zmarznięty i zdezorientowany. Stałem przed otwartymi drzwiami na ogród, patrząc na jaśniejące niebo. Wciąż dokładnie pamiętałem mój sen, a głosy Kary i Alice były tak wyraźne, jakbym przed chwilą z nimi rozmawiał. Poruszyło mnie to bardziej niż zwykle. We śnie czułem, że Kara chce mnie przed czymś ostrzec, ale ja nie chciałem wiedzieć przed czym. Za bardzo bałem się tego, co mogłem usłyszeć.

Zadrzałem. Nie pamiętam, jak zszedłem na dół i dlaczego podświadomość kazała mi otworzyć drzwi. Zaniepokojony chciałem je zamknąć, ale nie zamknąłem. Z białego morza stojącej nad mokradłami mgły, niczym skalny klif wynurzyła się nieprzenikniona ściana ciemnego lasu. Patrzyłem na nią ogarnięty złymi przecuciami.

Las. Wśród drzew go nie widać - szczegół przesłania ogół. Nie wiem, dlaczego przyszło mi to do głowy. Przez chwilą wydawało mi się, że ma to głębsze znaczenie, lecz gdy spróbowałem je odnaleźć, rozmyło się jak dym. Wciąż stałem tam i myślałem, gdy wtępną coś musnęło mi kark.

Drgnąłem i się odwróciłem. W kuchni nie było nikogo. To wiatr, pomyślałem, chociaż poranek był cichy, spokojny i zupełnie bezwietrzny. Zamknąłem drzwi, starając się odpędzić niepokój. Ale wrażenie, że ktoś delikatnie przesuwając mi po szyi czubkami palców, nie minęło nawet wtedy, gdy wróciłem do łóżka, żeby doczekać świtu.

Przed wyjazdem do laboratorium miałem do zabicia parę godzin. Nie mając nic lepszego do roboty, poszedłem do Henry'ego na śniadanie; w niedzielę często u niego bywałem. Już wstał. Był w dobrej formie i smażąc jajka na boczku, spytał mnie wesoło, jak było wieczorem. Chwilę trwało, zanim zrozumiałem, że

chodzi mu o grilla u Jenny, a nie o nocne znalezisko. Wiadomość o leśnym grobie jeszcze się nie rozniosła i nawet sobie nie wyobrażałem, jak zareagują na to mieszkańcy Manham. I bez tego mieli na głowie dość zmartwień. Zresztą byłem zbyt zdenerwowany snem, żeby myśleć o takich rzeczach.

Dlatego nie powiedziałem mu, że znaleziono drugie zwłoki. Ale zarazili mnie swoim humorem i wyszedłem od niego w znacznie lepszym nastroju. Nastrój polepszył mi się jeszcze bardziej, gdy ruszyłem do domu po samochód. Był kolejny piękny poranek bez parnego upału, który miał nadejść dopiero później. Żółcie, fiolety i czerwienie na skwerku były tak intensywne, że raziły w oczy, napełniając powietrze ciężką słodkością kwiatowego pyłku. Tylko policyjna przyczepa psuła złudzenie wiejskiej sielanki.

Jej obecność surowo zganiła mnie za ten nagły optymizm, ale ponieważ dawno się już tak nie czułem, miałem to gdzieś. Oczywiście nie kwestionowałem tego, że tam jest. I starałem się nie łączyć mojego nowego spojrzenia na życie z Jenny. Po prostu cieszyłem się chwilą.

Jak się wkrótce okazało, chwila ta nie trwała długo.

Właśnie mijałem kościół, gdy wtę usłyszałem czyjś głos.

- Panie doktorze, chwileczkę.

Na cmentarzu stali Scarsdale i Tom Mason, młodszy z dwóch ogrodników, którzy zajmowali się miejskimi klombami i trawnikami. Spojrzałem na nich zza niskiego murku.

- Dzień dobry, pastarze. Jak się masz, Tom.

Nie przerywając pracy, Tom, który okopywał właśnie krzak róży, skinął mi głową i uśmiechnął się nieśmiało. Podobnie jak jego dziadek, był najszczęśliwszy wtedy, gdy zostawał sam na sam ze swymi roślinami, które traktował z gamoniowatą wprost łagodnością. W przeciwieństwie do niego, Scarsdale nie miał w sobie nic gamoniowatego czy łagodnego. Nie raczył odpowiedzieć na powitanie.

- Ciekawią mnie pańskie przemyślenia na temat obecnej sytuacji - zaczął bez wstępów. Zdawało się, że jego czarny garnitur wchłania całe światło między starymi, przekrzywionymi nagrobkami.

Dziwne słowa.

- Boję się, że nie rozumiem.

- Nasze miasteczko czekają trudne chwile. Cały kraj będzie obserwował, jak oczyszczamy się z zarzutów. Chyba się pan ze mną zgodzi.

Miałem tylko nadzieję, że nie będzie to powtórka z ostatniego kazania.

- Pastarze, czego pan właściwie chce?

- Chcę pokazać, że Manham nie zamierza tolerować tego, co się stało. To dla nas okazja do zadziergnięcia silniejszych więzów. Do zjednoczenia w obliczu próby.

- Szalenciec, który porywa i morduje kobiety to „próba”? Nie rozumiem, jak można do tego tak podchodzić.

- Rzeczywiście, chyba pan nie rozumie. Ludzie boją się, że ucierpi na tym reputacja miasteczka. I słusznie.

- Myślałem, że bardziej chcą znaleźć Lyn Metcalf i schwytać mordercę Sally Palmer. Czy to nie ważniejsze niż zamartwianie się o reputację Manham?

- Niech pan nie wykręca kota ogonem, doktorze - warknął Scarsdale. - Gdyby więcej ludzi zwracało uwagę na to, co się tu dzieje, być może nigdy by do tego nie doszło.

Niepotrzebnie wdałem się z nim w dyskusję.

- Wciąż nie rozumiem, o co panu chodzi.

Byłem świadom obecności ogrodnika, ale Scarsdale nigdy się nie wstydził występować przed publicznością. Odchylił się do tyłu, żeby spojrzeć na mnie znad czubka nosa.

- Było u mnie wielu parafian. Odczuwają potrzebę utworzenia zjednoczonego frontu. Zwłaszcza w rozmowach z dziennikarzami.

- A konkretniej? - spytałem, czując, do czego to wszystko zmierza.

- Miasteczko potrzebuje rzecznika prasowego. Kogoś, kto będzie reprezentował Manham na zewnątrz.

- Rozumiem, że mówi pan o sobie.

- Jeśli ktoś inny zechce wziąć na siebie tę odpowiedzialność, chętnie ustąpię mu miejsca.

- Skąd pewność, że będziemy potrzebowali rzecznika?

- Ponieważ Bóg jeszcze z nami nie skończył. - Scarsdale powiedział to z denerwującą pewnością siebie.

- Więc czego pan ode mnie chce?

- Jest pan tu swego rodzaju prominentem. Pańskie poparcie byłoby mile widziane.

Myśl, że Scarsdale mógłby wykorzystać mnie do swoich celów, była irytująca. Jednakże wiedziałem, że dzięki panującemu w miasteczku strachowi i nieufności zbierze skłonność do posłuchu gromadkę wiernych. I to było najbardziej przygnębiające.

- Nie mam zamiaru rozmawiać z prasą jeśli o to panu chodzi.

- To również kwestia postawy. Nie chciałbym, żeby ktoś podważał wysiłki tych, którzy działają w najlepszym interesie miasta.

- Coś panu powiem, pastarze. Niech każdy z nas robi po prostu swoje. Tak będzie najlepiej.

- Czy to znaczy, że pan mnie krytykuje?

- Powiedzmy, że różnimy się w poglądach na to, co leży w najlepszym interesie miasteczka.

Przyjrzał mi się chłodno.

- Chcę tylko panu przypomnieć, że mieszkańcy Manham są pamiętliwi. Jeśli ktoś zgrzeszy w takiej chwili, długo mu tego nie zapomną. Ani nie wybaczą choć to nie po chrześcijańsku.

- Cóż, w takim razie spróbuję nie grzeszyć.

- Wygadanie nic panu nie pomoże. Widzi pan, nie tylko ja powątpiewam w pańską lojalność. Ludzie mówią doktorze. A to, co mówią jest bardzo niepokojące.

- To może niech pan nie słucha plotek? Czyż jako sługa boży nie powinien pan wierzyć mi na słowo?

- Niech pan nie uczy mnie zawodu.

- A pan niech nie uczy mnie.

Łypnął na mnie spoде łba. Może by coś dodał, ale w tej samej chwili Tom wrzucił z łoskotem narzędzia do taczek. Scarsdale wyprostował się dumnie z oczami twardymi jak kamienne nagrobki, wśród których stał.

- Nie będę pana zatrzymywał, doktorze. Do widzenia - rzekł sztywno i odszedł.

Dobrze to rozegrałeś, pomyślałem z goryczą, idąc dalej. Nie chciałem, żeby rozmowa przekształciła się w konfrontację, ale pastor budził we mnie najgorsze uczucia. Głęboko zamyślony zauważyłem samochód dopiero wtedy, gdy się ze mną zrównał.

- Wyglądasz tak, jakbyś chciał usiąść, ale się przewróciłeś.

Ben. W ciemnych okularach, z ręką za oknem nowego, czarnego land rovera. Wóz był zakurzony, mimo to mój wyglądał przy nim jak zabytek.

- Przepraszam, zamyśliłem się.

- Zauważyłem. Ale chyba nie dlatego, że dopadł cię nasz młot na czarownice? - Ruchem głowy wskazał kościół. - Widziałem, jak rozmawialiście.

Nie wytrzymałem i parsknąłem śmiechem.

- Żebyś wiedział. - Streściłem mu pokrótce naszą rozmowę. Ben pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, jakiego czci Boga, ale nie chciałbym spotkać go w ciemnej uliczce. Trzeba mu było powiedzieć, żeby się odpieprzył.

- Chyba nie przyjąłby tego zbyt dobrze.

- On i tak ostrzy na ciebie zęby. Jesteś dla niego zagrożeniem.

- Ja? - spytałem zaskoczony.

- Pomyśl tylko. Do tej pory był zasuszonym pasterzem stałe kurczącego się stadka. Teraz stanął przed wielką szansą, a ty możesz podważyć jego autorytet. Jesteś lekarzem, jesteś wykształcony, przyjechałeś z wielkiego miasta. No i nie zapominajmy, że jesteś człowiekiem świeckim.

- Nie zamierzam z nim konkurować - odparłem rozdrażniony.

- Wszystko jedno. Ten stary sukinsyn obwołał się głosem Manham. Jeśli nie jesteś z nim, jesteś przeciwko niemu.

- Jakby nie dość było złego.

- Och, nigdy nie wąp w człeka prawego i szlachetnego. Taki zawsze coś spieprzy. Oczywiście wszystko w imię większego dobra.

Przyjrzałem się mu uważniej. Chyba stracił dobry humor.

- Ben, co ci się stało?

- Po prostu jestem dzisiaj cyniczny. Jak pewnie zauważyłeś.

- Nie, w głowę.

Tuż nad okiem miał mocno otartego guza, który częściowo skrywały okulary. Pomacał go palcami.

- W nocy pogoniłem kolejnego kłusownika. Próbował dobrać się do gniazda błotniaka stawowego, którego pilnowałem. Pobieglem za nim, potknąłem się, no i wyładowałem na dupie.

- Uciekł?

Ben gniewnie pokręcił głową.

- Ale jeszcze sukinsyna dopadnę. Jestem pewien, że to ten Brenner. W pobliżu znalazłem jego samochód. Zaczaiłem się, ale się nie pokazał. Pewnie siedział gdzieś i czekał, aż sobie pójdę. - Uśmiechnął się zjadliwie. - Mam nadzieję, że mnie widział, bo spuściłem mu powietrze.

- Rzykujesz.

- I co mi zrobi? Doniesie na policję? - Ben pogardliwie prychnął. - Wpadniesz po południu do pubu?

- Możliwe.

- To na razie.

Odjechał w mgielce spalin, która wisiała przez chwilę w powietrzu, po czym zniknęła.

Wracając do domu, myślałem o tym, co powiedział. Zapotrzebowanie na chronione gatunki zwierząt, zwłaszcza na ptaki, istniało od zawsze; czarny rynek kwitł. Ale ze względu na rolę, jaką zwierzęta te i ptaki odegrały w okaleczeniu zwłok Sally Palmer i uprowadzeniu Lyn Metcalf, powinna wiedzieć o tym policja. Problem polegał na tym, że tego aspektu zbrodni nie ujawniono, dlatego nie mogłem wspomnieć o nim Benowi. Co oznaczało, że czeka mnie kolejna rozmowa z Mackenzie. Robiłem to za jego plecami, co wca-

le mi nie odpowiadało, zwłaszcza że wątpiłem, by coś z tego wyszło. Ale nie mogłem ryzykować. Doświadczenie nauczyło mnie, że nawet najmniejsze szczegóły mogą być ważne.

Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, ale już niebawem miało się to potwierdzić w najmniej spodziewany sposób.

## Rozdział 15

Tej nocy przybyło ofiar. Ale nie zrobił tego ten, kto zamordował Sally Palmer i uprowadził Lyn Metcalf. A przynajmniej nie bezpośrednio. Nie, James Nolan był ofiarą coraz większej w miasteczku podejrzliwości i wrogości.

Mieszkał w maleńkiej chatce w zaułku za warsztatem samochodowym. Był moim pacjentem, cichym, zamkniętym w sobie człowiekiem, mężczyzną nadzwyczaj łagodnym i nieszczęśliwym. Pracował w sąsiedniej wsi, miał pięćdziesiąt kilka lat i ponad dwadzieścia pięć kilogramów nadwagi. Był też homoseksualistą. Bardzo się tego wstydził. W zaścianku takim jak Manham, gdzie homoseksualizm uchodził za zwyrodnienie, nie było miejsca na seksualne przygody. Dlatego jako młody człowiek, Nolan szukał zaspokojenia w parkach, miejskich toaletach czy pobliskich miastach. Podczas jednej z takich eskapad miał nieszczęście zaczepić policjanta po cywilnemu. Dostał wyrok w zawieszeniu, ale wstyd, jaki potem odczuwał, trwał znacznie dłużej. Jak było do przewidzenia, wieść o tym dotarła do Manham i Nolan, uchodzący już za miejscowe dziwadło, stał się natychmiast kimś o wiele gorszym. Chociaż o przestępstwie, jakiego się dopuścił, nigdy otwarcie nie rozmawiano - było wątpliwe, czy w ogóle znano jego charakter - wystarczyły same plotki. Każda mała społeczność lubi przypisywać swoim członkom określoną rolę, dlatego w Manham szybko go napiętnowano. Stał się człowiekiem niedotykalnym, zbrojeńcem, przed którym ostrzegano dzieci. A żyjąc samotnie i w odosobnieniu, Nolan jeszcze bardziej ten wizerunek uwiarygodniał. Przemykał przez miasto jak duch, prawie z nikim nie rozmawiał i pragnął tylko, żeby nie zwracano na niego uwagi. Manham chętnie się do tego dostosowało, nie tyle go tolerując, co ignorując.

Aż do teraz.

Nolan przyjął to niemal z ulgą. Odkąd znaleziono zwłoki Sally Palmer, żył w ciągłym strachu, doskonale wiedząc, że racjonalne myślenie nie odgrywa żadnej roli w poszukiwaniach kozła ofiarnego. Wracał z pracy późnym wieczorem i natychmiast zamykał się w domu z nadzieją że ta swoista niewidzialność nie przestanie go chronić. Ale tej soboty go nie uchroniła.

Było po jedenastej, gdy ktoś zaczął dobijać się do drzwi. Nolan wyłączył już telewizor i szedł właśnie spać. Kotary były zaciągnięte, więc przez chwilę siedział w fotelu, modląc się, żeby zostawili go w spokoju. Ale nie zostawili. Przyszło ich kilku. W dym pijani śmiali się początkowo i szyderczo wołali go po imieniu. Potem okrzyki stały się gniewniejsze, a łomotanie gwałtowniejsze. Drzwi zaczęły dygotać, omal nie wyskoczyły z zawiasów, więc Nolan spojrzał na telefon i niewiele brakowało, żeby zadzwonił na policję. Ale nie zadzwonił, ponieważ przez całe życie robił wszystko, żeby nie zwracać na siebie uwagi. I kiedy tamci zmienili taktykę, grożąc wyważeniem drzwi, zrobił to, co robił zawsze.

Po prostu ich posłuchał.

Łańcucha nie zdjął, wierząc, że wytrzyma. Ale tak samo jak wszystko inne, łańcuch też zawiódł. Drzwi i futryna ustąpiły pod zmasowanym atakiem, odrzucając Nolana do tyłu i napastnicy wpadli do domu.

Później twierdził, że żadnego z nich nie rozpoznał, że nie widział ich twarzy. Bez względu na to, jak było naprawdę, trudno uwierzyć, żeby nie wiedział, kto go pobił. Musiał ich chociaż widzieć w mieście, może byli to nawet synowie czy wnukowie ludzi, z którymi dorastał. Pobili go, skopali, a potem zaczęli demolować dom. Kiedy już potłukli wszystko, co mogli, zajęli się nim ponownie i tym razem przestali dopiero wtedy, gdy stracił przytomność. Niewykluczone, że przed zabójstwem powstrzymała ich resztką zdrowego rozsądku. Z drugiej strony, Nolan odniósł tak rozległe rany, że mogli pomyśleć, iż nie żyje.

Mój telefon zadzwonił jakiś czas po ich wyjściu. Rozespany wymacałem po ciemku słuchawkę, ale nie rozpoznałem głosu, który powiedział szeptem, że kogoś pobito. Zanim zdążyłem otrzeźwieć, rozmówca dodał jeszcze, że stało się to w tym a w tym domu i przerwał połączenie. Przez chwilę gapiłem się osłupiały na słuchawkę, potem zebrałem myśli i zadzwoniłem na pogotowie. Zawsze istniało prawdopodobieństwo, że to fałszywy alarm, ale nie, to nie brzmiało jak głupi dowcip. Poza tym wiedziałem, że upłynie sporo czasu, zanim karetka dojedzie na miejsce.

Po drodze zapukałem do przyczepy na skwerze. Policjanci dyżurowali w niej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a ja nie miałem ochoty iść do Nolana sam. Popeniłem błąd. Ci z pogotowia nic im nie przekazali i straciłem cenny czas na wyjaśnienia. Zanim jeden z nich zgodził się wreszcie mi towarzyszyć, żalowałem już, że nie poszedłem do niego sam.

W zaułku było ciemno choć oko wykol. Od razu domyśliliśmy się, gdzie mieszka, bo drzwi chatki były szeroko otwarte. Idąc w tamtą stronę, patrzyłem na okna sąsiednich domów. Nie dostrzegłem w nich ani śladu życia, mimo to miałem wrażenie, że przez cały czas ktoś nas obserwuje.

Znaleźliśmy Nolana tam, gdzie zostawili go napastnicy. Mogłem tylko ułożyć go w bezpiecznej pozycji i czekać na karetkę. To tracił, to odyskiwał przytomność, więc przemawiałem do niego aż do przyjazdu

sanitariuszy. Gdy ocknął się ponownie, spytałem, co się stało. Ale on znowu zaniknął oczy, nie chcąc nic słyszeć.

Gdy wyniesiono go na noszach, jeden z policjantów, którzy przyjechali wraz z karetką, spytał mnie, dlaczego ów tajemniczy nieznajomy zadzwonił do mnie, zamiast na pogotowie. Odparłem, że nie wiem, ale nie była to prawda. Popatrzyłem na niebieskawe błyski światła odbijającego się w oknach okolicznych domów. Mimo zamieszania, nikogo w nich nie dostrzegłem, nikt nie wyszedł na ulicę, żeby sprawdzić, co się dzieje. Ale czułem, że ludzie na nas patrzą. Tak samo jak patrzyli - lub odwracali wzrok - gdy tamci łomotali do drzwi i katowali Nolana. Tak, kogoś gryzło sumienie, choć nie na tyle, żeby ich powstrzymać czy wciągnąć w to kogoś z zewnątrz. To była ich sprawa. Dzwoniąc do mnie, człowieka ni to obcego, ni to swojego, poszli na kompromis. Byłem pewien, że nie znajdzie się ani jeden świadek i że nikt nie przyzna się do anonimowego telefonu. Zresztą, jak się później okazało, telefonowano z budki, co skutecznie uniemożliwiło identyfikację rozmówcy. Gdy karetka odjechała, jeszcze raz popatrzyłem na ciemne okna i pozamykane drzwi. Miałem ochotę ich zwymyślać. Ale jakimi słowami i co miałbym tym osiągnąć, tego nie wiedziałem. Wróciłem więc do domu i spróbowałem przespać resztę nocy.

Obudziłem się niewyspany i dziwnie nieswój. Wziąłem gazetę, kubek kawy i poszedłem do ogrodu. Tematem dnia była katastrofa kolejowa, dlatego odkrycie drugiego ciała w Manham zasłużyło jedynie na kilka akapitów na trzeciej czy czwartej stronie. Fakt, że zwłoki te nie miały nic wspólnego z morderstwem Sally Palmer, oznaczał, że była to tylko zwykła ciekawostka, ot, zbieg okoliczności.

Poprzedniego dnia przez całe popołudnie i wieczór badałem szczątki młodego człowieka z leśnego grobu i chociaż musieliśmy jeszcze zaczekać na wyniki testów tłuszczowych, które miały ustalić przybliżoną datę jego śmierci, nie spodziewałem się żadnych niespodzianek. Dobrą nowiną - jeśli w ogóle można tak powiedzieć - było to, że nie powinniśmy mieć trudności z ustaleniem jego nazwiska. Miał nietknięte zęby, a w zębach były plomby, więc przy odrobinie szczęścia policja mogła porównać zdjęcia ze zdjęciami rentgenowskimi w kartotekach dentystycznych. Odkryłem również stare złamanie lewej kości piszczelowej. Dawno się zagoiło, lecz była to kolejna wskazówka, która mogła pomóc ustalić tożsamość zamordowanego.

Poza tym mogłem jedynie potwierdzić to, co powiedziałem Mackenziemu w lesie. Denat był młodym białym mężczyzną, któremu roztrzaskano czaszkę ciężkim, tępym narzędziem. Sądząc po promienistym kształcie dziur w kości, najprawdopodobniej dużym młotkiem albo pobijakiem. Usytuowanie ran oraz ich rozległość wskazywały na to, że uderzono go kilka razy od tyłu. Po tak długim czasie trudno było powiedzieć na pewno, czy to właśnie te urazy go zabiły, ale przypuszczałem, że tak. Tak silne ciosy musiały doprowadzić do natychmiastowej śmierci i chociaż nie sposób było ustalić, czy morderca nie zrobił mu czegoś przedtem, na kościach nie znalazłem innych śladów przemocy.

Nie miałem podstaw, by sądzić, że jego śmierć łączy się jakoś z ostatnimi wydarzeniami w Manham. Nasz morderca polował na kobiety, nie na mężczyzn, i chociaż musieliśmy jeszcze zaczekać na wyniki badań, wątpiłem, żeby ta ofiara pochodziła stąd. W miasteczku tej wielkości nie można zniknąć niezauważenie, zwłaszcza na tak długo. Poza tym zabójstwo to nie było pod żadnym względem podobne do zabójstwa Sally Palmer. Zwłoki Sally pozostawiono na otwartej przestrzeni i podczas gdy jej zmasakrowano twarz, czy to w napadzie szału, czy to po to, żeby uniemożliwić identyfikację, twarz mężczyzny z lasu była nietknięta. Według najbardziej prawdopodobnego scenariusza, zarówno on, jak i morderca, pochodzili spoza Manham. Morderca zabił i przywiózł tu ciało, żeby ukryć je w leśnej głuszy.

Jednakże na wszelki wypadek poświęciłem aż za dużo czasu na poszukiwanie charakterystycznych wyźłobień na kręgach szyjnych denata. Może dlatego, że jeszcze tydzień wcześniej jedyną cechą wyróżniającą Manham było to, że miasteczko leżało na odludziu. Teraz mieliśmy tu dwa zabójstwa, jedno świeże, drugie sprzed lat, no i jedno zaginięcie. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że stoimy u progu jakiejś tajemnicy. Jeśli Manham dopiero teraz zaczynało zdradzać swoje sekrety, nie sposób było przewidzieć, czego jeszcze możemy się dokopać.

Myśl ta bynajmniej mnie nie pocieszyła.

Przejrzałem gazetę, lecz zrobiłem to bez większego zainteresowania. Rzuciłem ją na stolik i dopiłem kawę. Nadeszła pora na prysznic. Tak, prysznic, a potem lunch u Henry'ego.

Po lunchu miałem spotkać się z Jenny, dlatego byłem zdenerwowany i podniecony. Miałem też wyrzuty sumienia, bo nie powiedziałem o tym Henry'emu. Wiedziałem, że na pewno pożyczę mi żaglówkę, lecz wiedziałem również, że liczy na dłuższe spotkanie, tymczasem ja zamierzałem je skrócić i uciec. Może powinienem był je przełożyć, jedno albo drugie. Ale nie chciałem go zawieść, poza tym nie wiedziałem, kiedy znowu będę miał okazję popływać. Nie chciałem czekać.

Dlaczego? - jadził cyniczny głos w mojej głowie. Aż tak bardzo chcesz zobaczyć Jenny? Naprawdę? Postanowiłem o tym nie myśleć. Wstałem i poszedłem wziąć prysznic, a pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Zanim dotarłem do przychodni, rozboleła mnie głowa. Ale nie dokuczała mi aż tak bardzo, żeby nie ucieszył mnie zapach pieczeni wołowej, który poczułem, gdy tylko tam wszedłem. Zamiast zapukać, głośno zawołałem, jak zwykle.

- Tutaj! - Był w kuchni.



Przeszedłem przez dom. W kuchni było gorąco mimo otwartych na oścież przeszkłonych drzwi z widokiem na ustronny, zielony ogródek. Henry kręcił ciasto na Yorkshire pudding, a tuż obok niego stał pusty kieliszek. Jak na tak upalne popołudnie, nie była to najlepsza strawa, lecz jeśli chodziło o niedzielny lunch, pan doktor był tradycjonalistą.

- Już prawie gotowe - powiedział, przekładając ciasto do brytfanny. Zasycał i zaskwierczał gorący tłuszcz. - Jak tylko dojdzie, możemy jeść.

- Pomóc ci?

- Tak, nalej nam po kielichu. Piję jakiegoś sikacza, ale otworzyłem butelkę, naprawdę przedniego wina. Musiało trochę pooddychać, ale powinno być już dobre. Chyba że wolisz piwo.

- Nie, wino.

Henry podjechał wózkiem do piecyka. Otworzył drzwiczki, odchylił się do tyłu, uciekając przed podmuchem gorąca i wstawił do duchówki brytfannę. Nieczęsto gotował, ale jeśli już gotował, zawsze podziwiałem jego zręczność i zastanawiałem się, jak poradziłbym sobie na jego miejscu. Z drugiej strony, nie miał zbyt wielkiego wyboru. No i nie należał do ludzi, którzy łatwo się poddają.

- Już - rzucił, zatraskując drzwiczki. - Jeszcze tylko dwadzieścia minut i możemy jeść. Boże, człowieku, nie nalałeś jeszcze wina?

- Już, już, za chwileczkę. - Właśnie zaglądałem do szuflady. - Masz aspirynę? Głowa mnie boli.

- Jeśli nic tam nie ma, musisz poszukać w szafce z lekami.

W szufladzie znalazłem tylko puste pudełko po paracetamolu. Korytarzem doszedłem do pokoju, który pełnił też funkcję gabinetu lekarskiego, odkąd u niego zamieszkałem. Przechowywaliśmy tam leki i różnego rodzaju przybory. Henry lubił chomikować i trzymał tam również stare proszki, butelki, buteleczki i narzędzia lekarskie, które odziedziczył po swoim poprzedniku. Prawdopodobnie łamał tym samym wiele przepisów BHP, lecz nigdy nie darzył szacunkiem nadmiernie rozbudowanych regulaminów i biurokracji.

Jego kolekcja okrywała się kurzem w eleganckiej wiktoriańskiej gablotce, która stanowiła miły kontrast w porównaniu z brzydką stalową szafką i małą lodówką gdzie przechowywaliśmy szczepionki. Wśród pięknych, starych, drewnianych mebli i skórzanych foteli, szafka i lodówka kłuły w oczy mimo daremnych wysiłków Henry'ego, który próbował zamaskować je oprawionymi w ramkę zdjęciami. Było tam również zdjęcie, które zrobił nam na żaglówce rok wcześniej, lecz przeważały fotografie jego żony Diany. Na honorowym miejscu na gablotce stało ich zdjęcie ślubne. Ładnie razem wyglądali, młodzi, szczęśliwi, uśmiechnięci i nieświadomi czekającego ich losu.

Spojrzałem na dwie zakurzone laski w kącie przy biurku. Kiedy przyjechałem do Manham, próbował jeszcze z nich korzystać. W uszach wciąż pobrzmiwało mi jego stękanie, gdy usiłował zrobić choć kilka samodzielnych kroków. „Udowodnię tym sukinsynom, że się mylą” - powtarzał. Ale nie udowodnił i z czasem zarzucił dalsze próby. Laski pozostały w gabinecie jako symbol ludzkiej słabości i ułomności.

Odróciłem się, otworzyłem gablotkę, poszperałem wśród pudełek, znalazłem paracetamol, zamknąłem drzwiczki i wróciłem do kuchni.

- Najwyższa pora - mruknął, gdy wszedłem. - Pospiesz się z tym winem. Po takiej robocie suszy człowieka jak diabli. - Wachlując się ręką, podjechał do otwartych drzwi. - Ochłódźmy się trochę.

- Jemy na dworze?

- Nie bądź barbarzyńcą. Czy ja wyglądam na Australijczyka? I weź tę butelczynę. To bordeaux, a nie jakiś tam sikacz.

Popiłem paracetamol wodą, wziąłem wino i wyszedłem. Ogródek był utrzymany starannie, choć niezbyt pedantycznie. Henry zawsze lubił w nim grzebać i to, że już nie może, bardzo go frustrowało. Usiedliśmy przy starym stole z kutego żelaza pod rozłożystym złotokapem. Jezioro, mieniące się za rosnącymi pod płótem wierzbami, dawało złudzenie chłodu. Rozlałem wino.

- Twoje zdrowie - powiedziałem.

- Twoje. - Henry zakręcił rubinowym płynem w kieliszku i krytycznie go powąchał. W końcu wypił łyk. - Hmm... Niezłe.

- Z naszego supermarketu?

- Wieśniak - prychnął i z wyraźną rozkoszą pociągnął kolejny łyk. - No, to mów. Wszyściutko. Jak było na kolacji?

- Raczej na grillu. Siedzieliśmy w ogrodzie. Podobałoby ci się.

- Jedzenie na świeżym powietrzu jest dopuszczalne tylko w piątek wieczorem. Niedzielny lunch zasługuje na stosowną oprawę. Ale nie odpowiedziałeś na pytanie.

- Było miło, dziękuję. Uniósł brew.

- Miło? To wszystko?

- Co jeszcze mogę powiedzieć? Dobrze się bawiłem.

- Czyżbym słyszał nutkę wstydu w twoim głosie? - rzucił z uśmiechem. - Widzę, że będę musiał to z ciebie wyciągać. Wiesz co? Po południu weźmiemy żaglówkę i wszystko mi opowiesz. Prawie nie wieje, ale nie ma to jak wiosła. Zrzucimy trochę brzuszka.

Z zażenowania zaczęła mnie palić twarz.

- Oczywiście jeśli nie chcesz, nie ma sprawy - dodał już bez uśmiechu.

- Nie, nie, nie o to chodzi. Widzisz... obiecałem Jenny, że popłyną z nią.

- Aha. - Nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- Przepraszam, powinienem być cię uprzedzić...

Ale Henry doszedł już do siebie i pokrył rozczarowanie szerokim uśmiechem.

- Nie musisz przeproszać! Dobrze ci to zrobi!

- Zawsze mogę.

Machnął ręką, nie pozwalając mi dokończyć.

- W słoneczne popołudnie takie jak to o wiele przyjemniej jest z piękną młodą dziewczyną niż ze starym piernikiem takim jak ja.

- Na pewno nie masz nic przeciwko temu?

- Popływamy kiedy indziej. Cieszę się, że wreszcie poznałeś kogoś, kto ci się podoba.

- „Podoba się” to za dużo powiedziane...

- Przestań. Najwyższa pora, żebyś zaczął cieszyć się życiem! Z tego nie trzeba się tłumaczyć.

- Ja się nie tłumaczę, po prostu... - Zabrakło mi słów. Henry spoważniał.

- Niech no zgadnę: masz wyrzuty sumienia. Kiwnąłem głową nie ufając językowi.

- Ile to już? Trzy lata?

- Prawie cztery.

- U mnie prawie pięć. I wiesz co? To wystarczy. Zmarłych nie wskrzesisz, więc musisz żyć dalej najlepiej, jak umiesz. Kiedy Diana zmarła... Chyba nie muszę ci tego mówić. - Roześmiał się smutno. — Nie mogłem zrozumieć, dlaczego ja przeżyłem, a ona nie. Jeszcze długo po wypadku... - Urwał i spojrzał na jezioro. Chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. - Ale to już inna historia. - Wziął kieliszek. - Tak z zupełnie innej beczki: słyszałem, że w miasteczku coś się wczoraj działo.

Niewiele plotek go omijało.

- Można tak powiedzieć. James Nolan miał sąsiedzką wizytę.

- Jak się czuje?

- Źle. - Przed wyjściem z domu dzwoniłem do szpitala. - Mocno oberwał. Wyjdzie dopiero za parę tygodni.

- No i oczywiście nikt nic nie widział, tak?

- Najwyraźniej.

Henry z odrazą unióś krzaczaste brwi.

- To są bestie, nie ludzie. Dzikie bestie. Ale wiesz, wcale mnie to nie dziwi. Z tego, co słyszałem, ty też padłeś ofiarą plotek, prawda?

Powinienem być wiedzieć, że dotarły do niego i te.

- Ale mnie nikt przynajmniej nie pobił.

- Nie mów hop. Ostrzegałem cię, jak się to może skończyć. To, że jesteś lekarzem, wcale nie znaczy, że masz u nich przody...

Znowu zaczynał wpadać w ten paskudny nastrój.

- Przestań...

- Wierz mi, znam Manham lepiej niż ty. Jak przyjdzie co do czego, ludzie zwrócą się przeciwko tobie tak samo jak przeciwko Nolanowi. I nie będzie miało żadnego znaczenia, co kiedyś dla nich zrobiłeś. Wdzięczność? Nie w tym zasranym miasteczku! - Rozsierzony pociągnął łyk wina, zapominając go posmakować. - Zastanawiam się czasem, po jaką cholere ich leczymy.

- Nie mówisz tego poważnie.

- Nie? - Spojrzał w zadumie na swój kieliszek; zanim przyszedłem, musiał sporo wypić. - Nie, może i nie. Ale są takie chwile, kiedy zastanawiam się, co my tu robimy. Naprawdę. Nigdy nie zadajesz sobie tego pytania?

- Jesteśmy lekarzami, to chyba wystarczy.

- Tak, tak, wiem- odparł poirytowany- Ale co dobrego robimy? Czy możesz szczerze powiedzieć, że nigdy nie masz uczucia, że marnujesz tu czas? Że sztuka dla sztuki, utrzymujesz przy życiu kilkoro staruszek i staruszków? Opóźnimy to, co nieuniknione, tylko do tego sprowadza się nasza rola.

Patrzyłem na niego z coraz większym zatroskaniem. Był zmęczony i pierwszy raz zauważyłem, że się starzeje.

- Dobrze się Czujesz? Zachichotał.

- Nie zwracaj na mnie uwagi. Jestem dzisiaj cyniczny. Może bardziej niż zwykle. - Sięgnął po butelkę. - Zaczyna załazić mi to za skórę, i tyle. Napijemy się jeszcze po jednym i opowiesz mi o swoich tajemniczych wyjazdach.

Nie bardzo chciałem, ale ucieszyłem się, że wreszcie możemy zmienić temat. Słuchał mnie, początkowo z lekkim zdziwieniem, gdy opowiadałem o tym, co robiłem przed przyjazdem do Manham, potem z niedowierzaniem, gdy opisałem mu, jak pomagałem Mackenziemu.

Gdy skończyłem, powoli pokręcił głową.

- Przychodzi mi na myśl tylko jedno określenie: czarny koń.

- Przepraszam. Wiem, że powinienem był powiedzieć ci o tym wcześniej, ale do zeszłego tygodnia myślałem, że to już przeszłość.

- Nie przepraszaj - odparł, choć widziałem, że się zdenerwował. Przygarnął mnie, gdy byłem w dołku, a teraz okazało się, że go oszukiwałem. Przez cały czas wierzył, że moja przygoda z antropologią była przygodą czysto akademicką. I chociaż nie do końca skłamałem, była to marna odpłata za zaufanie.

- Jeśli chcesz, mogę w każdej chwili zrezygnować - dodałem.

- Zrezygnować? Nie bądź śmieszny! - Zmarszczył brwi. - Chyba że zacząłeś mieć wątpliwości co do sensu dalszej pracy w Manham?

- Nie, oczywiście, że nie. Nie chciałem się w to angażować. I niczego przed tobą ukrywać. Po prostu wolałem o tym nie myśleć.

- Tak, rozumiem. Jestem trochę zaskoczony, to wszystko. Nie miałem pojęcia, że uprawiałeś tak ciekawy i rzadki zawód. - Popatrzył w zadumie na jezioro. - Zazdroszczę ci. Zawsze żałowałem, że nie poszedłem na psychologię. Kiedyś, dawno temu, miałem takie ambicje. Oczywiście nie wypaliło. Długie studia podyplomowe, i tak dalej. A ja chciałem ożenić się z Dianą, zostać lekarzem i jak najszybciej zacząć zarabiać. Psychologia... Wtedy uważałem, że to bardzo wytworne.

- W tym, co robiłem, nie było nic wytwornego.

- W takim razie coś podniecającego. - Posłał mi znaczące spojrzenie. - Nie zaprzeczaj tylko, że od tygodnia jesteś zupełnie inny. Zmieniłeś się, i to jeszcze przed tym grillem. - Roześmiał się krótko i wyjął fajkę z kieszeni. - Tak czy inaczej, to był upiorny tydzień. Wiadomo już, kto to jest?

- Ten z lasu? Jeszcze nie. Ale jest nadzieja, że zidentyfikują go po zębach. Henry znowu pokręcił głową nabił fajkę i zapalił.

- Mieszka tu człowiek od tylu lat i nagle... - Zrobił wysiłek, żeby odpędzić od siebie zły nastrój. - Dobra. Lepiej pójde sprawdzic, co z naszym jedzeniem. I bez przypalonego puddingu jest ponuro.

Potem rozmowa zrobiła się nieco lżejsza. Ale pod koniec lunchu Henry był już wyraźnie zmęczony i uświadomiłem sobie, że od kilku dni odwała za mnie prawie całą robotę. Zaproponowałem, że pozmywam, ale nie chciał o rym słyszeć.

- Poradzę sobie, naprawdę. Zresztą większość naczyń pójdzie do zmywarki. Pędz już na to spotkanie.

- Mam jeszcze dużo czasu.

- Ty się uparłeś na naczynia, ja na to, żebyś wreszcie poszedł. Wiesz, na co mam teraz ochotę? Dopić wino i uciąć sobie drzemkę.

Groźnie zmarszczył brwi.

- Czyżbyś śmiał zepsuć mi niedzielne popołudnie?

Umówiliśmy się przed pubem, na neutralnym terenie, bo gdybym po nią wpadł, wyglądałoby to jak randka. Wciąż próbowałem wmówić sobie, że to tylko żagle, nic więcej. Przecież nie zabierałem jej na kolację, co miałoby seksualny podtekst. A tak nie musiałem martwić się ani o nadawanie, ani o odbieranie właściwych sygnałów. Ani o to, ani w ogóle o nic.

Tyle tylko, że przeczyło temu napięcie, jakie odczuwałem.

U Henry'ego celowo uważałem z winem i chociaż miałem ochotę na coś mocniejszego, piłem teraz sok pomarańczowy. Gdy wszedłem do środka, powitano mnie jak zwykle, mimo to ucieszyłem się, że nie ma tam Carla Brennera.

Wziąłem sok, wyszedłem na dwór i oparłem się o kamienny murek naprzeciwko pubu. Byłem tak zdenerwowany, że niemal od razu wypilem całą szklankę. Poza tym co chwila spoglądałem na zegarek. Żeby wreszcie przestać, odwróciłem głowę i zobaczyłem, że jedzie ku mnie samochód, stary mini morris. Zaraz potem za kierownicą dostrzegłem Jenny. Zaparkowała, wysiadła i nagle poczułem się lekki jak piórko. Co się ze mną działo? Ale wszystkie pytania poszły precz, gdy do mnie podeszła.

- Postanowiłam się troszkę polenić - zaczęła z uśmiechem, przesuwając ciemne okulary na czubek głowy. Ale dobrze wiedziałem, że przyjechała samochodem tylko dlatego, że niewiele samotnych kobiet chodziło teraz piechotą. Była w szortach i niebieskim podkoszulku. Zapach jej perfum był tak delikatny, że prawie niewyczuwalny. - Długo pan czeka?

- Przed chwilą przyszedłem. - Zerknęła na moją szklankę, więc zażenowany wzruszyłem ramionami. - Bardzo chciało mi się pić. Przynieść coś pani?

- Dostosuję się do pana.

Czułem, że zaczynamy dryfować w strefę tego charakterystycznego napięcia, które powoduje, że każde zdanie brzmi fałszywie. Decyduj, pomyślałem. Teraz! Od tego zależy nastrój całego popołudnia.

- A może weźmiemy coś na wynos? - zaproponowałem, zaskakując sam siebie. Gdy tylko to powiedziałem, natychmiast wyczułem, że był to dobry wybór.

Jenny uśmiechnęła się promiennie.

- Świetnie.

Zaczekała na zewnątrz, a ja wpadłem do pubu po butelkę wina. Próbowałem nie zwracać uwagi na dziwne spojrzenia, jakimi obrzucano mnie, gdy pożyczałem od Jacka kieliszki i korkociąg, i dałem sobie w duchu tęgiego kopa za to, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Ale wiedziałem dlaczego. Unikałem wszystkiego, co mogłoby sugerować, że jest to coś więcej niż zwykła wycieczka. Wyglądało na to, że Jenny również.

- Chwileczkę - powiedziała, gdy wróciłem i teraz z kolei ona weszła do pubu. Minutę później wróciła z kilkoma paczkami chipsów i orzeszków. - Na wypadek gdyby zaczęło ssać nas w dołku - wyjaśniła z uśmiechem.

Napięcie przysło. Zostawiła samochód na skwerze i poszliśmy nad jezioro. Na molo można było dojść przez ogródek Henry'ego, ale znałem również mało używaną drogę, a raczej dróżkę dojazdową, która biegła tuż obok przychodni. Nie chciałem mu przeszkadzać, więc poszliśmy dróżką. Żaglówka stała nieruchomo na idealnie gładkiej wodzie. Nie wiał najłżejszy nawet wiatr. Weszliśmy na pokład.

- Chyba dzisiaj nie pożeglujemy - powiedziałem.

- Nie szkodzi. Miło będzie po prostu pobyc na wodzie.

Nawet nie podnosząc żagla, siadłem do wiosł i wypłynęliśmy na jezioro. Jego powierzchnia błyszczała w słońcu jak szkło, tak intensywnie, że rozboleły mnie oczy. Słysząc było jedynie melodyjny plusk wiosł, gdy zagłębiały się i wynurzały z wody. Jenny siedziała twarzą do mnie. Dotykaliśmy się kolanami, ale się od siebie nie odsunęliśmy. Płynęliśmy na drugi brzeg i włożyła rękę do wody, sunąc po niej czubkami palców i zostawiając na powierzchni rozszerzający się ślad.

Im bliżej brzegu, tym jezioro robiło się płytsze, sam brzeg zaś, porośnięty kępami gęstego, żółtawego sitowia, był miejscami niedostępny. Z sitowia sterczał mały cypel z brzegami porośniętymi starymi wierzbami płaczącymi o długich, wystrzępionych gałęziach. Wpłynęliśmy pod jedną z nich i przywiązałem łódź do pnia. Upstrzone słonecznymi plamkami liście były prawie przezroczyste.

- Jak tu pięknie! - wykrzyknęła Jenny.

- Chciałaby się pani rozejrzeć? Zawahała się.

- Nie chcę wyjść na idiotkę, ale czy to bezpieczne? Te wszystkie sidła i pułapki...

- Nie przypuszczam, żeby ktoś zadawał sobie aż tyle trudu. Nikt tu już nie przychodzi, nie byłoby sensu.

Włożyliśmy wino dowody, żeby się ochłodziło i poszliśmy zwiedzić okolicę. Nie żeby było tam dużo do zwiedzania, ot, mały cypel, pas sitowia, skalny kurhan i drzewa. Na brzegu odkryliśmy ruiny jakiegoś domku, porośniętego zielskiem i pozbawionego dachu.

- Myśli pan, że ktoś tu kiedyś mieszkał? - spytała Jenny i niskimi, kamiennymi drzwiami weszła do środka. Pod nogami zaszeleściły zeszloroczne liście. Mimo upału, pachniało pleśnią wilgocią i starością.

- Możliwe. Wszystko to należało kiedyś do ratusza, do miasta. Może był to domek wartownika czy kogoś takiego.

- Nie wiedziałam, że w miasteczku był kiedyś ratusz.

- Był. Zburzono go po drugiej wojnie światowej. Przesunęła ręką po omszałej półce nad starym kominkiem.

- Nie zastanawia się pan nigdy, kto mieszkał kiedyś w miejscach takich jak to? Kim ci ludzie byli, jak żyli?

- Na pewno nie było im lekko.

- Ale czy tak uważali, czy myśleli, że to normalne? Czy z nami będzie tak samo? Czy za kilkaset lat ktoś popatrzy na nasze domy i pomyśli: „Biedacy. Jak oni dawali sobie radę?”

- To bardziej niż prawdopodobne. Tak to już jest.

- Zawsze chciałam być archeologiem. To znaczy, zanim zostałam nauczycielką. To dawne życie, o którym nic nie wiemy, ci ludzie... Wszyscy na pewno myśleli, że są najważniejsi, tak samo jak my teraz. - Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się z zażenowaniem. - Aż ciarki przechodzą. Bardzo mnie to fascynuje.

Zastanawiałem się, czy słyszała coś o moim związku z życiem ludzi sprzed lat. Ale nic na to nie wskazywało. ... - Więc dlaczego pani nie została? To znaczy, archeologiem.

- Pewnie za mało tego pragnęłam. No i skończyłam w szkole. Nie, nie, proszę mnie źle nie zrozumieć. Lubię uczyć. Ale czasami po prostu myślę: co by było gdyby?

- Jest jeszcze czas.

- Nie - odparła z ręką na półce. - Tamtej mnie już nie ma. Dziwne słowa.

- Jak to?

- Szansę dostaje się tylko w określonym czasie. Skrzyżowanie dróg, i tak dalej. Podejmujesz decyzję i skręcasz w lewo. Podejmujesz inną, skręcasz w prawo i trafiasz zupełnie gdzie indziej. - Wzruszyła ramionami. - Ja skręcałam nie tam, gdzie była archeologia.

- Nie wierzy pani w drugą szansę?

- Nie ma drugich szans, są tylko inne. Jakakolwiek podejmiesz decyzję, życie zawsze będzie inne niż wtedy, gdybyś podjął inną. - Nachmurzyła czoło. Zażenowana, szybko zabrała rękę z półki. - Boże, co ja plotę - rzuciła ze śmiechem. - Przepraszam.

- Nie ma za co - odrzekłem, ale ona już wychodziła, pochylając głowę w drzwiach.

Ja też wyszedłem, dając jej czas na odpędzenie złych myśli. Miała gładki, opalony kark. Porastały go maleńkie, jasne włoski, delikatny meszek, który znikał pod podkoszulkiem. Pod wpływem nagłego impulsu chciałem go dotknąć i z trudem oderwałem wzrok od jej szyi.

Gdy się odwróciła, była już wesoła.

- Myśli pan, że wino już się schłodziło?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Wróciliśmy do łodzi i wyjąłem butelkę z wody.

- Może pani pić? - spytałem. - Mam mineralną...

- Nie, nie, wino będzie w sam raz. Rano wzięłam insulinę. Jeden kieliszek mi nie zaszkodzi. - Uśmiechnęła się szeroko. - Poza tym jest ze mną lekarz.

Usiedliśmy na kocu pod wierzbą. Od powrotu z ruin prawie się do siebie nie odzywaliśmy, ale nie było to milczenie niezręczne.

- Tęskni pan za życiem w dużym mieście? - spytała. Przypomniały mi się moje ostatnie wyprawy do laboratorium.

- Do niedawna nie tęskniłem. A pani?

- Nie wiem. Czasami mi czegoś brakuje. Nie barów czy restauracji. Bardziej już chyba ruchu, tłumy. Ale powoli przywykam do wsi. Tak naprawdę wszystko sprowadza się do zmiany tempa życia.

i- Zamierza pani kiedyś wrócić? Spojrzała na mnie, potem na wodę.

- Nie wiem. - Zerwała źdźbło trawy. - Co powiedziała panu Tina?

- Niewiele. Tylko to, że dużo pani przeszła. Jenny uśmiechnęła się, bawiąc się źdźbłem.

- Dobra, stara Tina - rzuciła oschle, lecz bez rozgoryczenia. Czekałem, chcąc, żeby sama zdecydowała, czy powiedzieć coś więcej.

- Napadnięto mnie - zaczęła po chwili, nie podnosząc głowy. - Półtora roku temu. Byłam z przyjaciółmi w mieście i złapałam taksówkę, żeby wrócić do domu. Tak, jak trzeba. Na ulicy jest niebezpiecznie, i tak dalej. Byłam na czyichś urodzinach i za dużo wypiałam. Zasnęłam, a kiedy się obudziłam, okazało się, że już nie jedziemy i że dobiera się do mnie kierowca. Broniałem się, ale zaczął mnie bić. Grozić, że mnie zabije, a potem...

Zadrzał jej głos. Umilkła.

- Nie zgwałcił mnie - dodała po chwili. - Usłyszałam, że gdzieś w pobliżu są ludzie. Staliśmy na pustym parkingu, a oni akurat tamtędy przechodzili. Zupełny przypadek. Zaczęłam krzyczeć, kopać nogami w okno. Wpadł w panikę, wypchnął mnie z samochodu i odjechał. Na policji powiedzieli mi, że miałam szczęście. I naprawdę miałam. Wysłałam z tego z kilkoma siniakami i zdrapaniami, a mogło być znacznie gorzej. Ale wcale się z tego nie cieszyłam. Byłam przerażona.

- Złapali go? Pokręciła głową.

- Nie potrafiłam go dokładnie opisać, uciekł, zanim ktokolwiek zdążył zanotować numer rejestracyjny. Nie znałam nawet nazwy tego przedsiębiorstwa taksówkowego, bo zatrzymałam go na ulicy. Wciąż gdzieś tam jest.

Wrzuciła źdźbło do wody. Unosiło się, nie pozostawiając na powierzchni najmniejszego śladu.

- Doszło do tego, że przestałam wychodzić z domu. Nie bałam się, że znowu go zobaczę, nie. Chodziło o... o wszystko razem. O to, że jeśli bez najmniejszego powodu napadnięto mnie raz, mogą mnie napaść i drugi. W każdej chwili. Dlatego postanowiłam wyjechać. Zamieszkać gdzieś, gdzie jest ładnie i bezpiecznie. Zobaczyłam ogłoszenie w gazecie i trafiłam tutaj. - Wykrzywiła usta w uśmiechu. - Świetnie wybrałam, prawda?

- Cieszę się, że pani przyjechała.

Powiedziałem to, zanim się spostrzegłem. Szybko spojrzałem na jezioro, gdziekolwiek, byleby nie na nią. Idiota! Aż się we mnie zagotowało. Po jaką cholere otwierałeś gębę?

Milczeliśmy. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że Jenny na mnie patrzy. Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Chce pan chipsa? - spytała.

Niezręczna chwila minęła. Z ulgą sięgnąłem po wino. W dniach, które nadeszły potem, popołudnie to miało kojarzyć mi się z ostatnim przebłykiem błękitu przed nadciągającą burzą.

## Rozdział 16

Następny tydzień minął w stanie zawieszenia. Stłumione napięcie, otepiałe wyczekiwanie, aż coś się wydarzy, wypełniało powietrze jak ozon. Nie wydarzyło się nic.

Panujący w miasteczku nastrój pasował do tego płaskiego, stęzalego krajobrazu. Upał nie ustępował. Był jeszcze intensywniejszy niż dotychczas i nic nie zapowiadało, żeby na niebie pojawiły się chmury. Policyjne śledztwo mozolnie parło naprzód, lecz jak dotąd nie znaleziono ani ofiary, ani podejrzanego, a ulice stały się hałaśliwe, bo wszystkie dzieci w wieku szkolnym obchodziły początek długich letnich wakacji. Powróciłem

do normalnych godzin pracy w przychodni i nawet jeśli więcej pacjentów przychodziło ostatnio do Henry'ego niż do mnie, nie zwracałem na to uwagi. Żyłem nowym życiem, a Manham było teraz moim nowym domem na dobre i na złe. Wcześniej czy później minie nawet to i znowu nastaną względnie normalne czasy.

Przynajmniej tak wtedy myślałem.

Regularnie widywałem się z Jenny. Pewnego wieczoru pojechaliśmy na kolację do restauracji w Horning, gdzie były stoły z lnianymi obrusami i świecami i gdzie lista win nie ograniczała się tylko do wyboru między czerwonym i białym. Chociaż dopiero co się poznaliśmy, miałem wrażenie, że znamy się od lat. Być może dlatego, że obydwójce przeżyliśmy to, co przeżyliśmy. Że obydwójce doświadczyliśmy czegoś, czego nie doświadczyła większość ludzi, i przekonaliśmy się, jak cienka linia odgradza życie codzienne od tragedii. Świadomość ta, choć rzadko ujmowana w słowa, połączyła nas niczym tajemny język. Dlatego całkiem naturalne było to, że opowiedziałem jej o Karen i Alice, i o tym, że pomagałem Mackenziemu. Wysłuchała mnie bez komentarza, a gdy skończyłem, lekko dotknęła mojej ręki.

- Dobrze zrobiłeś - powiedziała. Trzymała rękę jeszcze przez chwilę, potem szybko ją zabrała i bez najmniejszego zażenowania czy skrępowania zaczęliśmy rozmawiać o czymś innym.

Napięcie pojawiło się dopiero w drodze powrotnej. Im bliżej Manham, tym Jenny coraz bardziej zamykała się sobie. Rozmowa, dotychczas lekka i swobodna, powoli zamierała, wreszcie umilkliśmy na dobre.

- Wszystko w porządku? - spytałem, gdy zatrzymaliśmy się przed jej domem.

Kiwnęła głową, lecz zrobiła to za szybko, za nerwowo.

- Dobranoc - rzuciła płochliwie i otworzyła drzwiczki. Już miała wysiąść, lecz się zawahała.

- Posłuchaj... Przepraszam. Po prostu nie chcę się spieszyć. Drętwo kiwnąłem głową.

- Nie, to nie znaczy... To nie znaczy, że nie chcę... - Wzięła głęboki oddech. - Ale jeszcze nie teraz. Dobrze? - Uśmiechnęła się niepewnie. - Jeszcze nie.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, nachyliła się i pocałowała mnie, musnęła ustami moje usta. A potem pobiegła do domu. Zabrakło mi tchu. Przepelniała mnie radość, jednocześnie miałem wyrzuty sumienia.

Ale jej słowa uderzyły mnie z zupełnie innego powodu. „Jeszcze nie”. Tak odpowiedziała mi Linda Yates, kiedy spytałem, czy śniła jej się Lyn. Pewnego popołudnia, gdy całe miasteczko było pogrążone w pełnej oczekiwania ciszy, spotkałem ją ponownie. Z zaaferowaną twarzą szła spieszenie główną ulicą i zauważyła mnie dopiero wtedy, gdy znalazłem się ledwie trzy kroki od niej. Podniosła głowę i gwałtownie przystanąła.

- Witaj, Lindo. Jak tam chłopcy? - spytałem.

- Dobrze.

Już miałem pójść dalej, gdy mnie zawołała.

- Panie doktorze...

Czekałem. Linda rozejrzała się szybko, sprawdzając, czy nikt nas nie słyszy.

- Czy... czy dalej pomaga pan policji? Tak, jak pan mówił?

- Tak, od czasu do czasu.

- Czy oni... coś znaleźli? - wypaliła.

- Lindo, przecież pani wie, że nie mogę o tym mówić.

- Ale jeszcze jej nie znaleźli, prawda? No, wie pan. Lyn.

Nie wiedziałem, dlaczego mnie o to spytała, ale na pewno nie zrobiła tego z czystej ciekawości. Było widać, że coś ją dręczy.

- O ile wiem, to nie.

Kiwnęła głową, ale chyba jej to nie uspokoiło.

- Ale dlaczego to panią interesuje? - spytałem, chociaż zaczynałem już coś podejrzewać.

- Nie, nie, nieważne - wymamrotała i szybko odeszła.

Patrzyłem za nią poruszony spotkaniem. Miałem dziwne wrażenie, że nie chodziło jej o nowe wiadomości, tylko o potwierdzenie. Wiedziałem czego. Przyśniła jej się Lyn Metcalf, podobnie jak kiedyś Sally Palmer.

Ale szybko tę myśl odpędziłem. Jeśli zaczynałem wierzyć w sny i przecucia, jej czy moje, oznaczało to, że za długo mieszkam w Manham. Łatwo było popaść w bez troskie samozadowolenie. Ostatnio sypiałem dobrze i budziłem się, myśląc o Jenny i o przyszłości. Jakbym po długim czasie w głębokiej kopalni zaczął powoli wychodzić na powierzchnię. Może to egoistyczne, ale na przekór wszystkiemu, nie sposób było patrzeć na świat pesymistycznie.

A potem, pod koniec tygodnia, atmosfera stężonego bezwładu prysła. Zidentyfikowano zwłoki człowieka z lasu, porównując zdjęcia jego zębów ze zdjęciami rentgenowskimi zębów dwudziestodwuletniego mężczyzny, niejakiego Alana Radcliffa. Radcliff, absolwent ekologii z Kent, zniknął pięć lat wcześniej. Przyjechał tu, żeby zbadać krajobraz wokół Manham. I po pewnym czasie wrósł weń jak drzewo. Gdy opublikowano jego zdjęcie, okazało się, że niektórzy jeszcze go pamiętają. Był przystojnym mężczyzną o czarującym uśmiechu, przez kilka tygodni mieszkał na mokradłach i często bywał w miasteczku, rozjaśniając dni naszym dziewczętom. W końcu wyjechał.

Ale nie zjechał daleko.

W Manham prawie tego nie komentowano. Ponieważ znano już tożsamość ofiary i wiadano o jego związkach z miasteczkiem, nikt nie musiał stwierdzać oczywistego, a mianowicie tego, że lokalizacja leśnego grobu nie była przypadkowa. Manham miało trupa w szafie i nie mogło dłużej przemykać na to oczu.

Dla wszystkich mieszkańców był to kolejny niechciany cios. Jeszcze się po nim nie otrząsnęli, gdy nagle padł następny, o wiele silniejszy od poprzedniego.

Właśnie zaczynałem dyżur w przychodni, gdy zadzwonił telefon. Rozmawiałem z Mackenzie nie dalej jak poprzedniego dnia, kiedy to zidentyfikowano zwłoki Radcliffa i pomyślałem, że dzwoni w tej sprawie - świadczyło to tylko o tym, jak nisko opuściłem gardę. Nie domyśliłem się niczego nawet wtedy, gdy powiedział, że chce mnie natychmiast widzieć.

- Mam pacjentów - odparłem, przytrzymując słuchawkę ramieniem i podpisując receptę. - Nie można przełożyć tego na później?

- Nie. - Powiedział to z takim naciskiem, że przestałem pisać. - Musi pan przyjechać natychmiast. Jak najszybciej - dodał z ledwie symboliczną uprzejmością; było oczywiste, że w tej chwili grzeczność ma gdzieś.

- Co się stało?

Mackenzie milczał. Zastanawiał się pewnie, co może powiedzieć mi przez telefon.

- Znaleźliśmy ją - rzucił wreszcie.

Istnieje około stu tysięcy gatunków much. Są różnych kształtów i rozmiarów, mają różny cykl życia. Muchy plujki, te zielone i niebieskie, są najpowszechniejsze i należą do rodziny Calliphoridae. Żywią się gnijącą materią organiczną. Rozkładającym się jedzeniem, kałem, ściervem. Niemal wszystkim. Większość z nas nie rozumie, po co w ogóle są. Przecież roznoszą zarazki i z równą zachłannością pożerają świeże ekskrementy jak wykwintne dania, w obydwu przypadkach zmiekczejac je uprzednio zawartością swojego układu pokarmowego.

Ale tak samo jak wszystko w przyrodzie, one też odgrywają swoją rolę. Choć odrażające, przyczyniają się do rozpadu materii organicznej, przyspieszają procesy gnilne, rozkładają zwłoki na składniki pierwsze. Są mechanizmem przetwarzająco-oczyszczającym przyrody. I jeśli spojrzeć na nie w ten sposób, w gorliwości, z jaką oddają się swojemu zajęciu, można dostrzec coś eleganckiego. To, co robią nie tylko ma sens, ale i jest częścią schematu wszelkiego stworzenia. Z tego punktu widzenia są ważniejsze niż na przykład koliber czy jeleń, którego pewnego dnia pożrą. A z punktu widzenia medycyny sądowej nie są bynajmniej nieuniknionym złem, tylko czymś bezcennym.

Nienawidzę ich.

Nie dlatego, że są irytujące czy odrażające, chociaż denerwują mnie i brzydzą tak samo jak innych. I nie dlatego, że przypominają mi, jaki los nas wszystkich czeka. Nienawidzę ich dlatego, że brzęczą.

Słyszałem ich granie, idąc przez bagnisko. Początkowo nie tyle słyszałem, co wyczuwałem, niskie, basowe buczenie, coś jakby muzyka stężalego upału. Im bliżej znaleziska, tym było bardziej natarczywe i brzmiało jak bezsensowne mruczenie idioty, które nieustannie zmienia natężenie, tak naprawdę go nie zmieniając. W pewnej chwili w powietrzu zaroilo się od owadów. Odpędzałem te, które przyciągnął zapach potu na mojej twarzy, ale zaraz przylatywały inne.

Odór był znajomy i odrażający. Posmarowałem górną wargę mentolem, ale nie pomogło. Ktoś powiedział mi kiedyś, że rozkładające się zwłoki wydzielają fetor podobny do tego, jaki wydobywa się z dojrzewającego na słońcu białego sera. To nieprawda, w każdym razie nie do końca. Ale tak, lepiej opisać się go nie da.

Mackenzie powitał mnie skinieniem głowy. Jego ludzie w milczeniu robili swoje. Byli w kombinezonach i mieli ponure, złane potem twarze. Przeniosłem wzrok w dół i spojrzałem na powód tego zamieszania, na rój rozszalałych much.

- Jeszcze jej nie ruszaliśmy - powiedział Mackenzie. - Czekaliśmy na pana.

- Był patolog?

- Był i wybył. Powiedział, że jak dla niego zwłoki są w stanie zbyt daleko posuniętego rozkładu. I że może stwierdzić tylko jedno: że to trup.

Co do tego nie miałem żadnych wątpliwości. Minęło dużo czasu, odkąd po raz ostatni byłem na miejscu zbrodni i oglądałem coś, co jeszcze niedawno żyło i oddychało. Zwłoki Sally Palmer zabrano, zanim przyjechałem na mokradała, poza tym badałem je w sterylnym laboratorium, co było zajęciem znacznie czystszy. Szczątki Alana Radcliffa natomiast leżały w ziemi tak długo, że pozostał z nich jedynie szkielet, struktura nośna praktycznie bez żadnych śladów dawnego człowieczeństwa. W tym przypadku było Inaczej. Tu miałem do czynienia ze śmiercią w jej najruchliwszej, najpotworniejszej chwale.

- Jak ją znaleźliście? - spytałem, nakładając gumowe rękawice.

Przebrałem się wcześniej, w przyczepie. Byliśmy kilka kilometrów za miasteczkiem, na osuszonym bagnisku, niemal dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie znaleziono pierwsze zwłoki. Kilkaset metrów dalej

obojętnie lśniła tafla jeziora. Tym razem przyjechałem przygotowany i pod kombinezonem miałem tylko szorty. Mimo to, pokonawszy stosunkowo niewielką odległość, cały spływałem potem.

- Wypatrzyli ją ze śmigłowca. Przypadek. Coś im nawaliło i musieli zawrócić. Gdyby nie to, poleciliby inną trasą. Ten teren już przeszukiwaliśmy.

- Kiedy?

- Osiem dni temu.

Dawało nam to względne pojęcie co do czasu ekspozycji ciała. Być może nawet co do czasu śmierci Lyn, chociaż to było mniej pewne. Bywało, że morderca przenosił ciało ofiary, często nawet kilka razy.

Nażyłłem drugą rękawiczkę. Byłem gotowy do pracy, ale wcale się do niej nie pałęm.

- Myśli pan, że to ona? - spytałem.

- Oficjalnie musielibyśmy poczekać na identyfikację. Aleja nie mam wątpliwości.

Ja też nie miałem. Leśny grób zdradził swoją tajemnicę i raz już nam wyrok odroczone. Wątpiłem, żeby los okazał się dla nas łaskawy aż dwukrotnie.

Zwłoki były nierozpoznawalne; leżały na brzuchu, częściowo ukryte między kępami bagiennej trawy. I zupełnie nagie, nie licząc sportowego buta na jednej nodze, absurdalnego i na swój sposób żalnego. Lyn nie żyła od kilku dni, tyle mogłem stwierdzić na pewno. Śmierć, ów proces alchemii na wspaniałym, w którym złoto życia ulega rozbiciu na cuchnące składniki wyjściowe, jak zwykle poczyniła ponure zmiany. Ale tym razem morderca nie wprowadził chociaż swoich ohydnych modyfikacji.

Nie przyprawił zwłokom łabędzich skrzydeł.

Wyłączyłem część świadomości, która nieustannie podsuwała mi obraz uśmiechniętej młodej kobiety, tej sprzed drogerii w miasteczku, i podszedłem bliżej, żeby obejrzeć ciało. Na pociemniałej skórze widniało kilka naciec, najwyraźniejsze i najbardziej znaczące znajdowały się na szyi. Chociaż zwłoki leżały na brzuchu, rozległość tej rany była aż nadto oczywista.

- Może pan stwierdzić, od kiedy nie żyje? - spytał Mackenzie. - Tak mniej więcej — dodał, zanim zdążyłem otworzyć usta.

- Tkanka miękka jeszcze się nie rozłożyła - odparłem. - Skóra zaczyna się dopiero ześlizgiwać... - Wskazałem rany, w których roilo się od larw. - Biorąc pod uwagę ilość i aktywność larw, najprawdopodobniej od sześciu, ośmiu dni.

- Może pan to zawęzić?

Już miałem warknąć, że nie dalej jak przed sekundą pytał mnie o diagnozę szacunkową, ale się powstrzymałem. Nie było to przyjemne ani dla mnie, ani dla niego.

- Pogoda się nie zmieniała, więc zakładając, że zwłoki leżą w tym miejscu przez cały czas, od sześciu do siedmiu dni.

- Coś jeszcze?

- Takie same rany, jakie widzieliśmy na ciele Sally Palmer, chociaż tu jest ich mniej. Poderżnięte gardło, odwodnione zwłoki. Odwodnione mniej niż zwłoki Sally, ale te leżą tu krócej. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że ofiara się wykrwawiła. - Spojrzałem na trawę, szerniałą od alkalicznych związków uwolnionych podczas rozkładu. - Żeby mieć stuprocentową pewność, trzeba by zbadać zawartość żelaza w ziemi, ale moim zdaniem, zabito ją gdzie indziej, następnie przeniesiono tutaj, tak jak Sally Palmer.

- Myśli pan, że to robota tego samego człowieka?

- Przesadza pan, nie jestem jasnowidzem.

Mackenzie mruknął coś pod nosem. Wiedziałem, dlaczego czuje się nieswojo. Pod niektórymi względami morderstwo to było podobne do morderstwa Sally, jednocześnie różniło się od niego na tyle, żeby mieć wątpliwości, czy zrobił to ten sam sprawca. Z tego, co dotąd widziałem, ofiara nie miała obrażeń twarzy. Co więcej, rzucał się w oczy brak ptasiego lub zwierzęcego fetysza, tak oczywistego w przypadku morderstwa Sally Palmer. Z detektywistycznego punktu widzenia pociągało to za sobą mnóstwo niepokojących problemów. Albo stało się coś, co zmusiło mordercę do zmiany metody zabijania, albo był po prostu nieobliczalny. Trzecia możliwość zakładała istnienie dwóch różnych sprawców.

Żadna z nich nie napawała zbytnim optymizmem.

Pobierałem próbki przy monotonnym akompaniamencie brzęczenia much. Od kucania zeszytniały mi mięśnie i stawy.

- Skończył pan? - spytał Mackenzie.

- Prawie.

Cofnąłem się. Nadeszła pora na kolejny krok, a ten nigdy nie należał do przyjemnych; Pomierzyliśmy i obfotografowaliśmy zwłoki, zrobiliśmy wszystko, co można było zrobić bez ich przesuwania. Teraz musieliśmy sprawdzić, co jest pod nimi. Technicy zaczęli ostrożnie je przewracać. Wystraszone muchy zabrzęczały jeszcze głośniejsze.

- O Chryste!

Nie wiem, kto to powiedział. Wszyscy obecni tam technicy byli zaprawionymi w boju weteranami, ale chyba żaden z nich nie widział czegoś takiego. Tym razem morderca okaleczył przód ciała, nie tył. Brzuch



był rozcięty i gdy zwłoki przewrócono na bok, z rozległej rany coś wypadło. Jeden z policjantów odwrócił się gwałtownie i zwymiotował. Przez chwilę nikt ani drgnął. Potem górę wiał profesjonalizm.

- Co to, do diabła, jest? - spytał przyciszonym głosem wstrząśnięty Mackenzie. Jego opalona twarz była teraz biała jak papier.

Patrzyłem na to, lecz nie wiedziałem. Widok wykraczał poza moje doświadczenie zawodowe. Jako pierwszy otrzeźwiał jeden z techników.

- To króliki - powiedział. - Miot królików.

Gdy do mnie podszedł, siedziałem na tylnej klapie land rovera z butelką zimnej wody w ręku. Zrobiłem, co mogłem. I z ulgą zdjąłem kombinezon. Ale chociaż umyłem się w policyjnej przyczepie, wciąż czułem się brudny i nie miało to nic wspólnego z upałem.

Mackenzie usiadł obok bez słowa. Ja wypłem łyk wody, on wyjął miętówki.

- Cóż - mruknął wreszcie. - Wiemy przynajmniej, że to ten sam facet.

- Nie ma tego złego, co? - Powiedziałem to bardziej szorstko, niż zamierzałem.

Zerknął na mnie kątem oka.

- Dobrze się pan czuje?

- Po prostu wyszedłem z wprawy.

To on mnie w to wciągnął i myślałem, że mnie przeprosi. Ale nie przeprosił. Milczeliśmy jeszcze przez jakiś czas. Wreszcie powiedział:

- Lyn Metcalf zaginęła dziewięć dni temu. Jeśli jest tak, jak pan mówi i jeśli nie żyje od tygodnia, oznaczałoby to, że przetrzymywał ją żywą co najmniej przez dwa dni. Może trzy. Tak samo jak Sally Palmer.

- Wiem.

Mackenzie popatrzył w dal, tam gdzie niczym rtęć lśniła w upale tafła jeziora.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego tak długo je przetrzymuje? Dlaczego ryzykuje?

- Na pewno pan o tym wie, że nie mamy tu do czynienia z człowiekiem myślącym racjonalnie.

- Nie, ale i nie z głupcem. Więc dlaczego to robi? - Rozdrażniony Mackenzie zagryzł wargę. - Nie rozumiem, w co on gra.

- To znaczy?

- Mordercą, który uprowadza i zabija kobiety, kierują zwykle motywy seksualne. A tym tu nie.

- Więc myśli pan, że ich nie zgwałcono? - Zwłoki Lyn Metcalf były w takim stanie, że nie mogłem tego stwierdzić, podobnie jak w przypadku Sally Palmer. Niemniej, gdyby ofiarom oszczędzono chociaż tego, byłoby to jakieś pocieszenie.

- Tego nie powiedziałem. Ale jak znajdujesz nagiego trupa kobiety, istnieje duże prawdopodobieństwo, że doszło do napaści seksualnej. Rzecz w tym, że zwykły zboczeniec niemal zawsze zabija ofiarę zaraz po tym, jak sobie ulży. Bardzo rzadko trafia się taki, który przetrzymuje ją żywą. Tymczasem to, co robi ten tu, jest zupełnie bez sensu.

- Może musi się przedtem podkręcić.

Mackenzie popatrzył na mnie bez słowa. Wzruszył ramionami.

- Może. Ale z jednej strony, mamy tu kogoś inteligentnego na tyle, żeby uprowadzić dwie kobiety, pozostawiać te wszystkie sidła i utrudnić nam poszukiwania, a z drugiej, kogoś, kto nie zawraca sobie głowy ukrywaniem zwłok. No i te okaleczenia. Po cholere to robi?

- O to niech pan spyta psychologów.

- Spytam, spokojna głowa. Ale oni też nie będą wiedzieli, w każdym razie wątpię. Czy facet robi to specjalnie, na pokaz czy po prostu jest nieostrożny? Jakbyśmy mieli do czynienia z dwiema skonfliktowanymi ze sobą osobowościami.

- Schizofrenik?

Zamyślony Mackenzie zmarszczył brwi.

- Nie sądzę. Gdyby był naprawdę chory, już dawno by się czymś zdradził. Poza tym wątpię, czy byłby zdolny do czegoś takiego.

- Jest jeszcze coś - odparłem. - Zabił dwie kobiety w ciągu... Ilu? Niecałych trzech tygodni, tak? Drugą ledwie dziesięć, jedenaście dni po pierwszej. To nie jest... - Chciałem powiedzieć: „normalne”, lecz słowo to zupełnie nie pasowało do sytuacji. - To jest chyba dość niezwykle, prawda? Nawet jak na seryjnego mordercę.

Mackenzie robił wrażenie zmęczonego.

- Jest. Owszem.

- Dlaczego tak się spieszy? Co wyzwoliło w nim tyle agresji?

- Gdybyśmy wiedzieli, już byśmy drania namierz yli. - McKenzie wstał, skrzywił się i pomacał po krzyżu. - Zwłoki będą w laboratorium. Pewnie już od jutra. Dobra?

Kiwnąłem głową. Już odchodził, gdy zawołałem:

- A co z tymi martwymi ptakami i zwierzętami?! Nie zamierza pan tego upublicznić?

- Nie możemy, nie takie szczegóły.

- Nawet jeśli morderca używa ich do znakowania ofiar?

- Nie wiemy tego na pewno.

- Mówił pan, że na samochodzie Sally Palmer ktoś zostawił gronostaja, a dzień przed zaginięciem Lyn Metcalf powiedziała mężowi, że widziała w lesie martwego zająca.

- Tu jest wieś, sam pan mówił. Zwierzęta umierają tu przez cały czas.

- Ale nie przywiązują się same do kamieni ani nie włożą do brzucha zamordowanej kobiety.

- Nie wiemy na pewno, czy je w ten sposób znakuje.

- A jeśli znakuje? Nie uważa pan, że trzeba ostrzec mieszkańców miasteczka?

- I zachęcić miejscowych dowcipnisiów? Wie pan, ile czasu byśmy stracili? Ludzie dzwoniłoby do nas na widok każdego przejechanego jeża.

- Jeśli pan tego nie robi, morderca znowu kogoś naznaczy, a ofiara nie będzie nawet o tym wiedziała.

- Tak, ale wszyscy są już przerażeni i bez tego. Nie chcę wywoływać paniki. W jego głosie usłyszałem nutkę niepewności.

- On jeszcze nie skończył - rzuciłem. - Prawda?

Przez chwilę myślałem, że odpowie. Ale on popatrzył na mnie bez słowa, odwrócił się i odszedł.

### Rozdział 17

Wiść o znalezieniu zwłok Lyn Metcalf przetoczyła się przez Manham z siłą wybuchu cichej bomby. Ze względu na makabryczny los Sally Palmer, zaskoczonych było niewielu, ale to wcale nie złagodziło szoku. Tym bardziej że podczas gdy Sally - mimo swej popularności - była obcą, tą z miasta, Lyn się tu urodziła. Tu chodziła do szkoły, tu brała ślub. Przynależała do Manham tak, jak Sally nigdy nie mogłaby przynależeć. Jej śmierć - jej morderstwo - miała o wiele bardziej emocjonalny wpływ na ludzi, którzy nie mogli już dłużej udawać, że ofiara przywlekła tu nasiona ich losu z zewnątrz. Miasteczko oplakiwało teraz swojackę.

I bało się, że to samo może spotkać kolejną.

Nie ulegało wątpliwości, że w Manham dzieje się coś niespotykanego i strasznego. Złe było już samo to, że los ten spotkał jedną kobietę. To, że spotkał dwie, w dodatku w tak krótkim odstępie czasu, było wprost niesłychane. Miasteczko znowu trafiło na pierwsze strony gazet. Znowu znalazło się w blasku reflektorów niczym ofiara zbiorowego wypadku drogowego, na którą można się trochę pogapić. I tak jak wszystkie ofiary, zareagowało najpierw niedowierzaniem, a potem rozżaleniem.

A jeszcze potem gniewem.

Z braku konkretnego obiektu, na którym gniew ów można by wyładować, ludzie odcięli się stanowczo od obcych, których zwabiło tu ich nieszczęście. Może nie od policji, chociaż na ich bezsilność też zaczynało się narzekać. Ale prasy nie oszczędzono. Wielu uważało, że jej niestosowne podniecenie jest nie tylko objawem braku szacunku, ale i pogardy. Dlatego jej przedstawiciele spotkali się z wrogością, której wyrazem były początkowo kamienne twarze i zaciśnięte usta, a potem akty dyskretnego sabotażu. Zaczęły ginać nie pilnowany sprzęt - ginać lub doznawać tajemniczych uszkodzeń. Przecinano kable i opony samochodowe, benzynę w bakach zaprawiano cukrem. Jedną z bardziej namolnych reporterek, która chodziła po miasteczku z jakże niestosownym uśmiechem na mocno uszmkowanych ustach, trafił w głowę kamień, i to tak mocno, że musiano założyć jej osiem szwów.

Oczywiście nikt nic nie widział.

Ale były to jedynie symptomy, zewnętrzne oznaki trwającej Manham choroby. Po stuleciach zamknięcia w sobie, po wiekach pewności, że na swoich można polegać zawsze i wszędzie, mieszkańcy miasteczka przestali sobie ufać. I jeśli przedtem ich podejrzliwość była zaraźliwa, teraz groziła nam prawdziwa epidemia. Stare spory i waśnie nabrały złowieszczej głębi. Pewnej nocy wybuchła bójka między trzema generacjami dwóch rodzin, kiedy to dym z grilla popłynął nie na ten ogród co trzeba. Na policję zadzwoniła rozhisteryzowana kobieta tylko po to, by funkcjonariusze stwierdzili, że „śledził” ją sąsiad z psem na spacerze. W dwóch domach wybito cegłami okna: w jednym za domniemaną zniewagę, w drugim z powodu, którego nie udało się nikomu ustalić, przynajmniej oficjalnie.

Przez cały ten czas jeden z mieszkańców rósł w siłę. Wielebny Scarsdale został głosem Manham. Podczas gdy wszyscy pozostali stronili od dziennikarzy, on nie okazywał najmniejszej niechęci do kamer, aparatów i mikrofonów. Umiejętnie nastawiał jedną stronę przeciwko drugiej, wypominając policji, że nie schwytała mordercy, twierdząc, że do sytuacji tej doprowadziło moralne samozadowolenie mieszkańców miasteczka i - o ironio! - wyrzucając dziennikarzom, że niepotrzebnie wykorzystują tę tragedię. Każdemu innemu zarzucano by, że zabiega o popularność. Ale chociaż ten i ów miał mu po cichu za złe, że nie kryje się ze swymi zalatującymi siarką poglądami, wielebny zyskiwał coraz więcej zwolenników. Swoim grzmiącym głosem wyrażał odczuwany przez wszystkich gniew, a brak rozsądku skutecznie - może nawet aż zbyt skutecznie - nadrabiał żarliwością, głośnością i donośnością.

Mimo to może trochę naiwnie myślałem, że ograniczy swoje krzykliwe promulgacje do kościelnej ambony. Ale nie doceniłem jego zdolności do zaskakiwania ludzi oraz determinacji, z jaką chciał zbić kapitał na swoich nowo odkrytych wadze i znaczeniu. Dlatego gdy oznajmił, że zwołuje publiczne zebranie w sali miejskiej, byłem tak samo zaskoczony jak inni.

Zebranie odbyło się w pierwszy poniedziałek po znalezieniu zwłok Lyn Metcalf. W niedzielę Scarsdale odprawił nabożeństwo za jej duszę. Zdziwiłem się, że tym razem nie wpuścił do kościoła prasy i cynicznie pomyślałem, że zrobił to pewnie nie tyle ze względu na pogrążoną w rozpacz rodzinę, co po to, żeby dać do zrozumienia reporterom, iż ich obecność nie jest miłe widziana. Idąc na zebranie, przekonałem się, że moje domysły były słuszne.

Sala mieściła się w niskim budynku użyteczności publicznej przy skwerze. Gdy rano przejeżdżałem tamtędy w drodze do laboratorium, widziałem Scarsdale'a, który z władczą miną instruował Toma Masona krzątającego się w ogrodzie od ulicy. Teraz unosił się tu słodki zapach świeżo skoszonej trawy, a cisowe żywopłoty były starannie przystrzyżone. Stary George i jego wnuk musieli zaharować się na amen. Przystrzygli nawet już i tak pięknie wypielęgnowany trawnik na skwerku, tak że pod starym, rozłożystym kasztanowcem i wokół pomnika Męczennicy wszystko wyglądało teraz jak we wzorowo utrzymanym parku.

Lecz wątpiłem, czy zrobiono to wszystko ze względu na nas. Reporterzy, którym zabroniono wstępu do kościoła, przypuścili szturm na salę, bo skoro nie nabożeństwo, to przynajmniej zebranie. Z tym że wchodząc do środka, stwierdziłem, że zebranie bardziej przypomina konferencję prasową. Drzwi strzegł spocony i sapiący przez nos Robert Sutton. Niechętnie skinął mi głową, najwyraźniej wiedząc, że zasłużyłem sobie na dezaprobate wielebnego.

W środku było duszno i tłoczno. Na małej scenie na końcu sali stały stół na kozłach i dwa krzesła. Przed jednym z nich zainstalowano mikrofon. Natomiast przed sceną ustawiono rzędy składanych drewnianych krzesełek, a pod ścianami i przy drzwiach pozostawiono miejsce dla dziennikarzy i ekip telewizyjnych.

Gdy wszedłem, wszystkie krzesła były już zajęte, ale w kącie, gdzie mogłem się jeszcze wcisnąć, dostrzegłem Bena. Ruszyłem w jego stronę.

- Ty tutaj? - rzuciłem. - Cóż za niespodzianka. Rozejrzeliśmy się po nabitej sali.

- Chcę wiedzieć, co ten nędzny sukinsyn ma do powiedzenia. Czym za-truje ich tym razem.

Ben przewyższał wszystkich co najmniej o głowę. Zerknął na niego kilku reporterów telewizyjnych, ale żaden nie śmiał poprosić go o wywiad. A może po prostu bali się stracić miejsce.

- Policji nie mi - skonstatował. - Myślałem, że chociaż się pokażą.

- Nikt ich nie zaprosił - odparłem. Mackenzie mi powiedział. Wcale go to nie ucieszyło, lecz decyzję podjęto gdzieś wyżej i nie miał nic do gadania. - To zebranie tylko dla mieszkańców Manham.

- To zabawne, ale nie rozpoznaję niektórych sąsiadów - mruknął Ben, spoglądając na kamery i mikrofony. Westchnął i pociągnął za kołnierzyk koszuli. - Boże, jak tu gorąco... Skoczysz potem na piwko?

- Dzięki, ale nie mogę.

- Jedziesz do chorego?

- Nie, umówiłem się z Jenny. Poznałeś ją w zeszłym tygodniu.

- Wiem, ta nauczycielka. - Ben wyszczerzył zęby. - Często się z nią widzisz, co?

Zaczerwieniłem się jak nastolatek.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Jasne, jasne.

Ucieszyłem się, gdy zmienił temat.

- Można się było domyślić, że każe na siebie czekać. - Spojrzał na zegarek. - Co on knuje?

- Zaraz się dowiemy.

Otworzyły się drzwi, ale zamiast wielebnego Scarsdale'a, na scenę wyszedł Marcus Metcalf, mąż Lyn.

W sali natychmiast ucichło. Marcus wyglądał strasznie. Był mężczyzną słusznej postury, lecz smutek zmniejszył go i skurczył. Szedł powoli w wymiętym garniturze, jakby chował w sobie głęboką urazę. Gdy wpadłem do niego zaraz po tym, kiedy policja upubliczniła wiadomość o śmierci Lyn, ledwo mnie zauważył. Nie chciał środków uspokajających i wcale mu się nie dziwiłem. Bólu niektórych ran nie da się załagodzić, a wszelkie próby tylko go wzmagają. Ale patrząc na niego teraz, zastanawiałem się, czy nie wziął czegoś na własną rękę. Robił wrażenie oszołomionego, człowieka, który przeżywał koszmar na jawie.

W absolutnej ciszy na scenę wyszedł za nim Scarsdale. Ich kroki zadudniły głucho na deskach. Tuż przy stole wielebny położył mu rękę na ramieniu, pewnie po to, żeby go wesprzeć, chociaż nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że gest ten ma w sobie coś zaborczego. Przeszły mnie ciarki, bo zdałem sobie sprawę, że obecność męża ostatniej ofiary przyda wiarygodności knowaniom wielebnego.

Scarsdale poprowadził go do krzesła. Do tego bez mikrofonu. Zaczekał, aż usiądzie, po czym usiadł sam. Postukał w mikrofon, żeby sprawdzić, czy działa, a potem niespiesznie powiódł wzrokiem po twarzach ludzi.

- Dziękuję wszystkim... - Doszło do jakiegoś sprzężenia i mikrofon przeraźliwie zawył. Wielebny gniewnie zmarszczył brwi i odsunął go nieco dalej. - Dziękuję wszystkim za przybycie. Jesteśmy w żalobie i

w normalnych okolicznościach bym to uszanował. Niestety, okoliczności nie są normalne, wprost przeciwnie.

Jego wzmocniony elektronicznie głos brzmiał donośniej niż zwykle. On mówił, a mąż Lyn gapił się tępo w stół, jakby nie zdawał sobie sprawy z naszej obecności.

- Będę się streszczał, ale to, co chcę powiedzieć, dotyczy nas wszystkich. Każdego mieszkańca naszego miasteczka. Dlatego zanim zaczniecie zadawać pytania, zechciejcie mnie najpierw wysłuchać. - Wielebny nie spojrział nawet na reporterów, lecz było oczywiste, do kogo kierował tę ostatnią uwagę.

- Zamordowano dwie kobiety, nasze dobre znajome- kontynuował.-Chociaż trudno to przełknąć, nie możemy dłużej przymykać oczu na fakt, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zrobił to jeden z nas. Policja najwyraźniej nie potrafi, a może nie chce podjąć stosownych kroków. Ale my nie możemy siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak ktoś porywa i morduje nasze sąsiadki.

Z celową niemal teatralną troskliwością wskazał siedzącego obok Metcalfa.

- Wszyscy wiemy, jaką stratę poniósł Marcus. Jaką stratę poniosła rodzina jego żony, której przemocą odebrano córkę i siostrę. Następnym razem spotkać to może waszą żonę. Albo córkę. Albo siostrę. Jak długo jeszcze będziemy beczynnie patrzeć na te potworności? Ile jeszcze kobiet musi umrzeć? Jedna? Dwie? A może więcej?

Rozejrzał się wokoło, jakby czekał na odpowiedź. Ponieważ odpowiedzi rzecz jasna nie było, nachylił się i szepnął coś do ucha Marcusowi. Ten szybko zamrugał jak człowiek obudzony ze snu. Zamrugał i popatrzył tępo na zebranych.

- Chciałeś coś powiedzieć, Marcusie, prawda? - zachęcił go wielebny, podsuwając bliżej mikrofon.

Zdawało się, że Marcus doszedł do siebie. Miał nawiedzoną twarz.

- On zabił Lyn. On zabił moją żonę. On... - Załamał mu się głos. Z oczu popłynęły łzy. - Trzeba go powstrzymać. Trzeba go znaleźć i... i...

Scarsdale położył mu rękę na ramieniu, żeby go pocieszyć albo powstrzymać i ze świętoszkowatą satysfakcją zabrał mu mikrofon.

- Co za dużo, to niezdrowo - powiedział trzeźwym, wyważonym głosem. -Co za dużo... to niezdrowo! - powtórzył, miarowo uderzając ręką w stół. -Czas beczynności minął. Bóg wystawia nas na próbę. To dzięki naszej słabości, naszemu samozadowoleniu ta bestia w ludzkiej skórze mogła ukrywać się tu i zabić, bezkarnie i z pogardą. Dlaczego? Bo dobrze wie, że może. Bo wie, że jesteśmy słabi. A on słabych się nie boi.

Grzmotnął ręką w stół tak mocno, że podskoczył mikrofon.

- Nadeszła pora, żeby to on zaczął bać się nas! Pora zademonstrować naszą siłę! Manham za długo było ofiarą! Jeśli nie może obronić nas policja, musimy obronić się sami! Naszym obowiązkiem jest znaleźć tego potwora i go stąd wypłoszyć!

Musiał podnieść głos, żeby nie zagłuszył go wrzask publiczności. Na widowni wybuchło zamieszanie. Wielu ludzi wstało, klaszcząc i głośno krzycząc. Błyskały flesze aparatów fotograficznych, reporterzy wyrzaskiwali pytania. A Scarsdale siedział pośrodku sceny i spokojnie podziwiał swoje dzieło. W pewnej chwili spojrział prosto na mnie. Z jego oczu biła płomienna żarliwość. Żarliwość i triumf.

Chyłkiem wymknąłem się z sali.

- Nie do wiary- powiedziałem gniewnie. - On ich podburza, zamiast uspokajać. Co go napadło?

Jenny rzuciła kawałek chleba kaczce, która podeszła do naszego stolika. Siedzieliśmy w pubie nad brzegiem Bure, jednej z sześciu rzek przepływających przez Broads. Chcieliśmy uciec z Manham i chociaż od miasteczka dzieliło nas ledwie kilka kilometrów, było tu jak w innym świecie. Cumujące na rzece łódki, bawiące się w pobliżu dzieci, roześmiani i rozgadani ludzie przy stolikach - typowy angielski pub, typowe angielskie lato. I atmosfera jakże inna od przytłaczającej atmosfery w naszym miasteczku. Jenny rzuciła kaczce ostatni okruszek.

- Ludzie go teraz słuchają - odparła. - Może właśnie tego chce.

- I nie rozumie, co tak naprawdę robi? Jeden człowiek wylądował już w szpitalu; wystarczyło kilku kretyńców. Więc co teraz? Teraz nawołuje do zorganizowania straży obywatelskiej. I wykorzystuje do tego Marcusa Metcalfa!

Przypomniało mi się, że podczas poszukiwań Lyn Scarsdale nie odstępował go na krok. Śmiem przypuszczać, że podkręcał go już wtedy, że już wtedy zastanawiał się, jak wykorzystać przybitego tragedią męża. Żałowałem, że nie zamieniłem z nim kilku słów zaraz po zaginięciu Lyn. Nie chciałem przeszkadzać mu w smutku, lecz nie przeczę, że nie zrobiłem tego ze względów egoistycznych. Jego widok przypominał mi boleśnie tych, których straciłem ja, jednak moim zaniechaniem dałem wolną rękę Scarsdale'owi, który mógł teraz wywierać na niego wpływ. A Scarsdale natychmiast to wykorzystał.

- Myślisz, że naprawdę tego chce? - spytała Jenny. - Że chce podburzyć ludzi? - Nie była na zebraniu; powiedziała, że mieszka u nas za krótko, że nie powinna. Ale myślę, że powstrzymała ją również perspektywa obecności tłumów.

- Tak to brzmiało. Nie wiem, dlaczego mnie to dziwi. Piekielny ogień i siarka przemawiają do ludzi bardziej niż teksty z cyklu: „Nadstaw drugi policzek”. Poza tym zbyt wiele lat stał co niedziela na ołtarzu przed pustymi ławkami. A teraz może powiedzieć: „A nie mówiłem?” Nie przepuści takiej okazji.

- Widzę, że nie tylko on się nabuzował.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo Scarsdale mnie wkurzył.

- Przepraszam. Po prostu martwię się, że ktoś może zrobić coś głupiego.

- Nic na to nie poradzisz. Nie jesteś sumieniem miasteczka.

Jenny była dziwnie rozkojarzona. Dopiero teraz dotarło do mnie, że przez cały wieczór prawie się nie odzywała. Spojrzałem na jej twarz, na jej profil, na piegi na policzkach i nosie. Na sięgające ramion, wybielone przez słońce włosy, ślicznie kontrastujące z opaloną na brąz skórą. Patrzyła w dal, pogrążona w rozmowie z samą sobą.

- Coś się stało? - spytałem.

- Nie. Po prostu myślę.

- O czym?

- O takich tam... sprawach. - Uśmiechnęła się, lecz wciąż była spięta. - Posłuchaj, jeśli nie masz nic przeciwko temu, czy moglibyśmy już wracać?

Spróbowałem ukryć zaskoczenie.

- Tak, oczywiście, jeśli chcesz...

- Proszę.

Wróciliśmy w milczeniu. Ssało mnie w dołku i miałem złe przeczucia. Skłamałem sobie w duchu za tę gadaninę o Scarsdale'u. Nic dziwnego, że miała mnie dość. Spięprzyłes to, staruszk. Moje gratulacje.

Gdy dojechaliśmy do Manham, już zmierzchało. Wrzuciłem kierunkowskaz, chcąc skrócić w jej ulicę.

- Nie, nie tam - powiedziała. - Pomyślałam, że... że może pokażesz mi, gdzie mieszkasz.

Chwilę trwało, zanim to do mnie dotarło.

- Dobrze.

Źle to zabrzmiało. Gdy parkowałem samochód, zaczęło brakować mi tchu. Otworzyłem drzwi i przepuściłem ją przodem. Od delikatnego, piżmowego zapachu jej perfum zakręciło mi się w głowie.

Przystanąła w saloniku. Czuję, że jest zdenerwowana tak samo jak ja.

- Chcesz się czegoś napić?

Pokręciła głową. Staliśmy niezręcznie naprzeciwko siebie. Zrób coś! - pomyślałem. Ale nie mogłem. W półmroku widziałem tylko zarys jej twarzy. Tylko jej błyszczące oczy. Patrzyliśmy na siebie bez najmniejszego ruchu. Wreszcie się odezwała, cicho i niepewnie:

- Gdzie jest sypialnia?

Początkowo była nieśmiała, drżąca i spięta. Ale stopniowo zaczęła się odprężyć, ja też. Pamięć próbowała narzucać dawne wzorce, dawny zapach i dotyk. Ale górę szybko wzięła terażniejszość, odsuwając na bok wszystko inne. Potem przytuliła się do mnie zwinięta w kłębek, muskając mi pierś ciepłym oddechem. Jeszcze potem podniosła rękę i czubkami palców dotknęła wilgotnych śladów łez.

- David?

- Tonie. Ja tylko...

- Wiem. Już wszystko dobrze.

Tak, było dobrze. Roześmiałem się, objąłem ją przytuliłem, podniosłem jej twarz. Całowaliśmy się długo i niespiesznie i zanim znowu do siebie przywarliśmy, lzy zdążyły obeschnąć.

Tej samej nocy, podczas gdy my byliśmy w łóżku, Tina usłyszała hałas w ogrodzie. Podobnie jak Jenny, ona też nie poszła na zebranie. Wołała zostać w domu z butelką białego wina i tabliczką czekolady do towarzystwa.

Zamierzała poczekać na przyjaciółkę, żeby wypytać ją o przebieg randki. Ale zanim obejrzała wypożyczony film, zaczęła przeraźliwie ziewać i postanowiła pójść spać. Wyłączając telewizor, coś usłyszała.

Nie była głupia. Na wolności grasował morderca, który zabił już dwie kobiety. Dlatego nie otworzyła drzwi. Chwyciła telefon, zgasiła światło i podeszła do okna. Z podniesioną słuchawką w rękę, w każdej chwili gotowa zadzwonić na policję, ostrożnie wyjrzała na ogród.

Nikogo. Noc była jasna, księżyc w pełni dobrze oświetlał całą okolicę. W ogrodzie i na padoku sąsiadów nie dostrzegła niczego groźnego. Mimo to patrzyła jeszcze przez chwilę, by upewnić się na sto procent, że tylko się jej zdawało.

Zobaczyła to dopiero nazajutrz rano. Pośrodku trawnika leżał martwy lis. Leżał jak na wystawie, tak starannie go ułożono. Gdyby wiedziała o łabędzich skrzydłach, o dzikiej kacze i innych zwierzętach, którymi morderca ozdabiał swoje makabryczne dzieła, na pewno nie zrobiłaby tego, co zrobiła.

Rzecz w tym, że nie wiedziała. Jako dziewczyna urodzona i wychowana na wsi, po prostu Wzięła lisa i wrzuciła go do pojemnika na śmieci. Widząc jego rany, doszła do wniosku, że zaatakowany przez psa, doczołgał się na trawnik i tam zdechł. Zaatakowany przez psa albo przejechany przez samochód.

Niewykluczone, że wspomniałaby o tym Jenny, ot tak, mimochodem. A Jenny mogła wspomnieć o tym mnie. Tylko że tej nocy Jenny nie wróciła do domu. Była u mnie, a gdy się spotkały, martwy lis natychmiast poszedł w niepamięć, ponieważ miały do obgadania znacznie ciekawsze sprawy.

Tak więc, Tina nie powiedziała o lisie nikomu. Przypomniała sobie o nim dopiero wiele dni później, gdy jego znaczenie stało się aż nadto oczywiste.

Ale wtedy było już za późno.

## Rozdział 18

Nazajutrz zdarzyły się dwie rzeczy. Najwięcej rozmawiano o tej pierwszej. W normalnych okolicznościach epizod ów stałby się zapewne tematem skandalizujących plotek; mówiono by o nim w nieskończoność, aż trafiłby do skarbicy miejscowego folkloru, stając się kolejnym rozdziałem w księdze historii Manham, czymś, z czego można śmiać się i żartować przez wiele, wiele lat. Jednakże wydarzenie to miało mieć reperkusje dużo poważniejsze niż obrażenia, jakie odnieśli biorący w nim udział ludzie.

Podczas konfrontacji między Benem Andersem a Carlem Brennerem - zdaniem niektórych, konfrontacji o kilka lat spóźnionej - doszło do bójki.

Do jej wybuchu przyczyniły się po części alkohol, po części wzajemna wrogość, po części napięcie ostatnich dni. Ben i Carl nigdy nie udawali, że się lubią, a panująca w miasteczku atmosfera sprzyjała kłótniom ze znacznie bliższych powodów. Wszystko zaczęło się tuż przed zamknięciem pubu. Ben zamówił właśnie whisky, żeby utrwalić efekt kilku małych jasnych, a raczej - jak później przyznał - kilku małych jasnych więcej niż zwykle. Miał za sobą koszmarny dzień w rezerwacie, bo nie dość że jak zawsze musiał użerać się z turystami, to udzielał również pierwszej pomocy obserwatorowi ptaków, który w tym potwornym upale dostał ataku serca. Dlatego, gdy do pubu wszedł Carl Brenner - „zadziorny i pewny siebie”, jak go później opisał - Ben odwrócił się do niego plecami, postanowiwszy, że nie da się sprowokować.

Ale los chciał inaczej.

Brenner nie przyszedł tylko na piwo. Rozogniony apelem wielebnego Scarsdale'a, który wzywał mieszkańców pod broń, wpadł do pubu, żeby zwerbować ochotników do straży obywatelskiej i zademonstrować wszystkim swoje zamiary. Towarzyszył mu Dale Brenner, smagły kuzyn, chłopak niepodobny do niego fizycznie, lecz bratnia dusza pod względem nawyków, przyzwyczajzeń i temperamentu. Stanowili część większej grupy, która za namową Scarsdale'a zobowiązała się patrolować miasteczko we dnie i w nocy. „Policja nas olewa, dlatego musimy dorwać tego sukinsyna sami” - tak ujął to Brenner, naśladując może nie język wielebnego, lecz na pewno jego intencje.

Gdy Carl zaczął gadać, Ben początkowo milczał. I wtedy Brenner - ośmielony alkoholem i poczuciem misji - popełnił błąd, zwracając się bezpośrednio do niego.

- A ty, Anders?

- Co ja?

- Jesteś z nami czy nie?.

Ben niespiesznie pociągnął łyk whisky.

- A więc chcecie dopaść go sami, tak?

- Tak. Masz coś przeciwko temu?

- Tylko jedno. Skąd wiecie, że to nie jeden z was?

Brenner nigdy nie grzeszył bystrością umysłu i najwyraźniej nigdy o tym nie pomyślał.

- Skąd wiadomo, że to na przykład nie ty czy on? - kontynuował Ben. - Te wasze sidła, te pułapki. Wszystko pasuje, nie?

Później przyznał, że tylko się z nim drażnił, że ani przez chwilę nie pomyślał, jak groźne jest to oskarżenie. I jak bardzo dopiecze nim Brennerowi.

- Odpierdol się ode mnie, dobra? Policja wie, że nie miałem z tym nic wspólnego!

- Ta sama policja, która wszystkich olewa? I chcesz, żebym się do was przyłączył? - szydził z nieukrywaną pogardą Ben. - Lepiej trzymaj się kłusownictwa. Tylko do tego się nadajesz.

- Ja mam przynajmniej alibi! A ty masz? Ben wycelował w niego palec.

- Uważaj, Brenner.

- Bo co? Masz alibi czy nie?

- Ostrzegam cię...

Gdyby nie kuzyn, Brenner pewnie by się wycofał, bo zwykle tak robił. Ale tym razem nie ustąpił.

- No to, kurwa, ostrzegaj! Wozisz się z tym brzuchem jak jakiś waźniak i mam tego dość. A w zeszłym tygodniu szybciotko pospieszyłeś na ratunek swojemu kumplowi doktorkowi, co? Gdzie on był, kiedy zaginęła Lyn?

- Więc teraz twierdzisz, że zrobiliśmy to razem, on i ja?

- Uwodnij, że nie!

- Nie muszę ci niczego udowadniać - odparł Ben, czując, że zaczynają puszczać mu hamulce. - Wiecie co, bohaterzy? Weźcie tę swoją żalostną straż obywatelską i wsadźcie ją sobie w dupę.

Stali tak i łypali na siebie spode łba. W końcu Brenner pękł.

- Chodź, spadamy stąd - rzucił do kuchni i na tym omal się nie skończyło. Ale chcąc odejść z twarzą, nie oparł się pokusie, żeby wbić Benowi ostatnią szpilę. - Pieprzony tchórz'- syknął i ruszył do drzwi.

W tym momencie dobre intencje Bena wyfrunęły oknem. Niewiele brakowało i wyfrunąłby również Carl Brenner.

Walka trwała krótko. W pubie było sporo ludzi, którzy rozdzielili ich, zanim sytuacja wymknęła się spod kontroli, ale jeśli chodziło o Bena, mogliby ich nie rozdzielać. Brenner nie przedstawiał sobą zbyt wielkiego zagrożenia, dlatego on, mężczyzna tęgi i krzepki; na pewno poradziłby sobie i z nim, i z jego kuzynem. Lecz zanim ich od siebie odciągnięto, w drzazgi poszły stół i kilka krzesel i musiało upłynąć dużo czasu, zanim Brenner mógł spojrzeć w lustro, a tym bardziej ogolić się bez skrzywienia. Ben też nie wyszedł z tego bez szwanku; miał kilka zadrapań, kilka siniaków i wybity palec. Mimo to twierdził, że warto było.

Jednakże najpoważniejsze konsekwencje tej bójki miały wyjść na jaw dopiero kilka dni później.

Mnie tam wtedy nie było. Akurat robiłem kolację dla Jenny, która miała u mnie nocować, i myślałem o wszystkim, tylko nie o trapiących miasteczko problemach. Co więcej, dowiedziałem się o tym chyba jako ostatni, gdy wczesnym rankiem pojechałem do kostnicy, żeby kontynuować moje ponure dzieło.

Odkąd znaleziono zwłoki Lyn Metcalf, znowu zastępował mnie Henry. Robiłem wszystko, żeby zdążyć na popołudniowy dyżur, mimo to dodatkowe zajęcia odciskały na nim coraz większe piętno. Był zmęczony, chociaż ilekroć wyjeżdżałem, zmniejszał liczbę godzin do minimum, ograniczając się jedynie do najpilniejszych przypadków.

Miałem wyrzuty sumienia i pocieszałem się tylko tym, że nie potrwa to długo. Że jeszcze tylko pół dnia w laboratorium i skończę. Wciąż czekałem na wyniki badań, ale jak dotąd ze szczątków Lyn mogłem odczytać historię niemal identyczną z tą którą odczytałem ze zwłok Sally Palmer. Nie było żadnych niespodzianek, nie licząc pytania, dlaczego twarz pierwszej ofiary tak potwornie zmasakrowano, podczas gdy twarzy drugiej praktycznie nie tknięto. Poza tym, że względu na mniej posunięty rozkład, na rękach Lyn znalazłem paznokcie. Były połamane i wystrzępione, lecz w laboratorium kryminalistycznym odkryto pod nimi włókna konopi. Innymi słowy, fragmenty konopnego sznura. Nie wiedziałem, co ten bydlak jej zrobił, ale na pewno ją przedtem związał.

Nie licząc makabrycznej rany na szyi, większość pozostałych obrażeń była powierzchowna. Ślady na kości pozostawiło jedynie cięcie, które rozplątało jej gardło. Podobnie jak w przypadku Sally Palmer, zrobiono je dużym, ostrym nożem. Najprawdopodobniej myśliwskim i niemal na pewno tym samym, chociaż na tym etapie badań istniały jeszcze wątpliwości. Ale nóż nie miał ząbków. Dlatego nadal nie rozumiałem, dlaczego dwie kobiety zabito jednym, a psa drugim, zupełnie innym.

Myślałem o tym, zaglądając do poczekalni po wyjściu ostatniego pacjenta. Było ich połowę mniej niż zwykle, dlatego dyżur przebiegł spokojnie. Albo ludzie przestali martwić się drobnymi dolegliwościami w obliczu tragedii, która dotknęła miasto, albo przyczyna spadku mojej popularności była zupełnie inna, mniej uchwytne, niemniej realne. Tak czy inaczej, zapotrzebowanie na usługi Henry'ego było wysokie jak nigdy dotąd i coraz więcej ludzi wołało zaczekać niż przyjść do mnie.

Ale ja byłem zbyt zajęty Jenny i pracą w laboratorium, żeby przejmować się takimi sprawami.

W poczekalni krzątała się Janice. Poprawiała stare, zdekompletowane krzesła i układała czasopisma.

- Spokojnie dziś - powiedziałem.

Janice podniosła z podłogi dziecięcą układankę i włożyła ją do drewnianej skrzyneczki z zabawkami.

- Lepsze to niż poczekalnia pełna zasmarkanych hipochondryków.

- Słusznie. - Była taktowna. Wiedziała, że mam coraz mniej pacjentów. -Gdzie Henry?

- Śpi. Zmęczeni go ci z rana. Niech pan tak na mnie nie patrzy. To nie pana wina.

Domyślała się, że wciąż robię coś dla policji, chociaż nie wiedziała co. W żaden sposób nie mogłem tego przed nią zataić, zresztą nie miałem powodu. Może i lubiła plotkować, ale jeśli chodziło o nas, zawsze była dyskretna.

- Dobrze się czuje? - spytałem zaniepokojony.

- Jest po prostu zmęczony. Poza tym to nie tylko praca. - Posłała mi znaczące spojrzenie. - W tym tygodniu miałiby rocznicę.

Zapomniałem. Za dużo się działo, żebym pamiętał o datach, ale mniej więcej o tej porze roku Henry zawsze markotniał. Nigdy o tym nie mówił, podobnie jak ja, kiedy obchodziłem swoją. Mimo to czułem, że coś wisi w powietrzu.

- Trzydziestą- dodała Janice, znizując głos. - A to jeszcze gorzej. W sumie to dobrze, że tak dużo pracuje. Przynajmniej o tym nie myśli. - Nachmurzyła czoło. - Szkoda tylko, że...

- Janice - przerwałem jej ostrzegawczo.

- Szkoda. Nie zasługiwała na niego. A on zasługiwał na kogoś lepszego. - Wyrzuciła to z siebie szybko i gwałtownie. Niemal z płaczem.

- Dobrze się pani czuje?

Kiwnęła głową i na jej ustach zadrżał nieśmiały uśmiech.

- Przepraszam. Ale nie znoszę, kiedy denerwuje się tą... - Urwała. - No i tymi innymi sprawami. Wszyscy są wykończeni.

Wróciła do układania czasopism. Podszedłem bliżej.

- Wie pani co? Chociaż raz powinna pani pójść wcześniej do domu.

- Właśnie chciałam tu odkurzyć...

- Jestem przekonany, że przez jeden dzień nieodkurzona poczekalnia nie będzie stanowiła zagrożenia dla zdrowia.

Roześmiała się jak dawna Janice.

- Jeśli pan tak uważa...

- Absolutnie. Podwieźć panią?

- Nie! Za ładny wieczór, żeby siedzieć w samochodzie.

Nie nalegałem. Miała do przejścia ledwie kilkaset metrów, w dodatku główną ulicą. Jest taki punkt, w którym ostrożność ustępuje miejsca paranoi.

Mimo to patrzyłem za nią przez okno. Gdy zniknęła za rogiem, przeprowadziłem szereg działań pozorujących, układając czasopisma. Znalazło się wśród nich kilka starych numerów gazety parafialnej; pewnie zostawili je tu pacjenci, którym nie chciało się zabierać ich do domu. Wrzuciłem je do kosza na śmieci i gdy to zrobiłem, jedna z nich przykuła moją uwagę.

Wyjąłem ją z kosza i z pierwszej strony uśmiechnęła się do mnie Sally Palmer. Pod zdjęciem widniała krótka wzmianka o „słynnej pisarce z Manham”, napisana kilka tygodni przed jej śmiercią. Nie widziałem jej przedtem, dlatego to, że znalazłem gazetę akurat teraz, bardzo mnie poruszyło. Zacząłem czytać i zabrakło mi tchu. Usiadłem i przeczytałem wzmiankę jeszcze raz.

A potem zadzwoniłem do Mackenziego.

Przeczytał ją bez słowa. Złapałem go w ruchomym centrum koordynacyjnym i kiedy powiedziałem mu o moim znalezisku, natychmiast przyjechał. Miał spalone słońcem kark i ręce. Wreszcie skończył i z kamienną twarzą złożył gazetę.

- I co pan o tym myśli? - spytałem.

Mackenzie potarł palcem obłazący ze skóry czerwony nos.

- Może to przypadek.

Znowu był policjantem, niekomunikatywnym profesjonalistą. No i mógł mieć rację. Ale bardzo w to wątpiłem. Wziąłem gazetę i przeczytałem wzmiankę jeszcze raz. Była krótka, ot, typowa zapchajdziura, jakich pełno w dzień bez newsów. ŻYCIE NA WSI USKRZYDLA WYOBRAZNIĘ -tak brzmiał nagłówek. Fragment, który najbardziej wpadł mi w oko, znajdował się na końcu.

Sally Palmer twierdzi, że życie w Manharn pomaga jej pisać. „Uwielbiam żyć blisko natury. Moja wyobraźnia ulatuje tu w przestworza jak ptak, jakby miała skrzydła” - mówi uznana pisarka.

Odłożyłem gazetę.

- I myśli pan, że to zwykły przypadek, że dwa tygodnie po tym, jak się to ukazało, ktoś przyprawił jej łabędzie skrzydła?

Mackenzie zaczynał się denerwować.

- Powiedziałem: „może”. Nie potrafię stwierdzić tego na pewno na podstawie krótkiej notatki w gazecie.

- Więc jak wytłumaczyć to inaczej?

Czuł się coraz bardziej nieswojo, jak ktoś, kto musi wygłaszać partyjne slogany, do których nie jest przekonany.

- Psychologowie mówią, że może to być tłumione pragnienie transformacji. To, że ją zabił i dał jej anielskie skrzydła. Albo że to jakiś religijny psychol z obsesją na punkcie wyższych stanów duchowych.

- A co mówią o tych martwych zwierzętach? I o tym, co zrobił Lyn Metcalf? Jeszcze nic. Ale nawet jeśli ma pan rację... - Wskazał gazetę. - To niczego nie wyjaśnia.

Starannie dobrałem słowa.

- Właściwie to chciałem porozmawiać z panem o czymś innym.

Przyjrzał mi się uważnie.

- O czym?

- Zaraz po tym, jak do pana zadzwoniłem, przejrzałem jej kartę zdrowia. Jej i jej męża. Wiedział pan, że chcieli mieć dziecko? Że zamierzali leczyć się na bezpłodność?

Mackenzie złapał błyskawicznie. Króliczy miot. Jezu Chryste...

- Tylko skąd morderca o tym wiedział? Mackenzie popatrzył na mnie, jakby coś w sobie ważył.

- W komodzie w sypialni Metcalfów znaleźliśmy próbę ciążową- powiedział powoli. - W torbie był paragon z poprzedniego dnia.

Przypomniało mi się, jak wpadłem na Lyn przed drogerią. I jaka była wtedy szczęśliwa.

- Otworzyła pudełko? Zrobiła próbę?

- Nie. Mąż nie wiedział nawet, że tam była, tak twierdzi.

- Coś takiego kupuje się tylko wtedy, kiedy chce się tego użyć. Lyn domyślała się, że jest w ciąży.



Mackenzie kiwnął głową. Miał ponurą minę.

- A co powiedziałaaby kobieta w ciąży komuś, kto ją uprowadził? „Nie rób mi krzywdy, jestem w ciąży”. - Przetarł ręką twarz. - Chryste. Teraz pewnie już się nie dowiemy, była czy nie.

- Nie. Nie w tak wczesnym stadium i nie w tym stanie zwłok. Mackenzie westchnął.

- Jeśli była, albo chociaż czuła, że jest, schwywanie tego sukinsyna będzie trudniejsze, niż myśleliśmy.

- Dlaczego?

- Bo oznacza to, że to bydlę nie planuje tych rzeczy z wyprzedzeniem. Że improwizuje. - Mackenzie ciężko wstał. - A jeśli tak, jakie mamy szanse?

Kiedy wyszedł, pojechałem za miasto. Bez celu, chciałem po prostu wyrwać się z Manham. Tego wieczoru nie spotykałem się z Jenny. Szybkość i gwałtowność tego, co między nami zaszło, zaskoczyła nas oboje i po dwóch jakże intensywnych dniach chcieliśmy pobyc trochę sami. Myślę, że potrzebowaliśmy więcej przestrzeni i prywatności, żeby spokojnie rozważyć tę gigantyczną życiową zmianę i zastanowić się, dokąd może nas zaprowadzić. Obydwoje czuliśmy, że nie chcemy tego zepsuć, za szybko podejmując decyzję. Ostatecznie, jeśli to było to, po co mieliśmy się spieszyć?

Przeżyłem swoje i nie chciałem kusić losu.

Jechałem przed siebie zupełnie bez celu. Na szczycie łagodnego wzgórza, skąd roztaczał się widok na całą okolicę, zatrzymałem się i usiadłem w wysokiej trawie, patrząc, jak słońce opada za mokradła. Z sadzawek i strumyków, które tworzyły w trzcinach abstrakcyjne wzory, biło złotawe światło. Przez chwilę próbowałem myśleć o Sally Palmer i Lyn Metcalf. Lecz ich śmierć była teraz zbyt odległa. Zapadał zmrok. Niebo i ziemia powoli ciemniały, ale nie chciałem jeszcze wracać.

Pierwszy raz od wypadku czułem, że otwiera się przede mną przyszłość. Mogłem wreszcie patrzeć przed siebie, zamiast wstecz. Myślałem o Jenny, o Karze i Alice, szukając w sobie choćby śladu poczucia winy czy zdrady. Nie znalazłem żadnego. Było tam jedynie niecierpliwe oczekiwanie. I ból po stracie najbliższych, który miał mnie nie opuścić aż do śmierci. Lecz teraz odkryłem tam również świadomość, że pogodziłem się z losem. Moja żona i córka nie żyły i nie mogłem ich wskrzesić. Ja też długo nie żyłem.

I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, ktoś przywrócił mnie do życia.

Siedziałem tam, dopóki ze słońca nie pozostała jedynie srebrzysta luna nad horyzontem, dopóki mokradel nie pochłonał wsysający światło matowy mrok. Gdy w końcu wstałem, obolały i zeszywniały, uzmysłowiłem sobie, że nie muszę już niczego przemyślać. I że nie chcę czekać całego dnia, zanim znowu zobaczę Jenny. Chciałem wyjąć telefon i do niej zadzwonić, lecz nie było go w kieszeni. W samochodzie też nie. Przypomniało mi się, że gdy przyjechał Mackenzie, położyłem go na biurku i pochłonięty sprawami wyszedłem bez niego.

W innych okolicznościach pewnie nie pojechałbym do przychodni. Ale nie chciałem pojawić się w jej drzwiach niezapowiedziany. To, że podjąłem decyzję, wcale nie oznaczało, że ona też ją podjęła. Poza tym wciąż byłem lekarzem. Mieszkańcy Manham mogli mieć do mnie zastrzeżenia, ale chciałem być z nimi w stałym kontakcie. Dlatego wróciwszy do miasteczka, pojechałem do przychodni po telefon.

Gdy skręciłem w główną ulicę, zapłonęły latarnie. Pod jedną z nich, niedaleko policyjnej przyczepy na skwerku, zobaczyłem grupę mężczyzn. Pewnie patrol straży obywatelskiej Scarsdale'a. Gapili się na mnie z podejrzliwymi w żółtym świetle twarzami.

Skręciłem ponownie i znalazłem się na długiej uliczce prowadzącej do domu Henry'ego. Na zwirze zachręściły opony. Zatańczyło światło reflektorów, omywając dachy domów i łagodnie opadając, gdy zjeżdżałem z pagórka. Okna były ciemne, co mnie nie zdziwiło, ponieważ Henry chodził wcześniej spać. Nie chcąc go budzić, obszedłem dom, żeby zamiast drzwiami frontowymi, wejść tymi od podwórza, bezpośrednio do przychodni.

Już wyjąłem klucze do gabinetu, lecz w tym samym momencie zobaczyłem, że drzwi do kuchni są otwarte. Gdyby paliło się tam światło, nic bym sobie nie pomyślał. Ale w kuchni było ciemno, a wiedziałem, że Henry nie poszedłby spać, nie zamknąwszy drzwi na klucz.

Zajrzałem do środka. Wszystko wyglądało normalnie. Już wyciągałem rękę, żeby zapalić światło, lecz szybko ją opuściłem. Instykt podszeptował mi, że coś jest nie tak. Zadzwonić na policję? Tylko co bym im powiedział? Henry mógł po prostu zapomnieć zamknąć drzwi po powrocie z ogrodu. Wyszedłbym na idiotę, a moje notowania w miasteczku stały nisko i bez tego.

Dlatego zamiast zadzwonić, wyszedłem na korytarz.

- Henry?! - zawołałem na tyle głośno, że gdyby nie spał, musiałby mnie usłyszeć i na tyle cicho, żeby nie obudzić go, gdyby jednak spał.

Odpowiedziała mi cisza. Jego gabinet znajdował się na końcu korytarza, tuż za rogiem. Nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia, że przesadzam, ruszyłem w tamtą stronę. Drzwi były lekko uchylone, w środku paliło się światło. Przystanąłem, nad słuchując i wypatrując jakiegokolwiek znaku życia, jakiegokolwiek ruchu. Lecz dudnienie mojego serca zagłuszało wszystkie inne dźwięki. Przytknąłem rękę do drzwi i lekko je pchnąłem.

Nagle ktoś nimi szarpnął. Mroczny cień odepchnął mnie na bok i wypadł z pokoju. Ciężko dysząc, rzuciłem się w jego stronę. Poczulem lekki powiew powietrza, zacisnąłem rękę na szorstkiej, zatłuszczonej kurtce i wtedy coś grzmotnęło mnie w twarz. Zatoczyłem się do tyłu i cień pomknął do kuchni. Gdy tam wpadłem, zobaczyłem tylko kiwające się na zawiasach wahadłowe drzwi. Bez namysłu ruszyłem w pościg. I wtedy przypomniałem sobie o Henrym.

Trzasnąłem zasuwą i popędziłem do gabinetu. Byłem już prawie na miejscu, gdy w korytarzu zapłonęło światło.

- David? Co się tu, do diabła, dzieje?

Z sypialni wyjeżdżał na wózku Henry. Był rozczochrany i wystraszony.

- Ktoś tu był. Spłoszyłem go. Uciekł.

Dopiero teraz dały o sobie znać nerwy i adrenalina. Drżały mi ręce i kolana. Wszedłem do gabinetu. Z ulgą zobaczyłem, że stalowa szafka jest zamknięta. Ten, kto tu był, nie dobrał się przynajmniej do leków. Potem spojrzałem na przeszkloną gablotę, w której Henry przechowywał stare narzędzia i przybory. Drzwiczki były otwarte na oścież, jej zawartość poprzewracana.

Henry zaklął i podjechał bliżej.

- Niczego nie dotykaj - rzuciłem. - Zatrzesz odciski palców. Domyślasz się, kto to mógł być?

Henry spoglądał niepewnie na gablotę.

- Nie, nie jestem pewien...

Poszedłem za jego wzrokiem i zauważyłem jeden oczywisty brak. Odkąd tylko tu pracowałem, na górnej półce stała antyczna butla, duża, zielona, zakurzona, taka w wypukłe, pionowe prążki, którymi znakowano kiedyś pojemniki z trucizną. Teraz jej nie było.

Do tej chwili myślałem, że włamywacz szukał narkotyków; kilku narkomanów mieszkało nawet tu, w Manham. Ale wątpiłem, żeby nawet najbardziej zdesperowany ćpun połakomił się na butlę chloroformu.

Do rzeczywistości przywrócił mnie krzyk Henry'ego.

- Boże święty, Davidzie, co to jest?!

Patrzył na moją pierś. Już miałem spytać, o co mu chodzi, ale wtedy zobaczyłem to sam. Przypomniał mi się ten dziwny podmuch powietrza, gdy chwyciłem włamywacza za kurtkę w korytarzu. Dopiero teraz zrozumiałem, co to było.

Miałem przeciętą koszulę.

## Rozdział 19

Po wieczornym zamieszaniu dzień rozpoczął się zwyczajnie, jak każdy inny. Uderzyło mnie to, ale dopiero później. Z własnego doświadczenia powinienem był wiedzieć, że katastrofy nigdy nic nie zapowiada. Dlatego gdy do niej doszło, byłem zupełnie nieprzygotowany. Podobnie jak wszyscy inni.

Dochodziła trzecia, gdy policja skończyła przeczesać gabinet. Rzucili się nań z furią wszystko fotografując, zdejmując odciski palców i zasypując nas gradem pytań. Mackenzie był na ostatnich nogach, jak ktoś, kto obudził się z koszmarne snu.

- No, to jeszcze raz. Chce pan powiedzieć, że ktoś się tu włamał, chlasnął pana nożem i uciekł, zanim zdążyliście na niego spojrzeć?

Ja też byłem zmęczony i poirytowany.

- Było ciemno.

- I nie wydało się panu, że to ktoś znajomy?

- Nie, przykro mi.

- A więc nie ma szans, żeby go pan zidentyfikował.

- Chciałbym, ale mówiłem już, było ciemno.

Henry też nie mógł mu pomóc. Przez cały czas był w sypialni i nie zdawał sobie z niczego sprawy, dopóki nie usłyszał hałasu i nie zobaczył, jak wracam korytarzem po przerwany pościg. Gdyby sprawy potoczyły się trochę inaczej, mieszkańcy Manham obudziliby się z rana i dowiedzieli o kolejnym morderstwie. Może nawet o dwóch.

Sądząc po tym, jak Mackenzie mnie przepytował, myślał pewnie, że dobrze nam tak.

- I nie wie pan, co jeszcze mógł zabrać?

Tylko pokręciłem głową. Szafka z lekarstwami była nietknięta, niczego nie brakowało też w lodówce, gdzie przechowywaliśmy szczepionki oraz inne leki wrażliwe na temperaturę. Ale tylko Henry wiedział, co było w zagraconej gablocie i dopóki oglądali ją technicy, nie mógł powiedzieć na pewno, co zginęło, a co nie.

Mackenzie ucisnął grzbiet nosa. Był zły i miał zaczerwienione oczy.

- Chloroform. - Powiedział to z odrazą. - Nie wiem nawet, czy nie złamaliście prawa, przechowując coś takiego w domu. Lekarze chyba już tego nie używają.

- Nie. Ta butla była perełką kolekcjonerską zbioru Henry 'ego, swego rodzaju osobliwością. Ma tu gdzieś nawet starą ssawę do wypompowywania żołądka.

- Ssawę do żołądka mam gdzieś, ale ten sukinsyn jest niebezpieczny i bez butli tego pieprzonego usypiacza! - Wziął się w garść. - Jak on się tu, do diabła, dostał?

- To ja go wpuściłem.

Odróciliśmy się. W drzwiach siedział na wózku Henry. Rozmawialiśmy w moim gabinecie, w jednym z kilku pokoiów na parterze, bo tu nie istniało niebezpieczeństwo zatarcia śladów; wieczorem zawsze zamykałem go na klucz. Poprosiłem Mackenziego, żeby dali mu trochę odpocząć. Włamanie bardzo nim wstrząsnęło, a po godzinnym przesłuchaniu na pewno nie poczuł się lepiej. Wyglądało na to, że doszedł już do siebie, chociaż wciąż był blady.

- Aha, wpuścił go pan - powtórzył beznamiętnie Mackenzie. - Mówiliście przedtem, że był w pańskim gabinecie.

- Tak. Ale to moja wina. Bo kiedy teraz o tym myślę, to... Henry wziął głęboki oddech. - To nie pamiętam dokładnie, czy przed pójściem spać zamknąłem kuchenne drzwi.

- Przedtem mówił pan, że były zamknięte.

- Tak, bo założyłem, że były. Zawsze je zamykam. To znaczy, z reguły.

- Ale nie dzisiaj.

- Nie jestem pewien. - Henry odchrząknął. Widać było, że czuje się nieswojo. - Najwyraźniej dzisiaj nie.

- A ta gablotka? Też była otwarta?

- Nie wiem - odparł znużonym głosem Henry. - Klucze są w biurku. Mógł je znaleźć albo... - Urwał i zamilkł.

Mackenzie wyglądał tak, jakby miał za chwilę wybuchnąć.

- Ile osób wiedziało o tym chloroformie?

- Bóg wie... Był tu, zanim przyjechałem do Manham. Nigdy nie robiłem z tego tajemnicy.

- A więc mógł go widzieć każdy, kto tu przychodził, tak?

- Tak - przyznał niechętnie Henry. - Chyba tak.

- To jest gabinet lekarski - wtrąciłem. - Wszyscy wiedzą że są tu niebezpieczne substancje. Leki uspokajające i tak dalej.

- Które powinno trzymać się pod kluczem - syknął Mackenzie. - A on mógł tu spokojnie wejść i częstować się do woli.

- Do ciężkiej cholery, czyja go tu zapraszałem? -nie wytrzymał Henry. -Nie sądzi pan, że i bez tego paskudnie się czuję? Jestem lekarzem od trzydziestu lat i nic takiego nigdy mi się nie przydarzyło!

- Aż do dzisiaj - mruknął Mackenzie. - Bo dzisiaj zapomniał pan zamknąć drzwi.

Henry spuścił oczy.

- Szczerze mówiąc, nie tylko dzisiaj. Ostatnio nie zamknąłem ich... tak ze dwa razy. Ale tylko dwa - dodał szybko - bo zwykle o tym pamiętam. Cóż, wygląda na to, że jestem coraz bardziej... roztargniony.

- Roltargniony - powtórzył bezbarwnym głosem Mackenzie. - Ale do włamania doszło pierwszy raz, tak?

Już miałem wyręczyć Henry'ego i powiedzieć, że oczywiście, ale wtedy zobaczyłem jego udręczoną twarz.

- Widzi pan... - Skrzyżował i rozłożył ręce. - Nie jestem pewien. Mackenzie tylko na niego patrzył. Henry wzruszył ramionami jak zagubione dziecko.

- Parę razy zauważyłem, że ktoś poprzestawiał rzeczy w gablotce. Tak mi się przynajmniej wydawało.

- Poprzestawiał? To znaczy, że coś z niej zginęło?

- Nie wiem, naprawdę nie wiem... Może pamięć mnie zawodzi. - Henry spojrzał na mnie zawstydzony. - Przepraszam, Davidzie. Powinienem był ci powiedzieć. Ale miałem nadzieję, że... Myślałem, że jak trochę bardziej się postaram, to... - Podniósł ręce i bezwładnie je opuścił.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Czuję się potwornie. Tyle razy mnie ostatnio zastępował, a ja zawsze myślałem, że - nie licząc jego kalectwa- jest silny i zdrowy. Dopiero teraz, wczesnym rankiem, dostrzegłem to, co przedtem mi umykało. Podkrążone oczy, obwisła skóra na szyi i porośniętym srebrzystą szczecinę podbródka - nawet biorąc pod uwagę silny wstrząs, jaki niedawno przeżył, Henry robił wrażenie chorego i starego.

Popatrzyłem znacząco na Mackenziego, dając mu do zrozumienia, żeby sobie odpuścił. Ten zacisnął usta i odprowadził mnie na bok, pozostawiając Henry'ego z filiżanką herbaty, którą podała mu młoda policjantka.

- Wie pan, co to znaczy? - spytał.

- Wiem.

- Niewykluczone, że to nie pierwszy raz.

- Wiem.

- To dobrze, bo pańskiemu przyjacielowi może grozić utrata licencji. Miałby poważne kłopoty nawet wtedy, gdyby był to tylko jakiś ćpun, ale my mówimy tu o seryjnym mordercy. Wygląda na to, że ten facet bywał tu i podbierał towar od Bóg wie kiedy!

Chciałem znowu powiedzieć: „Wiem”, ale ugryzłem się w język.

- Żeby podbierać towar, musiałby znać się trochę na medycynie. Wiedzieć, co kradnie i ile się tego bierze.

- Daj pan spokój. Ten człowiek to morderca! Myśli pan, że zawracałby sobie głowę odmierzaniem prawidłowej dawki? Poza tym nie trzeba być neurochirurgiem, żeby wiedzieć, do czego służy chloroform.

- Jeśli był tu przedtem, dlaczego nie zabrał całej butli?

- Może nie chciał, żeby ludzie się zwiedzieli. I gdyby go pan dzisiaj nie przyłapał, dalej gralibyśmy w ciemno. Prawda?

Z tym nie mogłem polemizować. Czuję się jak winowajca, jakbym to ja zaniedbał obowiązki, a nie Henry. Byłem jego współnikiem i jako współnik powinienem był zwracać większą uwagę na to, co się tu działo. I na to, co działo się z nim.

W końcu policjanci zrobili swoje i poszli do domu. Gdy przykładałem głowę do poduszki, śpiewały już pierwsze ptaki.

Zasnąłem i zdawało się, że niemal natychmiast się obudziłem.

Po raz pierwszy od wielu dni znowu miałem ten sen. Był jak zawsze plastyczny, lecz nie nappełnił mnie poczuciem straty. Smutkiem, tak, ale i spokojem. Nie było w nim Alice, tylko sama Kara. Rozmawialiśmy o Jenny.

„Wszystko w porządku. Tak powinno być”.

Powiedziała to jakby na pożegnanie, długo odkładane, lecz nieuniknione. Ale na wspomnienie jej ostatnich słów, jej tak dobrze mi znanej zatroskanej twarzy, poczułem się nieswojo.

„Uważaj. Bądź ostrożny”.

Uważaj, ale na co? Tego nie powiedziała. Myślałem o tym przez chwilę, wreszcie zdałem sobie sprawę, że próbuję jedynie przeanalizować własną podświadomość.

Cóż, ostatecznie to był tylko sen.

Wstałem i wziąłem prysznic. Chociaż spałem tylko kilka godzin, czułem się wypoczęty, jakbym przespał całą noc. Wyjechałem do laboratorium wcześniej niż zwykle, bo chciałem po drodze wpaść do Henry'ego. Martwiłem się o niego. W nocy wyglądał strasznie i miałem wyrzuty sumienia. Gdyby nie był tak bardzo zmęczony ciągłymi zastępstwami, które na nim wymuszałem, być może nie zapomniałby zamknąć drzwi.

Wszedłem do domu i zawołałem. Nie odpowiedział. Zajrzałem do kuchni, lecz w kuchni go nie było. Poczuję się trochę nieswojo, ale spróbowałem wmówić sobie, że pewnie jeszcze śpi. Potem spojrzałem w okno i zmartwiałem. Za ogrodem widać było fragment starego, drewnianego molo. Stał na nim jego wózek.

Był pusty.

Z krzykiem wypadłem na dwór. Wciąż nic nie widziałem, bo furka znajdowała się na końcu ogrodu, za krzakami i drzewami, i zobaczyłem molo dopiero wtedy, gdy do niej dobiegłem. Dobiegłem i z ulgą zwolniłem. Obok wózka, niebezpiecznie balansując na brzegu molo, siedział Henry. Próbował wsiąść do żaglówki. Miał zaczerwienioną z wysiłku twarz, a jego nogi dyndały bezwładnie nad pokładem łodzi.

- Na miłość boską, co ty wyprawiasz?

Łypnął na mnie spode łba, lecz nie zaprzestał prób.

- A jak myślisz? Chcę popływać tą zasraną łodzią.

Głośno stękał, utrzymując ciężar ciała na rękach. Zawahałem się. Chciałem mu pomóc, ale wiedziałem, że lepiej to sobie darować. Stałem tuż przy nim i gdyby wpadł do wody, mógłbym go wyciągnąć.

- Przestań. Dobrze wiesz, że nie powinieneś tego robić.

- Odwal się! Pilnuj własnego nosa!

Zaskoczony wytrzeszczyłem oczy. Miał mocno zaciśnięte, lecz drżące usta. Jeszcze przez chwilę kontynuował te próżne wysiłki i nagle oklapł. Osunął się na drewniany słup i zasłonił sobie oczy.

- Przepraszam - wydyszał. - Nie chciałem tego powiedzieć.

- Pomóc ci usiąść na wózku?

- Zaraz. Daj mi odsapnąć.

Usiadłem na chropowatych deskach. Pierś podnosiła mu się ciężko i opadała, przepocona koszula lepiła się do ciała.

- Długo tu jesteś? - spytałem.

- Nie wiem. Trochę. - Uśmiechnął się słabo. - Myślałem, że mała przejażdżka łódką to dobry pomysł.

- Henry... - Nie wiedziałem, co powiedzieć. - Henry, czyś ty zwariował? Nie wolno ci wsiadać do łodzi samemu.

- Wiem, wiem. Chciałem tylko... - Pociemniała mu twarz. - Wszystko przez tego pieprzonego gliniarza. Widziałeś, jak on na mnie patrzył? Gadał do mnie, jakbym był... głupim, dziecięnniałym starcem! Wiem, że popełniłem błąd, że powinienem był sprawdzić drzwi. Ale żeby od razu traktować mnie jak jakiegoś półgłówka...

Zacisnął usta i popatrzył na swoje nogi.

- Czasami mnie to wkurza. Ta bezsilność. Czasami czuję, że muszę, po prostu muszę coś zrobić. Rozumiesz?

Popatrzyłem na płaski bezkres jeziora. Nie było na nim ani żywego ducha.

- A gdybyś wpadł do wody?

- To bym wpadł. Zaoszczędziłbym wszystkim kłopotów. - I, jak dawny Henry, zerknął na mnie z ironicznym uśmiechem na ustach. - Nie patrz tak na mnie. Nie zamierzam się topić. Już i tak zrobiłem z siebie durnia.

Usiadł prosto, krzywiąc się z wysiłku.

- Pomóż mi wleźć na ten cholerny wózek.

Chwyciłem go pod pachy, podciągnąłem i wreszcie usiadł jak trzeba. Był tak zmęczony, że nie zaprotestował, gdy pchnąłem wózek w stronę domu. Byłem już spóźniony, ale zrobiłem mu jeszcze herbatę; chciałem upewnić się, czy nic mu nie jest.

Gdy wstałem, żeby wyjść, ziewnął i przetarł oczy.

- No, pora się przygotować - powiedział. - Za pół godziny zaczynam dyżur.

- Nie dzisiaj - odparłem. - Nie jesteś w stanie pracować. Musisz się przespać.

Podniósł brew.

- To zalecenie lekarza?

- Jeśli tak wolisz.

- A co z pacjentami?

- Janice zawiadomi ich, że dzisiaj nie przyjmujesz. Jeżeli to coś pilnego, niech zadzwonią na pogotowie.

Choć raz się ze mną nie sprzeczał. Zdażył się już uspokoić i zupełnie oklapł.

- Posłuchaj... Ale nikomu o tym nie powiesz, prawda?

- Oczywiście, że nie. Kiwnął głową.

- To dobrze. Już i tak głupio się czuję.

- Niepotrzebnie. Ruszyłem do drzwi.

- David... - zawołał i urwał zażenowany. - Dziękuję.

Jego wdzięczność wcale nie poprawiła mi nastroju. Jadąc do laboratorium, uzmysłowiłem sobie, jak wielką presję ostatnio na niego wywierałem, z góry zakładając, że zgodzi się na te wszystkie zastępstwa. I nie tylko to. Teraz żałowałem, że nie wybrałem się z nim na przejażdżkę łodzią że spędzałem z nim tak mało czasu. Byłem tak pochłonięty śledztwem, jeszcze bardziej Jenny, że prawie o nim nie myślałem.

Postanowiłem, że to się zmieni. Badania w laboratorium dobiegały końca. Gdy tylko zdam Mackenziemu raport, resztą zajmie się policja, a wtedy będę mógł zrekompensować mu wszystkie zaniedbania. Moje życie wróci do normy.

Nigdy dotąd tak bardzo się nie myliłem.

Po zamieszeniu ostatnich dwunastu godzin do laboratorium wróciłem niemal z ulgą. Tu byłem przynajmniej na pewniejszym gruncie. Przyszły wyniki badań, potwierdzając to, co przewidziałem. Lyn Metcalf nie żyła mniej więcej od sześciu dni, co oznaczało, że z jakiegoś potwornego powodu morderca przetrzymywał ją prawie przez trzy dni i dopiero potem poderżnął jej gardło. Bo właśnie to ją zabiło. Tak samo jak w przypadku Sally Palmer, niski stopień nasycenia zwłok płynami organicznymi wskazywał, że się wykrwawiła. A niska zawartość żelaza w ziemi, że umarła gdzie indziej i że zabójca podrzucił jej ciało na mokradła.

Podobnie też jak w przypadku Sally, na mokradłach nie znaleziono żadnych śladów, które mogłyby nam podpowiedzieć, kto to zrobił. Ziemia była za bardzo spieczona, żeby odcisnęły się na niej podeszwy butów mordercy, a oprócz włókien konopnego sznura pod połamanymi paznokciami, nie było absolutnie żadnych dowodów, żadnych wskazówek, które mogłyby doprowadzić policję do sprawcy.

Ale martwić się o to miał już ktoś inny. Moja praca dobiegała końca. Zrobiłem kilka ostatnich odlewów nacięcia na kręgu szyjnym, całkowicie przekonany, że obydwie kobiety zabito tym samym nożem. Potem posprzątałem. Koniec. Marina zaprosiła mnie z tej okazji na lunch, ale odmówiłem. Nie rozmawiałem jeszcze z Jenny i nagle nie mogłem się już tego doczekać.

Zadzwoniłem zaraz po wyjściu Mariny. Czekając, aż Jenny podniesie słuchawkę, byłem niemal boleśnie podekscytowany.

- Przepraszam - powiedziała zdyszana. - Tiny nie ma, a ja byłem w ogrodzie.

- Jak się masz? - spytałem i nagle dostałem nerwowej drżączki. Zapatrzony we własny pępek ani razu nie pomyślałem, że mogła wyciągnąć swoje własne wnioski na temat naszego związku. Niewykluczone, że zupełnie inne niż moje..

- Dobrze, a ty? Wszyscy mówią o tym włamaniu. Ale nic ci się nie stało, prawda?

- Nie, nie, nic. Gorzej z Henrym.

- Boże, kiedy o tym usłyszałam... Martwiłam się.

Nie przyszło mi to do głowy. Już dawno nie musiałem o nikim myśleć.

- Przepraszam. Powinienem był zadzwonić wcześniej.

- Nie, nie, nie szkodzi. Cieszę się, że wszystko w porządku. Zadzwoniłabym, ale...

Urwała, a ja zeszytniałem. No i zaczyna się, pomyślałem.

- Posłuchaj, wiem, że postanowiliśmy dać sobie parę dni spokoju, ale... Ale chciałabym cię już zobaczyć. Oczywiście, jeśli ty chcesz.

Uśmiechnąłem się od ucha do ucha.

- Bardzo.

- Na pewno?

- Na sto procent. Roześmialiśmy się.

- Boże, to śmieszne - powiedziała. - Czuję się jak nastolatka.

- A ja jak nastolatek. - Zerknąłem na zegarek. Dziesięć po pierwszej. O drugiej mógłbym być w Manham, a dyżur zaczynałem dopiero o czwartej. - Jeśli chcesz, mógłbym zaraz do ciebie wpaść.

- Dobrze. - Powiedziała to nieśmiało i wstydliwie, lecz słyszałem śmiech w jej głosie. W tle zabrzmiał dwutonowy gong.

- Zaczekaj, ktoś przyszedł.

Odłożyła słuchawkę. Oparłem się o stół i z kretyńskim uśmiechem na twarzy czekałem, aż wróci do telefonu. Do diabła z przestrzenią i prywatnością. Wiedziałem tylko, że chcę z nią być, zaraz, teraz, że pragnę tego bardziej niż czegokolwiek innego. Czekałem. W tle grało radio. Jenny długo nie wracała. Wreszcie podniosła słuchawkę.

- Mleczarz? - zażartowałem.

Nie odpowiedziała. Słyszałem tylko czyjś oddech. Głęboki i trochę chrapliwy, jak oddech kogoś zmęczonego wysiłkiem.

- Jenny? - rzuciłem niepewnie.

Cisza. Tylko ten oddech. Jedno uderzenie serca, drugie i... cichy trzask odkładanej słuchawki.

Przez chwilę gapiłem się jak głupi na swoją a potem trzęsącą się ręką ponownie wybrałem jej numer. Odbierz, błagałem ją w duchu. Proszę cię, odbierz. Ale słyszałem jedynie sygnał.

Rzuciłem słuchawkę na widełki i pędząc do samochodu, zadzwoniłem do Mackenziego.

## **Rozdział 20**

Nie trudno się było domyślić, co się stało. Wszystko opowiedział sam dom. Na rozchwianym stole, na którym jedliśmy wtedy kolację, leżała nadjedzona kanapka, już prawie sucha i zwinięta z gorąca. Tuż obok obojętnie grało radio. Kuchenne drzwi były otwarte na oścież; zasłona z koralików nieustannie się poruszała, rozgarniana i potracana przez policjantów. Mata drzwiowa leżała pod kredensem, słuchawka telefonu na widełkach.

Ale po Jenny nie było ani śladu.

Gdy przyjechałem, nie chcieli mnie wpuścić. Otoczyli już dom i na chodniku po drugiej stronie ulicy stała grupka dzieci z sąsiedztwa, które patrzyły z powagą na wchodzących i wychodzących policjantów. Gdy podszedłem do furtki, drogę zastąpił mi młody posterunkowy, nerwowo strzelając oczami to na padok, to na łąkę. Nie chciał mnie słuchać, ale byłem w takim stanie, że zupełnie się mu nie dziwiłem. Potem przyjechał Mackenzie. Uspokajającym gestem podniósł ramię do góry i dopiero wtedy wpuszczono mnie do środka.

- Niech pan niczego nie dotyka - powiedział. Zupełnie niepotrzebnie.

- Nie jestem nowicjuszem, do cholery!

- To niech się pan odpowiednio zachowuje.

Już miałem mu odszczeknąć, ale się powstrzymałem. Miał rację. Wziętem głęboki oddech, próbując nad sobą zapanować. Mackenzie obserwował mnie ciekawie.

- Dobrze ją pan znał?

Chciałem odpowiedzieć, że to nie jego sprawa. Ale oczywiście nie mogłem.

- Niedawno zaczęliśmy się spotykać. - Patrzac, jak dwóch techników zdejmuje odciski palców z telefonu, zacisnąłem pięści.

- Na poważnie?

Przeszyłem go wzrokiem. Po chwili krótko skinął głową.

- Przykro mi.

To niech ci nie będzie! - pomyślałem. Lepiej byś coś zrobił! Ale policja robiła już wszystko, co można było zrobić. Nad domem przeleciał z łoskotem śmigłowiec, mundurowi przeczesywali padok i pobliskie łąki.

- Niech pan opowie jeszcze raz - rozkazał Mackenzie. Opowiedziałem, nie wierząc, że dzieje się to naprawdę.

- Jest pan pewien co do godziny?

- Absolutnie. Czekając, aż wróci do telefonu, spojrzałem na zegarek.

- I nic pan nie słyszał?

- Nie! Chryste, jest środek dnia! Jak to możliwe, żeby ktoś zapukał do drzwi i tak po prostu wywłócił ją z domu? Przecież w miasteczku roi się od policji! Co oni, do diabła, robili?

- Wiem, jak się pan czuje, ale...

- Nie, nie wie pan! Ktoś musiał coś widzieć!

Mackenzie westchnął z rzadką u niego - o czym miałem się dopiero przekonać - cierpliwością.

- Przesłuchujemy wszystkich sąsiadów. Najgorsze jest to, że na ogród nie wychodzą okna ani jednego domu. Przez padok biegnie ścieżka. Mógł podjechać tu samochodem albo furgonetką wrócić tą samą drogą i nikt by go nie zobaczył.

Spojrzałem w okno. W oddali niewinnie lśniła lustrzana tafla jeziora. Mackenzie czytał w moich myślach.

- Nie ma tam ani jednej łodzi. Ci w śmigłowcu wciąż wypatrują, ale...

Nie musiał nic wyjaśniać. Policja przyjechała niemal piętnaście minut po tym, jak Jenny otworzyła intruzowi drzwi. Ktoś, kto dobrze znał okolicę, mógł przez ten czas przepaść jak kamień w wodę wraz z tym, kogo uprowadził.

- Dlaczego nie krzyczała o pomoc? - Trochę się już opanowałem, lecz w opanowaniu tym było więcej rozpaczy niż spokoju. - Nie poszłaby z nim bez walki.

Zanim Mackenzie zdążył odpowiedzieć, na dworze wybuchło jakieś zamieszanie. Chwilę później do domu wpadła Tina, blada i przerażona.

- Co się stało? Gdzie Jenny?

Tylko pokręciłem głową. Tina rozejrzała się nieprzytomnie.

- To on, tak? Porwał ją.

Próbowałem coś powiedzieć, lecz nie mogłem.

- Nie. Boże, nie. Proszę... - Rozplakała się.

Zawahałem się i dotknąłem jej ramienia. Przytuliła się do mnie, głośno łkając.

- Panie inspektorze.

Do Mackenziego podszedł jeden z policjantów. Podał mu plastikową torebkę. W torebce było coś, co wyglądało jak brudna, zwinięta w kłębek szmatka.

- Leżała pod żywopłotem w rogu ogrodu. Jest tam dziura, można się przez nią przecisnąć.

Mackenzie otworzył torebkę i ostrożnie powąchał jej zawartość. Potem bez słowa podał torebkę mnie. Zapach był nie do pomylenia. Chloroform.

Nie brałem udziału w poszukiwaniach. Między innymi dlatego, że nie chciałem być odcięty od wiadomości. Ponieważ wokół Manham roilo się od martwych stref, w których telefony komórkowe nadawały się jedynie na złom, bałem się, że utknąwszy w jakimś odizolowanym miejscu, w lesie lub na moczarach, stracę kontakt ze światem. Poza tym wiedziałem, że poszukiwania nic nie dadzą. Że błądząc na oślep, nikt jej nie znajdzie. Dopóki nie zechce tego sam porzucić.

Tina powiedziała nam o martwym lisie. Nawet teraz nie zdawała sobie sprawy, co to znaczy. Była zdumiona, gdy Mackenzie spytał ją czy Jenny nie znalazła ostatnio jakichś ptaków czy zwierząt. Najpierw odparła, że nie, i dopiero po chwili, jakby po namyśle, wspomniała o lisie. Zignorowane ostrzeżenie. Zrobiło mi się niedobrze.

- Nadal uważa pan, że utajnienie tych okaleczeń było dobrym pomysłem? - spytałem potem Mackenziego. Zaczerwienił się i tylko zacisnął usta. Wiedziałem, że pogrywam nieuczciwie, bo decyzję podjęto na pewno gdzieś wyżej. Po prostu chciałem się na kimś wyżyć. Na kimś albo na czymś.

To Tina przypomniała sobie o jej insulinie. Gdy jeden z policjantów zaczął szperać w torebce Jenny, nagle poblądła.

- Boże, to jej pióro!

Policjant trzymał wtryskiwacz do wstrzyknięć. Aparat przypominał wyglądem grube pióro wieczne, ale zamiast atramentu, zawierał kilka dawek insuliny. Kiedy u mnie nocowała, widziałem, jak robi sobie zastrzyk, swobodnie i bez trudu wprowadzając do krwi lekarstwo, które regulowało jej metabolizm.

Kolejny cios.

Mackenzie spojrzał na mnie pytająco.

- Jenny jest diabetyczką- wyjaśniłem łamiącym się głosem. - Musi codziennie brać insulinę.

- A jeśli nie weźmie?

- Zapadnie w śpiączkę. - Nie powiedziałem mu, co będzie potem, ale sądząc po jego minie, chyba nie musiałem.

Dość się napatrzyłem. Wyraźnie mu ulżyło, gdy wreszcie wyszedłem; obiecał zadzwonić, kiedy tylko się czegoś dowie. W drodze do domu przez cały czas dręczyła mnie myśl, że przeżywszy jedną napaść, Jenny przyjechała do Manham tylko po to, żeby paść ofiarą kolejnej, jeszcze gorszej. Przyjechała tu, bo tu miało być bezpieczniej niż w dużym mieście. Wydawało się to z gruntu niesprawiedliwe, jakby pogwałcony został naturalny porządek rzeczy. Czuję się rozpołowiony, rozłupany, przeszłość nałożyła się na teraźniejszość i wciąż na nowo przeżywałem koszmar po śmierci Kary i Alice. Ale teraz przeżywałem go zupełnie inaczej. Wtedy dobijało mnie poczucie osamotnienia i straty. Teraz nie wiedziałem nawet, czy Jenny żyje czy nie. A jeśli żyje, to co ten bydlak jej robi. Chociaż próbowałem, nie mogłem przestać myśleć o ranach i okaleczeniach na ciele dwóch zamordowanych kobiet, o włóknach konopnego sznura pod połamanymi paznokciami Lyn Metcalf. Przed śmiercią obydwie związane i poddano Bóg wie jak makabrycznym torturom. A teraz tego, czego doświadczyły one, miała doświadczyć Jenny.

Nigdy w życiu nie byłem tak przerażony.

Gdy wszedłem do domu, napały na mnie wszystkie ściany. Zadreczając się, poszedłem na górę, do sypialni. Wciąż czułem jej zapach, który z rozdzierającym bólem przypominał ojej nieobecności. Spojrzałem na łóżko, gdzie leżeliśmy ledwie dwa dni wcześniej, i to wystarczyło: nie mogłem dłużej wytrzymać w domu. Szybko zszedłem na dół i wybiegłem na dwór.

Wsiadłem do samochodu i podświadomie skręciłem do przychodni. Wieczór był pełen ptasiego śpiewu i zielonkawego światła. Jego szyderczo okrutne piękno przypominało, jak obojętny może być wszechświat. Gdy zamknąłem za sobą drzwi, z gabinetu wyjechał na wózku Henry. Wciąż był mizerny i źle się czuł. Poznałem to po jego twarzy.

- Davidzie, tak mi przykro... Kiwnąłem głową. Miał lzy w oczach.

- Wczoraj w nocy... To moja wina.

- Nie, nie twoja.

- Kiedy dowiedziałem się, że... Nie wiem, co powiedzieć.

- A cóż można?

Potał ręką podłokietnik wózka.

- Co na to policja? Przecież muszą mieć jakiś... jakiś trop czy coś.

- Nie, nie mają.

- Boże, co za burdel... - Przesunął ręką po twarzy i podciągnął się wyżej na siedzeniu. - Dam ci kielicha.

- Nie, dzięki.

- I tak się napijesz. — Uśmiechnął się sztucznie. — Zalecenie lekarza. — Nalał nam whisky, podał mi szklanekę. - Pij. Do dna.

- Nie wiem, czy.

- Pij.

Wypiłem. Whisky popłynęła palącą strugą prosto do żołądka. Henry bez słowa wyjął mi szklanekę z ręki i ponownie ją napelnił.

- Jadłeś?

- Nie jestem głodny.

Chyba chciał coś we mnie wmusić, ale zmienił zdanie.

- Możesz tu dzisiaj nocować. W twoim starym pokoju nie ma dużo do sprzątnia.

- Nie, dzięki.

Żeby się czymś zająć, wypiłem łyk whisky.

- Cały czas mam uczucie, że to wszystko przeze mnie.

- Przestań, nie pleć bzdur.

- Powinienem być to przewidzieć. -1 chyba przewidziałem. Przypomniało mi się ostrzeżenie, którego Kara udzieliła mi we śnie. A ja je zignorowałem.

- Nonsens - warknął Henry. - Niektórym rzeczom nie da się zapobiec. Dobrze o tym wiesz. . .

Miał rację, lecz świadomość ta niewiele pomogła. Siedziałem u niego godzinę i prawie przez cały ten czas milczeliśmy. Powoli sącyłem whisky;

namawiał mnie na dolewkę, ale spasowałem. Nie chciałem się upić. Owszem, kusiło mnie, ale wiedziałem, że alkoholowa mgła niczego nie zmieni. Wszedłem dopiero wtedy, gdy poczułem, że za chwilę dostanę kolejnego ataku klaustrofobii. Henry nie mógł mi w niczym pomóc i przeżywał to tak bardzo, że było mi go żal. Ale myśl o Jenny wypierała wszystko inne.

Jadąc przez miasteczko, widziałem policjantów, którzy chodzili od domu do domu, przepytując ludzi w kolejnym pokazu bezsensownej aktywności. Aż się we mnie zagotowało, bo znowu marnowali czas. Minąłem mój dom, doskonale wiedząc, że teraz też nie znajdę tam ukojenia. Na skraju miasteczka drogę blokowała grupa mężczyzn. Zwolniejszy, niemal wszystkich rozpoznałem. Był tam nawet Rupert Sutton; wyglądało na to, że w końcu wyszedł spod fartucha matki.

Ale na ich czele stał Carl Brenner.

Otworzyłem okno. Ani drgnęli. Gapili się na samochód.

- Co się dzieje?

Brenner splunął na ziemię. Ben musiał mu nieźle przyłożyć, bo wciąż miał posiniaczoną twarz.

- Nie słyszał pan? Porwał kolejną.

Poczułem się tak, jakby ktoś grzmotnął mnie pięścią w brzuch. Jeśli ta bestia uprowadziła czwartą kobietę, mogło to oznaczać tylko jedno. Że zrobił już coś Jenny.

- Nauczycielkę z naszej szkoły - dodał niczego nieświadomy Brenner. -Dziś po południu.

Powiedział coś jeszcze, ale go nie słyszałem. Gdy dotarło do mnie, że mówi o czymś, o czym już wiedziałem, w uszach zadudniła mi krew.

- Dokąd się pan wybiera? - rzucił, nie zdając sobie sprawy z efektu swych słów.

Mogłem mu powiedzieć. Mogłem mu wszystko wyjaśnić albo coś zmyślić. Ale gdy zobaczyłem, jak się nadyma, jak pyszni się swoją nową rolą ogarnął mnie gniew.

- Nie wasza sprawa. Chyba go trochę zaskoczyłem.



- Jedzie pan na wizytę? -Nie.

Brenner niepewnie rozluźnił ramiona jak bokser szykujący się do walki.

- Nikt stąd nie wyjedzie bez pozwolenia.

- I co mi zrobicie? Wywleciecie mnie z samochodu?

Odezwał się ktoś z tyłu. Dan Marsden, robotnik, którego opatrywałem zaraz po tym, gdy wpadł w zastawione przez mordercę sidła.

- Niech pan nie bierze tego do siebie, doktorze.

- Niby dlaczego? To nie było do mnie? Chyba jednak do mnie, Brenner doszedł już do formy.

- Co jest, doktoru? Czyżby miał pan coś do ukrycia?

Zabrzmiało to jak obelga. Ale zanim zdążyłem odpowiedzieć, Marsden chwycił go za rękę.

- Zostaw go, Carl. Był jej przyjacielem.

„Był”. Zacisnąłem rękę na kierownicy. Gapili się na mnie bezczelnie.

- Z drogi - warknąłem.

Brenner położył rękę na klamce drzwiczek.

- Nigdzie pan nie pojedzie, dopóki...

Weisnąłem pedał gazu i odrzuciło go do tyłu. Ci stojący przede mną rozpierzchli się na wszystkie strony: land rover skoczył do przodu i za oknem śmignęły przerażone twarze. Śmignęły i zniknęły. Usłyszałem tylko ich gniewne krzyki, ale się nie zatrzymałem. Ochłonałem dopiero wtedy, gdy straciłem ich z oczu. Chryste, co mi odbiło? Ładny mi lekarz. Mogłem kogoś zranić. Albo zabić.

Jeździłem bez celu, aż zdałem sobie sprawę, że zmierzam prosto do pubu, w którym byłem z Jenny ledwie kilka dni wcześniej. Gwałtownie zahamowałem, nie mogąc znieść myśli, że znowu zobaczę to miejsce. Gdy tuż za mną zatrąbił klakson, zjechałem na pobocze, przepuściłem samochód i zawróciłem.

Próbowałem uciec od tego, co się stało, i teraz już wiedziałem, że to niemożliwe. Do Manham dojechałem zupełnie wykończony. Brennera i jego kumpli już nie było. Oparłem się pokusie i nie pojechałem do domu Jenny ani nie zadzwoniłem do Mackenziego. Nie było sensu. Gdyby coś się stało, szybko bym się o tym dowiedział.

W domu nalałem sobie whisky, na którą nie miałem ochoty, i usiadłem na dworze w zachodzącym słońcu. Moje serce umierało wraz z nim. Od zniknięcia Jenny minęło niemal pół dnia. Wmawiałem sobie, że jest jeszcze nadzieja, że ten, kto ją uprowadził, nie zabija swych ofiar natychmiast. Lecz myśli ta nie przyniosła mi pocieszenia. Żadnego.

Nawet jeżeli Jenny jeszcze żyła - świadomość, że mogła nie żyć, rozwierała się przede mną niczym paszcza mrocznej otchłani - mieliśmy najwyżej dwa dni na jej znalezienie. I jeśli do tego czasu nie zapadnie w śpiączkę z braku insuliny, ten bezimienny potwór zabije ją tak samo, jak zabił Sally Palmer i Lyn Metcalf.

A ja nie mogłem zrobić nic, żeby go powstrzymać.

## **Rozdział 21**

Po pewnym czasie ciemność przestała być absolutna. Pojawiły się w niej punkciki światła, świetliste kropeczki tak małe, że początkowo myślała, iż to złudzenie. Gdy próbowała skupić na nich wzrok, momentalnie znikwały. Stawały się widoczne tylko wtedy, gdy patrzyła na nie kątem oka. Były jak mikroskopijne plamki, jak maleńkie gwiazdy na skraju pola widzenia.

Ale potem, gdy wzrok przywykł do ciemności, stwierdziła, że może dostrzec je znacznie łatwiej. Nie tylko punkciki. Ale i świetliste szparki. Rysy. Jakieś pęknięcia. Jeszcze potem zauważyła, że nie ma ich wszędzie. Że światło dochodzi tylko z jednego kierunku. Nazwała to miejsce Przodem.

Mając już punkt odniesienia, zaczęła stopniowo kształtować otaczającą ją ciemność, nadawać jej konkretną formę.

Budziła się powoli. Głowa pulsowała jej tępy, mdlącym bólem i ból ten sprawiał, że przy każdym ruchu cierpiała katusze. Nie mogła pozbierać myśli, lecz przerażenie nie pozwalało jej ponownie stracić przytomności. Jakby znowu była w tamtej taksówce i jakby kierowca zamknął ją w bagażniku. Czowała się osaczona, nie mogła oddychać. Chciała krzyknąć, chciała krzyknąć o pomoc, lecz gardło, podobnie jak reszta ciała, nie słuchało rozkazów mózgu.

Myślała coraz spójniej. W końcu dotarło do niej, że bez względu na to, gdzie jest, na pewno nie jest na parkingu. Nie, tamto już minęło. Lecz świadomość ta nie przyniosła jej ulgi. Gdzie ona była? Ciemność dezorientowała ją i przerażała. Gdy spróbowała usiąść, coś chwyciło ją za nogę. Chciała ją zabrać, ale wtedy to coś napięło się gwałtownie i czubkami palców musnęła gruby, szorstki sznur na kostce. Z narastającym niedowierzaniem przesunęła po nim ręką i stwierdziła, że sznur jest przywiązany do ciężkiego, żelaznego pierścienia wpuszczonego w podłogę.

Była związana. I nagle sznur, ciemność, twarda podłoga, na której siedziała, nagle wszystko to razem ułożyło się w całość logiczną i straszną.

Wtedy sobie przypomniała.

Pamięć wracała powoli, fragmentami, które w końcu się ze sobą zespoliły. Rozmawiała z Davidem przez telefon. Zadzwoił dzwonek u drzwi i poszła otworzyć. Za zasłoną z koralików zobaczyła jakiegoś mężczyznę i... i...

Boże, nie, przecież to niemożliwe. A jednak. Krzyknęła. Wołała Davida, wołała Tinę. Błagała o pomoc. Nikt nie przyszedł. Z trudem przestała. Oddychaj. Oddychaj powoli i głęboko. Weź się w garść. Roztrzęsiona spróbowała ocenić sytuację. W pomieszczeniu było chłodno, ale nie zimno. I obrzydliwie cuchnęło czymś, czego nie potrafiła zidentyfikować. Ale była przynajmniej ubrana, wciąż miała na sobie szorty i podkoszulek. Wmówiła sobie, że to dobry znak. Ból głowy przeszedł w tępe pulsowanie i bardzo chciało jej się pić. Zaszło jej w ustach i miała opuchnięte gardło; bolało ją, gdy przełykała ślinę. Była też głodna i gdy to sobie uświadomiła, zdała sobie również sprawę z czegoś znacznie bardziej przerażającego.

Nie miała insuliny.

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, odkąd wzięła ostatnią dawkę. Nie wiedziała, od której tu siedzi. Pierwszy zastrzyk zrobiła sobie jak zwykle rano, ale kiedy było rano? Jeśli nawet nie minęła jeszcze pora na drugi, niedługo na pewno minie. Insulina regulowała poziom cukru we krwi. Bez insuliny poziom zacznie wzrastać, a wtedy...

Przestań, nie myśl o tym. Pomyśl, jak się stąd wydostać. Bez względu na to, gdzie jesteś.

Wyciągnąwszy przed siebie ręce, zaczęła badać granice więzienia na tyle, na ile pozwalał jej sznur. Tuż za nią była twarda, szorstka ściana, ale wszędzie indziej ręce napotkały tylko powietrze. Macając na oślep w ciemności, zawadziła o coś nogą. Głośno krzyknęła i odskoczyła do tyłu. Gdy nic się nie stało, ponownie przykucnęła, ostrożnie przesunęła ręką po ziemi, dotknęła tego palcami i stwierdziła, że to but. Sportowy, za mały jak na mężczy...

Zdała sobie sprawę, co trzyma, i szybko go upuściła. To nie był zwykły but. To był but do biegania.

But Lyn Metcalf.

Niewiele brakowało i uległaby strachowi. Odkąd odkryła sznur na kostce u nogi, ze wszystkich sił próbowała stłumić w sobie świadomość, że morderca wybrał ją na trzecią ofiarę. But Lyn potwierdził jej podejrzenia. Ale nie mogła się załamać. Jeśli chciała się stąd wydostać, nie mogła się poddać.

Stała bliżej ściany i gdy sznur się poluźnił, obmacała węzły. Równie dobrze mogły być odlane z tego samego żelaza co pierścień. Pętla była dość luźna, ale chociaż nie sprawiała jej bólu, nie mogła wyjąć z niej stopy. Próbowała, lecz tylko otarła sobie skórę.

Niezwiązaną nogą zapała się o ścianę i mocno pociągnęła. Nie ustąpił ani sznur, ani pierścień, mimo to ciągnęła dalej, dopóki z wysiłku nie zaczęło łupać jej w głowie i nie zobaczyła gwiazd przed oczami.

I właśnie wtedy gdy zgasły, gdy ciężko dysząc, leżała na ziemi, zobaczyła te świetliste punkciki. Przekonawszy się, że nie są złudzeniem, spróbowała ich dotknąć. Światło to wyjście, a przynajmniej coś, co znajdowało się za murami tego czarnego, bezkresnego więzienia. Rzecz w tym, że nie mogła ich osiągnąć. Podeszła bliżej na tyle, na ile pozwalał jej sznur. Ostrożnie wyciągnęła rękę. Dotknęła czegoś twardego i sztywnego trzydzieści, czterdzieści centymetrów dalej. Powoli obmacała to rękami. Deski. Spękane, nieheblowane deski.

Światło sączyło się przez szpary i rozstępy. Jedna ze szpar znajdowała się dokładnie naprzeciwko i była większa niż pozostałe. Jenny przysunęła się jeszcze bliżej. Musnęła rzesami chropowate drewno, nerwowo drgnęła i ostrożnie przytknęła oko do szpary.

Zobaczyła część mrocznego, kiszkowatego pomieszczenia. Sądząc po dużej wilgotności powietrza, była to jakaś piwnica czy suterena. Niepomalowane kamienne ściany, półki ze słojami i puszkami, wszystko stare i zakurzone. I drewniany stół roboczy naprzeciwko, taki z imadłem i narzędziami. Ale to nie widok stołu nią wstrząsnął.

Z sufitu, niczym rząd odrażających wahadeł, zwisały ciała martwych zwierząt.

Dziesiątków zwierząt. Lisów, ptaków, zajęcy, gronostajów, kretów; był tam nawet borsuk. W słabym przeciągu, wszystkie falowały w powietrzu z przyprawiającą o mdłości powolnością niczym powierzchnia odwróconego do góry nogami morza. Niektóre wisały za szyję, inne za nogi, demonstrując tępe kikuty w miejscu, gdzie powinna być głowa. Wiele mniejszych doszczętnie zgniło i gapiło się na nią pustymi oczodołami.

Zdławiwszy krzyk przerażenia, Jenny odepchnęła się od ściany. Teraz już wiedziała, skąd pochodził ten smród. I czując, że stają jej dęba włosy na karku, zdała sobie sprawę z czegoś jeszcze. Wyprostowała się i powoli wyciągnęła rękę do góry. Czubkami palców dotknęła czegoś miękkiego. Sierść. Szybko zabrała rękę, potem zmusiła się, żeby wyciągnąć ją ponownie. Tym razem musnęła kilka miękkich piór, które zakołysały się pod jej dotykiem.

Zwierzęta zwisały i z sufitu jej celi.

Mimowolnie krzyknęła, przykucnęła i przywarła do ściany. Załamała się i rozplakała. Ale powoli przestała płakać. Wytarła oczy i nos. Idiotka. Płacz nic nie pomoże. A zwierzęta są martwe. Nic ci nie zrobią.

Wziąwszy się w garść, ponownie podeszła do ściany i przytknęła oko do szpary. Nikogo. Nic się tam nie zmieniło. Ale teraz dostrzegła coś, czego wstrząśnięta widokiem zwierząt przedtem nie zauważyła. Jakiś

zakamarek za stołem. I właśnie stamtąd, z tego zakamarka, sączyło się słabe, sztuczne światło. A w świetle tym zobaczyła schody.

Wyjście.

Popatrzyła na nie wygłodniałym wzrokiem, cofnęła się i ostrożnie napała na deski. Potem uklękła i grzmotnęła w nie pięściami. Wstrząs poraził jej ramiona. Nabiła sobie kilka drzazg. Przepierzenie nie ustąpiło.

Ale to, że w ogóle spróbowała, podniosło ją na duchu. Uderzyła pięściami jeszcze raz, i jeszcze raz, z każdym uderzeniem wyzbywając się cząstki strachu, który ją paraliżował. Zadyszana cofnęła się pod ścianę, gdzie mogła usiąść. Ścierpła jej przewiązana sznurem noga, znowu rozboleła ją głowa, jeszcze bardziej chciało jej się pić, mimo to odczuwała ponurą satysfakcję. Trzymała się jej kurczowo, nie myśląc o tym, jak niewiele tak naprawdę osiągnęła. Przepierzenie było do przejścia. Mając czas, mogłaby się przez nie przebić.

Z tym że nie wiesz, ile ci tego czasu zostało. Prawda?

Odpędziwszy tę myśl, chwyciła sznur i zaczęła obmacywać węzeł.

## Rozdział 22

Nazajutrz rano włączyłem radio i dowiedziałem się, że aresztowano podejrzanego.

W nocy prawie nie spałem; większość czasu przesiedziałem w fotelu, chcąc i jednocześnie nie chcąc, żeby zadzwonił do mnie Mackenzie. Ale telefon milczał. O piątej wstałem i wziąłem prysznic. Potem usiadłem w ogrodzie i otepiały, długo patrzyłem, jak świat budzi się do życia. Nie chciałem włączać radia, dobrze wiedząc, o czym będą mówili w wiadomościach. Lecz przytłaczała mnie panująca w domu cisza, a milczące radio było jeszcze gorsze. O ósmej uległem i pstryknąłem włącznikiem.

- ...tożsamości nie ujawniono, ale policja potwierdza, że wczoraj wieczorem aresztowano jednego z mieszkańców Manham w związku z uprowadzeniem Jenny Hammond, nauczycielki miejscowej szkoły podstawowej.

Prezenter zaczął czytać kolejną wiadomość.

Chciałem krzyknąć: A co z Jenny?! Jeśli kogoś aresztowano, dlaczego jej nie znaleziono? Zdałem sobie sprawę, że kurczowo zaciskam rękę na uchwycie ekspresu do kawy. Odstawiłem go z trzaskiem i chwyciłem słuchawkę telefonu. Odbierz, modliłem się w duchu. Odbierz. Jeden sygnał, drugi, trzeci - pomyślałem, że zaraz włączy się poczta głosowa i w tym momencie odebrał.

- Znaleźliście ją? - rzuciłem, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

- Doktor Hunter?

- Znaleźliście?

- Nie. Niech pan posłucha. Nie mogę teraz rozmawiać. Oddzwonię.

- Niech pan nie odkłada słuchawki! Kogo aresztowaliście?

- Nie mogę powiedzieć.

- Na miłość boską!

- O nic go jeszcze nie oskarżono, dlatego nie możemy ujawnić jego nazwiska. Dobrze pan wie, jak to wszystko działa - dodał niemal przeproszająco.

- Powiedział coś?

- Jeszcze go przesłuchujemy. Innymi słowy, nie.

- Dlaczego nic mi pan nie powiedział? Obiecał pan natychmiast zadzwonić!

- Było już późno. Chciałem zadzwonić rano.

- Dlaczego? Bał się pan w czymś mi przeszkodzić?

- Niech pan posłucha. Wiem, że się pan martwi, ale prowadzimy śledztwo...

- Zapomniał pan, że brałem w nim udział?

- Kiedy tylko będę mógł coś powiedzieć, natychmiast zadzwonię. Ale najpierw musimy go przesłuchać.

Miałem ochotę go zbluzgać, ale się powstrzymałem. Nie należał do tych, którzy reagują na groźby.

- W radiu podali, że to ktoś stąd - powiedziałem, siłąc się na spokój. - To oznacza, że już niedługo wszyscy będą wiedzieli, kto to jest, chce pan tego czy nie. Ja też. Stracę tylko kilka godzin na głupie domysły. - Nagle oklapłem. - Proszę. Ja muszę wiedzieć...

Zawahał się. Milczałem, żeby miał czas przekonać sam siebie. Ciężko westchnął.

- Niech pan zaczeka.

Zasłonił ręką słuchawkę. Pewnie z kimś rozmawiał i nie chciał, żebym ich podsłuchał. Po chwili przyciszonym głosem powiedział:

- To ściśle tajne, zgoda? Czekałem.

- To Ben Anders.

Spodziewałem się, że usłyszę znajome nazwisko. Ale nie to.

- Doktorze? Jest pan tam?

- Ben Anders? - powtórzyłem oszołomiony.

- Jego samochód widziano w pobliżu domu Jenny Hammond wczesnym rankiem na dzień przed jej zaginięciem.

- I to wszystko?

- Nie, nie wszystko - warknął. - W bagażniku znaleźliśmy sprzęt do zastawiania sideł. Drut i nożyce do cięcia drutu. Drewniane paliki. Strażnik leśny takich rzeczy ze sobą nie wozi.

Wciąż nie mogło to do mnie dotrzeć. Ale umysł zaczynał już powoli pracować.

- Kto widział jego samochód w pobliżu domu Jenny?

- Nie mogę powiedzieć.

- Dostaliście cynk, co? Anonimowy cynk.

- Dlaczego pan tak myśli? - spytał podejrzliwie.

- Bo wiem, kto go wam dał - odparłem z nagłym przekonaniem. - Carl Brenner. Pamięta pan, jak powiedziałem, że według Bena, Carl kłusuje? Parę dni temu pobili się w pubie. Brenner oberwał.

- To nic nie znaczy - upierał się Mackenzie.

- To znaczy, że powinniście spytać Brennera, co o tym wie. Nie wierzę, żeby Ben miał coś z tym wspólnego.

- Dlaczego? Bo to pański przyjaciel? - Mackenzie wpadł w gniew.

- Nie, bo go wrobiono.

- Aha, i myśli pan, że nie wzięliśmy takiej możliwości pod uwagę, tak? I zanim pan spyta, Brenner ma mocne alibi, w przeciwieństwie do Andersa. Wie pan, że był kochankiem Sally Palmer?

Wiadomość ta skutecznie zatkała mi usta.

- Byli ze sobą kilka lat temu - ciągnął Mackenzie. - Tuż przed pana przyjazdem do Manham.

- Nie wiedziałem - odparłem oszołomiony.

- Może zapomniał panu o tym wspomnieć. I założę się, że nie wspomniał również o tym, że piętnaście lat temu aresztowano go za napaść seksualną na kobietę.

Po raz drugi zabrakło mi słów.

- Mieliśmy go na oku, zanim dostaliśmy cynk - kontynuował bezlitośnie Mackenzie. - To zdumiewające, ale nie jesteśmy kompletnymi idiotami. A teraz wybaczy pan, jestem bardzo zajęty.

I odłożył słuchawkę. Ja odłożyłem swoją. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. W normalnych okolicznościach mógłbym przysiąc, że Ben jest niewinny. Wciąż byłem przekonany, że to Brenner dał im ten anonimowy cynk. Był na tyle małostkowy, żeby bez względu na konsekwencje wyrównać rachunki z Benem.

Mimo to rozmowa z Mackenzie mną wstrząsnęła. Nie miałem pojęcia, że Ben utrzymywał zażyłe stosunki z Sally, a także że aresztowano go za napaść na kobietę. To prawda, nie miał żadnych powodów, żeby mi o tym mówić i - zwłaszcza w tej sytuacji - miał każdy powód do tego, żeby milczeć. Ale teraz zwątpiłem, czy dobrze go znam. Na świecie roi się od ludzi, którzy uparcie twierdzili, że ich znajomy nie może być mordercą. Po raz pierwszy dotarło do mnie, że jestem jednym z nich.

Ale o wiele bardziej niepokojąca była możliwość, że policja traci bezcenny czas na nie tego człowieka, co trzeba. Nagle podjąłem decyzję. Chwyciłem kluczyki samochodowe i wybiegłem z domu. Jeśli Brenner skłamał, żeby wrobić Bena, musiałem mu uświadomić, na co skazuje Jenny. Musiałem wiedzieć, jak było i w razie konieczności wycisnąć z niego prawdę. A jeśli mi się nie uda...

Nie chciałem o tym myśleć.

Gdy jechałem przez miasteczko, było już upalnie. Na ulicy kręciło się więcej policjantów i dziennikarzy niż przedtem. Na chodnikach stali grupkami reporterzy i dźwiękowcy, skwaszeni, że nie mogą przeprowadzić wywiadu z uparcie milczącymi mieszkańcami Manham. Nie mogłem znieść myśli, że przyjechali tu ze względu na Jenny. Mijając kościół, zobaczyłem na cmentarzu Scarsdale'a. Wydawał polecenia Tomowi Masonowi, grożąc mu kościstym palcem. Gdy zobaczył, że idę w jego stronę, gwałtownie urwał i zrobił niezadowoloną minę.

- Pan doktor - rzucił zimno na powitanie.

- Chcę pana prosić o przysługę - zacząłem bez wstępów.

- O przysługę? Pan? To nowość. - Nie potrafił ukryć satysfakcji. Pozwoliłem mu się nią nacieszyć. Stawką w tej grze było coś więcej niż duma, moja czy jego. Nie pytając, czego chcę, demonstracyjnie spojrział na zegarek.

- Nie wiem, o co chodzi, ale będziemy musieli odłożyć to na później. Czekam na telefon. Mam wywiad w radiu.

Kiedy indziej jego poczucie wyższości pewnie by mnie zirytowało, ale teraz nawet nie zwróciłem na to uwagi.

- To ważne.

- Skoro tak, na pewno zechce pan z tym poczekać, prawda? - Przekrzywił głowę, słysząc dzwonek telefonu zza drzwi kościoła. - Proszę wybaczyć.

Miałem ochotę chwycić go za ten zakurzony kołnierz i mocno nim potrząsnąć, ale tylko zacisnąłem zęby. Odszedł. Kusiło mnie, żeby też odejść, ale jeśli miałem zaapelować do tego, co uchodziło za lepszą naturę

Brennera, jego obecność mogła mi pomóc. Omal go nie przejechałem i gdybym poszedł sam, bardzo wątpił, żeby zechciał mnie wysłuchać.

Z zamyślenia wyrwało mnie szczęknięcie ogrodowego sekatora. Tom. Przycinał trawę na klombie, udając, że nie słyszał naszej rozmowy. Poniewczasie zdałem sobie sprawę, że nawet się z nim nie przywitałem.

- Dzień dobry - powiedziałem, starając się mówić normalnym tonem głosu. - Gdzie George?

- Boli go, jeszcze leży.

Nie wiedziałem, że choruje. Kolejny dowód na to, że zaczynałem tracić kontakt z pacjentami.

- Znowu krzyż? Kiwnął głową.

Jeszcze kilka dni i mu przejdzie.

Znowu naszyły mnie wyrzuty sumienia. George i jego wnuk byli pacjentami Henry'ego, ale to ja miałem jeździć do nich na wizyty domowe. George, stary ogrodnik, był w Manham postacią tak dobrze znaną, że powinienem zauważyć jego zniknięcie. Ciekawe ilu jeszcze pacjentów zawiodłem? Przedtem i teraz, bo tego dnia Henry znowu mnie zastępował.

Lecz strach o Jenny przesłaniał wszystko. Zza otwartych drzwi dobiegał napuszony głos Scarsdale'a, a we mnie coraz bardziej narastała potrzeba natychmiastowego działania. Z niecierpliwości zakręciło mi się w głowie. Słońce świeciło za jasno, cmentarne powietrze mdliło od zapachów. Przez cały czas coś nie dawało mi spokoju, ale gdy usłyszałem, jak Scarsdale odkłada słuchawkę, momentalnie o tym zapomniałem. Chwilę później wielbny wyszedł z kościoła, arogancki, zadufany w sobie i zadowolony.

- Słucham. Chciał pan mnie prosić o przysługę.

- Jadę do Carla Brennera. Proszę, żeby pojechał pan ze mną.

- Naprawdę? Niby dlaczego miałbym to zrobić?

- Bo pana wysłucha, a mnie nie.

- Wysłucha w jakiej sprawie?

Zerknąłem na Toma, ale pochłonięty pracą odszedł dalej.

- Policja kogoś aresztowała. Myślę, że Brenner coś im powiedział i popełnili błąd.

- Czy ten „błąd” ma może coś wspólnego z Benem Andersem?

Za odpowiedź wystarczyła mu moja mina. Był z siebie zadowolony.

- Przykro mi, ale muszę pana rozczarować. To żadna nowina. Ludzie widzieli, jak go aresztują. Coś takiego trudno utrzymać w tajemnicy.

- Nieważne, kto to. Nadal uważam, że Brenner ich okłamał.

- Mogę spytać dlaczego?

- Bo ma do Bena urazę. Skorzystał z okazji, żeby się odegrać.

- Ale nie wie pan tego na pewno, prawda? - Scarsdale krytycznie ściągnął usta. - Poza tym, o ile się nie mylę, Anders jest pańskim przyjacielem,

- Jeśli jest winny, zasłużył na wszystko, co z nim zrobią. Ale jeśli nie, policja traci tylko czas.

- To oni o tym zadecydują, a nie wiejski lekarz. Próbowałem zachować spokój.

- Proszę.

- Przykro mi, doktorze, ale chyba nie rozumie pan, czego pan ode mnie żąda. Chce pan, żebym wtrącił się do policyjnego śledztwa.

- Nie! - Omal nie krzyknąłem. - Chcę, żeby pomógł mi pan uratować komuś życie! Proszę- powtórzyłem ciszej. - Tu nie chodzi o mnie. Kilka dni temu w tym kościele siedziała Jenny Hammond i mówił pan wtedy o potrzebie działania. Możliwe, że ona jeszcze żyje, ale jeśli tak, zostało jej bardzo mało czasu. Nie można... Nie mogę... - Załamał mi się głos.

Scarsdale uważnie mnie obserwował. Nie mogąc mówić, pokręciłem głową i ruszyłem w stronę ulicy.

- Dlaczego uważa pan, że Brenner zechce mnie wysłuchać? Chwilę trwało, zanim otrzeźwiałem na tyle, żeby się odwrócić.

- Powołał pan straż obywatelską. Bardziej liczy się z panem niż ze mną.

- Ta trzecia ofiara... Zna ją pan? Kiwnąłem głową.

Scarsdale zastanawiał się przez chwilę. W oczach miał coś, czego przedtem nie dostrzegłem. Początkowo nie wiedziałem, co to jest, lecz w końcu zrozumiałem. Był to przebłysk współczucia. Szybko zniknął, ustępując miejsca zwykłej u niego wyniosłości.

- Dobrze - powiedział. - Pojedziemy.

Nigdy nie byłem u Brennera, ale jego domu trudno było nie zauważyć. Stał niecałe dwa kilometry za miasteczkiem i prowadziła do niego bita droga, latem pełna dziur, przez resztę roku błotnista i pełna kałuż. Okoliczne łąki i pola kiedyś osuszono, lecz powoli wracały do swego pierwotnego, dzikiego stanu. I właśnie tam, dokładnie pośrodku działki, wśród gratów i rupieci, stał dom, wysoki i zapuszczony. Zdawało się, że nie ma w nim ani jednego kąta prostego, ani jednej prostej linii. Z biegiem lat dobudowano doń kilka przybudówek i nadbudówek, rozpadających się bud, które przywierały do ścian jak pijawki. Dach był połatany blachą falistą. Zamontowano na nim wielki, absurdalnie nowoczesny talerz anteny satelitarnej.

Jechaliśmy krótko i przez ten czas Scarsdale ani razu się do mnie nie odezwał. W zamkniętej przestrzeni samochodu jego stęchły, lekko kwaskowaty zapach był jeszcze bardziej wyczuwalny. Land rover podskakiwał na zrytej koleinami drodze. Na spotkanie wybiegi nam wściekle ujadający pies, lecz gdy wysiedliśmy, trzymał się od nas z daleka. Załomotałem do frontowych drzwi; natychmiast odpadły z nich płatki starej farby. Otworzyły się niemal od razu i w progu stała znużona kobieta, w której rozpoznałem matkę Bremerera.

Była przeraźliwie chuda. Miała proste, siwe włosy, bladą cerę i wyglądała tak, jakby uszło z niej życie. I pewnie uszło, biorąc pod uwagę, że była wdową i samotnie wychowywała takiego syna jak Carl. Mimo upału, była w ręcznie robionym rozpinanym swetrze i wypłowiałej sukience. Poprawiła ją i bez słowa szybko zamrugła.

- Doktor Hunter- zacząłem; Scarsdale'a nie musiałem przedstawiać. -Czy zastaliśmy Carla?

Zdawało się, że pytanie nie wzbudziło żadnej reakcji. Już miałem je powtórzyć, gdy kobieta skrzyżowała ręce na piersiach.

- Carl śpi - odparła zaczepnie i nerwowo.
- Musimy z nim porozmawiać. To ważne.
- Nie lubi, jak się go budzi. Scarsdale postąpił krok do przodu.
- Zajmie nam to tylko chwilę. To naprawdę ważne.

Zirytowało mnie, że próbuje przejąć inicjatywę, lecz irytacja szybko minęła. Chciałem tylko jednego: wejść do środka. Brennerowa niechętnie odsunęła się na bok.

- Zaczekajcie w kuchni - powiedziała. - Zawołam go.

Scarsdale wszedł pierwszy, ja za nim. W zagraconym korytarzu pachniało smażeliną i starymi meblami. W kuchni zapach smażenia był jeszcze silniejszy. W kącie grał mały telewizor. Nad pustymi talerzami śniadaniowymi klócili się nastoletni chłopak i dziewczyna. Parę kroków dalej, z zabandażowaną nogą na niskim stołku, siedział Scott Brenner. Pił herbatę i oglądał telewizję.

Gdy weszliśmy, spojrzeli na nas i zamilkli.

- Dzień dobry - rzuciłem zakłopotany do Scotta; nie pamiętałem imienia jego młodszego brata i siostry. Nagle dotarło do mnie, że przyszedłem tu, by zarzucić komuś kłamstwo, i po raz pierwszy naszyły mnie wątpliwości. Ale szybko je odpędziłem. Miałem rację czy nie, musiałem to zrobić.

Zapadła cisza. Scarsdale stał pośrodku kuchni nieruchomo jak posąg. Chłopak i dziewczyna nie przestawali się na nas gapić. Scott spuścił oczy.

- Jak noga? - spytałem, żeby cokolwiek powiedzieć.
- W porządku. - Spojrzał na nią i wzruszył ramionami. - Trochę boli. Bandaż był brudny.
- Kiedy ostatni raz zmieniałeś opatrunek? Scott się zaczerwienił.
- Nie wiem.

- Ale zmieniałeś? Nie odpowiedział.
- To głęboka rana, nie wolno jej tak zostawiać.
- Przecież nigdzie z tą nogą nie dojdę, nie?
- Mogła przyjść tu pielęgniarka. Albo Carl mógł podrzucić cię do przychodni. Scott natychmiast zamknął się w sobie.

- Carl nie ma czasu.

Na pewno, pomyślałem, A ja jestem za bardzo zajęty sobą. Kolejny dowód na to, że straciłem kontakt z pacjentami. Usłyszeliśmy kroki na schodach i do kuchni weszła ich matka.

- Melissa, Sean, idźcie na dwór - rozkazała.
- Dlaczego? - zaprotestowała dziewczyna.
- Bo tak chcę! No? Jazda!

Powłócząc nogami, wyszli źli na cały świat. Matka stała przy zlewie i puściła wodę.

- Zejdzie? - spytałem.
- Jak będzie gotowy - mruknęła.

Wyglądało na to, że nic więcej nie powie. Zdenerwowana zaczęła zmywać i słychać było jedynie szum wody, brzęk talerzy i sztućców. Wyteżyłem słuch, ale na gorze panowała cisza.

- To co mam zrobić? - spytał Scott, patrząc z niepokojem na chorą nogę. Z trudem wróciłem do rzeczywistości. Czulem, że Brenner mnie obserwuje.

Niecierpliwość stoczyła krótki pojedynek z poczuciem obowiązku i przegrała.

- Pokaż. Obejrzą ją.

Mimo brudnego bandażu rana nie wyglądała źle. Goiła się i istniało duże prawdopodobieństwo, że Scott odzyska pełną władzę w nodze. Szwy zakładał mu chyba początkujący student medycyny, ale brzegi rany były już zrosnięte. Przyniosłem apteczkę z samochodu i zacząłem ją przemywać i bandażować. Prawie skończyłem, gdy na schodach zadudniły ciężkie kroki.

Nonszalancko wszedł do kuchni. Był w brudnych dżinsach i podkoszulku. Blady, lecz potężnie zbudowany, miał silnie umięśnione brzuch i pierś. Przeszył mnie jadowitym spojrzeniem, a potem z

niechętnym szacunkiem skinął głową Scarsdale'owi. Przypominał nadąsanego ucznia na dywaniku u surowego dyrektora szkoły.

- Dzień dobry, Carl - powiedział wielebny, ponownie przejmując inicjatywę. - Przepraszamy, że ci przeszkadziliśmy.

W jego głosie zabrzmiała nutka dezaprobaty. Słyszając ją Brenner dopiero teraz zdał sobie sprawę ze swego wyglądu.

- Dopiero co wstałem - mruknął wciąż zaspany. - Późno poszedłem spać. Mina wielebnego mówiła, że przymknie na to oko. Ale tylko tym razem.

- Pan doktor chce cię o coś spytać.

Brenner spojrzał na mnie z nieukrywaną wrogością.

- A co to mnie, kur... - Ugryzł się w język. - A co to mnie obchodzi? Scarsdale, cierpliwy rozjemca, uspokajającym gestem podniósł ręce.

- Wiem, że ci przeszkadzamy, ale pan doktor uważa, że to ważne. Wysłuchaj go. - Zerknął na mnie na znak, że zrobił, co mógł. Scott i jego matka nie odrywali ode mnie wzroku.

- Na pewno już wiesz, że policja aresztowała Bena Andersa - zacząłem. Brenner nie spieszył się z odpowiedzią. Oparł się o stół i założył ręce.

- No i co z tego?

- Wiesz coś na ten temat?

- Niby skąd mam wiedzieć?

- Policja dostała cynk. Od ciebie?

Agresja biła z niego jak gorąco z pieca.

- Co to ma wspólnego z panem?

- Bo jeśli od ciebie, chcę wiedzieć, czy naprawdę go tam widziałeś. Brenner zmrużył oczy.

- Zarzuca mi pan kłamstwo?

- Posłuchaj, nie chcę, żeby policja na próżno traciła czas.

- Skąd pewność, że traci? Najwyższa pora, żeby ludzie przejrżeli na oczy i zobaczyli, jaki z niego sukinsyn.

Scott poruszył się nerwowo w fotelu.

- Carl, może on...

Brenner łypnął na niego spode łba.

- Zamknij się. Kto cię, kurwa, o coś pytał? Scott drgnął i skulił ramiona.

- Tu nie chodzi o Bena Andersa! - powiedziałem. - Na miłość boską czy ty tego nie rozumiesz?

Brenner odepchnął się od stołu i zacisnął pięści.

- Za kogo ty się, kurwa, uważasz? Wczoraj, kiedy zatrzymaliśmy cię na drodze, nie chciałeś z nami gadać, bo nie twój poziom, co? A teraz przychodzisz tu i mówisz mi, co mam robić?

- Chcę tylko poznać prawdę.

- To znaczy, że co? Że jestem kłamcą?

- To znaczy, że igrasz z czyjś życiem! Carl uśmiechnął się dziko.

- I dobrze. Niech sukinsyna powiesz, mam to gdzieś.

- Nie chodzi o niego! - krzyknąłem. - Chodzi o tę dziewczynę! Co się z nią stanie?

Carl przestał się uśmiechać. Najwyraźniej nie przyszło mu to do głowy. Wzruszył ramionami, ale widać było, że przeszedł do defensywy.

- Ona już pewnie nie żyje.

Chciałem się na niego rzucić, ale Scarsdale położył mi rękę na ramieniu. Z wielkim trudem zaapelowałem do Carla raz jeszcze.

- On je przetrzymuje - powiedziałem, nie panując nad głosem. - Przez dwa, trzy dni. Przetrzymuje, dręczy i zabija. Mija już drugi dzień, a policja wciąż przesłuchuje Andersa, bo chce, żeby się przyznał. Tylko dlatego, że ktoś dał im fałszywy cynk. - Musiałem przestać mówić. - Proszę - dodałem po chwili. - Jeśli to ty, powiedz im to. Proszę.

Pozostali patrzyli na mnie zaszokowani. Nikt spoza policyjnej grupy śledczej nie wiedział, że morderca przetrzymuje swoje ofiary. Zdawałem sobie sprawę, że Mackenzie będzie na mnie wściekły, ale miałem to gdzieś. Całą uwagę skupiałem na Brennerze.

- Nie wiem, o czym pan mówi - wymamrotał z niepewną miną i uciekł wzrokiem w bok.

- Carl? - wtrąciła nieśmiało jego matka.

- Mówię, że nie wiem! - warknął Brenner, ponownie wpadając w gniew. - Chciałeś mnie o coś spytać i spytałeś, to teraz odpiardol się, dobra?

Nie wiem, co by się stało, gdyby nie było tam Scarsdale'a. Szybko stanął między nami i powiedział:

- Dość tego! - Spojrzał na Carla. - Rozumiem, że jesteś zdenerwowany, ale wołałbym, żebyś nie używał takiego języka w mojej obecności. I w obecności matki.

Brenner był wściekły, lecz Scarsdale niezachwianie wierzył w siłę swej osobowości. Odwrócił się do mnie.

- Chciał pan z nim porozmawiać i porozmawiał pan. Nie ma sensu zostawać tu dłużej.

Ani drgnąłem. Patrzyłem na Carla jeszcze bardziej przekonany, że wrobił Bena z zemsty. Widząc jego ponurą gębę, miałem ochotę go zabić, wydusić z niego prawdę siłą.

- Jeśli coś się jej stanie - powiedziałem dziwnie obcym głosem - jeśli Jenny umrze, bo skłamałeś, przysięgam, że cię zabiję.

Zdawało się, że groźba wyssała całe powietrze z kuchni. Scarsdale wziął mnie pod rękę i poprowadził do drzwi.

- Idziemy, doktorze.

Przystanąłem przed Scottem. Miał bladą twarz i patrzył na mnie wytrzeszczonymi oczami. Scarsdale pociągnął mnie do drzwi.

Do samochodu wsiedliśmy bez słowa. Mowę odzyskałem dopiero na drodze do miasteczka.

- On kłamie.

- Gdybym wiedział, że przestanie pan nad sobą panować, nigdy bym z panem nie pojechał - wyszczał Scarsdale. - Zachował się pan skandalicznie.

Popatrzyłem na niego zdumiony.

- Skandalicznie? Brenner wrobił niewinnego człowieka i ma wszystko gdzieś!

- Nie ma pan na to dowodu.

- Niech pan przestanie. Był pan tam, słyszał go pan!

- Słyszałem kłótnię dwóch mężczyzn, którzy niepotrzebnie wpadli w gniew, to wszystko.

- Mówi pan poważnie? Naprawdę nie wierzy pan, że to on dał cynk policji?

- Nie mnie o tym sądzić.

- Nikt pana o to nie prosi. Niech pan po prostu pojedzie ze mną i powie im, że powinni go przesłuchać!

Scarsdale długo się nie odzywał. W końcu odpowiedział, lecz nie bezpośrednio.

- Wspomniał pan, że ten człowiek nie zabija swoich ofiar od razu. Skąd pan o tym wie?

Z nawyku lekko się zawahałem, ale było mi już wszystko jedno, kto i czego się dowie. Przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie.

- Badałem ich zwłoki.

Scarsdale gwałtownie odwrócił głowę.

- Pan?

- Kiedyś się w tym specjalizowałem. Zanim tu przyjechałem. Pastor trawił to przez chwilę.

- To znaczy, że brał pan udział w śledztwie?

- Tak, prosili mnie o pomoc.

- Rozumiem... - Po jego głosie poznałem, że nie bardzo mu się to podoba. I postanowił pan zachować to w tajemnicy.

- To bardzo drażliwy temat. Niechętnie o tym mówię.

- Naturalnie. Cóż, ostatecznie jesteśmy tylko prowincjuszami. Nasza ignorancja musiała bardzo pana rozbawić.

Na policzkach wykwitły mu czerwone plamy. Zdałem sobie sprawę, że jest wściekły. Nie zły, tylko wściekły. Jego reakcja zaskoczyła mnie, lecz po chwili wszystko rozumiałem. Lubił dominować, uważał się za przywódcę miasteczka. I nagle okazało się, że przez cały czas miał rywala, że rywal ten dysponował informacjami, którymi on dysponować nie mógł. Uraziłem jego dumę. Gorzej, uraziłem jego dumne ego.

- To nie tak - odrzekłem.

- Nie? To dziwne, że mówi mi pan o tym dopiero teraz, kiedy czegoś pan ode mnie chce. Cóż, już widzę, jak bardzo byłem naiwny. I zapewniam pana, że drugi raz nie dam zrobić z siebie głupca.

- Nikt nie zrobił z pana głupca. Jeśli pana obraziłem, przepraszam, ale tu chodzi o coś więcej niż o pana czy o mnie.

- Tak, rzeczywiście. Dlatego może być pan pewny, że od tej pory zdam się wyłącznie na specjalistów. - Powiedział to z gorzką ironią w głosie. - Ostatecznie jestem tylko prostym sługą bożym.

- Potrzebuję pańskiej pomocy. Nie mogę...

- Nie sądzę, żebyśmy mieli sobie coś więcej do powiedzenia. Reszta podróży upłynęła w milczeniu.

### **Rozdział 23**

Obudził ją hałas. Gęsty mrok początkowo ją zdezorientował. Nie pamiętała, gdzie jest, dlaczego nic nie widzi. Zawsze spała przy rozsuniętych zasłonach, więc nawet w najciemniejszą noc do sypialni wpadało trochę światła. Dopiero po chwili poczuła ten zapach i zdała sobie sprawę, że siedzi na twardej podłodze. Świadomość ta przygniotła ją jak monstualny ciężar.

Ponownie pociągnęła za sznur. Miała zdarte paznokcie i gdy posiadała palec, poczuła smak krwi. Ale mimo jej wysiłków, węzeł nie puścił. Bezwładnie osunęła się na ścianę. Coraz bardziej zaczynały jej doskwierać



inne niewygody. Choćby głód, ale przede wszystkim pragnienie. Zanim zasnęła, na granicy zasięgu ręki znalazła maleńką kałużę sączącej się ze ścian wody.

Była za płytka, żeby się z niej napić, zdjęła więc podkoszulek, namoczyła go i długo ssała. Woda była stęchła i słonawa, ale smakowała cudownie.

Potem znalazła dwie inne kałuże i znowu skorzystała z podkoszulka. Lecz pragnienia nie zaspokoila. Śniła jej się woda. Obudziła się ze spieczonymi ustami, w letargu, z którego nie mogła się otrząsnąć. Wiedziała, że są to pierwsze oznaki niedoboru insuliny, ale nie chciała o tym myśleć. Żeby się czymś zająć, jeszcze raz zbadała podłogę z nadzieją, że kałuże znowu są pełne.

I wtedy usłyszała ten hałas. Dochodził z drewnianego przepierzenia.

Ktoś tam był.

Czekała z wstrzymanym oddechem. Ten ktoś na pewno nie przybył na ratunek. Odgłosy nie ustawały, ale poza tym nie działo się nic. Zauważyła też, że przez szpary w deskach wpada do celi więcej światła. Gdy powoli pełzła w tamtą stronę, dudnienie krwi w głowie zagłuszało wszystkie inne dźwięki. Macając wokoło rękami, najciszej jak tylko mogła, przytknęła oko do tej samej szpary co przedtem.

W siatkówkę ukłuło ją przeraźliwie jasne światło. Zamrugła, żeby oko przestało łzawić i zaczęła, aż wzrok przywyknie do jasności. Nad stołem paliła się naga żarówka na długim kablu. Zwisiała tuż nad blatem, tak nisko, że rzucała jedynie mały krąg światła, oświetlając niewielki fragment pomieszczenia. Jego pozostała część, wraz z wiszącymi pod sufitem martwymi zwierzętami, tonęła w bezkształtnym mroku.

Hałas powtórzył się i z mroku wyszedł jakiś mężczyzna. Szpara znajdowała się tuż nad podłogą i patrząc pod tym kątem, Jenny miała bardzo ograniczony widok. Gdy mężczyzna stanął przy stole, dostrzegła tylko dzinsy i kawałek wojskowej kurtki. Sądząc po sylwetce, musiał być wysoki i dobrze zbudowany. Przez chwilę pochylał się nad blatem, potem ruszył w jej stronę.

W popłochu czmychnęła pod ścianę. Kroki ucichły. Sparaliżowana patrzyła w ciemność. Głośny trzask i na podłogę padła pionowa smuga światła. Chwilę później zgrzytnęły zawiasy, deski cofnęły się i światło zalało całą celę. Oślepią Jenny zasłoniła sobie oczy.

Górował nad nią czyjś mroczny cień.

- Wstań. - Cichy szept.

Nie wiedziała, czy zna ten głos czy nie; była zbyt przerażona, żeby się nad tym zastanawiać. Nie mogła wykonać żadnego ruchu.

Lekki podmuch powietrza i ostry ból. Krzyknęła, chwytając się za ramię. Było mokre. Z niedowierzaniem spojrzała na rękę. Krew.

- Wstawaj!

Trzymając się za rozcięte ramię, z trudem wstała i chwiejnie oparła się o ścianę. Oczy przywykły już do światła, mimo to nie podniosła głowy. Nie patrz na niego, myślała. Jeśli zobaczy, że go rozpoznałaś, już cię stąd nie wypuści. Spojrzała tam mimowolnie, wbrew sobie. Nie na jego twarz, tylko na myśliwski nóż z zakrzywionym ostrzem skierowanym w jej stronę. Boże, nie, proszę...

- Rozbieraj się.

Znowu poczuła się jak wtedy, jak z tym taksówkarzem. Ale teraz było o wiele gorzej, gdyż nie mogła liczyć na to, że ktoś przyjdzie jej na ratunek.

- Po co? - Z odrazą usłyszała nutkę hysterii w swoim głosie.

Nóż ciął ponownie, nie miała nawet czasu, żeby zareagować. Poczuła palące zimno na policzku. Oszołomiona przytknęła doń rękę i coś pocięło jej między palcami. Popatrzyła na błyszczącą od krwi dłoń i wtedy zaczęło ją boleć, boleć i palić tak mocno, że zabrakło jej tchu.

- Ściągaj ubranie.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że skądś ten głos zna. Próbowała skojarzyć go sobie z twarzą, lecz dochodził jak ze studni. Tylko nie zemdlej, pomyślała. Nie zemdlej. Ból pomógł jej się skupić. Zachwiała się, lecz nie upadła. Słyszała jego chrapliwy oddech, gdy niespiesznie podniósł nóż. Czubek noża dotknął nagiego ramienia, potem ostrze przywarło do skóry na plask, musnęło ją delikatnie jak piórkiem, po mostku powędrowało do góry i znieruchomiało na szyi. Raptem drgnęło i czubek noża dotknął miękkiej skóry na gardle. Jego nacisk stopniowo przybierał na sile, zmuszając ją do podniesienia głowy. Gdy już nie mogła podnieść jej wyżej, napór ostrego jak igła czubka zelżał. Stała teraz z odsłoniętym gardłem, na czubkach palców, wyciągnięta jak struna. Oddychała nierówno, łapczywie polykając powietrze i próbując stać nieruchomo. Nagle nóż zniknął.

- Rozbieraj się.

Otworzyła oczy, wciąż na niego nie patrząc. Chwyciła za spód podkoszulka, wilgotnego i brudnego od wody, naciągnęła go na głowę i ogarnęła ją błogą ciemność. Lecz gdy podkoszulek znalazł się na wysokości czoła, ciemność pierzchła i Jenny znowu znalazła się w cuchnącej celi.

Po raz pierwszy zobaczyła, jak wygląda jej więzienie. Była to po prostu część piwnicy, oddzielona od reszty drewnianym przepierzeniem. W mroku za kręgiem światła na stole piętrzyły się stare meble, graty i

rupiecie. Z tyłu były kręte schody, które widziała już przedtem, słabo oświetlone niewidocznym źródłem światła i ginące gdzieś na górze.

A nad tym wszystkim wisały okaleczone ciała zwierząt.

Było ich tam pełno, wszędzie, pełno wysuszonych kłębków sierści, kości i piór kołyszących się leniwie w przeciągu. Mężczyzna podszedł bliżej i zasłonił jej światło. Nie mogła oderwać wzroku od uniesionego noża w jego rękę. Zaczęła się szybko rozbierać, rozpaczliwie pragnąc uniknąć kolejnego ciosu. Włożyła palce pod gumkę szortów i znieruchomiała, lecz po chwili zsunęła je do kostek. Była teraz w samych majtkach. Stała ze spuszczoną głową bojąc się spojrzeć mu w oczy, tak samo jak bałaby się spojrzeć w oczy wścieklemu psu.

- Wszystko - rzucił ochrypłym głosem.

- Co pan chce zrobić? - wyszeptła, gardząc sobą za słabość w głosie.

- Zdejmuj to!

Posłuchała go przerażona i zdrewniała ze strachu. Mężczyzna nachylił się, szybkim ruchem noża rozciął szorty i majtki i niecierpliwie odrzucił je na bok. Zdławiła krzyk, gdy powoli wyciągnął rękę i niemal z wahaniem dotknął jej piersi. Żeby się nie rozplakać, zagryzła wargę, odwróciła głowę, znowu zobaczyła wiszące pod sufitem zwierzęta i zupełnie nie myśląc...

Uderzyła go w rękę.

Skóra zachowała pamięć dotyku: szorstkość włosów, twardość kości. Przez chwilę nie działo się nic. A potem mężczyzna chlasnął ją na odlew w twarz. Upadła na ścianę i osunęła się na podłogę.

Stał nad nią słyszała jego oddech. Skuliła się, czekając na cios, lecz on nie zrobił nic więcej. Wreszcie odszedł i zalała ją fala ulgi. Bolała ją twarz, ale przynajmniej nie użył noża. Mam szczęście, pomyślała tępo. I jestem głupia.

Coś pstryknęło i oślepiło ją jaskrawe światło. Przesłoniwszy oczy, zobaczyła, że zapalił lampę na stole. Zalana jej przeraźliwym blaskiem usłyszała skrzypienie krzesła. Mężczyzna usiadł w cienistym mroku.

- Wstań.

Wstała z bolesnym trudem. Jej krótki bunt coś jednak zmienił. Wciąż się bała, ale teraz do strachu dołączył gniew. Czerpiąc z niego siłę, wyprostowała się buntowniczo. Powiedziała sobie, że bez względu na to, co jej robi, wytrzyma to z godnością że przynajmniej spróbuje. Nie wiecie czemu, stało się to dla niej niezmiernie ważne. Dobrze, pomyślała. Rób, co chcesz. Tylko szybciej.

Czekała naga i drżąca. Lecz nie działo się absolutnie nic. Z mroku dobiegały ją tylko niewyraźne odgłosy. Co on robi? Zaryzykowała, szybko zerknęła w tamtą stronę i zobaczyła jego rozmytą sylwetkę. Siedział z szeroko rozchylonymi nogami. Wsłuchując się w te przytłumione, rytmiczne odgłosy, nagle zrozumiała.

Mężczyzna się onanizował.

Dochodzące spoza kręgu światła odgłosy przybrały na sile. Potem usłyszała zdławiony krzyk. Zaszurały buty i zapadła cisza. Jenny stała bez ruchu, wstrzymując oddech. Co teraz?

Po chwili wstał. Coś zaszeleściło i ruszył w jej stronę. Spuściła głowę. Zatrzymał się tuż przed nią tak blisko, że poczuła jego zapach. Coś jej podał.

- Włóż to.

Wyciągnęła rękę, ale znowu spojrzała na nóż. Odlóż go, pomyślała. Chociaż na sekundę. Wtedy zobaczymy, jaki z ciebie chojrak. Ale on go nie odłożył. Gdy brała od niego zawiniątko, wciąż ścisnął go w rękę. Sukienka. Zobaczyła, że to sukienka. Pomyślała, że może ją jednak wypuści, i zatliła się w niej iskierka nadziei. Dopiero po chwili zrozumiała, co tak naprawdę trzyma.

To była suknia ślubna. Biała, atlasowa, z koronkami. Pożółkła ze starości i poplamiona ciemnymi, zaschniętymi plamami. Omal nie zwiłowała, gdy zdała sobie sprawę, że to...

Krew.

Rozwarła palce. Błysnął nóż i na jej ramieniu wykwitła cienka, szkarłatna linia. Linia momentalnie wypełniła się i wezbrała.

- Podnieś to!

Pochylając się, miała wrażenie, że jej ręce i nogi należą do kogoś innego. Chciała w nią wejść, lecz zdała sobie sprawę, że nie może, że ma na nodze sznur. Krótki przyptyk nadziei -już chciała go prosić, żeby go przeciął, ale coś kazało jej milczeć. On właśnie tego chce. Wyraźnie to czuła. Chce, żeby dała mu pretekst.

Zawirowały wszystkie ściany, lecz to, że go rozgryzła, dodało jej sił. Niezdarnie włożyła suknię przez głowę. Materiał cuchnął. Doszedł ją zapach kulek na mole, stęchły odór potu i leciutki zapach perfum. Z suknią na głowie, przerażona, że mężczyzna potnie ją zaraz nożem, poczuła się jak w klaustrofobicznym potrzasku. Szybko uwolniła głowę i wzięła głęboki oddech.

Ale mężczyzna już odszedł. Stał w ciemności i robił coś na stole. Jenny spojrzała w dół. Suknia była sztywna i zmięta. Ubrudziła ją krwią, dodając nowe plamy do tych starych i zaschniętych. Mimo to była ładnie uszyta, z grubego, ciężkiego atlasu, i wykończona koronkowymi kwiatami lilii. Nosila ją kiedyś panna młoda. W najszczęśliwszym dniu swego życia.

Coś zazgrzytało jak nakręcany zegar. Wciąż kryjąc się w mroku, mężczyzna postawił obok lampy małe, drewniane pudełko. Gdy podniósł wieczko, domyśliła się, co to jest.

Pozytywka. Taka z maleńką baletnicą. Baletnica zaczęła się obracać i w cuchnącym powietrzu popłynęła cicha, brzękliwa melodyjka. Mechanizm był zepsuty, mimo to Jenny ją rozpoznała. *Claire de Lune*.

- Tańcz.

Głos wyrwał ją z transu.

- Słucham?

- Tańcz.

Rozkaz był tak surrealistyczny, że równie dobrze mógł paść w obcym języku. Zaszokowana poruszyła się dopiero wtedy, gdy podniósł nóż. Zaczęła przestępować z nogi na nogę i chwiać się w parodii pijanego tańca na sznurze. Nie płacz, powtarzała sobie w duchu. Nie może widzieć, że płaczesz. Ale łzy popłynęły i tak.

Czuła, że obserwuje ją na wpół ukryty w mroku. Potem ruszył w stronę schodów. Gdy zniknął na górze, skonsternowana przestała tańczyć. Przez chwilę myślała, że wyszedł, nie zamykając jej drewnianej celi. Ale kilka sekund później ponownie usłyszała kroki. Równe, powolne, jakby nieporadne. Było w nich coś złowieszczonego. Próbuje cię nastraszyć. To tylko kolejna zagrywka, taka sama jak z suknią.

Gdy stanął u stóp schodów, gwałtownie odwróciła głowę i zaczęła niezdarnie tańczyć. Słyszała, jak idzie powoli przez piwnicę. Ponownie zatrzeszczało krzesło. Wiedziała, że ją obserwuje i pod niemal fizyczną presją jego wzroku poruszała się sztywno i nie do rytmu. Dobrze się bawisz? - pomyślała z wściekłością, podsycając gniew. Bo tylko dzięki gniewowi mogła zapanować nad strachem.

W miarę rozwijania się sprężyny, muzyka zwalniała i brzmiała coraz bardziej fałszywie. Gdy zupełnie ucichła, trzasnęła zapalka i rozbłysnął żółtawy płomyk. Mrok pierzchnął i zaraz powrócił. Lecz tuż przedtem Jenny zobaczyła twarz siedzącego na krześle mężczyzny.

I nagle wszystko zrozumiała.

Pozytywka już nie grała, lecz ona prawie tego nie zauważyła. Doszedł ją zapach siarki i tytoniowego dymu, ponownie zazgrzytał mechanizm.

Muzyka ożyła, a ona, wstrząśnięta i jeszcze bardziej zrozpaczona, zaczęła tańczyć swój niezdarny taniec.

## **Rozdział 24**

Bena zwolniono z aresztu wieczorem tego samego dnia. Zadzwonił do mnie Mackenzie.

- Pomyślałem, że zechce pan o tym wiedzieć. - Mówił zmęczonym, bezbarwnym głosem, jakby przez całą noc nie spał. I pewnie nie spał.

Zaszyłem siew przychodni, bo nie mogłem wytrzymać w domu. Nie wiem, jak odebrałem tę wiadomość. Cieszyłem się, tak. Ale byłem też - co zupełnie nieoczekiwane - rozczarowany. Nigdy nie wierzyłem, że Ben jest mordercą, jednak przez cały czas musiało kiełkować we mnie ziarenko wątpliwości. A może chodziło o to, że dopóki policja przesłuchiwała podejrzanego, obojętnie jakiego, tliła się we mnie iskierka nadziei, że znajdą Jenny? Teraz iskierka ta zgasła.

- Co się stało? - spytałem.

- Nic. Po południu tamtego dnia nie mogłem być w pobliżu jej domu, i tyle.

- Przedtem mówił pan co innego.

- Przedtem mniej wiedzieliśmy - odparł krótko Mackenzie. - Początkowo nie chciał powiedzieć, gdzie był. Wreszcie powiedział i okazało się, że nie kłamie.

- Nie rozumiem. Skoro miał alibi, dlaczego nie powiedział od razu?

- Niech pan sam go o to spyta - mruknął poirytowany. - Jak zechce, to panu powie. Jeśli chodzi o nas, Anders jest czysty.

Potarłem powieki.

- I co teraz?

- Nadal badamy pozostałe tropy, to oczywiste. Analizujemy dowody zebrane w jej domu, ślady...

- Niech pan przestanie pieprzyć i powie szczerze! - Zapadła cisza. Wstrzymałem oddech. - Przepraszam.

Mackenzie westchnął.

- Robimy wszystko co w naszej mocy. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

- Macie innych podejrzanych?

- Jeszcze nie.

- A Brenner? - W ostatniej chwili postanowiłem nie mówić mu, że widziałem się z nim rano. - Jestem przekonany, że to on dał wam cynk o Andersie. Naprawdę nie warto z nim porozmawiać?

Mackenzie nie potrafił ukryć zniecierpliwienia.

- Już panu mówiłem: Carl Brenner ma alibi. Jeśli to on dał nam fałszywy cynk, zajmiemy się tym później. Teraz mamy na głowie ważniejsze sprawy.

Próbowałem nie ulec rozpacz, lecz czułem, że powoli ulegam.

- Mogę wam jakoś pomóc? - Wiedziałem, co odpowie, mimo to wciąż miałem nadzieję.

- Nie. Niech pan posłucha - dodał z wahaniem. - Jest jeszcze czas. Tamte kobiety przetrzymywał prawie przez trzy dni. Nie ma powodu myśleć, że teraz zrobi inaczej.

Miałem ochotę krzyknąć: I to ma mnie pocieszyć?! Jeśli nawet Jenny jeszcze żyła, obydwaj wiedzieliśmy, że zostało jej bardzo mało czasu. A myśl, jak musi teraz cierpieć, była po prostu nie do zniesienia.

Gdy skończyliśmy rozmawiać, długo siedziałem z twarzą w dłoniach. Ktoś zapukał do drzwi. Henry. Wprostowałem się.

- Są nowe wiadomości?

Pokręciłem głową. Zauważyłem, że jest bardzo zmęczony. Ale zupełnie mnie to nie zdziwiło. Od uprowadzenia Jenny przestałem udawać, że pracuję.

- Dobrze się czujesz? - spytałem.

- Świetnie! - Ale pokaz siły i energii nie bardzo mu wyszedł. Uśmiechnął się słabo i wzruszył ramionami. - O mnie się nie martw. Jakoś sobie radzę. Naprawdę.

Nie przekonał mnie. Wyglądał mizernie i nie potrafił tego ukryć. Choć miałem wyrzuty sumienia, że zostawiłem go samemu sobie, mogłem myśleć tylko o Jenny i o tym, co ją czeka w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Wszystko inne było odległe i nieważne.

Widząc, że nie mam nastroju do rozmowy, zostawił mnie samego. Próbowałem czytać protokoły z oględzin zwłok Sally Palmer i Lyn Metcalf z nadzieją że znajdę w nich coś, co przedtem przeoczyłem. Ale to kierowało moją wyobraźnię w strony, których próbowałem unikać. Sfrustrowany wyłączyłem komputer. Patrząc na czarny ekran monitora, nabrałem jeszcze większego przekonania, że przeoczyłem coś niezmiernie ważnego. Coś, co leżało przede mną jak na talerzu. Już to prawie miałem, już zaciskałem na tym palce, lecz w ostatniej chwili znowu mi umknęło.

Potrzeba działania kazała mi wstać. Wziąłem komórkę i pobiegłem do samochodu. Mogłem pojechać tylko w jedno miejsce. Żadne inne nie przychodziło mi do głowy.

Ale nawet odjeżdżając, nie mogłem wyzbyć się wrażenia, że przeoczyłem coś oczywistego.

Ben Anders mieszkał w dużym, ceglany domu na skraju miasteczka. Dom należał kiedyś do jego rodziców, a kiedy zmarli, mieszkał tam z siostrą, dopóki nie wyszła za męża i nie wyjechała. Często powtarzał, że jest dla niego za duży, że powinien go sprzedać i kupić mniejszy, ale chyba nie chciał tego zrobić. Cóż, ostatecznie za duży czy za mały, był to jego dom.

Odwiedziłem go tam tylko dwa razy. Zarówno za pierwszym, jak i za drugim razem wpadłem do niego za dnia, na strzemiennego po zamknięciu pubu, i parkując przed ciężką, drewnianą bramą w wysokim, kamiennym murze, pomyślałem, że świadczy to tylko o głębi naszej przyjaźni.

Nie wiedziałem nawet, czy go zastanę. I gdy już tam przyjechałem, zdałem sobie sprawę, że wolałbym go jednak nie zastać. Chciałem, żeby wyjaśnił mi, dlaczego go aresztowano, ale nie pomyślałem, co mu powiem.

Lecz pukając do drzwi, wyzbyłem się wszelkich wątpliwości. Dom zbudowano z jasnej cegły. Nie był za ładny, chociaż przyciągał wzrok swoją solidnością. Miał duży ogród, utrzymany ładnie i bez ekscentrycznych akcentów, białe okna i ciemnozielone drzwi. Odczekałem chwilę i zapukałem ponownie. Nie zauważyłem żadnych oznak życia, więc po trzeciej próbie odwróciłem się, chcąc odejść. Ale nie odszedłem. Nie wiem, może dlatego że po prostu nie chciałem wracać do siebie i znowu beczynn timer czekać, a może dlatego że czułem, iż ktoś tam mimo wszystko jest.

Przy domu biegła ścieżka. Wszedłem na nią i ruszyłem przed siebie. Kilka kroków dalej zobaczyłem ciemną plamę na ziemi, jakby coś się tam rozbryznęło. Krew. Przesząpiłem przez nią. Za domem był starannie przystrzyżony trawnik. Na końcu trawnika rosła kępa drzew owocowych. W cieniu pod drzewami ktoś siedział.

Ben nie zdziwił się na mój widok. Na topornym stoliku obok niego, takim z chropowatych, nieheblowanych desek, stała butelka. Na brzegu stolika dymił zapomniany papieros. Sądząc po ilości whisky w butelce i jego zaczerwienionej twarzy, Ben musiał siedzieć tu od dłuższego czasu. Gdy podszedłem bliżej, nalał sobie kolejną szklanę.

- Masz ochotę? Szkło jest w domu.

- Nie, dzięki.

- Zrobiłbym ci kawy. Ale szczerze mówiąc, nie chce mi się ruszyć tyłka. - Podniósł papierosa, popatrzył nań i go zgasił. - Pierwszy od czterech lat. Smakuje jak psie gówno.

- Pukałem.

- Wiem. Myślałem, że to znowu ci zasrani dziennikarze. Było tu dwóch takich. Pewnie jakiś zycziwy gliniarz powiedział im, gdzie mieszkam. - Uśmiechnął się krzywo. - Trochę trwało, zanim zrozumieli, że wolę zostać sam. Ale w końcu zrozumieli.

- To stąd ta plama na ścieżce?

- Tak. Nie docierało do nich, że nie chcę niczego komentować. No i doszło do małego rozlewu krwi. - Gdyby nie to, że zbyt starannie wymawiał

głoski, nie byłoby po nim widać, że jest pijany. - Sukinsyny - dodał i pociemniała mu twarz.

- Bicie dziennikarzy to chyba nie najlepszy pomysł.

- A kto powiedział, że ich pobiliśmy? Po prostu wyprosiłem ich w mojego domu, to wszystko. - Nachmurzył czoło. - Posłuchaj, przykro mi z powodu Jenny. - Ciężko westchnął. - Ale to żadne pocieszenie, co? Nie byłem gotów na przyjmowanie kondolencji.

- Kiedy cię wypuścili?

- Dwie, trzy godziny temu.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego cię wypuścili? Spojrzał na mnie znad szklanki.

- Bo nie miałem z tym nic wspólnego.

- I dlaczego się upijasz?

- Przesłuchiowano cię kiedyś w sprawie o morderstwo? Przesłuchanie -powtórzył ze śmiechem. - Sranie w banię. Oni nie przesłuchują, oni ci wszystko wmawiają. „Wiemy, że pan tam był. Widziano pański samochód. Gdzie ją pan wywiózł? Co pan z nią zrobił?” To mało zabawne, wierz mi. Nawet kiedy już cię wypuszczają zachowują się tak, jakby robili ci łaskę. - Podniósł szklankę w szyderczym toaście. - A potem znowu jesteś wolnym człowiekiem. Z tym że ludzie patrzą na ciebie i myślą: Nie ma dymu bez ognia, ja i tak nigdy mu nie ufałem.

- Ale ty nie miałeś z tym nic wspólnego. Zaciśnął zęby, lecz głos miał cichy i spokojny.

- Nie, nie miałem. Ani z nią ani z tamtymi.

Nie zamierzałem go przesłuchiwać, ale nie mogłem się powstrzymać. Westchnął, wzruszył ramionami i trochę się odprężył.

- Głupi błąd. Ktoś im doniósł, że widziano mój samochód przed domem Jenny. Sęk w tym, że to bzdura.

- Skoro mogłeś to udowodnić, dlaczego nie powiedziałeś im od razu? Boże, przecież to wyglądało tak, jakbyś coś ukrywał.

Ben pociągnął łyk whisky.

- Bo ukrywałem. Tylko nie to, co myśleli.

- Mam nadzieję, że to było coś ważnego. - Nie mogłem zapanować nad gniewem. - Chryste, Ben, policja zmarnowała przez ciebie tyle godzin!

Zaciśnął usta, ale przełknął tę gorzką pigułkę.

- Spotykałem się z kobietą. Nikt o tym nie wiedział. Mieszka... Nieważne, w każdym razie nie tutaj. Byłem u niej.

Domyśliłem się reszty.

- Jest mężatką.

- Jeszcze jest. Ale ponieważ męża odwiedziła policja i spytała go, czy to prawda, że tego a tego dnia jego małżonka była ze mną w łóżku, wątpię, czy długo nią pozostanie.

Milczałem.

- Wiem, wiem - dodał gwałtownie - Powinienem był powiedzieć. Kurwa mać, nie wiesz nawet, jak bardzo żałuję, że nie powiedziałem. Zaoszczędziłbym sobie nerwów i nie siedziałbym tu teraz, robiąc sobie wyrzuty. Ale kiedy policja wywleka cię z domu i wrzuca do celi, nie zawsze myślisz trzeźwo.

Potań ściągniętą twarz.

- A wszystko dlatego, że ktoś się, kurwa, pomylił.

- To nie była pomyłka, Ben. To był Carl Brenner. Spojrzał na mnie ostro, z podejrzliwym błyskiem w oku.

- Chyba się starzeję - powiedział po chwili. - Cholera, nawet o nim nie pomyślałem.

Uciekaliśmy od konfrontacji, po cichu godząc się z tym, że i przez niego, i przeze mnie przemawia napięcie i stres.

- Byłem u nich. Brenner się nie przyznał, ale mógłbym przysiąc, że to on.

- On nie z tych, co się do czegoś przyznają. Ale dzięki, że próbowałeś.

- Nie zrobiłem tego tylko dla ciebie. Chciałem, żeby policja szukała Jenny, zamiast tracić czas w ślepym zaułku.

- W porządku. - Popatrzył na szklankę i odstawił ją na stolik. -1 co jeszcze powiedział ci twój przyjaciel inspektor?

- Że byłeś kochankiem Sally Palmer. I że kilkanaście lat temu napastowałeś jakąś kobietę.

Roześmiał się gorzko.

- Od przeszłości nie uciekniesz, co? Tak, jakiś czas temu Sally i ja byliśmy razem. Nie robiliśmy z tego tajemnicy, ale i się z tym nie obnosiliśmy. Nie w miasteczku takim jak to. Ale to nie było nic poważnego. Trwało krótko, pozostaliśmy przyjaciółmi. Koniec opowieści. A to drugie... Powiedzmy, że był to błąd młodości.

Musiał wyczytać coś z mojej twarzy.

- Nie, nie, to nie tak. Nikogo nie napastowałem. Miałem osiemnaście lat i spotykałem się z trochę starszą kobietą. Mężatką.

- Znowu.

- Wiem, mam złe nawyki. Nie jestem z tego dumny. Ale wtedy rzucałem wszystko, co weszło pod kosę. Byłem młody i myślałem, że mam Bóg wie jaki dar. Kiedy chciałem z nią zerwać, zrobiło się paskudnie. Pokłóciliśmy się, zaczęła mi grozić. Zanim się spostrzegłem, oskarżyła mnie o gwałt. Wzruszył ramionami.

- W końcu wycofała oskarżenie. Ale gówno śmierdzi, nie? A gdybyś zastanawiał się, dlaczego nic ci o tym nie powiedziałem, to wiesz, że nie trąbię wokół o moim życiu prywatnym i nie zamierzam nikogo za to przeproszać.

- Wcale tego nie chciałem.

- Fakt. - Wyprostował się, wziął szklanekę i wylał whisky na trawę. - I to już wszystko. Koniec moich mrocznych tajemnic. Teraz mogę pomyśleć, co zrobić z tym sukinsynem Brennerem.

- Nic z nim nie zrobisz.

Uśmiechnął się leniwym, niebezpiecznym uśmiechem, w którym widać było skutki działania whisky.

- Nie dałbym za to głowy.

- Jeśli spróbujesz, wpadniesz w jeszcze głębsze bagno. Tu chodzi o coś więcej niż o zemstę.

Krew nabiegła mu do twarzy.

- Mam o tym zapomnieć? Tak po prostu?

- Tak, na razie. A potem... — Na myśl, co może oznaczać to „potem”, poczułem się tak, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch. - Kiedy już złapią tego, kto porwał Jenny, możesz robić, co chcesz.

Ben spuścił parę.

- Masz rację. Nie pomyślałem. Cóż, będę niecierpliwie czekał... Chcę cię o coś spytać - dodał w zadumie. - Nie tylko dlatego, że mam coś do Brennera. Zastanawiałeś się, dlaczego doniósł na mnie policji?

- Pomijając to, że chciał wpakować cię do pudła?

- Właśnie. Może miał jeszcze jakiś powód? Może próbował się zabezpieczyć?

- Tak, przeszło mi to przez myśl. Ale nie tylko ty masz alibi. Mackenzie już go sprawdził. On też ma.

Ben wpatrywał się w pustą szklanekę.

- Powiedział jakie? Zmarszczyłem czoło.

- Nie.

- Stawiam funta, że poręczyła za niego rodzinka. To banda złodziei, znają się jak łyse konie. Właśnie dlatego nie mogę przymknąć go za kłusownictwo. I dlatego, że to przebiegły sukinsyn.

Serce zabiło mi szybciej. Brermer był myśliwym, kłusownikiem i agresywnym odludkiem. Biorąc pod uwagę to, że morderca zastawiał sidła, znęcał się nad zwierzętami i swoimi ofiarami, wydawało się, że Carl pasuje do profilu jak ulał, Mackenzie nie był idiotą, ale ponieważ nie miał ani dowodów, ani motywu, nie mógł podejrzewać go bardziej niż innych.

Ale najważniejsze było... alibi.

Ben coś powiedział, ale nie miałem pojęcia co. Myślni wybiegłem już naprzód.

- O której Brenner wychodzi na polowanie? - spytałem.

## **Rozdział 25**

Jenny straciła poczucie czasu. Gdy wyszedł, długo drżała jak w gorączce, lecz atak prawie minął. Bardziej martwiło ją to, że coraz bardziej chce jej się spać. I to nie ze zwykłego zmęczenia. Nie wiedziała, jak długo tu siedzi, lecz na pewno opuściła już dwa, może nawet trzy zastrzyki insuliny. Poziom cukru we krwi zaczynał wymykać się spod kontroli, a związany z tym wstrząs jeszcze bardziej pogarszał jej stan.

Wstrząs i utrata krwi.

Po ciemku nie mogła sprawdzić, ile jej tak naprawdę straciła. Większość ran w końcu się zasklepiła, z wyjątkiem tej ostatniej. Najgorszej. Prawą stopę owinęła zakrwawioną szmatą, która była kiedyś jej podkoszulkiem. Materiał lepił się teraz i kleił do ciała. Miała nadzieję, że to dobry znak. Że krwawienie powoli ustaje. Tylko bardzo ją bolało. Boże, jak bolało. Zrobił to zaraz po tym, jak zdjęła tę brudną suknię ślubną.

Gdy muzyka z pozytywki umilkła po raz trzeci, Jenny przestała tańczyć. Zachwiała się nieprzytomnie i nie mogąc ustać na nogach, w zakrwawionej sukni osunęła się na podłogę. Robiła wszystko, żeby nie zasnąć, lecz przed oczami miała tylko gęstniejącą ciemność. Niejasno zdawała sobie sprawę, że coś się wokół niej dzieje, lecz odgłosy coraz bardziej się oddalały. Mijał czas. A potem ktoś ją kopnął.

Otworzyła oczy i od razu zobaczyła nóż.

Podniosła głowę, żeby spojrzeć na tego, który go trzymał. Nie było sensu dłużej udawać. Już wiedziała, że bez względu na to, czy rozpozna go czy nie, żywa stąd nie wyjdzie.

Mimo to ścisnęło ją w brzuchu, gdy spojrzała mu w twarz i gdy jej podejrzenia się potwierdziły.

Kopnął ją ponownie.

- Zdejmij to.

Przytrzymując się ściany, chwiejnie wstała i ściągnęła suknię przez głowę. Wyrwał jej ją z rąk i stanął naprzeciwko. Spuściła oczy, wiedząc, że patrzy na jej nagie ciało. Serce biło jej mocno i boleśnie. Pochylił się w jej stronę i poczuła jego zapach, oddech na skórze. Boże, co on chce zrobić? Cały czas zerkała

ukradkiem na nóż, który trzymał z boku, ze wszystkich sił pragnąc, żeby go odłożył. Choć raz. Daj mi tylko jedną szansę, o nic więcej nie proszę.

Ale on go nie odłożył. Powoli podniósł go, tak żeby zobaczyła klingę, i wyciągnął rękę. Drgnęła, gdy czubek ukłuł ją w ramię.

- Nie ruszaj się.

Zmusiła się, żeby stać nieruchomo. Czubek noża wędrował coraz 'wyżej i wyżej, nakłuwając ciało. Każde nakłucie wyciskało spod skóry kropelkę krwi, malutki, czerwony koralik, który szybko wzbierał i spływał w dół. Bolało, lecz czekanie było jeszcze gorsze. Mężczyzna miał przyspieszony oddech, bił od niego gorący zapach podniecenia. Przysunął się jeszcze bliżej. Gdy przydeptał jej palce u stóp, mimowolnie syknęła, cofnęła się i tama pękła.

- Zostaw mnie! - krzyknęła w panice, rzucając się na oślep w bok, zapominając o sznurze. Napięty sznur szarpnął, ciężko upadła i przewróciła się na bok, gdy nad nią stanął. Widok jego oczu przyprawił ją o ciarki. Nie było w nich nic ludzkiego, nic zdrowego psychicznie.

- Mówiłem, żebyś się nie ruszała. - Miał przerażająco spokojny głos. Pochylił się i chwycił ją za nie przywiązaną nogę. - Chciałaś uciec, a nie powinnaś. Nie mogę ci na to pozwolić.

- Nie! Ja nie uciekałam...

Ale on nie słuchał. Głaskał nożem jej łydkę.

- Tu, tu, tu, srocza kaszkę warzyła - zaintonował śpiewnie. Tu, tu, tu, ogoneczek sobie sparzyła. Temu dała na łyżeczkę... - Jak urzeczony dotknął nożem wielkiego palca u nogi. - Temu dała na miseczkę. - Dragi palec i trzeci. - Temu dała w kubełeczku, temu dała w wiadereczku. A temu nic nie dała, tylko mu łebek ukreśliła i do lasu poleciała...

Jenny zorientowała się, co chce zrobić, na ułamek sekundy przed tym, gdy to zrobił. Nóż gwałtownie drgnął i poczuła w stopie gorący, przeszywający ból. Przeraziłwie krzyknęła, szarpnęła nogą. Przytrzymał ją patrząc przez chwilę, jak się wyrwa, nagle puścił. Odcięty palec leżał na podłodze jak zakrwawiony kamyczek.

- Ta srocza nie będzie już próbowała uciekać.

Gdy wyprostował się z ociekającym krwią nożem, pomyślała, że zaraz z nią skończy. Chciała błagać o życie, lecz powstrzymał ją upór. Teraz była z tego dumna. Poza tym czuła, że nic by tym nie wskórała. Sprawiałaby mu tylko przyjemność.

Potem wyszedł. Zamknął drzwi i w celi znowu zapadła ciemność. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło od tamtej pory. Kilka godzin, minut, może nawet dni. Agonalny ból w stopie przeszedł w tępe, głębokie do kości pulsowanie, a w gardle miała tak sucho, jakby powbijały się tam odłamki szkła. Mimo to zachowanie przytomności przychodziło jej z jeszcze większym trudem. Próbowała rozwiązać węzeł na kostce, lecz kosztowało ją to zbyt dużo wysiłku. W kompletnej ciemności nie mogła sprawdzić, czy widzi wyraźnie, wiedziała jednak, że poziom cukru we krwi niebezpiecznie wzrósł, że grozi jej hiperglikemia. Że bez insuliny będzie coraz gorzej.

Zakładając, że jeszcze trochę pożyje.

Niemal z roztargnieniem pomyślała, dlaczego jej nie zgwałcił. Nienawidził jej, jednocześnie pożądał, to było oczywiste, jednak z jakiegoś powodu nie zgwałcił. Ale nie chciała się oszukiwać. Znowu przypomniała jej się twarz, którą widziała w żółtym świetle płonącej zapalniczki. Nie dostrzegła w niej ani litości ani nadziei. I aż za dobrze zdawała sobie sprawę, że nie jest pierwszą kobietą, którą tu więziono. To nacinanie nożem, ta suknia, ten taniec, to wszystko stanowiło element jakiegoś niezrozumiałego rytuału.

Wiedziała, że go nic przeżyje.

## **Rozdział 26**

Do domu Brennerów dojechałem późnym popołudniem. Dzień zrobił się mglisty, a na błękitne dotychczas niebo wpełzły lekkie jak welon obłoki. Przystanąłem na końcu drogi i spojrzałem na rozpadający się dom. Był jeszcze bardziej zapuszczony, niż wydawało mi się poprzednim razem. Nie dostrzegłem tam żadnych oznak życia. Patrzyłem nań przez chwilę i uświadomiłem sobie, że próbuję tylko opóźnić to, po co tu przyjechałem. Wrzuciłem bieg i land rover potoczył się powoli po wyboistej drodze.

Gdy już postanowiłem to zrobić, najtrudniej było mi zachować cierpliwość. Każdy nerw ciała kazał mi natychmiast działać, natychmiast wyjechać z domu. Wiedziałem jednak, że sukces zależy od tego, czy Brenner będzie w domu czy nie. Ben sugerował, żeby poczekać, aż pójdzie do pubu albo na polowanie.

- To kłusownik - mówił. - Wychodzi do pracy wczesnym rankiem albo późnym wieczorem. Dlatego spał, kiedy tam byłeś. Pewnie do świtu zastawiał sidła.

Ale nie mogłem tak długo zwlekać. Każda mijająca godzina zmniejszała szanse Jenny. W końcu wpadłem na absurdalnie oczywisty pomysł: po prostu zadzwoniłem do nich i nie przedstawiając się, poprosiłem do telefonu Carla. Za pierwszym razem odebrała matka. Gdy kazała mi poczekać i poszła po niego na górę, odłożyłem słuchawkę.

- A jeśli wyświetla im się numer i oddzwoni? - spytał Ben.

- To co? Powiem, że chciałem z nim porozmawiać. I tak się nie zgodzi. Ale Brenner nie oddzwonił. Odczekałem trochę i ponownie podniosłem słuchawkę. Tym razem odebrał Scott. Nie, Carla nie ma. Nie, nie

wiadomo, kiedy wróci. Podziękowałem mu i przerwałem połączenie.

- Życz mi szczęścia - powiedziałem, wstając.

Ben chciał ze mną jechać, ale się nie zgodziłem. Wolałbym, żeby mi towarzyszył, lecz prosiłbym się tylko o kłopoty. On i Brennerowie stanowili mieszkankę wybuchową nawet wtedy, kiedy byli trzeźwi, tymczasem tego dnia Ben wyłopał pół butelki whisky. Stawiałem na perswazję, nie na konfrontację.

Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć o tym Mackenziemu, ale szybko zarzuciłem ten pomysł. Na poparcie moich podejrzeń nie miałem nic, czego nie powiedziałbym mu wcześniej. A on wyraźnie dał mi do zrozumienia, że nie chce, żebym się wtrącał. Bez konkretnych dowodów nie zamierzał nawet kiwnąć palcem.

Dlatego pojechałem do Brennerów sam.

Ale teraz czułem się nieswojo. Gdy stanąłem przed domem, całkowicie wyparowała ze mnie wcześniejsza pewność siebie. Na samochód czekał ten sam pies, duży kundel z naderwanym uchem. Lecz tym razem był od-ważniejszy. Nie wycofał się tak jak przedtem, może dlatego że przyjechałem sam. Zjeżył się i zajął pozycję między mną i domem. Wziąłem apteczkę na wypadek, gdyby zaatakował. Gdy ruszyłem w jego stronę, zjeżył się jeszcze bardziej. Przystanąłem, lecz wciąż warczał.

- Jed!

Pies posłał mi ostrzegawcze spojrzenie i potruchtał do drzwi, gdzie stała Brennerowa. Miała wroga twarz.

- Czego pan chce? Przyjechałem przygotowany.

- Chciałbym jeszcze raz obejrzeć nogę Scotta.

Popatrzyła na mnie podejrzliwie. A może, zdenerwowany, źle to zinterpretowałem.

- Już ją pan oglądał.

- Wtedy nie miałem ze sobą wszystkich potrzebnych rzeczy. Muszę sprawdzić, czy infekcja się nie wda. Ale jeśli pani nie chce...

Ruszyłem do samochodu. Westchnęła.

- Nie, to niech pan już wejdzie.

Nie okazując, jak bardzo mi ulżyło - i jak bardzo byłem zdenerwowany - wszedłem do domu. Scott był w saloniku; leżał wyciągnięty na kanapie przed telewizorem. Chorą nogę trzymał na poduszce.

- Doktor przyszedł - powiedziała Brennerowa.

Scott usiadł. Robił wrażenie zaskoczonego. I takiego, co to ma coś na sumieniu, pomyślałem. Ale i teraz mogła zwieść mnie wyobraźnia.

- Carl jeszcze nie wrócił.

- Nie szkodzi. Przejeżdżałem w pobliżu i pomyślałem, że wpadnę. Przywiozłem opatrunek antyseptyczny.

- Próbowałem mówić lekko i swobodnie, lecz nawet ja słyszałem fałsz w moim głosie.

- To pan dzwonił do Carla? - spytała wrogo matka. Tak, przerwało nam. Dzwoniłem z komórki.

- Czego pan od niego chciał?

- Chciałem go przeprosić. - To zadziwiające, ale kłamstwo przeszło mi przez gardło bez najmniejszego bólu. Usiadłem na krześle obok Scotta. -Ale teraz bardziej interesuje mnie twoja noga. Mogę ją obejrzeć?

Spojrzał na matkę i wzruszył ramionami.

- No.

Zacząłem odwijać bandaż. Brennerowa obserwowała mnie od drzwi.

- Na herbatę nie ma pewnie szans, co? - rzuciłem, nie podnosząc głowy. Już myślałem, że mnie nie poczęstuje. Nagle westchnęła i naburmuszona

znikła w kuchni. Zostaliśmy sami. W pokoju słychać było jedynie bełkot z telewizora i szmer odwijanego bandaża. Zaszło mi w ustach. Zaryzykowałem i spojrzałem na Scotta. Patrzył na mnie z lekkim niepokojem w oczach.

- Opowiedz mi jeszcze raz, jak to się stało - powiedziałem.

- Wpadłem w sidła.

- Gdzie?

- Nie pamiętam.

Zdjąłem bandaż i opatrunek, odsłaniając brzydkie szwy.

- Masz szczęście, że nie straciłeś stopy. Ale jeśli wda się infekcja, możesz ją jeszcze stracić. - Niebezpieczeństwo już minęło, ale chciałem nim trochę wstrząsnąć.

- To nie była moja wina - odparł ponuro. - Nie wpadłem w nie celowo.

- Być może. Ale jeśli uszkodzisz sobie nerw, będziesz kulą do końca życia. Powinieneś być zmienić opatrunek. — Spojrzałem mu prosto w oczy. -A może Carl nie pozwolił ci pójść do lekarza?

Uciekł wzrokiem w bok.

- Czemu miałby nie pozwolić?

- Wszyscy wiedzą, że kłusuje. Miałaby wypytywać go policja tylko dlatego, że brat wpadł w sidła? To ostatnia rzecz, jakiej by chciał.

- To nie były nasze sidła, już mówiłem - wymamrotał.



- Skoro tak... - odparłem, jakby było mi wszystko jedno. Odstawiłem przedstawienie, oglądając ranę i poruszając jego stopą w górę i w dół. - Ale na policję tego nie zgłosiłeś, co?

- Zgłosiłem - przyznał niechętnie. - Jak przyszedli tu i pytali.

Nie wspomniałem mu, że to ja powiedziałem o sidłach Mackenziemu.

- A Carl?

- Co Carl?

- Powiedział ci, co mówić? Gwałtownie zabrał nogę.

- Co panu do tego?

- Carl skłamał policji, prawda? - Chciałem, żeby zabrzmiało to racjonalnie, lecz nie zabrzmiało.

Scott łypnął na mnie spođe łba. Posunąłem się za daleko. Przegiąłem. Ale nie miałem pojęcia, jak podejść do tego inaczej.

- Spierdalaj stąd! Ale już! Wstałem.

- Dobrze. Ale zadaj sobie jedno pytanie: dlaczego kryjesz kogoś, kto zamiast odwiedzić cię do szpitala, woli, żebyś dostał gangreny?

- Gówno prawda!

- Tak? To dlaczego nie zawiózł cię tam od razu? Widział, że jesteś ciężko ranny, więc dlaczego szukał mnie?

- Bo do pubu było bliżej.

- Nie, bo wiedział, że szpital natychmiast zgłosi to policji. Nie chciał cię tam zawieźć, chociaż rana wymagała szycia.

Coś w jego twarzy kazało mi spojrzeć w dół. Zobaczyłem niezdarnie założone szwy i nagle wszystko zrozumiałem.

- On cię tam nie zawiózł - skonstatowałem zdumiony. - Dlatego nikt nie zmienił ci opatrunku. Ty w ogóle nie byłeś w szpitalu.

Scott wbił wzrok w podłogę. Wyparował z niego cały gniew.

- Powiedział, że wszystko będzie dobrze.

- Kto zakładał szwy? On?

- Mój kuzyn Dale - odrzekł zażenowany. - Był kiedyś w wojsku. Zna się, na tym.

Ten sam kuzyn, którego widziałem na blokadzie drogowej z Carlem.

- A potem? Pofatygował się, żeby zmienić ci opatrunek?

Scott żałośnie pokręcił głową. Współczułem mu, lecz nie na tyle, żeby przestać.

- Dale pomaga Carlowi w innych rzeczach? Na przykład w kłusowaniu? Scott niechętnie kiwnął głową.

Byłem blisko. Bardzo blisko. Dwóch mężczyzn. Dwóch myśliwych, w tym jeden eks-wojskowy. Dwa różne noże.

- W czym jeszcze?

- W niczym. - Kłamać to on nie umiał.

- Narazili cię na niebezpieczeństwo. Wiesz o tym, prawda? Dlaczego? Co było aż tak ważne, że woleli, byś stracił stopę?

Wił się jak piskorz. Skonsternowany zobaczyłem, że ma łzy w oczach. Ale nie mogłem sobie pozwolić na litość.

- Nie chcę, żeby mieli przeze mnie kłopoty - szepnął.

- Już je mają. I pamiętaj, że tobą się nie przejmowali. - Chciałem przycisnąć go jeszcze bardziej, ale instynkt kazał mi zamilknąć. Czekałem, aż Scott sam podejmie decyzję.

- Zastawiają sidła na ptaki - powiedział w końcu. - Na te rzadkie. I na zwierzęta, na wydry i różne takie. Carl mówi, że jest na nie zbyt. I na ptasie jaja. Sprzedają je kolekcjonerom.

- Siedzą w tym razem?

- Niby tak. Ale Carl poluje częściej. Ptaki trzyma w starym młynie na moczarach.

Mój umysł pracował tak szybko, że omal nie wpadł w poślizg. Młyn stał w ustronnym miejscu. Był zrujnowany i od lat opuszczony. Albo i nie. Zacząłem owijać mu stopę bandażem.

- Właśnie tam wpadłeś w sidła - rzuciłem, przypomniawszy sobie, co powiedział, gdy tamtego wieczora przyszedli do pubu. I jak Carl go uciszył.

Scott kiwnął głową.

- Kiedy policja zaczęła szukać tych kobiet, Carl przestraszył się, że zjrzą do młyna. Nie pozwala mi tam chodzić. Mówi, żebym rozkręcił własny interes i trzymał się z daleka. Ale tamtego tygodnia Dale'a nie było i musiałem pomóc mu wszystko poprzemosić.

- Dokąd?

- Gdzie się dało. W kilka miejsc. Większość ptaków ukryliśmy tutaj, w przybudówkach. Mama się wściekła, ale powiedzieliśmy, że to tylko na parę dni, dopóki policja nie przeszuka młyna. Ale potem wpadłem w te sidła i Carl musiał wozić wszystko sam. - Był wyraźnie przybity. - Dostał szału. A przecież nie zrobiłem tego specjalnie.

- To były jego sidła? Scott pokręcił głową.

- Potem powiedział, że tego szajbusa, który zabija kobiety. Patrzyłem w dół, udając, że jestem zajęty jego nogą.

- A teraz? Trzyma tam coś?

- Tak. Nie ma innej kryjówki. Kręci się tu tyle glin, że Dale nie chce przewozić towaru.

- Chodzi tam?

- Codziennie. Musi dokarmiać ptaki. Martwych nikt nie kupi. - Scott wzruszył ramionami. - Ale nie wiem, czy długo wytrzyma. Sprzedali tylko kilka sztuk.

Trudno mi było zachowywać się normalnie. Starałem się mówić obojętnie i swobodnie.

- Jaką dałeś mu przykrywkę? Spojrzał na mnie skonsternowany.

- Co?

Trzęsącymi się rękami zawiązałem bandaże.

- Kiedy policja pytała o te zaginione kobiety. Przecież nie mógł im powiedzieć, że akurat kłusował.

Scott rozciągnął usta w uśmiechu.

- A skąd. Powiedzieliśmy im, że przez cały czas był w domu, z nami. - Uśmiech szybko zgasł. - Ale nie powie mu pan, że się wygadałem?

- Nie. Zachowam to dla siebie.

Już i tak za dużo mu powiedziałem. „On je przetrzymuje. Przez dwa, trzy dni. Przetrzymuje, dręczy i zabija”. Teraz już wiedział, że policja zna sposób jego działania. Przez mnie Jenny miała jeszcze mniejsze szanse na przeżycie.

Boże, co ja zrobiłem?

Wstałem i zacząłem szybko zbierać rzeczy. Wróciła matka z kubkiem herbaty.

- Przepraszam, ale muszę już iść.

Niezadowolona zacisnęła usta.

- Przecież chciał pan herbaty.

- Przepraszam.

Ruszyłem do drzwi. Scott patrzył na mnie tak, jakby żałował tego, co powiedział. Nagle zapragnąłem stamtąd uciec, zanim pojawi się Carl i spróbuje mnie zatrzymać. Wrzuciłem apteczką do samochodu i szybko odpaliłem silnik, czując, że Brennerowa obserwuje mnie od drzwi. Land rover potoczył się po wyboistej drodze.

Gdy tylko zniknęła mi z oczu, wyjąłem komórkę. Ale gdy wybrałem numer Mackenziego, zasięg zaczął słabnąć, wreszcie zanikł zupełnie.

- Cholera jasna, nie teraz. Nie teraz!

Wypadłem na drogę i skręciłem w kierunku starego młyna, modląc się o silniejszy sygnał. Gdy się tylko pojawił, ponownie wcisnąłem przycisk wybierania.

Włączyła się poczta głosowa. Niech to szlag!

- Brennerowie skłamałi - rzuciłem bez wstępu. - Carl... Nagle usłyszałem głos Mackenziego.

- Tylko niech mi pan nie mówi, że znowu pan z nim gadał.

- Nie z nim, z jego bratem, ale...

- Miał pan trzymać się od nich z daleka!

- Niech pan tylko posłucha! - krzyknąłem. - Brenner łapie ptaki i zwierzęta i sprzedaje je ze swoim kuzynem. Kuzyn nazywa się Dale, Dale Brenner, i służył kiedyś w wojsku. Trzymają te ptaki w starym młynie na moczarach, dziewięć, dziesięć kilometrów na południe od miasteczka. To właśnie tam Scott wpadł w sidła.

- Chwileczkę. - Teraz, gdy przykułem jego uwagę, Mackenzie natychmiast stał się spokojny i rzeczowy. W tle słyszałem czyjeś przytłumione głosy. - Dobrze, wiem, gdzie to jest. Ale byliśmy tam, nic tam nie ma.

- Kiedy szukaliście Lyn Metcalf, wywieźli cały towar, ukryli go, a potem ponownie przewieźli do młyna. Właśnie wtedy brat Brennera zranił się w nogę. Carl tak bardzo chciał uniknąć spotkania z policją, że nie zawiózł go nawet do szpitala.

- Brenner kłusuje, to już wiemy - upierał się Mackenzie.

- Ale nie wiecie, że jego rodzina skłamała, żeby go kryć. Ani tego, że myśliwy i były wojskowy chwytają zwierzęta i ptaki w sidła, że trzymają je w opuszczonym młynie i że co najmniej jeden z nich nie ma alibi. Wyłożyć to panu jeszcze jaśniej?

To chyba wystarczyło, bo Mackenzie szpetnie zaklął.

- Gdzie pan teraz jest?

- Właśnie wyszedłem od Brennerów. - Nie dodałem, że jestem w drodze do młyna.

- A gdzie jest Carl?

- Nie mam pojęcia.

- Dobrze, niech pan posłucha. Jestem w miasteczku, w centrum koordynacyjnym. Niech pan tu przyjedzie najszybciej, jak się da.

Jechałem w przeciwnym kierunku.

- Po co? Wszystko panu powiedziałem.

- Ale chciałbym usłyszeć to jeszcze raz, ze szczegółami. Nie chcę, żeby coś nie wypaliło, jasne?

Milczałem. Jechałem z telefonem przy uchu. Pod oponami samochodu syczał asfalt, z każdą sekundą zbliżałem się do miejsca, gdzie - byłem tego pewien - to bydłę przetrzymywało Jenny.

- Słyszał pan, doktorze? Zacisnąłem zęby.

- Tak, słyszałem.

Zawróciłem i pojechałem do miasteczka.

Niebo nabrało niezdrowego połysku. Słońce przesłonił klin cienkich chmur i światło pożółkło. Po raz pierwszy od wielu tygodni lekki wiatr niósł zapach czegoś innego niż tylko przegrzanego powietrza. Gdzieś niedaleko zbierało się na deszcz, ale ponieważ wciąż było wilgotno, upał doskwierał jeszcze bardziej niż zwykle.

Miałem opuszczone szyby, mimo to zanim dojechałem do centrum koordynacyjnego, cały spływałem potem. Wokół przyczepy panował ruch większy niż zwykle. Gdy wszedłem, Mackenzie stał przy stole wraz z grupą policjantów po cywilnemu i oglądał jakąś mapę; policjanci umundurowani byli w kamizelkach kuloodpornych. Zobaczył mnie, zamilkł i odęty podszedł bliżej.

- Nie będę udawał, że to, co pan zrobił, sprawiło mi radość - powiedział, agresywnie wysuwając podbródek. - Doceniam pańską wcześniejszą pomoc, ale to jest policyjne śledztwo. Nie ma tu miejsca dla nieudolnych cywilów.

- Próbowałem powiedzieć panu o Brennerze, ale nie chciał pan mnie słuchać. To co miałem zrobić?

Chyba miał ochotę mnie zrugać, ale się powstrzymał.

- Szef chce z panem rozmawiać.

Zaprowadził mnie do grupy oficerów przy stole i przedstawił. Wyciągnął do mnie rękę mężczyzna z miną srogiego dowódcy.

- Inspektor Ryan. Rozumiem, że ma pan dla nas jakieś informacje. Trzymając się nagich faktów, opowiedziałem mu to, czego dowiedziałem

się od Scotta. Gdy skończyłem, spojrzał na Mackenziego.

- Zna pan tego Brennera?

- Już go przesłuchiwalismy, tak. Pasuje do profilu, ale ma alibi zarówno na dzień zaginięcia Lyn Metcalf, jak i Jenny Hammond. Potwierdziła je rodzina.

- Jeszcze jedno - wtrąciłem. Serce waliło mi jak młotem, ale musieli o tym wiedzieć. - Wczoraj powiedziałem Brennerowi, że morderca nie zabija ofiar od razu i że o tym wiecie.

- Jezus Maria... - sapnął Mackenzie.

- Chciałem, żeby zrozumiał, że chodzi o coś więcej niż tylko o niego i Bena Andersa.

Usprawiedliwienie to, a raczej próba usprawiedliwienia, zabrzmiało fatalnie nawet dla mnie. Twarze policjantów były wrogie i pełne odrazy. Ryan krótko skinął głową.

- Dziękujemy, że pan przyjechał - powiedział zimno. - Zechce nam pan wybaczyć. Mamy dużo pracy. - I odwrócił się do mnie plecami.

Mackenzie wyprowadził mnie z przyczepy. Panował nad sobą, dopóki nie wyszliśmy.

- Cholera jasna, co pana opętało? Dlaczego mu pan powiedział?

- Bo wiedziałem, że przesłuchiwaliscie nie tego człowieka, co trzeba! I niech pan mi wierzy, bez względu na to, co mi pan zarzuci, nie będę żałował tego bardziej, niż żałuję.

Mackenzie przejrzał wreszcie na oczy i spuścił parę.

- Może nie będzie to miało aż takiego znaczenia. Jeśli Scott nic nie powie, Carl nie domyśli się, że go podejrzewamy.

Wcale mnie to nie pocieszyło.

- Przeszukacie ten młyn?

- Jak tylko będziemy mogli. On ma zakładniczkę, nie możemy iść tam bez przygotowania.

- Przecież to tylko Brenner i jego kuzyn!

- Ale mogą być uzbrojeni, a kuzyn jest byłym wojskowym. Nie można atakować bez planu. - Mackenzie westchnął. - Zdaję sobie sprawę, że panu ciężko. Ale my wiemy, co robimy. Rozumie pan? Proszę mi zaufać.

- Chcę jechać z wami. Stężała mu twarz.

- Wykluczone.

- Zostanę przy samochodach. Nie będę przeszkadzał.

- Odpada.

- Na miłość boską, ona ma cukrzycę! - Podniosłem głos i zaczęli gapić się na nas ludzie. - Jestem lekarzem - dodałem ciszej. - Jenny musi natychmiast dostać zastrzyk insuliny. Może być ranna albo w śpiączce.

- Będzie karetka i sanitariusze. Spróbowałem jeszcze raz.

- Ja muszę tam być. Proszę!

Ale on szedł już do przyczepy. Jakby po namyśle odwrócił się i powiedział:

- I niech pan nie myśli nawet o tym, żeby pojechać tam samemu. Lepiej, żeby nam pan nie przeszkadzał. Choćby dla dobra pańskiej przyjaciółki.

Nie musiał dodawać tego, o czym obydwaj pomyśleliśmy. Że już i tak narozrabiałem.

- Dobrze.

- Mam pana słowo?

Wziąłem głęboki oddech.

- Tak.

Mackenzie złagodniał, ale tylko trochę.

- Niech pan spróbuje zachować spokój. Zadzwoń, jak tylko się czegoś dowiem.

Zostawił mnie tam i wszedł do przyczepy.

## Rozdział 27

Latem, gdy skończyła dziesięć lat, rodzice zabrali ją do Kornwalii. Rozbili namiot na kempingu w Penzance i pewnego dnia ojciec zawiózł ich nad małą zatokę. Być może jakoś się nazywała, ale ona nie wiedziała jak, pamiętała tylko drobniutki, biały piasek i wysoki klif z ptakami w gniazdach. Dzień był gorący, a morze rozkosznie chłodne. Bawiła się w cieniu i na plaży, a potem leżała na słońcu i czytała książkę, *Opowieści z Narni* CS. Lewisa. Czuła się bardzo dorosła, że czyta na wakacjach.

Zostali tam cały dzień. Nad zatoczką były i inne rodziny, ale jedna po drugiej odjechały i wreszcie zostali tylko oni. Słońce powoli opadało do morza, rzucając coraz dłuższe i dłuższe cienie. Nie chcąc, żeby dzień się skończył, czekała, aż któreś z rodziców przeciągnie się i oznajmi, że pora jechać. Ale żadne tego nie zrobiło. Minęło popołudnie, zaczął się wieczór, a oni wciąż nie chcieli wracać, tak samo jak ona.

Gdy się ochłodziło, włożyli swetry i śmiali się z gęsiej skórki na rękach matki, gdy ta postanowiła przepłynąć się ostatni raz. Ujście zatoczki wychodziło na zachód, mieli więc widok na tonące w morzu słońce. Było cudowne, szeroka smuga złota i szkarłatu, a oni siedzieli we troje i w milczeniu patrzyli, jak zachodzi, jak powoli zapada zmierzch. Ojciec poruszył się dopiero wtedy, gdy ostatnie promienie zniknęły za horyzontem.

- Już pora - powiedział.

I poszli plażą w gęstniejącym mroku, zachowując w pamięci wspomnienie najpiękniejszego dnia jej dzieciństwa.

Myślała o tym i teraz, wyczarowując tamten dotyk słońca i niecierpliwy szelest piasku przesypującego się między palcami. Czuła zapach kokosowego olejku do opalania matki, słonawy smak morza na wargach. Zatoczka wciąż gdzieś tam była i Jenny niemal wierzyła, że we wszechświecie istnieje też druga, młodsza Jenny, dziewczynka z tamtego nigdy niekończącego się dnia.

Gdy leżała na podłodze celi, ból odciętego palca złął się z bólem innych ran, tworząc przelewającą się falę, która porwała ją i uniosła. Ale teraz nawet ból zdawał się czymś odległym, jakby zamiast doświadczać, obserwowała go z boku. To traciła, to odzyskiwała przytomność i coraz trudniej jej było odróżnić zwidy i urojenia od okrutnej rzeczywistości. Z jednej strony, wiedziała, że to zły znak, że to pierwsze objawy śpiączki. Z drugiej jednak, może było to lepsze od tego, co szykował dla niej oprawca. Hej, bądź optymistką. Tak czy inaczej, wiedziała, że tu umrze.

Byłoby o wiele lepiej, gdyby umarła, zanim tamten wróci.

Pomyślała o rodzicach, zastanawiając się, co zrobią, gdy się dowiedzą. Współczuła im, ale jakby na dystans. Głębszym smutkiem napawała ją myśl o Davidzie. Ale na to też nic nie mogła poradzić. Nawet strach rozmył się i rozplątał jak coś oglądanego przez warstwę wody. Jedyne uczucie, które wciąż płonęło w niej żywym ogniem, był gniew. Gniew na człowieka, który roztrwonił jej życie z taką łatwością, jakby rozrzucił w polu garść pyłu.

W przeblasku świadomości próbowała rozwiązać węzeł na kostce, lecz nie zdołała. Nie miała siły w palcach, poza tym cała się trzęsła. Wyczerpana osunęła się bezwładnie na podłogę i znowu wpadła w delirium. Raz wydawało jej się, że ma nóż, ten sam, którym poranił ją oprawca. Był wielki i błyszczący jak miecz, tak że bez trudu przecięła nim sznur, lekka jak piórko uniosła się w powietrze i poszybowała ku słońcu i wolności.

Sen nagle pierzchł i znowu znalazła się na podłodze brudna i zakrwawiona.

Jakiś zgrzyt. Początkowo myślała, że znowu śni, bo nawet smuga światła, która wpadła do celi, zlewała się idealnie z błękitnym niebem, trawą i drzewami. Dopiero gdy coś ostrego i zimnego jak lód uderzyło ją w twarz, otwierając zasklepioną ranę na policzku, ponownie zdała sobie sprawę, gdzie jest. Ktoś chwycił ją za ramiona i gwałtownie potrząsnął.

- David? - szepnęła, próbując rozpoznać rozmazaną twarz, która się nad nią pochylała. A może tylko chciała szepnąć, gdyż z jej ust wydobył się jedynie cichy, chrapliwy jęk.

Ktoś uderzył ją na odlew tak mocno, że odskoczyła jej głowa.

- Obudź się! Obudź!

Skupiła wzrok i obraz się wyostrzył. Och nie, to nie David. Twarz mężczyzny wykrzywiały gniew i rozczarowanie. Do oczu nabiegły jej łzy. A więc jednak nie dane jej było umrzeć w porę. To niesprawiedliwe. Ale już zaczynała odpływać. Ledwo zauważyła, że ją upuścił. Mocno uderzyła głową w ziemię, lecz ból tylko ją zirytował.

Nagle skurczyła się w sobie i zapadła. Zimny wstrząs, lodowaty szok. Na chwilę zamarło jej serce. Nie mogła oddychać, bo przepona stwardniała jak kamień. Z trudem wzięła haust powietrza, potem drugi, szybko zamruła, żeby woda nie zalała jej oczu i zobaczyła, że nad nią stoi. Z pustym, wciąż kapiącym wiadrem w ręku.

- Jeszcze nie! Nie umieraj! Nie teraz!

Rzucił wiadro, chwycił ją za stopę, kilkoma szybkimi ruchami rozwiązał węzeł, szarpnął ją, dźwignął z podłogi i zawlókł na drugi koniec piwnicy. Było tam ceglane przepierzenie. Rzucił ją na twardą posadzkę. Spojrzała w górę i chociaż dwoiło jej się w oczach, zobaczyła zardzewiały kran sterczący ze ściany. Zaraz potem spostrzegła coś jeszcze i widok ten przedarł się nawet przez gęstą insulinową mgłę. Tuż obok niej była okrągła, żelazna studzienka ściekowa i w nagłym przeblysku intuicji domyśliła się, co miało tam ściekać.

Leżała w miejscu, gdzie oprawca zabijał swoje ofiary.

Wrócił z workiem. Rozwiązał go i tuż obok jej głowy wylądował kłęb ptasich piór. Przerażona spojrzała prosto w żółte ślepia sowy.

- Mądry ptak - powiedział z uśmiechem mężczyzna. - Dla nauczycielki. Z nożem w ręku nachylił się i chwycił sowę za nogi. Były związane, lecz

gdy ją podniósł, sowa gwałtownie się szarpnęła i kurczowo przywarła do jego dłoni. Raptem dziko załopotowała skrzydłami, nóż zaklekotał na podłodze, a mężczyzna cisnął nią wtedy w ścianę. Buchnął ptasi puch i miękko pacnęła na beton. Mężczyzna spojrzał bez słowa na rozoraną dziobem dłoń, na kapiącą krew. Dobrze ci tak, pomyślała radośnie Jenny i ściany piwnicy znowu zaczęły się rozmazywać. Lecz gdy przytknęła rękę do ust, żeby wyssać ranę, spotkali się wzrokiem i po jego oczach poznała, że podjął decyzję. Jeszcze nie, pomyślała. Jeszcze trochę. Potem będzie mi wszystko jedno. Ale on już ku niej szedł.

- Trzymasz jej stronę, co? Biedna sowa. Biedna mała sówka...

Stanął nad nią zamyślony. Nagle przekrzywił głowę. Jak przez szarą mgłę Jenny zobaczyła, że ma zaskoczoną minę. Chociaż dźwięki docierały do niej jak zza wacianego kokonu, chwilę później ona też to usłyszała. Ciężki stukot.

Na górze ktoś był.

## Rozdział 28

Przed stu pięćdziesięciu laty stary młyn był dumą Manham. Tak naprawdę nie był to jednak młyn, tylko napędzana wiatrem pompa melioracyjna, jedna z setek takich pomp rozsianych po całym Broads. Teraz jednak był jedynie rozpadającą się skorupą bez śladu dawnej świetności. Z jego majestatycznych skrzydeł pozostała tylko dziura w spękany murze, a otaczający go teren ponownie wzięła w posiadanie przyroda. Z biegiem lat na podmokłym gruncie wyrósł karłowaty las, tak że młyn był dobrze ukryty.

Lecz bynajmniej nie opuszczony.

Przebieg wydarzeń odtworzyłem z tego, co opowiedział mi później Mackenzie. Zamierzali przeprowadzić jednoczesny nalot i na sam młyn, i na dom Brennerów, i na domek Dale'a Brennera. Jego celem miało być schwytanie i zatrzymanie obydwu mężczyzn, zanim zdążyliby się wzajemnie ostrzec lub zanim ostrzegłaby ich rodzina. Chociaż plan wymagał dłuższych przygotowań, dawał Jenny największą szansę przeżycia. Oczywiście pod warunkiem, że wszystko poszłoby zgodnie z założeniami.

A ja mógłbym im powiedzieć, że nigdy nie idzie.

Mackenzie pojechał z taktyczną grupą operacyjną, która miała zaatakować młyn. Gdy samochody i furgonetki z ubranymi w kamizelki kuloodporne policjantami dotarły na miejsce, zapadał już zmierzch. Byli tam ludzie z jednostki szybkiego reagowania i sanitariusze z karetką pogotowia, gotowi natychmiast przewieźć do szpitala Jenny i każdego innego. Ponieważ do młyna można było dotrzeć tylko wąską, zarośniętą dróżką, postanowiono zaparkować na skraju lasu i dojść do celu na piechotę.

Doszli i kryjąc się za drzewami, obstawili tylne okna i drzwi. Podczas gdy oni zajmowali pozycję, Mackenzie uważnie obserwował niszczący budynek. Robił wrażenie pustego i opuszczonego, a w gasnącym świetle dnia jego ciemne, ceglane ściany zdawały się wchłaniać gęstniejący mrok. Zasyczał radionadajnik: wszyscy byli już na wyznaczonych pozycjach. Mackenzie spojrzał na dowódcę grupy operacyjnej. Krótco skinął głową.

- Zaczynajcie.

Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Docierało do mnie jedynie to, że nie mogę nic zrobić, i czekając, przeżywałem katusze. Zdawałem sobie sprawę, że Mackenzie ma rację. Widziałem zbyt wiele spartaczonych policyjnych operacji, by wiedzieć, że trzeba je dobrze zaplanować. Lecz świadomość ta wcale nie podnosiła mnie na duchu.

Było oczywiste, że w policyjnej przyczepie widziano by mnie bardzo niechętnie. Ale nie mogłem poradzić sobie z frustrującym oczekiwaniem, z obserwowaniem ich ponurych twarzy i domyślaniem się, co też może się tam teraz dziać. Wróciłem do samochodu i zadzwoniłem do Bena. Miał czekać na mój telefon. Trzęsącymi się rękami wybrałem numer.

- A może wpadniesz do mnie? - zaproponował. - Pomożesz mi skończyć tę flaszkę. Towarzystwo dobrze ci zrobi.

Byłem mu wdzięczny za troskę, lecz odmówiłem. Alkohol był ostatnią rzeczą na jaką miałem teraz ochotę. Towarzystwo też. Pożegnałem się z nim i spojrzałem w okno. Niebo nad Manham miało barwę ciemnej miedzi i zasnuwały je jeszcze ciemniejsze chmury. W powietrzu czuło się zapowiedź deszczu. Fala upałów kończyła się z prawdziwym wyczuciem, w najbardziej odpowiednim momencie. Tak jak wiele innych rzeczy.

Wyskoczyłem z samochodu, zamierzając jeszcze raz prosić Mackenziego, chcąc namówić go do tego, żeby pozwolił mi się z nimi zabrać. Ale tuż przed przyczepą przystanąłem. Nie. Wiedziałem, co by mi odpowiedział, poza tym, przeszkadzając im, nie pomógłbym Jenny.

I nagle mnie olśniło. Dobrze, nie mogłem pojechać tam z nimi, ale zawsze mogłem pojechać sam. Pojechać i poczekać w pobliżu młyna. Na to nie potrzebowałem ich pozwolenia. Mógłbym też zabrać insulinę dla Jenny. Plan był marny, lecz uznałem, że lepsze to niż nic. Straciłem już Karę i Alice. Po prostu nie mogłem siedzieć z założonymi rękami, podczas gdy tam decydował się los Jenny.

Nie wozilem insuliny w podręcznej apteczce, ale w lodówce mieliśmy spory zapas. Szybko wsiadłem do samochodu, wróciłem do przychodni i nie wyłączając silnika, wpadłem do środka. Wieczorny dyżur już się skończył, ale Janice jeszcze nie wyszła. Spojrzała na mnie zaskoczona i powiedziała:

- Pan doktor? Nie wiedziałam, że pan... Są nowe wiadomości?

Bardzo się spieszyłem, więc tylko pokręciłem głową. Wbiegłem do gabinetu Henry'ego i gwałtownym szarpnięciem otworzyłem lodówkę. Nie obejrzałem się, gdy wjechał do pokoju.

- David, co ty, do licha, robisz?

- Szukam insuliny. - Grzebałem wśród butelek i pudełek. - Cholera jasna, gdzie ona jest?

- Uspokój się, powiedz, co się stało!

- To Carl Brenner i jego kuzyn. Trzymają Jenny w tym starym młynie. Policja organizuje na nich nalot.

- Carl Brenner? - Chwilę trwało, zanim to do niego dotarło. - Ale po co ci insulina?

- Jadę tam. - Buteleczka z insuliną stała tuż pod moim nosem. Chwyciłem ją i otworzyłem stalową szafkę, gdzie trzymaliśmy strzykawkę.

- To nie będzie tam karetki?

Nie odpowiedziałem, uparcie szperając na półkach w poszukiwaniu jedno-razówek.

- David, pomyśl tylko. Na pewno będą tam sanitariusze z insuliną! wszystkim innym. Wpadniesz do młyna jak burza i co? Co zrobisz?

Tym do mnie trafił. Rozgorączkowanie minęło. Maniakalna energia, która mnie dotąd napędzała, nagle się wyczerpała. Gapiłem się głupio na insulinę i strzykawkę.

- Nie wiem - odparłem chrapliwie. Henry westchnął.

- Odłóż to - powiedział łagodnie.

Jeszcze raz popatrzyłem na strzykawkę i powoli je odłożyłem. Wziął mnie za rękę.

- Usiądź. Wyglądasz koszmarnie.

Pozwoliłem mu zaprowadzić się do krzesła, lecz nie usiadłem.

- Nie mogę. Muszę coś zrobić. Spojrzał na mnie zatroskany.

- Wiem, że ci ciężko. Ale czasami jest tak, że nie da się nic zrobić, chociaż bardzo się chce.

Ścisnęło mnie w gardle. Od lez zapiekło w oczach.

- Chcę tam być. Kiedy ją znajdą. Henry milczał przez chwilę.

- David... - powiedział nieśmiało. - Wiem, że wolałbyś tego nie słyszeć, ale nie sądzisz, że powinieneś się... przygotować?

Poczułem się tak, jakby ktoś grzmotnął mnie pięścią w brzuch. Nie mogłem oddychać.

- Wiem, że bardzo ją lubisz, ale...

- Nie kończ. Zmęczony kiwnął głową.

- Dobrze. Dam ci kielicha i...

- Nie chcę! - Ugryzłem się w język. - Nie mogę tu siedzieć i czekać. Po prostu nie mogę.

Henry miał bezradną minę.

- Nie wiem, co powiedzieć. Tak mi przykro.

- Daj mi coś do roboty. Coś, cokolwiek.

- Kiedy nic nie ma. Została tylko jedna wizyta, ale...

- Gdzie? U kogo?

- U Irene Williams, ale to nic pilnego. Lepiej zostań i...

Ale ja już szedłem do drzwi. Zapomniałem nawet o karcie zdrowia, ledwo spojrzałem na zaniepokojoną Janice. Musiałem być w ruchu, musiałem zapomnieć, że nie mam wpływu na to, czy Jenny przeżyje czy nie. Jadąc do małego, segmentowego domku na skraju miasteczka, gdzie mieszkała Irene Williams, próbowałem myśleć o czymś innym. Irene, gadatliwa staruszka w wieku siedemdziesięciu kilku lat, ze stoickim spokojem i dobrym humorem czekała na operację artretycznego biodra. Zwykle lubiłem do niej jeździć, ale tego wieczoru nie potrafiłem gadać o niczym.

- Milczący pan dzisiaj - zauważyła, gdy wypisywałem receptę. - Mowę panu odjęło?

- Nie, jestem po prostu zmęczony. - W tym samym momencie spostrzegłem, że zamiast środków przeciwbólowych, przepisałem jej insulinę. Zmiałem receptę i wziąłem kolejną.

Irene zachichotała.

- Myśli pan, że nie wiem, co panu jest? Wiem.

Bez słowa podniosłem wzrok. Uśmiechała się do mnie, demonstrując sztuczne zęby, jedyną część starej, pomarszczonej twarzy, która zachowała młodość.

- Potrzeba panu miłej dziewczyny? Żeby trochę pana rozweseliła. Omal stamtąd nie wybiegłem. Ukrywszy się w bezpiecznym wnętrzu land

rovera, oparłem głowę o kierownicę. Spojrzałem na zegarek. Wskazówki poruszały się z szyderczą powolnością. Nie, było jeszcze za wcześnie. Z doświadczenia wiedziałem, że tamci wciąż gadają, instruują policjantów z grupy operacyjnej, dopracowują plany.

Sprawdziłem telefon. Zasięg był słaby, jednak wystarczył, żeby się do mnie dodzwonić. Nic. Żadnych wiadomości. Przez przednią szybę popatrzyłem na ulicę. I wtedy uderzyło mnie, jak bardzo nie znoszę tego miasteczka. Tych kamiennych domów, tego płaskiego, podmokłego krajobrazu. Tych podejrzliwych i pełnych urazy ludzi. Tego zwyrodniałego mordercy, który mieszkał tu, nie rzucając się w oczy, dopóki nie zwyciężyła trawiąca go choroba. Ale najbardziej dobiło mnie to, że Manham dało mi Jenny i zaraz mi ją odebrało. Widzisz? Tak mogło wyglądać wasze życie.

Rozgorączkowanie minęło równie szybko, jak szybko mną owładnęło, pozostawiając po sobie mdlawy osad. Niebo pokrywały ciemne chmury przypominające powiększający się siniak. Odpaliłem silnik. Mogłem tylko wrócić do domu, usiąść, siedzieć i czekać na telefon, który mnie przerażał. Myśl ta dławiała mnie i dusiła.

I nagle coś mi się przypomniało. Gdy tamtego poranka rozmawiałem na cmentarzu ze Scarsdale'em, Tom Mason powiedział, że jego dziadek znowu ma kłopoty z kręgosłupem. Miewał je regularnie, co było ceną za życie spędzone nad klombami i grządkami innych. Wizyta potrwałaby tylko kilka minut, poza tym chociaż na chwilę zapomnielibym o nieuniknionym telefonie od Mackenziego. Z rozpaczliwą niemal ulgą zawróciłem i pojechałem do domu Masonów.

Stary George i jego wnuk mieszkali nad jeziorem, na skraju lasu, w dawnej stróżówce czy wartowni. Masonowie byli ogrodnikami od wielu pokoleń i jako młody człowiek George pracował w ratuszu, zanim go nie zburzono. Po okazałym niegdyś gmachu pozostało jedynie to maleńkie, starannie utrzymane poletko pośród agresywnego lasu.

Zza drzew przebijał spizowy poblask jeziora. Zaparkowałem na podwórzu i ruszyłem do drzwi. Miały na górze dużą matową szybę, która cicho zabrzęczała, gdy zapukałem. Cisza. Zapukałem ponownie. Czekałem. Po niebie przetoczył się grzmot i powietrze zawibrowało. Spojrzałem w górę i zaskoczony stwierdziłem, że światła szybko ubywa. Kłębiące się chmury przyspieszyły koniec dnia. Zapadała ciemność.

Nagle zdałem sobie sprawę z czegoś jeszcze. W domu nie paliło się światło, a przecież powinno się palić, skoro ktoś tam był. Mieszkali tylko we dwóch, George i Tom, bo rodzice Toma zmarli, gdy ten był jeszcze dzieckiem. A może George'owi polepszyło się na tyle, że wrócił do pracy? Ruszyłem z powrotem do samochodu, lecz po kilku krokach przystanąłem. Coś nie dawało mi spokoju, poczucie, że coś przeoczyłem. Zapadła upiorna cisza, jak to bywa przed burzą. Rozejrzałem się wokół, dziwnie przeświadczony, że zaraz coś się wydarzy, że to wprost nieuchronne. Ale nie wydarzyło się nic.

Podskoczyłem, gdy coś pacnęło na moje nagie ramię. Rozpłaszczyła się na nim kropla deszczu. Zaraz potem niebo rozświetliła błyskawica i na ułamek sekundy wszystko spowiła oślepiająca biel. Chwilę później w napiętej ciszy usłyszałem, a raczej wyczułem jakiś dźwięk. Momentalnie zagłuszył go agresywny grzmot, ale nie, to na pewno nie było złudzenie. Usłyszałem niskie, niemal podprogowe brzęczenie, brzęczenie aż za dobrze mi znane.

Muchy.

I podczas gdy ja próbowałem zrozumieć, co to znaczy, ponury Mackenzie stał wśród przerażonych ptaków i zwierząt w klatkach, słuchając zdyszanego policjanta, który tylko potwierdził jego podejrzenia.

- Sprawdziłszy wszędzie. Nikogo tu nie ma.

## **Rozdział 29**

Trudno było ustalić, skąd dochodzi brzęczenie. Wiedziałem tylko, że z domu. Lecz ciemne okna, które gapiły się na mnie jak oczy ślepeca, niczego mi nie podpowiedziały. Podeszedłem do najbliższego i zajrzałem

do środka. Zobaczyłem tylko mroczną kuchnię, nic więcej. Podeszedłem do sąsiedniego. Mały pokój. Martwy ekran telewizora i dwa zniszczone fotele.

Ruszyłem do drzwi. Przystanąłem, podniosłem rękę, żeby ponownie zapukać, ale zaraz ją opuściłem. Gdyby ktoś tam był, już dawno by mi otworzył. Zawahałem się, nie wiedząc, co robić. Wiedziałem jednak, co słyszałem. Wiedziałem też, że nie mogę tego zignorować. Podniosłem rękę. Jeśli drzwi będą zamknięte, trudno, siła wyższa. Przekręciłem klamkę.

Drzwi się otworzyły.

Ponownie się zawahałem, w pełni świadomy, że nie powiniennem nawet o tym myśleć. I wtedy poczułem ten zapach. Słodkawy odór, aż za dobrze mi znany fetor.

Pchnąłem drzwi i zobaczyłem ciemny korytarz. Ten smród. Nie miałem już żadnych wątpliwości. Zaszło mi w ustach. Wyjąłem telefon, żeby zadzwonić na policję. Nie mogli mi już zarzucić, że boję się własnego cienia. W tym domu zdechło jakieś zwierzę albo ktoś w nim umarł. Zacząłem wybierać numer i w tym samym momencie uświadomiłem sobie, że nie ma zasięgu. Dom Masonów stał w martwej strefie. Zakląłem, zastanawiając się, jak długo jestem poza zasięgiem i czy w tym czasie dzwonił do mnie Mackenzie.

Z drugiej strony, dawało mi to mi kolejny powód, żeby wejść do środka. Bo nawet gdybym nie musiał teraz szukać telefonu stacjonarnego, nie miałem już wyboru. Nie chciałem tam zaglądać, lecz nie mogłem też tak po prostu odejść.

Odór natychmiast przybrał na sile. Przystanąłem na korytarzu, próbując wyczuć atmosferę domu. Na pierwszy rzut oka był czysty i wysprzątany, ale wszędzie leżała gruba warstwa kurzu.

- Halo?! - zawołałem.

Cisza. Po prawej stronie były drzwi. Otworzyłem je i znalazłem się w kuchni, którą widziałem przez okno. Brudne naczynia w zlewie, zakrzepłe i rozkładające się resztki jedzenia na talerzach. Ożyło kilka tłustych much, lecz to nie ich brzęczenie słyszałem przed domem. Tu, w kuchni, było ich po prostu za mało.

Kuchnia, a tuż obok równie opustoszały pokój. Stały w nim tylko dwa zakurzone fotele i telewizor. Telefonu nie było. Wróciłem do korytarza i stanąłem u stóp schodów. Wyściełający je bieżnik był stary i przetarty, a ich szczyt ginął w mroku. Położyłem rękę na poręczy.

Nie chciałem tam iść. Ale zabrnawszy tak daleko, nie mogłem przecież wyjść i tak zwyczajnie odjechać. Na ścianie był włącznik światła. Pstryknąłem dźwignią i przerażony podskoczyłem, bo żarówka zapaliła się i z głośnym trzaskiem zgasła. Powoli ruszyłem na górę. Z każdym krokiem smród stawał się coraz silniejszy. Dołączył do niego inny zapach, mdławy i smolisty, zapach, który skądś znałem. Ale nie miałem czasu się nad tym zastanawiać. Schody wychodziły na korytarz. W prawie całkowitej ciemności dostrzegłem zapuszczoną łazienkę i dwoje drzwi. Otworzyłem te pierwsze. Pojedyncze łóżko, zmięta pościel, naga, niepomalowana podłoga. Podeszedłem do drugich. Smolisty zapach przybrał na sile. Położyłem rękę na klamce. Przekręciłem ją i przez chwilę myślałem, że są zamknięte. Lecz nagle ustąpiły, a wówczas pchnąłem je i otworzyłem.

W twarz uderzyła mnie czarna chmura much. Odpędziłem je, dławiąc się ciepłym smrodem buchającym z pokoju. Myślałem, że zdążyłem już przywyknąć do trupiego zapachu, lecz ten był obezwładniający. Jedna po drugiej, rozhisteryzowane muchy powróciły na łóżko i ponownie obsiadły leżącego na nim człowieka. Zasłoniłem ręką usta i oddychając krótkim, urwanym oddechem, podeszedłem bliżej.

Moją pierwszą reakcją była ulga. Zwłoki były w stanie daleko posuniętego rozkładu i chociaż na pierwszy rzut oka nie mogłem powiedzieć, czy jest to mężczyzna czy kobieta, nie ulegało wątpliwości, że leżą tu już od jakiegoś czasu. Na pewno dłużej niż dwa dni. Dzięki ci, Boże, pomyślałem ze słabą nadzieją.

Gdy stanąłem przy łóżku, zdenerwowane muchy poruszyły się niespokojnie. Zapadł zmrok i były teraz mniej aktywne niż za dnia. Gdybym przyjechał tu wcześniej lub gdyby nie przeszkodziła im błyskawica, mógłbym nie usłyszeć ich charakterystycznego brzęczenia. Dopiero teraz spostrzegłem, że okno jest lekko uchylone. Za mało, żeby zapewnić wymianę powietrza w pokoju, jednak na tyle szeroko, żeby zwabione kuszącym zapachem rozkładu muchy wleciały tu i złożyły jaja.

Jego głowa leżała na poduszce, ręce na prześcieradle. Przy łóżku stała stara, drewniana szafka, a na niej pusta szklanka i milczący budzik. Tuż obok leżały męski zegarek i fiolka z jakimiś proszkami. Było za ciemno, żeby przeczytać napis na naklejce, lecz akurat w tym momencie pokój ponownie rozświetliła błyskawica i w oczach zachował mi się migawkowy obraz pokoju. Wypłowiła tapeta w kwiecisty wzorek, oprawione w ramki zdjęcie nad łóżkiem i naklejka: KOPROKSAMOL, środek przeciwbólowy na receptę dla George'a Masona.

Staremu ogrodnikowi mógł dokuczać kręgosłup, lecz to nie dlatego nie widziano go ostatnio w miasteczku. Przypomniało mi się co powiedział Tom, gdy spytałem go o dziadka. „Boli go, jeszcze leży”. Zastanawiałem się, kiedy umarł. I jak to świadczy o mieszkańcach Manham, skoro żaden z nich nie zauważył jego nieobecności.

Pamiętałem, żeby niczego tam nie dotykać. Wyglądało to raczej na tragedię domową niż na miejsce zbrodni, jednak nie chciałem zatrzeć żadnych śladów. Ktoś będzie musiał ustalić, na co starzec umarł i dlaczego wnuk nikogo o tym nie zawiadomił. Nie był to czyn człowieka zdrowego umysłowo, jednak ból po



stracie bliskiego jest uczuciem bardzo dziwnym. Tom nie byłby pierwszą osobą która wolała żyć w nieświadomości, nie dopuszczając do siebie myśli, że kogoś, kogo kochał, już nie ma.

Gdy wyszedłem na korytarz, ponownie uderzył mnie ten smolisty zapach. Teraz, przy otwartych drzwiach, widać było grube, czarne smugi na futrynie. Do progu przywarł kawałek zmiętej gazety, posmarowanej tym samym mazidłem. Mazidło. Przypomniało mi się, z jakim trudem otworzyłem drzwi. Ostrożnie dotknąłem futryny i poczułem, że kleją mi się palce.

To był lepik.

I już wiedziałem, co nie dawało mi spokoju od rozmowy na cmentarzu. Pośród zapachu kwiatów i świeżo ściętej trawy wyczułem inny słaby zapach. Byłem wtedy zbyt rozkojarzony, żeby o tym myśleć, ale teraz natychmiast go rozpoznałem. Tak, to był zapach lepiku bijący albo od Masona, albo od narzędzi, którymi uszczelnił sypialnię dziadka.

Lepik. Ta sama substancja, którą znalazłem w wyłobieniu od noża na kręgu szyjnym Sally Palmer.

Próbowałem się uspokoić, próbowałem to przemyśleć. Tom Mason mordercą? Zdawało się, że to niewyobrażalne. Był człowiekiem zbyt łagodnym, zbyt prostym, żeby zaplanować te wszystkie potworności, nie wspominając już o tym, żeby się ich dopuścić.

Z drugiej jednak strony, od początku wiedzieliśmy, że pod latarnią najciemniej, że morderca ukrywa się wśród nas. Mason był w tym dobry; cierpliwie pracował na cmentarzu i na miejskim skwerku, wtapiając się w tło tak skutecznie, że nikt go tak naprawdę nie zauważał. Zawsze w cieniu dziadka, cichy i mało mówny nigdy nie wywierał na nikim żadnego wrażenia.

Aż do dzisiaj.

Próbowałem wmówić sobie, że wyciągam pochopne wnioski. Bo przecież nie dalej jak przed kilkoma minutami byłem święcie przekonany, że to Carl Brenner jest mordercą. Ale Mason też pasował do profilu. I to nie Brenner trzymał w swoim domu rozkładające się zwłoki dziadka. To nie on chciał uszczelnić drzwi i zagłuszyć trupi odór tym samym lepiszczem, którego ślady znalazłem na kręgu szyjnym martwej Sally.

Zapomniawszy, że nie ma zasięgu, trzęsącymi się rękami wyjąłem telefon, żeby zadzwonić do Mackenziego. Zakląłem i zbiegłem schodami na dół. Tak, musiałem zawiadomić go o moim znalezisku, ale nie mogłem odjechać, nie upewniwszy się przedtem, czy nie ma tu Jenny. Jak burza pędziłem przez ciemny dom, otwierając wszystkie drzwi i zaglądając do wszystkich pomieszczeń. W żadnym nie znalazłem ani śladu życia, ani choćby telefonu.

Wypadłem na dwór i spróbowałem zadzwonić z samochodu z nadzieją że kapryśna atmosfera przywróciła zasięg. Nic z tego, sygnału wciąż nie było. Gdy odpalałem silnik, po niebie przetoczyła się seria głuchych grzmotów. Było już zupełnie ciemno, a w przednią szybę zabębniły krople deszczu. Podwórce było za małe, żeby na nim zawrócić, wrzuciłem więc wsteczny. Gdy ruszyłem do tyłu, światło reflektorów land rovera omiotło rosnące w oddali drzewa i coś między nimi błysnęło.

Natychmiast wcisnąłem pedał hamulca i gdyby samochód nie miał automatycznej skrzyni biegów, na pewno zadławiłbym silnik. Wbiłem wzrok w tamto miejsce, lecz niczego nie dostrzegłem. Czując, że znowu zaschło mi w ustach, lekko skręciłem kierownicę i powolutku ruszyłem do przodu. Światło reflektorów ponownie omiotło drzewa i ponownie coś między nimi zabłyszczało.

Był to żółty prostokąt tablicy rejestracyjnej samochodu.

Dopiero teraz zauważyłem, że droga, którą tu przyjechałem, nie kończy się na podwórzu, tylko biegnie dalej, w głąb lasu. I że jest wciąż używana, chociaż porastają gęsta trawa. Ale samochód stał za daleko i gdyby nie odbłaskowa tablica rejestracyjna, nie domyśliłbym się nawet, że tam jest.

Musiałem zadzwonić do Mackenziego, lecz kusiła mnie i wabiła ta przeklęta droga. Biegła przez prywatny teren, kilometry od miejsca, gdzie znaleziono zwłoki obydwu kobiet. Tego miejsca na pewno nie przeszukano. Poza tym samochód nie przyjechał tam bez powodu. Wewnętrznie rozdarty, zawahałem się, nie mogąc podjąć decyzji. Ale tak naprawdę, nie miałem żadnego wyboru. Pchnąłem do przodu dźwignię zmiany biegów i pojechałem przed siebie.

Niemal natychmiast musiałem zwolnić, ponieważ nad dachem samochodu zamknęły się gałęzie drzew. Zgasłem reflektory, nie chcąc zwracać na siebie uwagi, ale bez reflektorów prawie nic nie widziałem. Gdy ponownie je zapaliłem, droga rozmyła się w świetle i znikła w głębi lasu. Deszcz przybrał na sile. Włączyłem wycieraczki i wyteżyłem wzrok, próbując wypatrzeć coś przez pokrytą wodnistymi smugami szybę. Wóz długo trząsał się i podskakiwał na wybojach, lecz wreszcie dostrzegłem jasną plamę światła, świetlistą boję na tle czarnego oceanu. Zaraz potem z mroku wychynął sam pojazd. To nie był zwykły samochód. To była furgonetka.

Parkowała przed niskim, osłoniętym drzewami budynkiem.

Zatrzymałem się. Zgasłem światła i świat zewnętrzny natychmiast zniknął. Poszperałem w schowku na mapy, szukając latarki i modląc się, żeby zadziałała. Pstryknąłem włącznikiem - wytrysnął żółtawy promień. Otworzyłem drzwiczki i szybko poświeciłem wokoło. W uszach dudniła mi krew. Ale nie, nikt nie wyskoczył na mnie z ciemności. Widziałem tylko drzewa. I czarną taflę jeziora za drzewami. Wsiadłem, w

zagłuszającym wszelkie odgłosy deszczu otworzyłem tylne drzwiczki i wyjąłem ze skrzynki klucz do kół. Podniesiony na duchu jego ciężarem ruszyłem w stronę budynku.

Furgonetka była stara i zardzewiała. Tylne drzwiczki były związane sznurkiem. Otworzyły się ze skrzypnięciem. W środku wały się narzędzia ogrodnicze, szpadle i widły; stała tam nawet taczka. Popatrzyłem na zwój drutu w kącie i pomyślałem, że Carl Brenner jednak nie kłamał. Sidła, które zraniły Scotta, nie należały do niego.

Ani te, ani inne.

Już się odwracałem, gdy w świetle latarki dostrzegłem coś jeszcze. Na sterce narzędzi leżał duży składany nóż. Miał ząbkowane ostrze i wyglądał jak miniaturowa piła. Na ostrzu zakrzepło coś czarnego.

Patrzyłem na nóż, którym zabito psa Sally Palmer.

Nagle błysnęło i gwałtownie drgnąłem. Niemal zaraz potem powietrzem wstrząsnął wściekły grzmot. Jeszcze raz sprawdziłem telefon, wiedząc, że to bez sensu. I rzeczywiście, zasięgu wciąż nie było. Ponownie ruszyłem w stronę budynku i raptem zahaczyłem o coś udem. Spojrzałem w dół. Krzaki, a w krzakach przerdzewiały druty. Ogrodzenie obwieszane dziesiątkami ciemnych przedmiotów. Początkowo nie wiedziałem, co to jest, lecz gdy oświetliłem latarką najbliższy, zobaczyłem zbielełą kość. Były to ciała małych ptaków i zwierząt, które wisiały tam i gniły.

Ciała, dziesiątki ciał.

W koronach drzew szumiał deszcz. Ruszyłem przed siebie. Kilka metrów dalej ogrodzenie nagle się urywało; zerwane i poskręcane druty ginęły w trawie. Przystąpiłem przez nie i poszedłem dalej, chcąc obejść cały budynek. Był niski, przysadzisty i nijaki, bez drzwi i okien. Ze szczelin w spękanych betonowych ścianach sterczał drut zbrojeniowy. Zrozumiałem, co to jest, dopiero wtedy, gdy przystanąwszy po drugiej stronie, zobaczyłem pojedyncze wąskie okno i głęboko osadzone drzwi. Był to stary schron przeciwlotniczy. Wiedziałem, że na wsi było ich sporo, że w przyływie masowej hysterii zbudowano je na początku drugiej wojny światowej i że podobnie jak w większości tych miejskich, nikt się w nich nigdy nie ukrywał.

Ale najwyraźniej dla tego ktoś znalazł zastosowanie.

Starając się iść jak najciszej, podszedłem do drzwi. Były stalowe i matowoczerwone od rdzy. Myślałem, że będą zamknięte, lecz otworzyły się, gdy je pchnąłem.

Powitał mnie powiew stęchłego powietrza. Z mocno bijącym sercem wszedłem do środka. W świetle latarki ukazało się pojedyncze pomieszczenie, zupełnie puste, jeśli nie liczyć martwych liści na podłodze. Poświeciłem latarką po nagich ścianach i jej promień padł na drugie drzwi, ukryte w rogu i niemal niewidoczne.

Wtem usłyszałem jakiś hałas. Odwróciłem się i zobaczyłem zatraskujące się drzwi. Próbowałem je przytrzymać, lecz nie zdążyłem. Huknęły tak głośno, że zatrzęsł się cały schron, że zadudniło echo. Właśnie oznajmiłem swoje przybycie temu, kto był w środku.

Nie pozostawało mi jednak nic innego, jak iść dalej. Nie dbając już o zachowanie ciszy, ruszyłem do drzwi w rogu pomieszczenia. Otworzyłem je i zobaczyłem wąskie schody. Wisząca nad nimi słaba żarówka rzucała mdlawe światło.

Zgasilem latarkę i zacząłem schodzić na dół.

Powietrze było stęchłe i cuchnące. Pachniało śmiercią, więc próbowałem nie myśleć, co to może oznaczać. Schody były kręte, spiralne. Kończyły się w kiszkowatej piwnicy. Wydawała się większa niż betonowy budynek na górze, jakby schron zbudowano na starszych fundamentach. Jej drugi koniec ginał w ciemności. Tuż nad stołem roboczym wisiała żarówka, oświetlając słabo zdumiewającą liczbę kształtów i cieni.

Zmartwiałem sparalizowany widokiem.

Cała piwnica była obwieszona ciałami ptaków i zwierząt. Lisy, zające i kaczki wisiały tam jak makabryczne eksponaty. Wiele z nich zgniło, zmumifikowało się do skóry i kości, podczas gdy inne dopiero zaczynały się rozkładać. Wszystkie były okaleczone. Pozbawione głowy lub kończyn kołysały się z hipnotyzującą powolnością w słabym prądzie.

Oderwałem od nich wzrok i rozejrzałem się wokół. Moją uwagę przykuły kolejne obrazy. Na stole stała lampa wycelowana w pusty kąt piwnicy. W jej jaskrawym świetle zobaczyłem przywiązany do metalowego pierścienia sznur, którego drugi koniec leżał na podłodze. Na stole wały się też różne narzędzia i imadła, w tej scenerii odrażające i makabryczne. Zaraz potem zobaczyłem coś, co nie pasowało tu jeszcze bardziej, coś jeszcze bardziej ohydneho i plugawego.

Na krześle wisiała ozdobna suknia ślubna z koronkowym przodem. Była przesiąknięta krwią.

Widok ten wstrząsnął mną, ale i mnie otrzeźwił.

- Jenny! - krzyknąłem.

W mrocznym kącie piwnicy coś się poruszyło. Wychylnęła stamtąd jakaś postać i gdy weszła w krąg światła, rozpoznałem w niej wnuka George'a Masona.

Miał łagodną minę, taką samą jak zawsze. Ale poza tym teraz nie było w nim nic łagodnego. Zdałem sobie sprawę, że jest rośli i atletyczny zbudowany, wyższy i szerszy w barach ode mnie. Jego dzinsy i wojskowa kurtka były poplamione krwią.

Nie patrzył prosto na mnie, nieustannie zerkając to na moją pierś, to na ramiona. Miał puste ręce, ale spod poplamionej kurtki wystawała mu pochwa noża.

Zacisnąłem palce na uchwycie klucza.

- Gdzie ona jest? - wychrypiałem.

- Nie powinien pan tu przychodzić, panie doktorze - odparł przepraszająco, sięgając do pochwy. Był równie zaskoczony jak ja, gdy stwierdził, że jest pusta.

Zrobiłem krok w jego stronę.

- Co jej zrobiłeś?

Patrzył na podłogę, jakby szukał tam zgubionego noża.

- Komu?

Przekreśliłem lampę, tak że teraz świeciła prosto na niego. Zasłonił ręką oczy. Gdy światło rozproszyło mrok w kącie piwnicy, dostrzegłem tam sylwetkę nagiej kobiety, na wpół ukrytej za ceglana ścianą.

Odebrało mi oddech.

- Nic - powiedział Mason, mrużąc oczy.

Wtedy zaatakowałem. Podniosłem klucz, chcąc wyrznąć go ze wszystkich sił w tę potulną gębę, lecz zawadziłem o zwisające z sufitu truchła i momentalnie pochłonęła mnie cuchnąca lawina sierści i pierza. Dławiąc się i krztusząc, odepchnąłem na bok rozkołysane ptaki i zwierzęta - zdążyłem w samą porę, gdyż w tej samej chwili Mason się na mnie rzucił. Chciałem zrobić unik, lecz nie zdołałem i chwycił za klucz. W drugiej ręce miałem latarkę. Wziąłem zamach i grzmotnąłem go w głowę. Przerażliwie krzyknął, odpowiedział ciosem na cios i zatoczyłem się do tyłu, upuszczając latarkę. Siłą rozpędu wpadłem na stół, trafiłem na kant imadła i plecy załała mi fala palącego bólu.

W tym samym momencie przyłożył mi łokciem w brzuch i odebrało mi oddech. Poczułem, że mnie pcha, że odchyła mnie do tyłu, że kant imadła jeszcze bardziej wbija mi się w kręgosłup. Wcisnął mi łokieć pod szyję i pchnął jeszcze silniej, a wtedy spojrzałem mu w twarz: oczy miał wciąż spokojne i łagodne. Zdołałem wyszarpnąć rękę i spróbowałem go odepchnąć, oderwać od szyi jego przedramię. Ale on tylko przestąpił z nogi na nogę, jeszcze bardziej wzmógł nacisk i sięgnął po coś na stole. Metal potarł z chrobotem o drewno: Mason chciał wyjąć dłuto z drewnianego stojaka. Chwyciłem go za ramię, lecz tym samym odsłoniłem szyję. Spojrzał na mnie i nie zabierając ręki ze stołu, przydusił mnie jeszcze mocniej. W oczach pokazały mi się gwiazdy. Mason zerknął na stół i wtedy dostrzegłem za nim jakiś ruch.

Jenny. Z rozdzierającą powolnością pełzła w stronę czegoś, co wyglądało na kupkę puchu na podłodze. Chciała coś spod niej wyjąć i gdy włożyła tam rękę, z trudem przeniosłem wzrok z powrotem na twarz Masona, woląc tego nie widzieć. Próbowałem wbić mu kolano w krocze, ale staliśmy zbyt blisko siebie, zdołałem za to kopnąć go w piszczel. Stęknął i lekko zwolnił ucisk, jednak w tym samym momencie usłyszałem głuchy stukot i stojak z narzędziami upadł na stół. Niczym tłuste pająki, palce wolnej ręki Masona momentalnie powędrowały w tamtą stronę i chociaż wciąż ciągnąłem go za ramię, chwycił dłuto i centymetr po centymetrze zaczął wyjmować je ze stojaka.

Kątem oka ponownie zauważyłem jakiś ruch. Jenny próbowała wstać. Klęczała i opierając się o ścianę, ścisnęła coś w ręku.

I wtedy Mason wyszarpnął dłuto. Zamiast przytrzymywać jego rękę, musiałem ją teraz nieustannie odpychać i z narastającą paniką zdałem sobie sprawę, jak bardzo jest silny. Z wysiłku drżało mi całe ramię, tymczasem dłuto było coraz bliżej i bliżej. Prosto na moją twarz, z czoła skapywał mu pot, jednak poza tym nie widać było po nim żadnego wysiłku. Był łagodny i skupiony tak jak wtedy, gdy doglądał swoich roślin.

Bez ostrzeżenia szarpnął się w drugą stronę, uwolnił rękę i wziął zamach. Chwyciłem go za nadgarstek, wiedząc, że nie dam rady go powstrzymać. Nagle wrzasnął i gwałtownie wygiął się do tyłu. Ręka, którą miażdżył mi szyję, zniknęła. Podniosłem wzrok i tuż za nim zobaczyłem nagą, zakrwawioną Jenny. Trzymała długi nóż, lecz upuściła go w chwili, gdy na nią spojrzałem. Gdy zabręczał na betonie, Mason ryknął jak zwierzę i uderzył ją na odlew w twarz. Osunęła się na podłogę tak miękko, jakby nie miała kości.

Rzuciłem się na niego. Wylądowaliśmy jeden na drugim, ja na górze, i znowu przerażliwie krzyknął. Zepchnął mnie, próbował odpełznąć na bok i wtedy zobaczyłem szybko powiększającą się plamę krwi na jego plecach. Czołgał się w stronę noża. Na czworakach popęzłem za nim, lecz nagle zahaczyłem o coś nogą. Spojrzałem w dół, zobaczyłem mój klucz i w chwili, gdy Mason chwycił nóż, dzieliłem go w zakrwawione plecy. Zawył jak dzika bestia, odwrócił się, a wtedy grzmotnąłem go kluczem w głowę.

Uderzyłem tak mocno, że zabolą mnie ręka. Nie wydał żadnego dźwięku. Po prostu padł i znieruchomiał. Wziąłem zamach, żeby przyłożyć mu jeszcze raz, ale nie było takiej potrzeby. Ciężko dysząc, odczekałem chwilę, żeby sprawdzić, czy na pewno się nie poruszy, a potem podszedłem do Jenny. Leżała tam, gdzie upadła. Ostrożnie przewróciłem ją na plecy i zamarło mi serce, gdy zobaczyłem, jak bardzo jest zakrwawiona. Miała rany na całym ciele. Jedne były drobne i płytkie, inne długie i głębokie. Rana na policzku sięgała niemal kości i gdy zobaczyłem, co ten bydlak jej zrobił, chciałem ponownie chwycić klucz. Omal nie wykrzyknąłem z ulgi, wyczuwając puls na jej szyi. Był słaby i nieregularny, ale był.

- Jenny, Jenny, to ja, David. Zatrzepotała powiekami.

- David... - szepnęła i zmroziło mnie, gdy poczułem słodkawy zapach jej oddechu. Kwasica ketonowa. Jej ciało zaczęło rozkładać własny tłuszcz, niebezpiecznie podwyższając stężenie kwasu ketonowego we krwi. Musiała dostać zastrzyk insuliny, i to szybko.

A ja jej przy sobie me miałem.

- Nic nie mów - powiedziałem jak kretyn, bo znowu zamknęły jej się oczy. Cios, jaki zadała Masonowi, pozbawił ją resztek sił. Ponownie zbadalem puls. Był jeszcze słabszy niż przedtem. Boże, pomyślałem. Nie rób mi tego, nie teraz.

Podniosłem ją, nie zważając na ból przeszywający mi szyję i plecy. Podniosłem i wstrząśnięty stwierdziłem, że jest przerażająco lekka. Jakby w ogóle nic nie ważyła. Mason wciąż leżał bez ruchu, lecz niosąc ją w stronę schodów, słyszałem jego chrapliwy oddech. Już na górze, kopnąłem drzwi i zataczając się nieprzytomnie, wpadłem między drzewa. Lało jak z cebra, lecz po piwnicznych potwornościach deszcz był czymś czystym i ożywczym. Gdy posadziłem Jenny na przednim siedzeniu, bezwładnie zwiśla jej głowa. Musiałem przypiąć ją pasem, inaczej zsunęłaby się z fotela, potem sięgnąłem po koc -zawsze woziłem go wraz z apteczką- i szczelnie ją okryłem. Odpaliłem silnik, ruszyłem, otarłem się drzwiczkami o furgonetkę Masona, zawróciłem i łamiąc nisko zwisające gałęzie drzew, pełnym gazem popędziłem przed siebie.

Jechałem szybko, choć nie szarżowałem. Jenny od dwóch dni nie brała insuliny, przeżyła koszmar i straciła dużo krwi. Musiałem zawieźć ją natychmiast do szpitala, ale najbliższy był kilometry dalej, o wiele za daleko, i nie chciałem ryzykować. Dręcząc się myślą, że tam, w przychodni, miałem insulinę w rękach, rozpaczliwie rozważałem wszystkie możliwości. Było ich niewiele. Jenny mogła zapaść już w śpiączkę. Jeśli szybko jej nie ustabilizują, niedługo umrze.

Nagle przypomniałem sobie o karetce pogotowia i sanitariuszach, których Mackenzie zabrał do starego młyna. Istniał cień szansy, że jeszcze tam są. Włożyłem rękę do kieszeni, chcąc wyjąć komórkę i zadzwonić po pomoc, gdy tylko pojawi się sygnał. Ale w kieszeni jej nie było. Przeszukałem pozostałe. Na próżno. Ogarnięty paniką, zdałem sobie sprawę, że musiała wypaść mi w piwnicy, podczas walki z Masonem. Zawahałem się. Zawrócić czy jechać dalej? Wcisnąłem pedał gazu. Zawracając, straciłbym zbyt dużo czasu.

Czasu, którego Jenny nie miała.

Dojechałem do końca drogi i wypadłem na szosę. Insulina była w przychodni. W przychodni mógłbym zacząć ją leczyć, czekając na karetkę. Przyspieszyłem, wpatrując się w ciemność za szybą. Wycieraczki pracowały pełną parą, lecz padało tak intensywnie, że nawet w świetle reflektorów widziałem ledwie na kilka metrów. Zaryzykowałem i zerknąłem na Jenny. To, co zobaczyłem, wystarczyło, żebym mocniej zacisnął ręce na kierownicy i jeszcze bardziej przyspieszył.

Podróż trwała wieki. I nagle wpadłem do Manham, które wyskoczyło na mnie jak duch z deszczu i ciemności. Ulice były opustoszałe; reporterzy i dziennikarze, którzy jeszcze niedawno się na nich tłoczyli, przepadli jak kamień w wodę. Chciałem przystanąć i zajrzeć do policyjnej przyczepy na skwerku, ale zmieniłem zdanie. Nie było czasu na wyjaśnienia, poza tym najpierw musiałem zrobić Jenny zastrzyk.

Z rykiem silnika wjechałem na podjazd. Dom tonął w ciemności. Byłem na tyle przytomny, żeby zaparkować z boku i zostawić miejsce dla karetki; inaczej nie mogłaby podjechać pod same drzwi. Wsiadłem, obiegłem samochód i otworzyłem drzwiczki. Jenny oddychała szybko i płytko, lecz gdy niosłem ją przez deszcz, lekko się poruszyła.

- David... - szepnęła.

- Już wszystko dobrze, jesteśmy w przychodni. Trzymaj się, trzymaj. Chyba mnie nie słyszała. Szarpnęła się słabo, oczy miała niewidzące i przerażone.

- Nie! Nie!

- To ja, Jenny, to ja. Nic ci nie grozi.

- Nie pozwól, żeby mnie skrzywdził!

- On już nic ci nie robi, przyrzekam.

Ponownie straciła przytomność. Załomotałem do drzwi, nie mogąc otworzyć ich z Jenny na rękach. Minęła wieczność, zanim w holu zapaliło się światło. Henry. Wpadłem do środka, gdy tylko nam otworzył.

- Dzwon po karetkę! Wystraszony zrobił mi przejęście.

- Co się...

Ale ja biegłem już korytarzem.

- Zapada w śpiączkę. Wezwij karetkę, szybko! Powiedz im, że jedną wzięła policja.

Kopnąłem drzwi do gabinetu, tymczasem Henry podjechał wózkiem do telefonu w korytarzu. Jenny nie poruszyła się, gdy kładłem ją na sofie. Pod krwawą maską miała przerażająco bladą twarz. I nikły, trzepoczący puls. Trzymaj się, myślałem. Proszę. Błagam. Rozpacz i desperacja. Mogła mieć uszkodzone wątrobę i nerki i wiedziałem, że jeśli natychmiast nie trafi do szpitala, w każdej chwili może stanąć jej serce. Poza insuliną potrzebowała kroplówki z soli fizjologicznej, żeby wypłukać zatruwające ją toksyny. Tu, w przychodni, nie mogłem jej pomóc. Mogłem jedynie mieć nadzieję, że insulina utrzyma ją przy życiu do przyjazdu karetki.

Gwałtownym szarpnięciem otworzyłem lodówkę i zacząłem w niej niecierpliwie szperać. Do gabinetu wjechał Henry.

- Ja poszukam - rzucił. - Ty weź strzykawkę.

Gdy otworzyłem stalową szafkę z lekami, zagrzechotały ramki stojących na niej zdjęć.

- Co z karetką?

- Już jedzie. Zaczekaj, nie dasz rady, nie w tym stanie - powiedział stanowczo Henry i wyciągnął rękę. - Bez słowa protestu podałem mu strzykawkę. - Na miłość boską co się tu dzieje? - spytał, przebijając igłą metalowe zabezpieczenie na buteleczce.

- To był Tom Mason. Więził ją w starym schronie przeciwlotniczym w lesie za domem. - Spojrzałem na leżącą bez ruchu Jenny i ścisnęło mi się serce. - Zabił Sally Palmer i Lyn Metcalf.

- Wnuk George'a Masona? - spytał z niedowierzaniem Henry. - Żartujesz!

- Próbował zabić i mnie.

- Chryste! Gdzie on teraz jest?

- Jenny dźgnęła go nożem.

- To znaczy, że nie żyje?

- Może, nie wiem.

Wtedy było mi wszystko jedno. Cierpiąc katusze, niecierpliwie patrzyłem, jak Henry zmaga się ze strzykawką.

- Cholera jasna! Igła się zatkała. Daj mi inną. Szybko.

Miałem ochotę na niego nawrzeszczeć. Odwróciłem się do szafki. Drzwiczki zdążyły się już zamknąć, więc otworzyłem je tak gwałtownie, że przewróciło się jedno ze zdjęć. Ledwo na nie zerknąłem - interesowała mnie tylko strzykawka - lecz poniewczasie coś do mnie dotarło.

Spojrzałem jeszcze raz, ale nie na zdjęcie, które się przewróciło, tylko na to obok. Na zdjęcie ślubne Henry'ego i jego żony. Widziałem je wiele razy, wiele razy wzruszała mnie utrwalona na nim chwila szczęścia. Ale nie na to teraz patrzyłem.

Żona Henry'ego miała na sobie suknię identyczną z tą, którą widziałem w piwnicy Masona.

Próbowałem wmówić sobie, że to tylko złudzenie. Ale nie, jej krój i koronkowy wzór na przodzie były zbyt charakterystyczne, żebym mógł się pomylić. Suknie były identyczne. Nie, nie identyczne.

Suknia ze zdjęcia była suknią z piwnicy.

- Henry... - zacząłem i w tej samej chwili poczułem ból w nodze. Spojrzałem w dół. Henry cofnął się z pustą strzykawką w rękę.

- Przykro mi, Davidzie. Naprawdę mi przykro - szepnął, patrząc na mnie ze smutkiem i rezygnacją.

- Co ty... - Chciałem coś powiedzieć, lecz nie mogłem. Gabinet powoli zniknął, ściany się rozmywały. Lekki jak piórko osunąłem się na podłogę. Tracąc kontakt ze światem, zobaczyłem coś nieprawdopodobnego: Henry wstał z wózka i właśnie szedł w moją stronę.

A potem i on, i wszystko inne pograżyło się w ciemności.

### **Rozdział 30**

Niespieszne tykanie zegara wypełniało pokój niczym cichutki szmer kurzu osiadającego w promieniach słońca. Każde leniwe tyknięcie zdawało się pobrzmiwać przez sto lat, zanim rozległo się kolejne. Nie widziałem zegara, lecz mogłem go sobie wyobrazić. Stary i ciężki pachniał woskiem pszczelim i minionym czasem. Czuję, że doskonałego znam; miałem przed oczami zakrzywiony mosiężny klucz, którym go nakręcałem.

Jego dostojnego tykania mógłbym słuchać bez końca.

W kominku paliły się polana, rozsiewając wokół słodki, sosnowy zapach. Zajmującą całą ścianę półkę wypełniały książki, a wszystkie kąty pokoju były oświetlone miękkim światłem lamp. W misie, stojącej na środku stołu z wiśniowego drewna, leżały pomarańcze. Znałem ciepło tego pokoju, podobnie jak znałem cały ten dom, chociaż na jawie nigdy w nim nie byłem. Mieszkały tu Kara i Alice. Kara i Alice z moich snów. To był nasz dom.

Przepęłniała mnie niepohamowana radość. Naprzeciwko mnie siedziała na sofie Kara ze zwiniętą w kłębek Alice na kolanach. Obydwie patrzyły na mnie ze smutkiem. Chciałem je pocieszyć, zapewnić, że nie ma żadnego powodu do smutku. Przecież wszystko było dobrze. Przecież do nich wróciłem.

Tym razem na zawsze.

Kara zsunęła Alice z kolan.

- Bądź grzeczna i idź pobawić się na dworze.

- Nie mogę zostać z tatusiem?

- Nie teraz. Tatuś i ja musimy porozmawiać.

Rozczarowana Alice zrobiła minkę. Podeszła bliżej i objęła mnie na pożegnanie. Tuląc ją do siebie, czułem dotyk i ciepło jej ciała.

- Idź, córeczko, idź. - Pocałowałem ją w czubek głowy. Włosy miała delikatne jak jedwab. - Zaczekam na ciebie.

Spojrzała na mnie z poważną twarzą.

- Do widzenia, tatusiu.

Patrzyłem, jak idzie do drzwi. W progu pomachała mi rączką i wyszła. Byłem tak wzruszony, że przez chwilę nie mogłem mówić. Kara patrzyła na mnie z drugiej strony stołu.

- Co się stało? - spytałem. - Nie cieszysz się?

- Tak nie można, Davidzie.

Roześmiałem się. Nie mogłem się powstrzymać.

- Można. I trzeba. Nie czujesz tego?

Mimo przepełniającej mnie radości, usłyszałem nutkę smutku w jej głosie.

- To ten narkotyk. Dlatego tak ci dobrze. Ale to tylko złudzenie. Musisz z tym walczyć.

Nie mogłem zrozumieć, co ją tak martwi.

- Znowu jesteśmy razem. Nie tego chciałaś?

- Tego, ale nie tak.

- Dlaczego? Jestem z wami. Tylko to się liczy.

- Nie chodzi o nas. Ani o ciebie. Już nie. Euforię ostudził lekki podmuch chłodnego wiatru.

- Jak to?

- Ona cię potrzebuje.

- Kto? Alice? Oczywiście, że tak.

Ale wiedziałem, że Kara nie mówi o naszej córce. Radość, jaką odczuwałem, wystawiono na ciężką próbę. Chcąc ją podtrzymać, podszedłem do stołu i wziąłem pomarańczę z misy.

- Chcesz?

Kara tylko pokręciła głową, obserwując mnie w milczeniu. Trzymałem pomarańczę w ręku. Czułem jej ciężar, czubkami palców wyczuwałem jej teksturę. Oczami wyobraźni widziałem, jak ją obieram, czułem zapach skórki, widziałem tryskający sok. Wiedziałem, że będzie słodki, wiedziałem też, że spijając go i smakując, pogodzę się z tym, co jest. Że będzie to akt ostatni i nieodwracalny.

Niechętnie odłożyłem pomarańczę do misy. I z ciężkim sercem usiadłem. Kara uśmiechnęła się z wilgotnymi od łez oczami.

- O to ci chodziło, kiedy mówiłaś, że bym był ostrożny? Nie odpowiedziała.

- Nie jest już za późno? - spytałem. Przez jej twarz przemknął mroczny cień.

- Możliwe. Możliwe, że ledwo zdążysz.

Ścisnęło mnie w gardle.

- A ty i Alice? Uśmiechnęła się ciepło.

- Damy sobie radę. Nie musisz się o nas martwić.

- Już was nie zobaczę, tak?

Kara płakała. Płakała, nie przestając się uśmiechać.

- Nie musisz. Już nie.

Po policzkach spływały mi łzy.

- Kocham cię - powiedziałem.

- Wiem.

Podeszła bliżej i objęła mnie. Po raz ostatni ukryłem twarz w jej włosach. Po raz ostatni poczułem jej zapach, nie chcąc zapomnieć i wiedząc, że muszę.

- Uważaj na siebie, Davidzie - powiedziała.

Czując słony smak łez w ustach, uświadomiłem sobie, że nie słyszę już tykania zegara i...

Sparalizowany, ocknąłem się w dusznej ciemności.

Spróbowałem wziąć oddech, ale nie mogłem. Moją pierś owijały stalowe taśmy. Ogarnięty paniką spróbowałem jeszcze raz i zdołałem wciągnąć do płuc haust powietrza, jeden, potem drugi. Odcięty od odgłosów świata zewnętrznego, czułem się jak w bawelnianym kokonie. Tak łatwo byłoby zrezygnować i ponownie odejść...

„Musisz z tym walczyć”. Słowa te przywróciły mnie do rzeczywistości. Euforia rozmyła się jak dym. Rozedrgana przepona protestowała przeciwko każdemu oddechowi. Lecz z każdym oddechem, krótkim i jakże słabym, wciągałem do płuc coraz więcej powietrza.

Otworzyłem oczy.

Świat był dziwacznie przekrzywiony. Wirował, więc spróbowałem skupić wzrok. Wtedy usłyszałem płynący gdzieś w górze głos Henry'ego.

- Nie chciałem, żeby do tego doszło, wierz mi. Ale kiedy ją porwał, przestałem mieć na to wpływ. Co mogłem zrobić?

Zauważyłem, że się poruszam. Tuż obok przesuwiała się ściana. Zdałem sobie sprawę, że siedzę w jego wózku, że jadę korytarzem. Spróbowałem usiąść, lecz zdołałem tylko bezwładnie poruszyć rękami. Korytarz zawirował jeszcze szybciej, mimo to zacząłem sobie coś przypominać.

Henry. Strzykawka.

Jenny.

Chciałem wykrzyknąć jej imię, lecz tylko jęknąłem.

- Ciiicho.

Wykręciłem szyję i znowu dostałem gwałtownego zawrotu głowy. Opierając się ciężko o fotel, Henry pchał mnie korytarzem.

Pchał mnie. Szedł.

To nie miało sensu. Chciałem usiąść prosto, lecz zabrakło mi siły w rękach. Opadłem na siedzenie.

- Jenny... Karetka... - wymamrotałem niewyraźnie.

- Nie będzie żadnej karetki, Davidzie.

- Nie... Nie rozumiem.

Ale rozumiałem. A przynajmniej zaczynałem rozumieć. Przypomniało mi się, jak zareagowała Jenny, gdy przywiozłem ją do przychodni, przypomniało mi się, jaka była przerażona. „Nie pozwól, żeby mnie skrzywdził!” Myślałem, że bredzi, że chodzi jej o Masona.

Lecz jej chodziło o kogoś innego.

Spróbowałem wstać. Ale czułem się tak, jakby ktoś zanurzył mi kończyny w galarecie.

- Daj spokój, przestań - syknął Henry.

Opadłem na fotel, lecz gdy mijaliśmy schody, rzuciłem się na poręcz. Wózek zachybotał i omal nie spadłem. Henry zachwiał się, z trudem zachowując równowagę.

- Cholera jasna, David!

Wózek stał bokiem. Wciąż trzymałem się poręczy. Zamknąłem oczy, bo wszystko znowu zawirowało. Dotarł do mnie jego poirytowany głos.

- Puść - wysapał. - Przecież wiesz, że to na nic.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że spocony i rozczochrany opiera się o ścianę.

- Proszę cię. - Powiedział to ze szczerym bólem. - Tylko to utrudniasz, i mnie, i sobie.

Jeszcze mocniej zacisnąłem palce. Westchnął i wyjął z kieszeni strzykawkę. Podniósł ją wysoko, żebym zobaczył, że jest pełna.

- Tyle diamorfiny zabije nawet konia. Naprawdę nie chcę dawać ci więcej. Wiesz tak samo jak ja, czym by się to skończyło. Ale jeśli mnie zmusisz, nie będę miał wyboru.

Mój umysł przetrwał to ospale. Diamorfina, silny środek przeciwbólowy, pochodna heroiny, mogła wywoływać halucynacje, czasem doprowadzała do śpiączki. Stosował ją Harold Shipman, usypiając na wieki setki pacjentów.

A Henry wpompował jej we mnie Bóg wie ile.

Fragmenty układanki zaczęły dopasowywać się do siebie z przerażającą jasnością.

- Ty i on... To byliście... ty i Mason.

Nawet teraz podświadomie oczekiwałem, że zaprzeczy, że jakoś to wyjaśni. Ale on patrzył na mnie przez chwilę, a potem opuścił strzykawkę.

- Przykro mi - odparł. - Nie przypuszczałem, że do tego dojdzie.

Za nic nie mogłem tego pojąć.

- Ale dlaczego, Henry, dlaczego? Uśmiechnął się krzywo.

- Boję się, że mnie nie znasz. Powinieneś być trzymać się swoich trupów. Są znacznie mniej skomplikowane niż ludzie.

- O czym ty... O czym ty mówisz? Zmarszczył czoło i spojrzał na mnie z pogardą.

- Myślisz, że lubię być kaleką? Że tkwię w tej dziurze, bo mi się tu podoba? Że lubię, kiedy to... to bydlę traktuje mnie z góry? Trzydzieści lat udawania szlachetnego doktora i co z tego mam? Wdzięczność? Oni nie wiedzą, co to znaczy!

Boleśnie wykrzywił twarz. Przytrzymując się ściany, ruszył sztywno w stronę giętego krzesła przy stoliku na telefon. Nie odrywałem od niego wzroku. Z ulgą usiadł.

- Tak naprawdę to nie wierzyłeś, że zrezygnuję, co? Chciałem udowodnić specjalistom, że się mylą zawsze ci to powtarzałem. - Zdyszany wytarł spocone czoło. - Wierz mi, bezradność to nie zabawa. Zwłaszcza bezradność wystawiona na widok publiczny. Wiesz, jakie to poniżające? Jak bardzo niszczy duszę? Wyobraź sobie, że przez cały czas czujesz się tak jak teraz. I nagle odkrywasz, że możesz mieć władzę, prawdziwą władzę nad życiem i śmiercią że otwiera się przed tobą taka możliwość. Że możesz być Bogiem!

Uśmiechnął się chytrze.

- Przyznaj się. Jesteś lekarzem, musiałeś się tak czasem czuć. Nigdy nie słyszałeś cichutkiego szeptu pokusy?

- Wy ich... Wy ich zamordowaliście! To zabiło go z tropu.

- Palcem ich nie tknąłem. To Mason. Ja spuściłem go tylko ze smyczy.

Chciałem zamknąć oczy i natychmiast o tym zapomnieć. Powstrzymywała mnie tylko myśl o Jenny, o tym, co mógł jej zrobić. Ale chociaż rozpaczliwie pragnąłem się tego dowiedzieć, w tej chwili nie byłem w

stanie pomóc ani jej, ani sobie. Lecz im dłużej mówił, tym większą miałem szansę, gdyż narkotyk powoli przestawał działać.

- Kiedy... Od kiedy...

- Od kiedy o nim wiem? - Henry wzruszył ramionami. - Odkąd był małym chłopcem; dziadek go do mnie przyprowadził. Lubił dręczyć i zabijać zwierzęta, tak wiesz, rytualnie. Oczywiście wtedy zabijał tylko zwierzęta. Za nic nie mógł zrozumieć, że to, co robi, jest złe. Zaproponowałem, że nikomu o tym nie wspomnę, że dam mu środki uspokajające, które poskromią jego... skłonności, ale pod warunkiem, że będę mógł monitorować przebieg choroby. Jak widzisz, był to taki prywatny projekt badawczy. Z teatralną uległością podniósł ręce.

- Wiem, wiem, to nieetyczne. Ale mówiłem ci, że zawsze chciałem zostać psychologiem. Byłbym w tym cholernie dobry, ale przyjechałem do Manham i wszystko się skończyło. Mason był przynajmniej ciekawszy niż artretyzm czy grzybica stóp. I wiesz co? Odwaliłem kawał dobrej roboty. Gdyby nie ja, odbiłoby mu już lata temu.

- Dziadka też... zabił? Henry był szczerze wstrząśnięty.

- Boże święty, ależ skąd! On go uwielbiał! Nie, nie, George zmarł z przyczyn naturalnych. Podejrzewam, że na serce. Ale kiedy umarł, nikt nie pilnował już, żeby wnuczek brał lekarstwa. W sensie zawodowym przestałem go widywać lata temu. Pewnie mi nie uwierzysz, ale miałem w końcu dość opowieści o dręczeniu i zabijaniu zwierząt. Dawałem George'owi leki, George dawał je wnukowi, i tyle. Po prostu straciłem zainteresowanie. Aż pewnej nocy przyszedł do mnie i oznajmił, że porwał Sally Palmer i że zamknął ją w starym warsztacie ojca.

Henry zachichotał.

- Okazało się, że przypadła mu do gustu już parę lat wcześniej, kiedy pracował z dziadkiem w jej ogrodzie. Wszystko było dobrze do chwili, gdy środki uspokajające przestały działać i znowu mu odbiło. Zaczął za nią chodzić. Prawdopodobnie nie wiedział nawet, co chce zrobić, ale pewnej nocy zobaczył go jej pies. Zobaczył, rozszczękał się, więc Mason poderżnął mu gardło, związał Sally i zawiózł ją do domu.

Niemal z podziwem pokręcił głową. Nie mogłem uwierzyć, że jest to ten sam człowiek, którego znałem od tylu lat, którego zawsze uważałem za przyjaciela. Między tym, kim naprawdę był, a tym, za kogo go uważałem, ziała bezdenna przepaść.

- Boże święty, Henry!

- Przestań, nie patrz tak na mnie. Należało się jej. Zarozumiała krowa, nasza „znakomitość”, cholera. Jak nie wyjeżdżała do Londynu albo gdzie indziej, zadowalała się miejscowymi kmiotkami. Nonszalancka suka. Chryste, patrzyłem na nią i widziałem Dianę!

Drgnąłem. Diana, jego żona. Zauważył, że to mnie skonsternowało.

- Nie, nie, nie przypominała jej fizycznie - dodał poirytowany. - Diana miała klasę, trzeba jej to oddać. Ale wiesz mi, były do siebie podobne pod innymi względami. Obydwie aroganckie, obydwie z poczuciem wyższości.

Pieprzone baby! Wszystkie są takie same! Wyssą z ciebie całą krew, a potem roześmieją ci się w nos!

- Przecież ty ją kochałeś...

- Diana była dziwką! - ryknął. - Pierdoloną kurwą!

Jego wściekle wykrzywiona twarz była niemal nie do rozpoznania. Nie miałem pojęcia, jak to się stało, że przez tyle lat nie dostrzegłem w nim tej przerażającej goryczy. Janice często wspominała, że nie było to szczęśliwe małżeństwo, ale przypisywałem to zazdrości.

Jakże się myliłem.

- Zrezygnowałem dla niej ze wszystkiego - rzucił porywczo Henry. - Wiesz, dlaczego zostałem zwykłym lekarzem, zamiast psychologiem? Bo zaszała w ciążę i musiałem poszukać pracy. Chcesz usłyszeć coś naprawdę zabawnego? Tak się do tej pracy spieszyłem, że nie skończyłem nawet studiów.

Zdawało się, że czerpie perwersyjną przyjemność z mojej konsternacji.

- Tak, tak, nie jestem nawet wykwalifikowanym lekarzem. Myślisz, że zostałem w tej zasranej dziurze z wyboru? Przyjechałem do Manham przede wszystkim dlatego, że stary pijak, który tu pracował, był zbyt włany, żeby sprawdzić moje papiery! - Roześmiał się gorzko. - Ty też pograłeś ze mną nieuczciwie i nie myśl sobie, że nie dostrzegłem w tym ironii. Ale różnica między tobą a mną polega na tym, że ja utknąłem tu jak w pułapce. Nie mogłem nigdzie wyjechać ani zmienić pracy bez ryzyka wpadki. Dziwisz się, że nienawidzę tego pieprzonego miasta? Manham to moje więzienie!

Uniósł brew w wynaturzonej parodii Henry'ego, którego kiedyś znałem.

- A moja droga Diana? Czy moja droga Diana stanęła u mego boku? Ależ skąd! To była moja wina! Moja wina, że poroniła! Moja wina, że nie mogła mieć dzieci! Moja wina, że zaczęła pieprzyć się z innymi!

Może to narkotyk wyostrzył mi zmysły, bo nagle domyśliłem się, do czego to zmierza.

- Ten leśny grób, ten student... To go otrzeźwiło.

- Chryste - powiedział z nagłym zmęczeniem. - Kiedy znaleźli go po tych wszystkich latach... - Potrząsnął głową jakby chciał odpędzić wspomnienia. - Tak, to był jeden z jej kochanków. Myślałem, że uodporniłem



się na jej wysoki. Ale on był inny. Inteligentny, przystojny. I taki młody, tak cholernie młody. Mógł zrobić karierę, miał przed sobą całe życie. A co miałem ja?

- Więc go zabiłeś...

- Niechcący. Poszedłem do jego, zaproponowałem pieniądze, żeby tylko wyjechał. Ale on nie chciał. Przekłety głupiec. Myślał, że to prawdziwa miłość. Oczywiście chciałem, żeby przejrzał na oczy i powiedziałem mu, z jaką dziwką ma do czynienia. Pokłóciliśmy się. Jedno doprowadziło do drugiego. Wzruszy! ramionami, jakby się z tego rozgrzeszał.

- Wszyscy pomyśleli, że zwinął namiot i wyjechał. Nawet Diana. Ale cóż, tam, skąd pochodził, było pełno innych, taką wyznawała filozofię. Nic się nie zmieniło. Wciąż byłem rogowcem, miejscowym pośmiewiskiem. Aż pewnej nocy, kiedy wracaliśmy do domu po jakiejś imprezie, doszedłem do wniosku, że mam tego dość. Był tam taki kamienny most i zamiast na most, pojechałem prosto przed siebie, pełnym gazem.

Wyparowało z niego całe ożywienie. Stary i wyczerpany osunął się bezwładnie na oparcie krzesła.

- Tylko że straciłem zimną krew. W ostatniej chwili chciałem skrócić. Oczywiście za późno. To był ten słynny wypadek. Kolejna fuszerka, nic więcej. Diana pewnie by mnie wyśmiała. Przynajmniej zginęła na miejscu i nie została z tym!

Wyprostował nogę.

- Niesprawna, niezdatna do użytku. Życie w Manham było potworne już przedtem, ale po wypadku, ilekroć patrzyłem na tych wszystkich ludzi, na moją pieprzoną trzódkę, na ich małe, żalosne, lecz w miarę normalne życie, ilekroć widziałem, jak ze mnie szydzą, czułem tylko nienawiść. Mówię ci, bywały takie chwile, kiedy miałem ochotę ich wszystkich pozabijać. Wszystkich, co do jednego! Ale nie miałem odwagi. Tak samo, jak nie miałem odwagi zabić samego siebie. A potem, niczym kot, który przynosi swemu panu upolowanego ptaszka, pojawił się u mnie Mason. Mój własny golem!

Był niemal zachwycony. Znowu patrzył na mnie z przejęciem.

- Gliną, Davidzie, oto czym był. Ani odrobiny sumienia czy choćby jednej myśli o konsekwencjach. Był gliną, która tylko czekała, żebym ulepił z niej człowieka, żebym powiedział mu, co ma robić! Wyobrażasz to sobie? Wyobrażasz sobie moją radość? Kiedy stałem w tej piwnicy i patrzyłem na Sally Palmer, czułem się potężny! Po raz pierwszy od lat nie byłem żalonym kaleką. Patrzyłem na tę arogancką na tę nonszalancką dziwkę, zapłakaną i całą we krwi, i czułem się silny!

Miał posepnie błyszczące oczy. Oczy przerażająco trzeźwe i przytomne, mimo potworności czynów, jakich się dopuścił.

- Wiedziałem, że to moja szansa. Mogłem nie tylko zemścić się na Manham, ale i upokorzyć Dianę, wymazać ją w końcu z pamięci! Zawsze była dumna, że tak dobrze tańczy, więc dałem Masonowi jej suknię ślubną i pozytywkę, którą kupiłem jej podczas miesiąca miodowego. Boże, jak ja tego pudła nienawidziłem! Ilekroć miała spotkać się z gachem, z którym się aktualnie pieprzyła, puszczała bez końca *Claire de Lune*. Palmer wkładała suknię, Mason wychodził - czekał na zewnątrz - a ja siadałem na dole i patrzyłem, jak ta dziwka tańczy, przerażona do tego stopnia, że ledwo powłóczyła nogami. Byłem świadkiem jej poniżenia! To niby niewiele, ale nie wiesz nawet, jakie to było oczyszczające! Nie miało znaczenia, że to nie Diana!

- Henry, jesteś chory, potrzebujesz pomocy...

- Och, nie bądź taki świętoszkowaty! - warknął. - Mason i tak by ją zabił. A ubrudziwszy sobie ręce krwią naprawdę myślisz, że by przestał? Jeśli to cię jakoś pocieszy, wiedz, że ich nie gwałcił. Lubił patrzeć, ale nie miał odwagi dotknąć. Nie twierdzą, że w końcu by do tego nie doszło, ale choć to dziwne, on bał się kobiet. - Ta myśl chyba go rozbawiła. - Cóż za ironia...

- On je torturował! - krzyknąłem.

Henry wzruszył ramionami, ale uciekł wzrokiem w bok.

- Najgorsze rzeczy robił, kiedy już nie żyły. - Z odrazą wykrzywił twarz. - Te jego rytuały. Nawet suknia stała się ich częścią. A kiedy już coś zrobił, zawsze to powtarzał. Wiesz, dlaczego przetrzymywał je przez trzy dni? Bo po trzech dniach zabił pierwszą. Stracił panowanie nad sobą kiedy próbowała uciec i gdyby nie to, równie dobrze mógłby ją zabić po czterech albo pięciu.

A więc to dlatego Sally Palmer została pobita, a Lyn Metcalf nie. Mason nie chciał utrudniać identyfikacji zwłok. Po prostu wpadł w szal.

Przypomniałem sobie, co powiedział Henry tuż przed policyjnym nalotem na młyn, i jeszcze mocniej zacisnąłem ręce na podłokietnikach wózka. „Nie sądzisz, że powinieneś się... przygotować?” Wiedział, że policja jedzie nie tam, gdzie trzeba, wiedział, co się stanie z Jenny. Gdybym mógł, zabiłbym go tu i teraz.

- Ale dlaczego Jenny? — wychrypiałem. — Dlaczego akurat ona?

- Z tego samego powodu co Lyn Metcalf. Po prostu wpadła mu w oko. -Chciał to powiedzieć obojętnie i z beztroską lecz mu nie wyszło.

- Łżesz!

- Bo mnie zdradziłeś! - ryknął. - Byłeś dla mnie jak. syn! Byłeś jedynym porządnym człowiekiem w tym zaszranym miasteczku, a potem spotkałeś ją! Wiedziałem, że wyjedziecie, że zaczniecie nowe życie, że to

tylko kwestia czasu! Poczułem się staro, tak cholernie staro! I kiedy powiedziałeś mi, że pomagasz policji, że robisz to ukradkiem, za moimi plecami, po prostu... Po prostu...

Zamilkł. Powoli, żeby go nie zaniepokoić, spróbowałem zmienić pozycję, nie zważając na to, że korytarz ponownie zachwiał się i zakołysał.

- Ale nigdy nie chciałem, żeby stała ci się krzywda - dodał. - Pamiętasz to „włamanie”, tę noc, kiedy Mason przyszedł po chloroform? Byłem wtedy w gabinecie. Niewiele brakowało i byś tam wszedł, ale nie wiedziałem, że próbował cię dźgnąć, przysięgam. Przejrzałem na oczy dopiero potem, kiedy zobaczyłeś mnie w korytarzu i pomyślałeś, że byłem w sypialni. A nazajutrz rano, kiedy znalazłeś mnie w łodzi? Zerknął na mnie przeprasząc, lecz nie bez dumy.

- Ja wtedy nie wsiadałem. Ja wysiadałem.

Teraz sprawa była oczywista. Obydwa domy, jego i Masona, stały nad brzegiem jeziora. Istniała nikła szansa, żeby ktoś zauważył nocą małą łódź, chyba że specjalnie by jej wypatrywał.

- Popłynąłem, żeby go powstrzymać - ciągnął Henry. - Powiedzieć mu, że zmieniłem zdanie. Zajął mi to kilka godzin, ale Mason nie ma telefonu, więc nie było wyjścia. Ale tylko straciłem czas. Kiedy się na coś uparł, to już nie ustąpił. Tak jak z tymi zwłokami na mokradłach. Chciałem, żeby zrobił to porządnie, żeby je gdzieś ukrył, ale jego to nie interesowało. Słuchał, gapił się na mnie tępo i robił swoje.

- Więc pozwoliłeś mu porwać Jenny. A potem pojechałeś, żeby na nią... popatrzeć

Podniósł ręce i bezradnie je opuścił.

- Nie wiedziałem, że do tego dojdzie. Proszę, uwierz mi. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić!

Sondował moją twarz, rozpaczliwie szukając w niej zrozumienia. Ale po chwili stracił nadzieję. Uśmiechnął się krzywo.

- Cóż, w życiu nigdy nie układa się tak, jak byśmy chcieli, prawda? Nagle grzmotnął pięścią w stół.

- Cholera jasna, dlaczego nią dobiłeś tego przekłętą Masona? Gdyby nie żył, mógłbym zaryzykować nawet z tą dziewczyną! Ale teraz nie mam wyboru!

Jego pełen frustracji krzyk rozbrzmiał echem w całym korytarzu. Przetarł ręką twarz i zastygł bez ruchu, patrząc w pustkę. Raptem się ocknął.

- Miejmy to już za sobą - mruknął głucho.

Gdy zaczął wstawać z krzesła, zebrałem wszystkie siły i rzuciłem się na niego.

### **Rozdział 31**

Próba była wątła, bardzo anemiczna, bo natychmiast ugięły się pode mną nogi. Wylądowałem na podłodze, a wózek przewrócił się obok mnie. Wystarczył jeden gwałtowny ruch i ściany ponownie zawirowały. Gapily się na mnie pod zwariowanym kątem, więc straciwszy ostatnią nadzieję, mocno zacisnąłem powieki.

- Oj, Davidzie, Davidzie... - wyszeptał ze smutkiem Henry. Leżałem skołowany i zamroczony, bezradnie czekając na ukłucie igły i na ciemność, która potem nadejdzie. Ale się nie doczekałem. Otworzyłem oczy i mimo silnych zawrotów głowy, spróbowałem skupić wzrok. Henry patrzył na mnie... chyba z zafascynowaniem. W rękę niepewnie trzymał strzykawkę.

- Tylko to utrudniasz - powiedział. - Ta dawka cię zabije. Proszę, nie zmuszaj mnie.

- I tak to... zrobisz - wybełkotałem.

Spróbowałem podeprzeć się rękami. Ale nie miałem siły i natychmiast dostałem rozrywającego bólu głowy. Widząc jak przez mgłę, opadłem na podłogę. Henry pochylił się i wziął mnie za rękę. Nie miałem siły jej wyszarpnąć i mogłem tylko patrzeć, jak przytyka igłę do skóry na przedramieniu. Chociaż wiedziałem, że to bez sensu, spałem się i przygotowałem na ukłucie, gotowy stawić czoło narkotykowi.

Ale on nie wbił igły. Powoli zabrał strzykawkę.

- Nie mogę, nie tak - wymamrotałem.

Schował strzykawkę do kieszeni. Mgła szybko gęstniała i przesłaniała już cały korytarz. Poczułem, że odpływam. Nie! Ze wszystkich sił chciałem zachować przytomność, lecz mimo to ją traciłem. Świat zniknął i słyszałem jedynie potężne, rytmiczne dudnienie. Uświadomiłem sobie, choć nie do końca, że to bicie mojego serca.

Jak z oddali poczułem, że ktoś dźwiga mnie z podłogi. Zaraz potem odniosłem wrażenie, że się poruszam. Otworzyłem oczy i od razu je zamknąłem, gdyż od zmieniających się jak w kalejdoskopie światła i barw dostałem mdłości. Zwalczyłem je, nie chcąc ponownie zasłabnąć. Jakiś wstrząs, i poczułem podmuch chłodnego powietrza na twarzy. Ostrożnie otworzyłem oczy i zobaczyłem ciemnogrnatowe niebo. Gwiazdy i konstelacje były krystalicznie jasne: to ukazywały się, to znikwały za wystrzępionymi chmurami, które sunęły po nocnym niebie, gnane przez niewidzialny wiatr.

Próbując otrzeźwieć, wziąłem głęboki oddech. Przede mną stał land rover. Wózek jechał w tamtą stronę, chrzęszcząc i podskakując na wyżwirowanym podjeździe. Zmysły miałem wyostrzone jak nigdy dotąd. Słyszałem szum drzew, czułem piaszczysto-ilasty zapach mokrej ziemi. Zadrapania i placki błota na karoserii land rovera były wielkie jak kontynenty.

Podjazd był stromy i słyszałem sapanie Henry'ego, który pchał wózek pod górę. Po chwili dotarł do samochodu i przystanął, oddychając głośno i z trudem. Wiedziałem, że muszę coś zrobić, lecz świadomość ta nie docierała do moich kończyn. Odpocząwszy, Henry zaczął obchodzić wózek, przytrzymując się go, dopóki nie chwycił się klamki tylnych drzwiczek land rovera. Miał sztywne nogi i poruszał się niezdarne. Otworzył drzwiczki i powoli usiadł na brzegu podłogi. Złany potem, pobladł z wyczerpania tak bardzo, że zauważyłem to nawet w blasku księżyca.

Ciężko dysząc, podniósł wzrok. Zobaczył mnie i na jego twarzy zagościł słaby uśmiech.

- Wróciłeś? - Wciąż siedząc na podłodze land rovera, nachylił się w moją stronę. Poczułem, że bierze mnie pod pachy. - Ostatni etap. Hop! Wstajemy.

Jeździł na wózku od wielu lat, dlatego miał dobrze umięśnione ręce i górną część ciała. Szarpnąłem się anemicznie. Henry głucho stęknął i objął mnie jeszcze mocniej. Gdy wyciągnął mnie z wózka, chwyciłem się drzwiczek. Kurczowo zacisnąłem palce i drzwiczki zaczęły się zamykać.

- Przestań, nie bądź głupi - wysapał, próbując oderwać mi ręce. Zawzięcie trzymałem się dalej.

Gwałtownie szarpnął i wyrzucił głowę w kant drzwiczek. Poczułem silny wstrząs i położył mnie na metalowej podłodze samochodu.

- Boże święty, naprawdę nie chciałem - powiedział. Wyjął chustkę do nosa i ostrożnie wytarł mi czoło. Gdy ją podniósł, zobaczyłem, że jest pokryta czymś czarnym i błyszczącym. Henry popatrzył na nią oparł się o framugę i zamknął oczy. - Chryste, co za jatka...

Straszliwie bolała mnie głowa, lecz po narkotykowej mgle był to ból czysty i niemal odświeżający.

- Henry, nie... Nie rób tego.

- Myślisz, że chcę? Chcę tylko, żeby było już po wszystkim. To dużo? - Zachwiał się ze zmęczenia. - Boże, jestem wykończony. Miałem zawieźć cię nad jezioro, skończyć to tam, popłynąć na drugi brzeg i zająć się Masonem. Ale chyba nie dam rady.

Sięgnął za siebie i z ciemnego wnętrza samochodu wyjął gumowy szlauch.

- Wziąłem to z ogrodu, kiedy byłeś nieprzytomny. Masonowi już się nie przyda - zażartował ponuro, lecz natychmiast spoważniał. Znowu oklapł jak przekłuty balon. - Będzie paskudnie, kiedy cię tu znajdą ale nie ma wyjścia. Przy odrobinie szczęścia wszyscy pomyślą, że popełniłeś samobójstwo. Trochę to naciągane, ale musi wystarczyć.

Zatrzasnął drzwiczki i gwiazdy zgasły. Usłyszałem, jak przekręca klucz w zamku, jak obchodzi samochód. Próbowałem usiąść, ale znowu zakręciło mi się w głowie. Wyciągnąłem rękę, żeby nie stracić równowagi i dotknąłem czegoś szorstkiego i twardego. Koc. I coś pod kocem. Gdy dotarło do mnie, co to jest, doznałem wstrząsu.

Jenny.

Leżała zwinięta w kłębek za fotelem pasażera, W prawie zupełnej ciemności widziałem tylko plamę jej jasnych włosów. Były brudne i zmierzwiłe. Nie poruszała się.

- Jenny! Jenny!

Zsunąłem koc, ale nie zareagowała. Miała lodowate ciało. Boże, nie, błagam cię, nie!

Otworzyły się drzwiczki od strony kierowcy. Henry stęknął i usiadł za kierownicą.

- Henry, pomóż mi...

Mój głos zginął w głuchym warkocie silnika. Henry lekko uchylił okno i spojrzał na mnie przez ramię. W ciemności nie widziałem jego twarzy.

- Przykro mi, Davidzie. Naprawdę. Ale nie widzę innego wyjścia.

- Na miłość boską...

- Żegnaj.

Niezdarne wysiadł i zatrzasnął drzwiczki. Chwilę później coś wsunęło się do środka przez szparę w oknie. Gumowy szlauch. Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego nie wyłączył silnika.

- Henry! - zawołałem przerażony. Mignął mi za przednią szybą; szedł w stronę domu. Odwróciłem się, chcąc otworzyć tylne drzwiczki, chociaż wiedziałem, że są zamknięte na klucz. Nie ustąpiły. Czuję już zapach spalin. Myśl, do cholery, myśl! Poczłogałem się do bocznego okna, do gumowego węża, i wyrosła przede mną niebotyczna barykada z foteli. Chwyciłem się ich, spróbowałem się podciągnąć i znowu pochłonęła mnie czarna mgła. Jak kłoda runąłem na podłogę. Nie! Nie trać przytomności! Nie teraz! Odwróciłem głowę, zobaczyłem nieruchomą Jenny i odpedziłem gęstniejącą ciemność.

Spróbowałem jeszcze raz. Między fotelami była szpara. Zdołałem wsunąć w nią rękę i trochę się podciągnąć. Mgła czaiła się tuż pod powiekami i czułem, że w każdej chwili mogę ponownie zasłabnąć. Znieruchomiałem z boleśnie bijącym sercem i odczekawszy, aż mgła zrzednie, zacisnąłem zęby i podciągnąłem się wyżej. Podłoga land rovera zachwiała się i zakotłowała. Jeszcze! Jeszcze trochę! Tkwiłem między fotelami, z piersią na rozdzielającej je skrytce. Kluczyk był w stacyjce, ale równie dobrze mógł być kilometr dalej. Wyciągnąłem rękę i pomacałem drzwiczki w poszukiwaniu przycisku opuszczania szyby, dobrze wiedząc, że też jest za daleko. Błędny wzrokiem spojrzałem na obscenicznie rozwartą paszczę

gumowego węża. Nie, nie dosięgnę tam, nie zdążę. A nawet gdybym zdążył, to co z tego? Henry wróciłby i zakładając, że nie straciłby przedtem cierpliwości, po prostu wstrzyknąłby mi kolejną dawkę diamorfiny.

Ale nic innego nie przychodziło mi do głowy. Przytrzymałem się hamulca ręcznego, podciągnąłem między fotelami i znowu zobaczyłem Henry'ego, Był przed samochodem i wyczerpany, ciężko opierając się o wózek, pchał go w stronę domu.

Wciąż zaciskałem rękę na uchwycie hamulca. I nagle go zwolniłem.

Land rover lekko się poruszył. Ale chociaż podjazd był stromy, nie drgnął z miejsca. Rzuciłem się na podłogę, chcąc go rozhuścić, ale nic z tego. Mój wzrok padł na dźwignię automatycznej skrzyni biegów. Była w pozycji „Parkowanie”.

Ponownie wyciągnąłem rękę, wyteżyłem siły i pchnąłem ją do przodu.

Samochód potoczył się gładko naprzód. Wciąż tkwiłem między fotelami. Henry musiał coś usłyszeć, bo spojrzął przez ramię i zaskoczony rozdziawił usta. Myślałem, że zdąży odejść na bok, chociaż land rover coraz bardziej przyspieszał. Ale być może zużył już cały zapas sił i jego chore nogi nie zareagowały należycie szybko. Spotkaliśmy się wzrokiem i wtedy samochód go uderzył.

Usłyszałem głuchy stukot i Henry zniknął. Poczułem przyprawiający o mdłości wstrząs, jeden, potem drugi. Straciłem równowagę i ponieważ tuż przed maską wyrósł nagle dom, chwyciłem za hamulec. Za późno. Land rover zatrzymał się z głośnym hukiem. Poleciałem do przodu i oszołomiony wylądowałem w poprzek przedniego fotela. Silnik wciąż pracował. Przekreśliłem kluczyk. Potem wyjąłem go ze stacyjki i niezdarnie otworzyłem drzwiczki.

Do środka wpadło chłodne, świeże powietrze. Wdychając je łapczywie, stoczyłem się z fotela na ziemię. Przez chwilę leżałem na kłującym żwirze, zbierając siły. Przetoczyłem się na czworaki, oparłem o maskę i wstałem. Przytrzymując się tak jak przedtem Henry, ruszyłem pod górę.

Leżał kilka metrów dalej, ciemny kształt obok roztrzaskanego wózka. Ale nie miałem czasu o nim myśleć. Udało mi się wetknąć klucz do zamka, otworzyć tylne drzwiczki i wejść do środka.

Jenny nawet się nie poruszyła. Kilkoma nieskoordynowanymi ruchami zerwałem z niej koc. Proszę, błagam, nie umieraj. Miała bladą i chłodną skórę, ale wciąż oddychała krótkim, świszczącym oddechem, przesyconym złowieszczo słodkim zapachem acetonu. Dzięki ci, Boże. Chciałem ją objąć i przytulić, przelać w nią choć trochę mojego ciepła, ale ona potrzebowała czegoś więcej, i to natychmiast.

Wypełzłem z samochodu i wstałem. Tym razem poszło mi łatwiej, bo adrenalina i rozpaczliwa nadzieja osłabiły działanie diamorfiny. Frontowe drzwi domu były wciąż otwarte i biła z nich prostokątna smuga światła. Chwiejnym krokiem wszedłem do holu. Najbliższy telefon był na kredensie. Sunąc plecami po ścianie, ruszyłem w stronę stolika, o który przedtem opierał się Henry. Niewiele brakowało i runąłbym na stojące obok krzesło, ale jakimś cudem zdołałem odzyskać równowagę. Wiedząc, że jeśli usiądę, to pewnie już nie wstanę, podniosłem słuchawkę na stojąco. Za nic nie mogłem sobie przypomnieć numeru Mackenziego, więc opuchniętymi, niezdarnymi palcami wybrałem numer pogotowia. Dyspozytorka odpowiedziała niemal od razu, lecz w tym samym momencie dostałem silnego zawrotu głowy. Zamknąłem oczy i zacząłem mówić. Ze wszystkich sił próbowałem się skupić, wiedząc, że od tego zależy życie Jenny. Z olbrzymim wysiłkiem w miarę wyraźnie wypowiedziałem słowa: „nagły wypadek” i „śpiączka cukrzycowa”, ale potem przestałem panować nad językiem. Gdy dyspozytorka zaczęła mnie o coś pytać, upuściłem słuchawkę na widelki. Zamierzałem pójść do lodówki po insulinę, ale kurczowo przytrzymując się kredensu, próbując stać prosto i walcząc z gęstniejącą w oczach mgłą wiedziałem, że nie dam rady. A nawet gdybym dał, w tym stanie nie odważyłbym się zrobić Jenny zastrzyku.

Zataczając się jak pijany, wyszedłem na dwór i potwornie zmęczony ruszyłem w stronę samochodu. Jenny leżała na boku, tak jak ją zostawiłem, i wciąż była przerażająco blada i nieruchoma. Nie musiałem wchodzić do środka, by usłyszeć, że pogorszył jej się oddech. Był chrapliwy, nierówny i o wiele, o wiele za szybki.

- David...

Cichy szept Henry'ego. Spojrzałem w tamtą stronę. Leżał na ziemi tak samo jak przedtem, ale teraz miał odwróconą głowę. Jego ubranie było czarne i błyszczące od krwi. Jasny żwir też był poplamiony krwią. W półmroku widziałem, że ma otwarte oczy.

- Zawsze mówiłem, że jesteś... czarnym koniem. Odwróciłem się do Jenny.

- Proszę...

Nie chciałem na niego patrzeć. Nienawidziłem go nie tylko za to, co zrobił i kim się okazał, ale i za to, kim nie był. Mimo to się zawahałem. Nawet teraz, patrząc wstecz, nie wiem, co bym wtedy zrobił.

Lecz w tym samym momencie Jenny przestała oddychać.

Oddychała i nagle przestała, jakby ktoś wyłączył dźwięk. Przez parę sekund patrzyłem na nią czekając, aż znowu zacznie. Ale nie zaczęła. Na czworakach wpełzłem do samochodu.

- Jenny? Jenny!

Przewróciłem ją na drugi bok i bezwładnie opadła jej głowa. Miała częściowo otwarte oczy, dwa białe półksiężycy obramowane boleśnie pięknymi rzęsami. Gorączkowo poszukałem pulsu. Ale nie znalazłem.

- Nie!

To nie mogło działać się naprawdę, nie teraz. Omal nie sparaliżowała mnie panika. Myśl! Myśl! Adrenalina otrzeźwiła mnie i dodała mi sił: przewróciłem Jenny na wznak, chwyciłem koc, zwinąłem go w walek i podłożyłem jej pod głowę. Na studiach uczono mnie sztucznego oddychania, ale nigdy dotąd nie musiałem z tych nauk korzystać. Szybciej! Przeklinając moją niezdarność, odchyliłem jej do tyłu głowę, zacisnąłem nos i wetknąłem palce do ust, żeby wysunąć język. Świat zawirował, gdy przytknąwszy wargi do jej warg i wpompowawszy do jej płuc haust powietrza, jeden i drugi, przyłożyłem ręce do jej mostka i zacząłem go rytmicznie uciskać.

Oddychaj. Oddychaj! - błagałem ją w duchu. Kolejny haust powietrza, kolejny ucisk mostka. Powtórzyłem to jeszcze raz, i jeszcze raz. Leżała bezwładnie i nie reagowała. Rozplakałem się i prawie nic nie widząc przez łzy, uparcie próbowałem ożywić jej serce. Lecz jej ciało wciąż było martwe i zwiotczało.

Na nic. Wszystko na nic!

Szybko odpędziłem tę myśl, ponownie przytknąłem usta do jej ust, a potem piętnaście razy ucisnąłem mostek. Usta, wydech, ucisk. Usta, wydech, ucisk.

Umarła.

Nie! Odchodziłem od zmysłów, nie chcąc przyjąć tego do wiadomości. Oślepiiony przez łzy nie ustawałem w wysiłkach. Cały świat ograniczył się do serii bezmyślnych powtórek. Usta, wydech, ucisk. Usta, wydech, ucisk.

Straciłem poczucie czasu. Nie słyszałem syren, nie widziałem światła reflektorów, które omyło wnętrze land rovera. Nie istniało nic, oprócz zimnego, nieruchomego ciała Jenny, oprócz rozpaczliwego rytmu, w jakim uciskałem jej mostek. Nie chciałem się poddać nawet wtedy, gdy poczułem dotyk czyichś rąk.

- Nie! Zostawcie mnie! - Próbowałem się wyrwać. Ale odciągnęli mnie od niej i wywlekli z samochodu. Migające światła, pojazdy, ludzie - przed domem panował chaos. Gdy sanitariusze prowadzili mnie do karetki, opuścili mnie reszki sił. Osunąłem się na ziemię. I ujrzałem nad sobą twarz Mackenziego. Widziałem, że porusza ustami, że coś do mnie mówi albo o coś pyta, ale nie zwracałem na niego uwagi. Wokół land rovera zaroilo się od ludzi.

I nagle w zamęcie tym usłyszałem słowa, na dźwięk których zamarło mi serce.

- Nic z tego. Za późno.

### **Epilog**

Trawa skrzypiała pod nogami jak rozbite szkło. Poranny mróz wyssał barwy z krajobrazu, przemieniając go w dzikie, monochromatyczne pustkowia. Po białym niebie szybowała samotna wrona z nieruchomymi skrzydłami. Machnęła nimi parę razy i zniknęła między powykręcany konarami drzewa, stając się kolejną czarną plamą w plataninie nagich gałęzi.

Włożyłem ręce głębiej do kieszeni i czując, że mróz przenika przez podeszwy butów, mocno zatupałem nogami. Hen, daleko, na wąskiej jak tasiemka drodze, widziałem oddalający się samochód. Patrzyłem za nim, zazdrosząc kierowcy podróży ku domom, ciepłu i życiu.

Potarłem bladą szramę na czole. Na zimnie zawsze bolała. A boląc, przypominała tamten wieczór, gdy uderzyłem głową w drzwiczki land rovera. Od tamtej pory minęło kilka miesięcy i rana zagoiła się, pozostawiając tylko cienką, białą bliznę. Znacznie dotkliwiej odczuwałem obecność ran, których nie było widać. Jednakże wiedziałem, że nawet one zagoją się w końcu i zabliźnią.

Z czasem.

Nawet teraz trudno mi było rozpamiętywać tamte wydarzenia obiektywnie. Noc, burza, piwnica, jazda z Jenny przez deszcz, wszystko, co było potem - wspomnienia powracały coraz rzadziej. Ale kiedy już powracały, wciąż pozbawiały mnie tchu, wciąż mną wstrząsały.

Mason żył, gdy znalazła go policja. Przeżył jeszcze trzy dni, odzyskując przytomność tylko po to, żeby uśmiechnąć się do czuwającej przy jego łóżku policjantki. Zważywszy na to, że brytyjskie prawo jest takie, jakie jest, przez pewien czas bałem się, że postawią mnie przed sądem. Jednakże okoliczności zdarzenia - akt oczywistej samoobrony - oraz ponure dowody rzeczowe znalezione w piwnicy wystarczyły, żeby odrzucić argumenty z szarej strefy na pograniczu prawa.

Gdyby i tego było mało, ostatecznych dowodów dostarczył dziennik, który policja znalazła w zamkniętej na klucz szufladzie Henry'ego. Zawierał szczegółowy raport z badań nad wnukiem ogrodnika, nieoficjalne studium przypadku, pośmiertne przyznanie się do winy. Jego fascynacja Masonem była aż nadto oczywista, poczynając od młodzieńczych aktów sadyzmu - to właśnie on jako mały chłopiec dręczył i zabijał koty, o czym opowiadał mi kiedyś Henry - na ich zwyrodniałej spółce kończąc.

Chociaż nie chciałem i ostatecznie nie przeczytałem tego dziennika, rozmawiałem z policyjnym psychologiem, który musiał to zrobić z obowiązku. Po lektorze nie ukrywał podniecenia, gdyż mógł dzięki temu zgłębić wynaturzoną psychikę niejednego, a dwóch ludzi naraz. Twierdził, że to unikalny przypadek. Że na takich przypadkach robi się karierę.

Jako sfrustrowany psycholog, Henry na pewno doceniłby tę ironię.

Wciąż nie wiedziałem, co tak naprawdę do niego czuję. Na pewno odczuwałem gniew, ale i smutek. Było mi go żal nie dlatego, że umarł, tylko dlatego, że zmarnował życie sobie i tylu innym. Wciąż nie umiałem

postawić znaku równości między człowiekiem, którego uważałem za przyjaciela, i zgorzkniałą kreaturą, jaką się w końcu okazał. Wciąż nie wiedziałem, który z nich był prawdziwym Henrym.

Nie ulegało wątpliwości, że próbował mnie zabić, jednak zastanawiałem się czasem, czy prawda nie jest bardziej złożona. Sekcja zwłok ujawniła, że nie umarł od ran, chociaż na pewno okazałyby się śmiertelne. Zabiła go potężna dawka diamorfiny. Strzykawka, którą miał w kieszeni, była pusta, igła wbita w ciało. Być może doszło do tego przypadkiem, gdy przejechał go land rover. Ale niewykluczone też, że w agonii zrobił sobie zastrzyk sam.

Ale to nie wyjaśniało, dlaczego nie zrobił drugiego zastrzyku mnie. Gdyby wstrzyknął mi drugą dawkę narkotyku, o wiele łatwiej mógłby upozorować moje samobójstwo. Łatwiej i na pewno skuteczniej.

Dopiero podczas śledztwa dowiedziałem się czegoś, co podważyło moje przekonanie co do jego intencji. Kiedy policjanci z ekipy dochodzeniowej zbadali land Rovera, okazało się, że jeden koniec gumowego węża wciąż tkwi w oknie. Natomiast drugi, zamiast być podłączony do rury wydechowej, leżał po prostu na ziemi.

Mógł się zsunąć, kiedy samochód drgnął z miejsca i ruszył przed siebie. Mógł też zahaczyć o Henry'ego, gdy przetoczyły się po nim koła. Ale mnie przez cały czas dręczyło coś innego, to, czy Henry w ogóle go podłączył.

Nie wierzyłem, że wszystko to sobie zaplanował, chciałem za to wierzyć, że miał wątpliwości. Przecież gdyby rzeczywiście chciał mnie zabić, mógł to zrobić już przedtem, i to nie raz. I ciągle powracałem myślą do tych ostatnich chwil na podjeździe. Nie uskoczył. Może z wyczerpania. Miał osłabione wysiłkiem nogi i mógł nie zdążyć. A może widząc nadjeżdżający samochód, po prostu podjął decyzję. Nie miał odwagi odebrać sobie życia, sam to kiedyś przyznał. Więc może w ostatniej chwili wybrał najłatwiejszy sposób i pozwolił, żebym ja zrobił to za niego.

Niewykluczone też, że za bardzo się w to wgłębiałem, niezasłuzenie obdarzając go dobrodziejstwem wątpliwości. W przeciwieństwie do niego, nigdy nie twierdziłem, że jestem dobrym psychologiem. Psychologia jest nauką o wiele mroczniejszą od tej, którą uprawiam, dlatego chociaż bardzo chciałbym wierzyć w to, że mimo wszystko tliła się w nim iskierka odkupienia, nigdy nie będę wiedział tego na pewno.

Podobnie jak wielu innych rzeczy.

Po wyjściu ze szpitala odwiedziło mnie sporo gości. Jedni przychodzili z obowiązku, inni z ciekawości, jeszcze inni kierowali się szczerą troską. Jako jeden z pierwszych przyszedł Ben Anders, z butelką przedniej whisky za pazuchą.

- Wiem, że tradycja każe przynosić winogrona - powiedział - ale wódzia posłuży ci o wiele bardziej.

Nalał nam po szklance i unosząc moją w odpowiedzi na jego milczący toast, omal nie spytałem go, czy starsza kobieta, z którą miał kiedyś romans, nie była przypadkiem żoną lekarza. Ale nie spytałem. To nie była moja sprawa. I w sumie nie chciałem tego wiedzieć.

Zaskoczył mnie natomiast wielebny Scarsdale. Była to niezręczna wizyta. Wciąż dzieliły nas różnice poglądów i tak naprawdę nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Ale wzruszyło mnie samo to, że przyszedł, że zrobił ten wysiłek. Tuż przed wyjściem spojrzał na mnie z poważną miną. Myślałem, że coś powie, że wyrazi uczucia, które przewyciężą ten zapiekły antagonizm. Ale on nie powiedział nic. Skinął tylko głową, życzył mi zdrowia i wyszedł.

Regularnie odwiedzała mnie Janice. Ponieważ Henry'ego już nie było, całą swoją łzawą troskę przelała teraz na mnie. Gdybym jadł wszystko to, co mi przynosiła, w ciągu pierwszych dwóch tygodni przytyłbym ze trzy kilo, ale nie miałem apetytu. Dziękowałem jej, zaczynałem skubać zdrowe, angielskie jedzenie, a gdy wychodziła, wyrzucałem wszystko do kosza.

Minęło trochę czasu, zanim odważyłem się spytać ją o romanse Diany Maitland. Zawsze potępiała zmarłą żonę Henry'ego - nigdy tego nie ukrywała - i okazało się, że wciąż ją potępia. Jej wyskoki były tajemnicą poliszynela, ale Janice wpadła w gniew, gdy spytałem, czy rzeczywiście wystawiła Henry'ego na pośmiewisko.

- Wszyscy o tym wiedzieli, ale przymykali na to oko - fuknęła. - Ze względu na niego, nie na nią. Jego nigdy by nie wyśmiali, za dużym cieszył się szacunkiem.

Gdyby nie było to takie tragiczne, mogło być śmieszne.

Nie wróciłem do przychodni. Nawet wtedy, gdy z Bank House wyszła już policja, stwierdziłem, że powrót byłby zbyt bolesny. Znalazłem kogoś na zastępstwo do chwili, aż miejscowe władze znajdą lekarza na stałe albo aż ludzie przepiszą się do lekarzy w okolicznych miasteczkach. Tak czy inaczej, wiedziałem, że moje dni w Manham są policzone. Poza tym zauważyłem, że pacjenci traktują mnie ze swoistą rezerwą. W opinii wielu wciąż byłem tym „nowym”, w dodatku podejrzanym, przynajmniej przez pewien czas. Ale nawet kiedy było już po wszystkim, na moje uczestnictwo w tamtych wydarzeniach wciąż patrzono nieufnie. Zdałem sobie sprawę, że Henry miał rację. Że tu nie przynależę.

I że nigdy przynależać nie będę.

Pewnego ranka obudziłem się ze świadomością, że pora ruszać dalej. Wystawiłem dom na sprzedaż i zacząłem porządkować sprawy. Wieczorem na dzień przed przyjazdem tych od przeprowadzek ktoś zapukał do moich drzwi. Otworzyłem i ze zdziwieniem ujrzałem w progu Mackenziego.

- Mogę wejść?

Cofnąłem się, zaprowadziłem go do kuchni, poszukałem kubków. Gdy zagotowała się woda, spytał, co u mnie.

- Wszystko dobrze, dziękuję.

- A ten narkotyk? Żadnych skutków ubocznych?

- Wygląda na to, że nie.

- Dobrze pan sypia? Uśmiechnąłem się.

- Czasami.

Nalałem herbaty, podałem mu kubek. Podmuchał do środka, unikając mojego wzroku.

- Wiem, że nie chciał się pan w to mieszać. - Wzruszył ramionami; widać było, że czuje się nieswojo. - Mam wyrzuty sumienia, że pana w to wciągnąłem.

- Niepotrzebnie. I tak w tym siedziałem, tylko nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Ale biorąc pod uwagę, jak się to skończyło...

- Nie z pana winy.

Kiwnął głową, nie do końca przekonany, że nie mógł zrobić nic więcej. Ale nie tylko on tak się wtedy czuł.

- Co pan teraz zamierza? - spytał Wzruszyłem ramionami.

- Poszukam sobie mieszkania w Londynie. Poza tym, nie wiem.

- Wróci pan do sądówki? Omal się nie roześmiałem. Omal.

- Wątpię. Podrapał się w szyję.

- W sumie to się panu nie dziwię. - Posłał mi dziwne spojrzenie. - Wiem, że nie chciałby pan usłyszeć tego ode mnie, ale niech pan wstrzyma się z decyzją. Może pan przydać się innym.

Popatrzyłem w okno.

- Będą musieli poszukać kogoś innego.

- Niech pan to jeszcze przemyśli — powiedział, wstając. Uścisnęliśmy sobie ręce. Już wychodził, gdy ruchem głowy wskazałem pieprzyk, który ciągle drapał.

- Na pana miejscu poszedłbym jednak do specjalisty. Nazajutrz wyjechałem z Manham na dobre.

Ale przedtem się z kimś pożegnałem. Tej nocy miałem sen i wiedziałem, że śni mi się ostatni raz. Dom był jak zwykle ciepły i spokojny. Ale jakże inny.

Kara i Alice odeszły.

Wędrowałem po niezamieszkanym pokojach, wiedząc, że już tu nie wrócę. I że tak powinno być. Linda Yates mówiła, że snów nie ma się bez powodu, chociaż słowo „sen” wciąż nie oddaje tego, czego wtedy doświadczałem. Być może jakiś powód był, lecz ja go nie znałem. Obudziłem się z policzkami mokrymi od łez, ale czułem, że nie ma w tym nic złego.

Absolutnie nic.

Dzwonek telefonu przywrócił mi teraźniejszości. W obłoku buchającej z ust pary sięgnąłem do kieszeni. I uśmiechnąłem się, widząc, kto dzwoni.

- Cześć - rzuciłem. - Wszystko dobrze?

- Świetnie. Przeszkadzam?

Na dźwięk jej głosu jak zwykle zalała mnie fala miłego ciepła.

- Ależ skąd.

- Dojechałeś. Dostałam twoją wiadomość. Jak minęła podróż?

- Dobrze. Było ciepło. Gorzej, że potem musiałem wysiąść z samochodu. Roześmiała się.

- Długo cię nie będzie?

- Jeszcze nie wiem. Ale wrócę jak najszybciej.

- To dobrze. Pusto tu bez ciebie.

Nawet teraz bywały takie chwile, kiedy nie wierzyłem, że dano nam drugą szansę. Ale najczęściej cieszyłem się po prostu, że nam ją dano.

Jenny omal nie umarła. W sumie to umarła, chociaż przerażające świadectwo zgonu, które sanitariusze wystawili tamtej nocy na podjeździe, dotyczyło Henry'ego, nie jej. Ale wystarczyłoby jeszcze kilka minut i byłoby za późno i dla niej. Czystym przypadkiem w zamieszaniu po przerwanej naloce na młyn nikt nie pomyślał o odprawieniu karetki i sanitariuszy. Kiedy zadzwoniłem na pogotowie, właśnie wracali do miasta i dyspozytorka natychmiast ich zawróciła. Gdyby nie to, iskierka życia, którą nieświadomie tchnąłem w Jenny, zgasłaby przed ich przyjazdem. Jej serce przestało bić, gdy tylko dojechali do szpitala, a godzinę później stanęło ponownie. Ale za każdym razem ruszało. Po trzech dniach odzyskała przytomność. Po tygodniu wypisano ją z oddziału intensywnej terapii.

Uszkodzenie mózgu, uszkodzenie organów wewnętrznych, ślepotą - obawy te nigdy się na szczęście nie ziściły, chociaż lekarze uważali, że było to bardzo prawdopodobne. Ale chociaż jej ciało zaczynało powracać do zdrowia, przez jakiś czas bałem się, że przeżyty wstrząs pozostawi po sobie urazy głębsze, psychiczne.

Lecz z czasem przekonałem się, że niepotrzebnie. Jenny uciekła do Manham ze strachu. Teraz strach minął. Stawiła czoło koszmarowi i przetrwała. Ja na swój sposób też.

Tak czy inaczej, przywrócono nas do życia, i ją, i mnie.

Wrona sfrunęła z drzewa. Niechętnie schowałem telefon do kieszeni. W krystalicznej ciszy trzepot jej skrzydeł brzmiał nienaturalnie głośno. Patrzyłem, jak leci nad zamrożonym szkockim wrzosowiskiem. Ale chociaż było dzikie i posepne, przez twardą jak kamień ziemię przebijały się już pierwsze zielone pędy, zwiastuny wiosny.

Spojrzałem na młodą policjantkę, która szła ku mnie po chrzęszczącym szronie. Była w ciemnej kurtce i miała bladą zaszokowaną twarz.

- Doktor Hunter? Przepraszam, że musiał pan czekać. To tam. Podeszliśmy do grupy policjantów, przedstawiliśmy się, uścisnęliśmy sobie ręce. Odsunęli się na bok i pozwolili mi zobaczyć to, co nas tu wezwało.

Zwłoki leżały w płytkiej niecce. Odnotowując ich ułożenie, teksturę skóry i rozwiewane przez wiatr rzadkie włosy, poczułem, że ogarnia mnie znajomy chłód.

Podszedłem bliżej i zabrałem się do pracy.